

KALENDARZ GÓRNICZY

„Szczęść Boże!”

na rok



1910



ROCZNIK I.

Nakładem Związku górników i hutników polskich w Austrii.

:: Drukarnia Tow. Domu Nar. (P. Mitrega) w Cieszynie. ::

ROK 1910

JEST ROKIEM ZWYCZAJNYM, MAJĄCYM 365 DNI.

□ □ □

Panującą planetą jest jupiter.

Jupiter, piąty z rzędu starych znanych planet, jest zarazem najpotężniejszym trąbanem naszego słońca. Odróżnia się, z wyjątkiem Venusa, od wszystkich innych planetów przez swój polysk. Od słońca jest 778 milionów kilometrów oddalony, więc pięć razy dalej, niż nasza ziemia i kończy swój obrót na około centralnych planet w przeciągu lat 12. Pomimo znacznej objętości średnica jego wynosi 141.000 km., obraca się raz naokoło swojej osi w przeciągu 10 godzin i pokazuje bardzo mocne spłaszczenie biegunów polarnych, których średnica $\frac{1}{4}$ jego średnicy wynosi. Dotychczas znamy 8 księżyców tej planety. Cztery z nich odkryto dopiero w ostatnich 20 latach. Te pierwsze cztery znamy od czasu wynalazku lornet, które Olafowi Rómerowi sposobność dały poznać prędkość rozszerzania się światła. Mamy słuszne powody do przypuszczania, że Jupiter ma atmosferę, lecz z jego wyglądu można osądzić, że znajduje się jeszcze we wczesnym rozwoju i stanowi jeszcze luźną gąbkowatą masę.

Cztery pory roku astronomicznego. — Stan powietrza.

Wiosna zaczyna się 21. marca o godz. 1. min. 8 po południu. Jest aż do maja zimną i wilgotną, w połowie przez parę dni cieplejszą, poczem znów aż do końca wilgotną i zimną.

Lato zaczyna się 22. czerwca o godz. 8. min. 54 przed południem. Z początku zimno i wilgotno, w połowie ciepło, z częstymi burzami, pod koniec upały.

Jesień zaczyna się 23. września o godz. 11. min. 36 wieczór. Jest w większej części przepełniona deszczami.

Zima zaczyna się 22. grudnia o godz. 6. min. 17 wieczór. Z początku przez parę dni bardzo zimno i obfite śniegi, pod koniec jednak łagodnie, bez śniegu, natomiast silne wiatry.

Zaćmienia słońca i księżyca.

W roku 1910 przypadają dwa zaćmienia słońca i dwa zaćmienia księżyca, z których u nas tylko drugie zaćmienie księżyca widzialnym będzie.

I. Całkowite zaćmienie słońca dnia 9. maja. Początek zaćmienia wogóle o godz. 4. min. 44 rano, początek zaćmienia całkowitego o godz. 6. min. 10, koniec całkowitego zaćmienia o godz. 7. min. 25, koniec zaćmienia wogóle o godz. 8. min. 52 przed południem. Zaćmienie to widzialne będzie w Australii, Nowej Gwinei, na wschodnich wyspach Sundajskich i na południowej części oceanu Indyjskiego.

II. Całkowite zaćmienie księżyca dnia 24. maja. Początek zaćmienia wogóle o godz. 4. min. 52 rano, początek zaćmienia całkowitego o godz. 6. min. 15. rano, właściwe zaćmienie o godz. 6. min. 40 rano, koniec całkowitego zaćmienia o godz. 7. min. 5 rano, koniec zaćmienia wogóle o godz. 8. min. 28 przed południem. Zaćmienie to widzialne będzie w południowo-zachodniej Europie, w Afryce, z wyjątkiem północno-wschodnich okolic, na oceanie Atlantyckim, w Ameryce, z wyjątkiem Alaki i na wschodniej połowie oceanu Spokojnego.

III. Częściowe zaćmienie słońca dnia 2. listopada. Początek zaćmienia wogóle o godz. 0. min. 56 rano, koniec zaćmienia wogóle o godz. 5. min. 32 rano. Zaćmienie to widzialne będzie w północno-wschodniej Azji, w Japonii, na północno-zachodnim krańcu Ameryki i na środkowo-północnej połowie oceanu Spokojnego.

IV. Całkowite zaćmienie księżyca dnia 16 i 17. listopada. Początek zaćmienia wogóle o godz. 11. min. 50 wieczór, początek całkowitego zaćmienia o godz. 1. min. 0 rano, właściwe zaćmienie o godz. 1. min. 26 rano, koniec całkowitego zaćmienia o godz. 1. min. 52 rano, koniec zaćmienia wogóle o godz. 3. min. 3 rano. Zaćmienie to widzialne będzie w całej niemal Azji z wyjątkiem okolic wschodnich, na oceanie Indyjskim, w Europie, w Afryce, na oceanie Atlantyckim i w Ameryce.



2 —

CZ 2170

615/1910

D 1910
20/100

Dwanaście znaków niebieskich.

Znaki wiosenne.

1. Baran
2. Byk
3. Bliźnięta



Znaki jesienne.

7. Waga
8. Niedźwiadek
9. Strzelec



Znaki letowe.

4. Rak
5. Lew
6. Panna



Znaki zimowe.

10. Koziorożec
11. Wodnik
12. Ryby



Okresy roczne.

	Kalendarz	
	Gregoryański	Juliański
Liczba złota	11	11
Epakta	XIX	I
Okres słońca	15	15
Poczet rzymski	8	8
Litera niedzielna	B	C

Święta ruchome.

(Według kalendarza Gregoryańskiego.)

- Imię Jezusa — 16. stycznia.
 Niedziela Starozapust. (Septuagesima) — 23. stycznia.
 Popielec — 9. lutego.
 Siedmiu boleści N. M. P. — 18. marca.
 Niedziela Wielkanocna — 27. marca.
 Dni krzyżowe — 2., 3. i 4. maja.
 Wniebowstąpienie Pańskie — 5. maja.
 Zielone Świątki — 15. maja.
 Niedziela św. Trójcy — 22. maja.
 Boże Ciało — 26. maja.
 Serca Jezusowego — 3. czerwca.
 Aniołów Stróżów — 4. września.
 Imienia N. M. P. — 11. września.
 Różańca św. — 2. października.
 Poświęcenie kościoła — 16. października.
 Pierwsza niedziela adwentu — 27. listopada.

Święta ruchome.

(Według kalendarza Juliańskiego.)

- Nedila Triod. — 7. febrał.
 Nedila Sept. — 14. febrał.
 Woskresenije Chrysta — 18. aprill.
 Woznesenije Hospoda — 27. maja.
 Soszestwie sw. Ducha — 6. junij.

Suche dni.

(Według kalendarza Gregoryańskiego.)

16. lutego, 18. maja, 21. września, 14. grudnia.

(Według kalendarza Juliańskiego.)

10. mart., 9. junij, 15. septemrya, 15. dekembrya.

W roku 1910 liczymy:

Od ery żydowskiej	5670 lat
„ założenia Rzymu	2663 „
„ narodzenia Jezusa Chrystusa . .	1910 „
„ założenia Wiednia	1519 „
„ ucieczki Mahometa z Meki do Medyny	1328 „
„ wystawienia kościoła św. Szczepana we Wiedniu	753 „
„ wyboru Rudolfa z Habsburgu na cesarza	637 „
„ wynalezienia prochu	614 „
„ wynalazku druku	470 „
„ odkrycia Ameryki	418 „
„ czasu reformacyi	393 „
„ zaprowadzenia kalendarza Gregoryańskiego	328 „
„ wynalezienia dalekowidzów . .	301 „
„ odkrycia Australii	299 „
„ zaprowadzenia górnictwie rozsadzania skał za pomocą prochu	296 „
„ wyswobodzenia Wiednia przez Sobieskiego od Turków	227 „
„ wynalezienia parowej maszyny .	211 „
„ wynalazku kolei żelaznej przez Edgewortha	132 „
„ wynalazku oświetlenia gazem przez Lampadiusa w Fryburgu .	109 „
„ wynalazku parowca przez Fultona	103 „
„ wynalazku śruby okrętowej przez Resslera	84 „
„ wynalazku elektr. magn. telegrafu	73 „
„ wynalazku maszyny do szycia przez Amerykan. Eliasza Howe	65 „
„ wynalazku bawełny strzelnej przez Schönleina	64 „
„ wynalazku nitrogliceryny i dynamitu przez Nobla (Szwed) . . .	48 „

Święta dworskie.

Urodziny cesarza Franciszka Józefa I., cesarza austriackiego, króla węgierskiego i t. d., dnia 18. sierpnia. — Imieniny cesarza Franciszka Józefa I., dnia 4. października.

Styczeń

□ ma dni 31 □

*Pograniczem dwóch światów idzie życia ścieżka:
Człowiek nieba dziedzicem, choć na ziemi mieszka.*

Dnie tygodn.	Ś w i ę t a			Bieg	Słońca	
	rzymsko-katolickie	ewangelickie	grecko-katolickie		wsch.	zach.
1 S.	Nowy Rok	Nowy Rok	19 Wonyfatya		7:53	4:14
1.	Ew. św. Mat. 2, 19—23. Ew. św. Mat. 2, 19—23.		Mat. 1, 1—25.			
2 N.	B Makarego Op.	B Kaspra	20 D 4 Adw. Ihnat.		7:53	4:14
3 P.	Genowefy 	Grzegorza	21 Juiyanny M.		7:53	4:15
4 W.	Tytusa Bisk.	Baltazara	22 Anastazyi M.		7:53	4:16
5 Śr.	Telesfora	Szymona	23 10 Mucz.		7:53	4:17
6 C.	Trzech Króli	Epifanii	24 Jewhenyi +		7:53	4:18
7 P.	Walentego Bisk.	Juliana	25 Rozd. Chrys.		7:53	4:19
8 S.	Seweryna Op.	Erharda	26 Sobo P. Bohor.		7:53	4:20
2.	Ew. św. Łuk. 2, 42—52.		Mat. 2, 13—23.			
9 N.	B 1 po 3 Kr. Juliana	B 1 po Ep. Marc.	27 D Stefana Mucz.		7:52	4:21
10 P.	Pawła	Zacharyasza	28 2000 Mucz.		7:52	4:22
11 W.	Honoraty P. 	Alojzego	29 S. S. Mład.		7:51	4:24
12 Śr.	Ernesta	Reinholda	30 Anysia		7:50	4:25
13 C.	Hilarego Bisk.	Hilarego	31 Mełanyi		7:50	4:27
14 P.	Feliksa z Noli	Feliksa	1 Henwar 1910		7:49	4:28
15 S.	Maura Op.	Traugota	2 Sylwestra		7:48	4:30
3.	Ew. św. Jana 2, 1—11.		Marka 1, 1—8.			
16 N.	B 2 po 3 Kr. Im. Jez.	B 2 po Ep. Marcel.	3 C Małah. Pr.		7:47	4:31
17 P.	Antoniego Pust.	Antoniego	4 70 Apost.		7:47	4:32
18 W.	Pryski Panny 	Pryski	5 Wteopemta		7:46	4:33
19 Śr.	Kanuta	Ferdynanda	6 Bohojaw. Hosp.		7:45	4:35
20 C.	Fabiana i Seb.	Fabiana i Seb.	7 Sobor ś. Joana		7:44	4:37
21 P.	Agnieszki P.	Agnieszki	8 Heorhya		7:44	4:38
22 S.	Wincentego	Wincentego	9 Połyjewkta		7:43	4:39
4.	Ew. św. Mat. 20, 1—16.		Mat. 4, 12—17.			
23 N.	B Sept. Zaśl. N.M.P.	B Sept. Emerenc.	10 C po Boh. Hr.		7:42	4:41
24 P.	Tymoteusza	Tymoteusza	11 Fteodozya Pr.		7:41	4:42
25 W.	Nawr. św. Paw.	Nawr. Pawła	12 Tatyanny M.		7:40	4:44
26 Śr.	Polikarpa Bisk.	Polikarpa	13 Ermyła Mucz.		7:39	4:45
27 C.	Jana Chryzost.	Jana Złotoust.	14 S.S. Otectw. S.		7:37	4:47
28 P.	Karola Wielk.	Karola	15 Pawła Ftew.		7:36	4:48
29 S.	Franciszka Sal.	Teobalda	16 Petra Weryhy		7:35	4:50
5.	Ew. św. Łuk. 8, 4—15.		Łuk. 18, 18—27.			
30 N.	B Mięsop. Mart.	B Mięsop. Ludw.	17 C 2 po Boh. Ant.		7:34	4:52
31 P.	Piotra N.	Wirgiliusza	18 Aftanazyja Pr.		7:32	4:54

Odmiany księżycy.

Ostatnia kwadra 3. o godz. 2:32 po południu.
Nów 11. o godz. 12:57 w południe.
Pierwsza kwadra 18. o godz. 11:26 przed
południem
Pełnia 25. o godz. 12:56 w południe.

Przepowiednia pogody.

Z początku* miernie zimno, 6. śnieg z deszczem, 7. do 13. pochmurno i wiatry, 14. do 21. miernie zimno, 21. tęgi mróz, 22. i 23. wiatr i śnieg, 24. i 25. bardzo zimno, do końca śniegi.

Już się rozlega miły
 głos
 Dzwoneczka z na-
 szej wieży.
 Więc spieszmy wraz,
 jak każe los,
 Nad szyb niech
 każdy bieży.



Styczeń.

NOTATKI.

- | | |
|-----|-----|
| 1. | 17. |
| 2. | 18. |
| 3. | 19. |
| 4. | 20. |
| 5. | 21. |
| 6. | 22. |
| 7. | 23. |
| 8. | 24. |
| 9. | 25. |
| 10. | 26. |
| 11. | 27. |
| 12. | 28. |
| 13. | 29. |
| 14. | 30. |
| 15. | 31. |
| 16. | |

Dnie tygodn.	S w i ę t a			Bieg	Słońca	
	rzymsko-katolickie	ewangelickie	grecko-katolickie		wsch.	zach.
1 W.	Ignacego	Brygidy	19 Makarya P.		7:31	4:56
2 Sr.	N.M.P.Gromn. ☾	Oczyszc. M. P.	20 Ewfymija		7:30	4:58
3 C.	Błażeja	Błażeja	21 Maksyma		7:28	5:00
4 P.	Weroniki	Weroniki	22 Tymofteja		7:27	5:02
5 S.	Agaty	Agaty	23 Kłementa		7:26	5:03
6.	Ew. św. Łuk. 18, 31—42.		Łuk. 18, 35—43.			
6 N.	B Zapust. Doroty	B Zapust. Doroty	24 C 3 po Boh. Hen.		7:25	5:05
7 P.	Romualda	Ryszarda	25 Hryhorya A.		7:24	5:06
8 W.	Jana z M.	Honoraty	26 Ksenofonta		7:22	5:08
9 Śr.	Popielec. Apol. †	Apolonii	27 Joana Złat.		7:20	5:10
10 C.	Scholastyki ☾	Scholastyki	28 Jefraima		7:18	5:12
11 P.	Łucyusza B. †	Eufrazyna	29 Ihnatyja J.		7:17	5:13
12 S.	Eulalii P. †	Eulalii	30 Tr. Swiatyteli		7:15	5:14
7.	Ew. św. Mat. 4, 1—11.		Łuk. 19, 1—10.			
13 N.	1 Wstęp. Jul.i Kat.	B 1 Wstęp. Kastora	31 C 4 po Boh. K.i.J.		7:13	5:16
14 P.	Walentego	Walentego	1 Fewral. Tryfon		7:11	5:17
15 W.	Faustyna	Faustyna	2 Strytenje Hosp		7:09	5:19
16 Śr.	Such. Jul. P. ☾ †	Juliany	3 Sym. i Anny		7:07	5:21
17 C.	Konstancyi	Konstancyi	4 Izydora		7:06	5:22
18 P.	Flawiusza †	Zuzanny	5 Ahaftyi M.		7:05	5:24
19 S.	Konrada Pust. †	Ulryka	6 Wukoła P.		7:03	5:26
8.	Ew. św. Mat. 17, 1—9. Ew. św. Mat. 15, 21—28.		Łuk. 18, 10—14.			
20 N.	2 Sucha Nicefora	B 2 Sucha Gobina	7C 5 po Boh. Triod.		7:01	5:28
21 P.	Eleonory	Eleonory	8 Fteodora G.		7:00	5:29
22 W.	Katedry św. Piotra	Gawła	9 Nykyfora		6:58	5:30
23 Śr.	Romany P. †	Łazarza	10 Charlampia		7:56	5:32
24 C.	Macieja Ap. ☾	Macieja	11 Własva M.		6:55	5:33
25 P.	Anastazyi P. †	Wiktora	12 Małetya A.		6:53	5:35
26 S.	Wiktora z Ar. †	Gotharda	13 Martyniana		6:50	5:37
9.	Ew. św. Łuk. 11, 14—28.		Łuk. 15, 11—32.			
27 N.	B 3 Głucha Aleks.	B 3 Głucha Aleks.	14 C Sept. Kiryła		6:48	5:39
28 P.	Leandra	Leandra	15 Onysyma		6:47	5:40

Odmiany księżycy.

Ostatnia kwadra 2. o godz. 12:32 w południe.
Nów 10. o godz. 2:18 rano.
Pierwsza kwadra 16. o godz. 7:38 wieczór.
Pełnia 24. o godz. 4:41 rano.

Przepowiednia pogody.

Od 3. do 5. bardzo zimno, 6. śnieg, 7. do 10. zimno, 11. nieco łagodniej, 12. do 14. silne zawieruchy śnieżne, przeczem zimno, 15. posępnie, 20. ciepło i pogodn, 21. do 27 deszcze, 28. burze.



Luty.

NOTATKI.

- | | |
|-----|-----|
| 1. | 17. |
| 2. | 18. |
| 3. | 19. |
| 4. | 20. |
| 5. | 21. |
| 6. | 22. |
| 7. | 23. |
| 8. | 24. |
| 9. | 25. |
| 10. | 26. |
| 11. | 27. |
| 12. | 28. |
| 13. | |
| 14. | |
| 15. | |
| 16. | |

Dnie tygodn.	Ś w i ę t a			Bieg	Stońca	
	rzymsko-katolickie	ewangelickie	grecko-katolickie		wsch.	zach.
1 W.	Albina Biskupa	Albina	16 Pamfiła		6:45	5:41
2 Śr.	Symplicyusza †	Symplicyusza	17 Fteodora		6:43	5:43
3 C.	Kunegundy 	Kunegundy	18 Lwa pap. rym.		6:41	5:44
4 P.	Kazimierza Kr. †	Adryana	19 Archyppa		6:39	5:46
5 S.	Fryderyka Op. †	Fryderyka	20 Leona Jep.		6:37	5:48
10. Ew. św. Jana 6, 1—15.			Mat. 25, 31—46.			
6 N.	B 4 Środop. Kal.	B 4 Środop. Polik.	21 C Miasop. Tym.		6:35	5:49
7 P.	Tomasza z Akw.	Perpetui	22 SS. Mucz. w E.		6:33	5:51
8 W.	Jana Bożego	Beaty	23 Połykarpa		6:31	5:52
9 Śr.	Franciszki P. †	Cyryla i Metod.	24 Obr. hł s. Joan.		6:29	5:54
10 C.	40 Męczenników	Aleksandra	25 Tarasia		6:27	5:55
11 P.	Anieli F.  †	Rozyny	26 Porfyrya		6:25	5:57
12 S.	Grzegorza Wielk. †	Grzegorza	27 Prokopia		6:23	5:59
11. Ew. św. Jana 8, 46—59.			Mat. 6, 14—21.			
13 N.	B 5 Czarna Rozyny	B 5 Czarna Ernesta	28 C Syrop. Was.		6:21	6:00
14 P.	Matyldy	Zacharyasza	1 Mart. Ewdokii		6:19	6:01
15 W.	Longina M.	Krzysztofa	2 Fteodota		6:17	6:03
16 Śr.	Lubina M. †	Henryka	3 Pop. Jewtropia		6:15	6:05
17 C.	Gertrudy	Gertrudy	4 Harasyma		6:13	6:06
18 P.	7 bol. N.M.P.  †	Anzelma	5 Konona M.		6:11	6:07
19 S.	Józefa Oblub. †	Józefa	6 42 Mucz. S.		6:09	6:09
12. Ew. św. Mat. 21, 1—9.			Joana 1, 43—51.			
20 N.	B 6 Kwietnia Euf.	B 6 Kwietnia Joach.	7 C 1 Wasyl. M.		6:07	6:10
21 P.	Benedykta Op	Benedykta	8 Fteofylakta		6:05	6:12
22 W.	Oktawiana	Kazimierza	9 40 Mucz.		6:02	6:13
23 Śr.	Wiktora M. †	Eberharda	10 Kondrata M.		6:00	6:15
24 C.	Wieczera P. †	Wielki Czwartek	11 Sofronyja		5:58	6:16
25 P.	Wielki Piątek  †	Wielki Piątek	12 Fteofana		5:56	6:17
26 S.	W. Sobota E. †	Wielka Sob. Eman.	13 Nykyfora		5:54	6:19
13. Ew. św. Marka 16, 1—7.			Marka 2, 1—12.			
27 N.	B Wielkanoc Rup.	B Wielkanoc Hub.	14 C 2 Wenedykta		5:52	6:20
28 P.	Pon. Wielk. Syk.	Pon. Wielk. Malch.	15 Ahapia		5:50	6:22
29 W.	Eustachego	Eustachego	16 Sawyna		5:48	6:23
30 Śr.	Kwiryna M.	Gwidona	17 Aleksija		5:45	6:25
31 C.	Balbiny P.	Amosa Pr.	18 Kiriła.		5:43	6:26

Odmiany księżycy.

Ostatnia kwadra 4. o godz. 8:58 przed połudn.
 Now 11. o godz. 1:18 po południu.
 Pierwsza kwadra 18. o godz. 4:43 rano.
 Pełnia 25. o godz. 9:26 wieczór.

Przepowiednia pogody.

Z początku wietrzno, rano i wieczorem dżdży-
 sto, śnieżno, 5. i 6. pogoda, 7. do 11. śnieg,
 12. ponuro, 13. i 14. pogoda, 15. do 21. zimno,
 często śnieg, 22. deszcz i śnieg aż do 24. do
 27. pogoda, poczem posępnie i deszcz.



Marzec.

NOTATKI.

1.

17

2.

18.

3.

19.

4.

20.

5.

21.

6.

22.

7.

23.

8.

24.

9.

25

10.

26.

11.

27.

12.

28.

13.

29.

14.

30.

15.

31.

16.

Kwiecień

Chociaż w grzechu upadasz, dźwigaj się z upadku,
A grzech, jak zimę wiosną, zwyciężysz w ostatku.

□ ma dni 30 □

Dnie tygodn.	Ś w i ę t a			Bieg	Słońca	
	rzymsko-katolickie	ewangelickie	grecko-katolickie		wsch.	zach.
1 P.	Hugona	Teodora	19 Chryzantfa		5:41	6:28
2 S.	Franciszka z P.	Amalii	20 Prep. Otec.		5:39	6:29
14.	Ew. św. Jana 20, 19—31.		Marka 8, 34—39			
3 N.	B 1 Biała Rysz. 	B 1 po Wielk. Tug.	21 C 3 Jakowa		5:37	6:30
4 P.	Zwiast. N. M. P.	Zwiast. P. M.	22 Wasyłyja		5:35	6:32
5 W.	Wincentego Fer.	Maksyma	23 Nykona		5:33	6:34
6 Śr.	Celestyna Pap.	Ireneusza	24 Zacharya		5:31	6:35
7 C.	Hermana	Lujzy	25 Bł. P. Bohor.		5:29	6:36
8 P.	Dyonizego	Dyonizego	26 Sobor. Hawr.		5:27	6:38
9 S.	Maryi Eg. 	Leona	27 Matron. Set.		5:25	6:39
15.	Ew. św. Jana 10, 12—16.		Marka 9, 17—31.			
10 N.	B 2 po Wielk. Ez.	B 2 po Wielk. Dan.	28 C 4 Ikar. Pr.		5:23	6:40
11 P.	Leona W.	Juliusza	29 Marka		5:21	6:42
12 W.	Juliusza	Eustragiusza	30 Joana Łyst.		5:19	6:43
13 Śr.	Justyna	Idy	31 Ipatya Jep.		5:17	6:44
14 C.	Waleryana	Tyburcyusza	1 Aprily. Maryi		5:15	6:46
15 P.	Anastazyi M.	Anastazyi	2 Tyta Prep.		5:13	6:48
16 S.	Lamberta Bisk. 	Ireny	3 Nykyty Prep.		5:11	6:50
16.	Ew. św. Jana 16, 16—22.		Marka 10, 32—45.			
17 N.	B 3 po Wielk. Rud.	B 3 po Wielk. Rud.	4 C 5 Jos. Prep.		5:09	6:51
18 P.	Apoloniusza	Chryzostoma	5 Fteodyta M.		5:07	6:52
19 W.	Emy Wdowy	Hermogenesa	6 Jewtychia		5:05	6:54
20 Śr.	Agnieszki	Sulpicyusza	7 Heorhya Meł.		5:03	6:56
21 C.	Anzelma	Adolara	8 Irydyona Ap.		5:01	6:57
22 P.	Sotera i Kaja	Sotera i Kaja	9 Jewpsychia J.		5:00	6:58
23 S.	Wojciecha Bisk.	Grzegorza	10 Terentya		4:58	7:00
17.	Ew. św. Jana 16, 5—15.		Joana 12, 1—18			
24 N.	B 4 po Wielk. Jerz. 	B 4 po Wielk. Alb.	11 C 6 Palm. Ant.		4:56	7:01
25 P.	Marka Ew.	Marka	12 Wasyłyja Prep.		4:55	7:02
26 W.	Kleta	Kleta	13 Artmona W.		4:53	7:04
27 Śr.	Peregryna W.	Anastazego	14 Martyna P.		4:51	7:05
28 C.	Witalisa Męcz.	Witalisa	15 Arystarcha		4:50	7:07
29 P.	Piotra M.	Sybili	16 Piatok weł.		4:48	7:08
30 S.	Katarzyny Sen.	Eutropiusza	17 Subota wełyka		4:46	7:10

Odmiany księżyca.

Ostatnia kwadra 3. o godz. 1:53 rano.
Nów 9. o godz. 10:30 wieczór.
Pierwsza kwadra 16. o godz. 3:9 po południu.
Pełnia 24. o godz. 2:28 po południu.

Przepowiednia pogody.

Do 9. pięknie, gdyż opady deszczowe przy-
marzają, od 9. do 12. zmiennie, 13. do 20.
częsty deszcz, 21. do 25. wietrzno i zimno,
ku końcu zmiennie.

Gdzie widać pył
Tam kuje drub
Wśród rudy brył
Pracuje zuch.



Kwiecień.

NOTATKI.

1.

2.

3.

4.

5.

6.

7.

8.

9.

10.

11.

12.

13.

14.

15.

16.

17.

18.

19.

20.

21.

22.

23.

24.

25.

26.

27.

28.

29.

30.

Dnie tygodn.	Ś w i ę t a			Bieg	Słońca	
	rzymsko-katolickie	ewangelickie	grecko-katolickie		wsch.	zach.
18.	Ew. św. Jana 16. 23—30.		Joana 1, 1—17.			
1 N.	5 po Wielk. Fil i Jak.	B 5 po Wielk. Filipa	18 C Woskr. Hosp.		4:44	7:11
2 P.	Zygmunta	Zygmunta	19 Poned. Woskr.		4:43	7:11
3 W.	Zn. św. Krz. } Dni. krzyż	Znal. św. Krzyża	20 Wtor. Woskr.		4:41	7:11
4 Śr.	Floryana M. }	Floryana	21 Januaria		4:39	7:11
5 C.	Wnieb. Pańskie P.	Wnieb. Pańskie	22 Fteodora Syk.		4:38	7:11
6 P.	Jana w Oleju	Dytrycha	23 Heorhija		4:36	7:11
7 S.	Domiceli P.	Bogumiła	24 Sawwy M.		4:34	7:22
19.	Ew. św. Jana 15, 26—27; 16, 1—4.		Joana 20, 19—31.			
8 N.	B 6 po Wielk. Stan.	B 6 po Wielk. Stan.	25 C 1 Marka J.		4:32	7:22
9 P.	Grzegorza N. ☉	Joba	26 Wasyłya Jep.		4:31	7:22
10 W.	Izydora Oracza	Wiktoryi	27 Symeona Jep.		4:30	7:22
11 Śr.	Beatryksy P.	Adolfa	28 Jazona		4:28	7:22
12 C.	Pankracego	Pankracego	29 Dewiat Mucz.		4:27	7:22
13 P.	Serwacego	Serwacego	30 Jakowa Ap.		4:26	7:22
14 S.	Bonifacego †	Bonifacego	1 Mai. Jeremiyi		4:24	7:22
20.	Ew. św. Jana 14, 23—31.		Marka 15, 42—47.			
15 N.	B Zielone Św. Zofii	B Zielone Św. Zofii	2 C 2 Aftanazyja		4:23	7:33
16 P.	Pon. Ziel. Św. Jana ☾	Pon. Ziel. Św. Peregr.	3 Tymofteja		4:22	7:33
17 W.	Paschalisa W.	Jodoka	4 Pelachyi		4:21	7:33
18 Śr.	Such. Feliksa Sp. †	Wenancyusza	5 Iryny		4:19	7:33
19 C.	Piotra Cel.	Potencyusza	6 Jowa Mnoch.		4:18	7:33
20 P.	Bernarda Sen. †	Anastazego	7 Zn. cz. Kresta		4:17	7:33
21 S.	Heleny Kr. †	Heleny	8 Joana Bohoś.		4:16	7:33
21.	Ew. św. Mat. 28, 18—20.	Ew. św. Jana 3, 1—15.	Joana, 5, 2—15.			
22 N.	B 1 Św. Trójcy. Julii	B Św. Trójcy Julii	9 C 3 Isaji Pr.		4:14	7:33
23 P.	Dezyderyusza	Dezyderyusza	10 Symeona Ap.		4:13	7:44
24 W.	Joanny Wd. ☉	Joanny	11 Mokija		4:12	7:44
25 Śr.	Urbana	Urbana	12 Jepyfanyja Jep.		4:11	7:44
26 C.	Boże Ciało Filipa	Bedy	13 Hłyheryi M.		4:10	7:44
27 P.	Jana Papieża	Florencyusza	14 Izydora M.		4:09	7:44
28 S.	Wilhelma	Wilhelma	15 Pachomyja W.		4:09	7:44
22.	Ew. św. Łuk. 14, 16—24.	Ew. św. Łuk. 16, 19—31.	Joana 4, 5—42.			
29 N.	B 2 Maksyma	B 1 po św. Tr. Maks.	16 C 4 Fteod. Oś.		4:08	7:44
30 P.	Ferdynanda	Wiganda	17 Andronyka		4:07	7:44
31 W.	Petroneli P. ☾	Petroneli	18 Fteodota		4:06	7:44

Odmiany księżycy.

Ostatnia kwadra 2. o godz. 2:35 popołudniu.
Nów 9. o godz. 6:38 rano.
Pierwsza kwadra 16. o godz. 3:18 rano.
Pełnia 24. o godz. 6:44 rano.
Ostatnia kwadra 31. o godz. 11:30 wieczór.

Przepowiednia pogody.

2. pięknie i ciepło aż do 22., czasem burze,
23. do 29. ponuro i mroźno, do końca
złmno.



Maj.

NOTATKI.

1.

17.

2.

18.

3.

19.

4.

20.

5.

21.

6.

22.

7.

23.

8.

24.

9.

25.

10.

26.

11.

27.

12.

28.

13.

29.

14.

30.

15.

31.

16.

Dnie tygodn.	Ś w i ę t a			Bieg	Słońca	
	rzymsko-katolickie	ewangelickie	grecko-katolickie		wsch.	zach.
1 Śr.	Nikodema	Nikodema	19 Patrykia		4:05	7:50
2 C.	Erazma	Marcelina	20 Ftataleja		4:05	7:51
3 P.	Serca Jezus. Klot.	Erazma	21 Konstantyna		4:04	7:52
4 S.	Flawiana Bisk.	Karpa	22 Wasylija		4:04	7:53
23.	Ew. św. Łuk. 15, 1—10. Ew. św. Łuk. 14, 16—24.		Joana 9, 1—38.			
5 N.	B 3 Bonifacego	B 2 po św. Tr. Bon.	23 C 5 Mychaila		4:03	7:54
6 P.	Norberta Bisk.	Benigny	24 Symeona		4:02	7:55
7 W.	Roberta Bisk.	Roberta	25 Obr. hł. ś. Joana		4:02	7:55
8 Śr.	Medarda Bisk.	Medarda	26 Karpa A.		4:02	7:56
9 C.	Felicyana i Prym.	Pryma	27 Wozn. Hosp.		4:01	7:57
10 P.	Małgorzaty	Onufrego	28 Nykity P.		4:01	7:57
11 S.	Barnaby Ap.	Barnaby	29 Fteodozyi M.		4:01	7:58
24.	Ew. św. Łuk. 5, 1—11. Ew. św. Łuk. 15, 1—10.		Joana 17, 1—13.			
12 N.	B 4 Onufrego W.	B 3 po św. Tr. Baz.	30 C 6 Isaakija		4:00	7:59
13 P.	Antoniego z P.	Tobiasza	31 Jermya Ap.		4:00	7:59
14 W.	Bazylego B.	Elizabeusza	1 Junyi. Justina		4:00	8:00
15 Śr.	Wita i Modesta	Wita	2 Nykyfora		4:00	8:00
16 C.	Franciszki i Reg.	Engelberta	3 Łukyljana		4:00	8:01
17 P.	Adolfa B.	Laury	4 Nytrofana		4:00	8:01
18 S.	Marka i Marcel.	Marka	5 Sub. zad. Dor.		4:00	8:02
25.	Ew. św. Mat. 5, 20—26. Ew. św. Łuk. 6, 36—42.		Joana 7, 37—52; 8, 12.			
19 N.	B 5 Gerwazego	B 4 p. św. Tr. Gerw.	6 C Sosz. ś. Ducha		4:00	8:02
20 P.	Sylweryusza	Sylweryusza	7 Pon. S. ś. Ducha		4:00	8:03
21 W.	Alojzego Gonz.	Sylasa	8 Fteodora Str.		4:00	8:03
22 Śr.	Paulina Bisk.	Gothilfa	9 Kyryła Arch.		4:00	8:03
23 C.	Zenona Bisk.	Bazylego	10 Tymofteja Jep.		4:00	8:03
24 P.	Jana Chrzciela	Jana Chrzciela	11 Warfiołomeja		4:00	8:03
25 S.	Prospera	Prospera	12 Onufrya Prep.		4:01	8:03
26.	Ew. św. Marka 8, 1—9. Ew. św. Łuk. 5, 1—11.		Mat. 10, 32—38; 19, 27—30.			
26 N.	B 6 Jana i Pawła	B 5 po św. Tr. Jer.	13 C 1 Akiłyny M.		4:01	8:03
27 P.	Władysława K.	Władysława	14 Etyseja Pr.		4:01	8:03
28 W.	Leona II. Pap. †	Leona	15 Amosa Pr.		4:02	8:03
29 Śr.	Piotra i Pawła	Piotra i Pawła	16 Tychona		4:02	8:03
30 C.	Wsp. św. Pawła	Wspom. św. Pawła	17 Manuiła		4:03	8:03

Odmiany księżyca.

Nów 7. o godz. 2:22 po południu.
Pierwsza kwadra 14. o godz. 5:25 po południu.
Pełnia 22. o godz. 9:17 wieczór.
Ostatnia kwadra 30. o godz. 5:44 rano.

Przepowiednia pogody.

Z początku szron i nieprzyjemnie aż do 8.,
poczem pięknie i ciepło aż do 21., następnie
wiatr i deszcz, 24. szron, poczem ciepło, ku
końcu zmiennie.



Kujmy żelazo, póki
gorące
Kujmy żelazo, póki
się lśni.

Czerwiec.

NOTATKI.

- | | |
|-----|-----|
| 1. | 17. |
| 2. | 18. |
| 3. | 19. |
| 4. | 20. |
| 5. | 21. |
| 6. | 22. |
| 7. | 23. |
| 8. | 24. |
| 9. | 25. |
| 10. | 26. |
| 11. | 27. |
| 12. | 28. |
| 13. | 29. |
| 14. | 30. |
| 15. | |
| 16. | |

Dnie tygodn.	Ś w i ę t a			Bieg	Słońca	
	rzymsko-katolickie	ewangelickie	grecko-katolickie		wsch.	zach.
1 P.	Teobalda Op.	Teobalda	18 Łeontyja		4 04	8 03
2 Ś.	Nawiedz N. M. P.	Nawiedz. M. P.	19 Judy Ap.		4 04	8 02
27.	Ew. św. Mat 7, 15—23. Ew. św. Mat. 5, 20—26.		Mat. 4, 18—23.			
3 N.	B 7 Heliodora	B 6 p. św. Tr. Korn.	20 C 2 Meftodija		4 05	8 02
4 P.	Prokopa	Ulryka	21 Jułyana M.		4 06	8 02
5 W.	Filomeny P.	Szarloty	22 Jewsewya		4 07	8 01
6 Śr.	Izajasza Pr.	Izajasza	23 Ahrypiny		4 07	8 01
7 C.	Pulcheryi P.	Wilibalda	24 Rozd. św. Joana		4 08	8 00
8 P.	Elżbiety Kr.	Kiliana	25 Fewronyi		4 09	8 00
9 S.	Lukrecyi i Cyr.	Alojzyi	26 Dawyda Ftes.		4 09	8 00
28.	Ew. św. Łuk. 16, 1—9. Ew. św. Marka 8, 1—9		Mat. 6, 22—33.			
10 N.	B 8 Jana z Dukli	B 7 po św. Tr. Bog.	27 C 3 Samsona		4 10	7 59
11 P.	Pelagii M.	Piusa	28 Kyra i Joana		4 11	7 58
12 W.	Henryka	Henryka	29 Petra i Pawła		4 12	7 57
13 Śr.	Małgorzaty	Małgorzaty	30 Sob. SS. 12 Ap.		4 13	7 57
14 C.	Bonawentury	Bonawentury	1 Jułyi. Kos. i D.		4 14	7 56
15 P.	Rozesłanie Ap.	Rozesłanie Ap.	2 Położ. Ryz. B.		4 15	7 56
16 S.	N. M. P. Szkapl.	Ruty	3 Jakynfta M.		4 16	7 55
29.	Ew. św. Łuk. 19, 41—48. Ew. św. Mat. 7, 15—23.		Mat. 8, 5—13.			
17 N.	B 9 Aleks. Wyz.	B 8 po św. Tr. Al.	4 C 4 Andreja		4 17	7 54
18 P.	Szym. z Lipnicy	Eugeniusza	5 Aftanazyja		4 18	7 53
19 W.	Wincentego z P.	Rufina	6 Syzona Wet.		4 19	7 52
20 Śr.	Czesława i Kaz.	Eliasz	7 Ftomy Prep.		4 20	7 51
21 C.	Praksedy P.	Pauliny	8 Prokopija M.		4 22	7 50
22 P.	Maryi Magd.	Maryi Magd.	9 Pankatija Jep.		4 23	7 48
23 S.	Apolinarego	Apolinarego	10 SS. 45 Mucz.		4 24	7 47
30.	Ew. św. Łuk. 18, 9—14. Ew. św. Łuk. 16, 1—9		Mat. 8, 28; 9, 1.			
24 N.	B 10 Krystyny P.	B 9 po św. Tr. Kr.	11 C 5 Jewfymyi		4 25	7 46
25 P.	Jakóba Apost.	Jakóba	12 Prokla Mucz.		4 26	7 45
26 W.	Anny Matki Mar.	Anny	13 Sobor S. Hawr.		4 28	7 44
27 Śr.	Natalii P.	Marty	14 Akyla Ap.		4 29	7 42
28 C.	Inocentego P.	Pantaleona	15 Kyryka		4 30	7 41
29 P.	Marty P.	Beatryksy	16 Aftynohena		4 31	7 40
30 S.	Abdona i Senny	Borzywoja	17 Maryny W. M		4 33	7 39
31.	Ew. św. Mar. 7, 31—37. Ew. św. Łuk. 19, 41—48.		Mat. 9, 1—8.			
31 N.	B 11 Ignac. Loj.	B 10 po św. Tr. Fl.	18 C 6 Jemyłyana		4 34	7 37

Odmiłany księżycy.

Nów 6. o godz. 10 25 wieczór.
Pierwsza kwadra 14. o godz. 9 30 przed połud.
Pełnia 22. o godz. 9 42 przed połud.
Ostatnia kwadra 29. o godz 10 40 przed
południem.

Przepowiednia pogody.

Z początku zimno, 9. i 12. gorąco, noce
chłodne, poczem aż do końca susza.

A choć najmniejsza z
wszystkich chat
Górnicza chata tam,
Gdzie z lubą mieszka sam
Nie odda jej za cały świat.



Lipiec

NOTATKI.

1.
2.
3.
4.
5.
6.
7.
8.
9.
10.
11.
12.
13.
14.
15.
16.

17.
18.
19.
20.
21.
22.
23.
24.
25.
26.
27.
28.
29.
30.
31.

Sierpień

By człowiek tylko szukał królestwa Bożego,
Natenczas by od Boga miał dosyć wszystkiego

□ ma dni 31 □

Dnie tygodn.	Ś w i ę t a			Bieg	Słońca	
	rzymsko-katolickie	ewangelickie	grecko-katolickie		wsch.	zach.
1 P.	Pawła w okowach	Piotra	19 Makryny		4:35	7:30
2 W.	N. M. P. Anielskiej	Gustawa	20 Ilyi Pr.		4:36	7:30
3 Śr.	Zn. św. Szczepana	Augusta	21 Symeona		4:38	7:30
4 C.	Dominika Wyz.	Dominika	22 Maryi Mah.		4:39	7:30
5 P.	N. M. P. Śnież. ☉	Oswalda	23 Trofyma		4:40	7:30
6 S.	Przemien. Pańskie	Przemien. Pańskie	24 Chrystyny		4:42	7:20
32.	Ew. św. Łuk. 10, 23—37. Ew. św. Łuk. 18, 9—14.		Mat. 9, 27—33.			
7 N.	B 12 Kajetana W.	B 11 po św. Tr. Don.	25 C 7 Usp. s. An.		4:43	7:20
8 P.	Cyryaka Męcz.	Cyryaka	26 Jeremotaja		4:45	7:20
9 W.	Romana i Sek.	Jarosława	27 Pantalejmona		4:46	7:20
10 Śr.	Wawrzyńca M.	Wawrzyńca	28 Prohora		4:47	7:20
11 C.	Zuzanny P. M.	Hermana	29 Kałynyka		4:49	7:20
12 P.	Klary P.	Klary	30 Syły Ap.		4:50	7:10
13 S.	Hipolita M. ☾	Świętopełki	31 Ewdokima		4:51	7:10
33.	Ew. św. Łuk. 17, 11—19. Ew. św. Mar. 7, 31—37.		Mat. 14, 14—22.			
14 N.	B 13 Euzebiusza	B 12 po św. Tr. Euz.	1 Awhust. 68 P.s.K.		4:53	7:10
15 P.	Wniebows. N.M.P.	Wniebows. M. P.	2 Stefana		4:54	7:10
16 W.	Rocha Wyzn.	Rocha	3 Izaakija		4:55	7:10
17 Śr.	Anastazego	Bertrama	4 Sedmy Otrok.		4:57	7:10
18 C.	Heleny	Augustyna	5 Jewsychnia		4:58	7:00
19 P.	Ludwika B.	Sebalda	6 Preobr. Hospod.		5:00	7:00
20 S.	Szczepana Kr. ●	Bernarda	7 Dometya Pr.		5:01	7:00
34.	Ew. św. Mat. 6, 24—34. Ew. św. Łuk. 10, 23—37.		Mat. 14, 22—34.			
21 N.	B 14 Joanny Fr.	B 13 po św. Tr. Ad.	8 C 9 Jemyłyana		5:02	7:00
22 P.	Filiberta Op.	Tymoteusza	9 Małteja Ap.		5:04	7:00
23 W.	Filipa Bisk.	Zacheusza	10 Ławrentya		5:05	7:00
24 Śr.	Bartłomieja Op.	Bartłomieja	11 Jewpła		5:06	6:50
25 C.	Ludwika Kr.	Ludwika Kr.	12 Fotya M.		5:08	6:50
26 P.	Zefiryny	Samuela	13 Maksyma		5:09	6:50
27 S.	Przenies. św. K. ☾	Gebharda	14 Mycheja Pr.		5:10	6:50
35.	Ew. św. Łuk. 7, 11—17. Ew. św. Łuk. 17, 11—29.		Mat. 17, 14—23.			
28 N.	B 15 Augustyna B.	B 14 po św. Tr. Aug.	15 C 10 Usp. Boh.		5:12	6:50
29 P.	Ścięcie św. Jana	Ścięcie św. Jana	16 Nerukoł. Obr.		5:13	6:40
30 W.	Róży z Limy	Benjamina	17 Myrona Pr.		5:14	6:40
31 Śr.	Rajmunda Wyzn.	Pauliny	18 Flora i Ławra		5:16	6:40

Odmiany księżyca.

Nów 5. o godz. 7:42 rano.

Pierwsza kwadra 13. o godz. 3:06 rano.

Pełnia 20. o godz. 8:19 wiecz.

Ostatnia kwadra 27. o godz. 3:39 po połud.

Przepowiednia pogody.

Z początku ciepło, poczem nieprzyjemnie aż do 11., przyczem chłodno i dżdżysto, od 17. pogodnie, upały, pod koniec burze i nieco chłodniej.



Sierpień

NOTATKI.

- | | |
|-----|-----|
| 1. | 17. |
| 2. | 18. |
| 3. | 19. |
| 4. | 20. |
| 5. | 21. |
| 6. | 22. |
| 7. | 23. |
| 8. | 24. |
| 9. | 25. |
| 10. | 26. |
| 11. | 27. |
| 12. | 28. |
| 13. | 29. |
| 14. | 30. |
| 15. | 31. |
| 16. | |

Wrzesień

□ ma dni 30 □

*Dobre drzewo dobrym się owocem okrywa,
A człowiek znów z swych czynów poznawany bywa.*

Dnie tygodn.	Ś w i ę t a			Bieg	Słońca	
	rzymsko-katolickie	ewangelickie	grecko-katolickie		wsch.	zach.
1 C.	Idziego	Idziego	19 Andreja		5:18	6:42
2 P.	Justa B.	Absolona	20 Samuila Pr.		5:19	6:41
3 S.	Broniśł. i Izab. 	Miłostawa	21 Ftadeja Ap.		5:20	6:38
36.	Ew. ś. Łuk. 14, 1—11. Ew. ś. Mat. 6, 24—34		Mat. 18, 25—35.			
4 N.	B 16 Anioł. Stróż.	B. 15 po św. Tr. Roz.	22 C. 1 Ahaftonika		5:22	6:36
5 P.	Wawrzyńca	Herkulana	23 Luppia Mucz.		5:23	6:34
6 W.	Zacharyasza Pr.	Magnusa	24 Ewtychia		5:24	6:32
7 Śr.	Reginy P.	Reginy	25 Warfołomeja		5:26	6:30
8 C.	Nar. N. M. P.	Nar. M. P.	26 Adryana M.		5:27	6:28
9 P.	Gorgoniusza M.	Gorgoniusza	27 Pymena Pr.		5:29	6:26
10 S.	Mikołaja z Tol.	Sotera	28 Mojseja		5:30	6:24
37.	Ew. ś. Mat. 22, 34—46. Ew. ś. Łuk. 7, 11—17.		Mat. 19, 16—26.			
11 N.	B 17 Im. N. M. P.	B. 16 po św. Tr. Prota	29 C. 12 Usiek. ht. J.		5:31	6:22
12 P.	Gwidona Wyzn.	Syrusa	30 Aleksandra		5:33	6:20
13 W.	Tobiasza Wyzn.	Amata	31 Poł. Poj. P. Boh.		5:34	6:18
14 Śr.	Podwyższ. św. Krz.	Podwyższ. Krz. K.	1 Septemwryi. S.		5:35	6:15
15 C.	Nikodema	Nikodema	2 Mamanta M.		5:37	6:13
16 P.	Ludmili M.	Eufemii	3 Anfityma		5:39	6:11
17 S.	Lamberta B.	Lamberta	4 Wawyły		5:40	6:09
38.	Ew. ś. Mat. 9, 1—8. Ew. ś. Łuk. 14, 1—11.		Mat. 21, 33—42.			
18 N.	B 18 Tomasza	B. 17 po św. Tr. Tytusa	5 C. 13 Zacharya		5:41	6:07
19 P.	Januariusza 	Renaty	6 Cz. Mychaila		5:42	6:05
20 W.	Eustachiusza	Faustyna	7 Sozonta		5:43	6:03
21 Śr.	Such. Mat. E. †	Mateusza	8 Rozd. Bohor.		5:45	6:01
22 C.	Maurycego	Maurycego	9 Joakima		5:46	5:59
23 P.	Tekli P. M. †	Tekli	10 Mynodory		5:47	5:57
24 S.	Gerarda Bisk. †	Gerarda	11 Feodory Prep.		5:49	5:55
39.	Ew. ś. Mat. 22, 1—14. Ew. ś. Mat. 22, 34—46.		Mat. 22, 2—14.			
25 N.	B 19 Kleofasa 	B. 18 po św. Tr. Kleof.	12 C. 14 Awtem.		5:51	5:54
26 P.	Cypryana	Cypryana	13 Kornyliya Sot.		5:52	5:51
27 W.	Kosmy i Damiana	Kosmy	14 Wozn. s. Kr.		5:53	5:48
28 Śr.	Wacława Kr.	Wacława	15 Nykyty M.		5:55	5:46
29 C.	Michała Arch.	Michała	16 Jewymii		5:56	5:45
30 P.	Hieronima W.	Hieronima	17 Sofyi M.		5:57	5:42

Odmiany księżycy.

Nów. 3. o godz. 7:11 po południu.
Pierwsza kwadra 11 o godz. 9:16 wieczór.
Pełnia 19. o godz. 5:58 rano.
Ostatnia kwadra 25. o godz. 9:59 wieczór.

Przepowiednia pogody.

Nieprzyjemnie aż do 10., do 14. pięknie,
poczem przez 3 dni pogoda, 21. do 25. deszcz,
poczem pogoda aż do końca.



Szukajcie a znajdziecie
Pukajcie a będzie wam
otworzono.



Wrzesień

NOTATKI.

1.

2.

3.

4.

5.

6.

7.

8.

9.

10.

11.

12.

13.

14.

15.

16.

17.

18.

19.

20.

21.

22.

23.

24.

25.

26.

27.

28.

29.

30.

Październik

Nasiej lnu, a pod strzechę twej ojczyznej chatki.
Powróć zapomniane piosenki i gadki.

□ ma dni 31 □

Dnie tygodn.	Ś w i ę t a			Bieg	Słońca	
	rzymsko-katolickie	ewangelickie	grecko-katolickie		wsch.	zach.
1 S.	Remigiusza	Remigiusza	18 Ewmenyja		5:59	5:4
40.	Ew. św. Jana 4, 47—54.	Ew. św. Mat. 9, 1—8.	Mat. 22, 35—46.			
2 N.	B 20 Róż. ś. Leod.	B 19 po św. Tr. Leod.	19 C 15 Trofyma		6:01	5:3
3 P.	Kandyda M. 	Lubomira	20 Eustafia		6:02	5:3
4 W.	Franciszka Seraf.	Franciszka	21 Kodrata		6:03	5:3
5 Śr.	Placyda Mecz.	Fidesa	22 Foky		6:05	5:3
6 C.	Brunona Wyzn.	Estery	23 Zacz. św. Joana		6:06	5:3
7 P.	Justyny O. M.	Fryderyki	24 Ftekły		6:07	5:2
8 S.	Brygidy Wdowy	Pelagii	25 Ewifrosyny		6:09	5:2
41.	Ew. św. Mat. 18, 23—35.	Ew. św. Mat. 22, 1—14.	Mat. 25, 14—23.			
9 N.	B 21 Wincentego K.	B 20 po św. Tr. Dyon.	26 C 16 Joa. Boh.		6:11	5:2
10 P.	Franciszka Borg.	Gersona	27 Kałystrata		6:12	5:2
11 W.	Filomeli i Plac. 	Burkharda	28 Charytona		6:13	5:2
12 Śr.	Maksymiliana B.	Maksymiliana	29 Kyryaka		6:15	5:1
13 C.	Edwarda Kr.	Edwarda	30 Hryhoria		6:17	5:1
14 P.	Kaliksta Pap.	Kaliksta	1 Oktowrij. Pokr.		6:18	5:1
15 S.	Jadwigi i Teresy	Jadwigi	2 Kypriana Jep.		6:19	5:1
42.	Ew. św. Mat. 22, 15—22.	Ew. św. Jana 4, 47—54.	Mat. 15, 21—28.			
16 N.	B 22 Pośw. Kośc.	B 21 po św. Tr. Gal.	3 C 17 Dyonysia		6:21	5:1
17 P.	Florentego	Florentego	4 Jerefteja		6:23	5:0
18 W.	Łukasza Ew. 	Łukasza	5 Charytyny		6:24	5:0
19 Śr.	Piotra z Al.	Ferdynanda	6 Ftomy		6:26	5:0
20 C.	Felicyana B.	Wendelina	7 Serhya		6:27	5:0
21 P.	Urszuli P. M.	Urszuli	8 Pełahyi		6:29	5:0
22 S.	Korduli P. M.	Korduli	9 Jakowa Ap.		6:31	4:5
43.	Ew. św. Mat. 9, 18—26.	Ew. św. Mat. 18, 23—35.	Łuk. 5, 1—11.			
23 N.	B 23 Jana Kapr.	B 22 po św. Tr. Sew.	10 C 18 Jewlamp.		6:32	4:5
24 P.	Rafała Archan. 	Salomei	11 Fylypa Ap.		6:33	4:5
25 W.	Jana Kant. 	Wilhelminy	12 Prowa M.		6:34	4:5
26 Śr.	Ewarysta P.	Ewarysta	13 Karpa M.		6:36	4:5
27 C.	Sabiny M.	Sabiny	14 Nazarya		6:38	4:5
28 P.	Szymona i Judy	Szymona	15 Jewfymia		6:39	4:4
29 S.	Narcyza B.	Narcyza	16 Łonhyna M.		6:41	4:4
44.	Ew. św. Mat. 8, 23—27.	Ew. św. Mat. 22, 15—22.	Łuk. 6, 31—36.			
30 N.	B 24 Klaudyusza	B 23 po św. Tr. Klaud.	17 C 19 Osyi Pr.		6:43	4:4
31 P.	Wolfganga B. †	Pamiętka Ref.	18 Łuki Ap.		6:44	4:4

Odmiany księżycy.

Nów 3. o godz. 9:37 przed południem.
Pierwsza kwadra 11. o godz. 2:45 po południu.
Pełnia 18. o godz. 3:30 po południu.
Ostatnia kwadra 25. o godz. 6:53 rano.

Przepowiednia pogody.

Z początku pogoda, 8. pochmurno, 14. i 15. przyjemnie, 17. szron, 18. przymrozek, 19. do 21. po południu pięknie i ciepło, do końca pochmurno.

Już przebył doby ciężki trud —
Rzekł: „Towarzysze
dobranoc!”
Za domem tęskno mi.



Październik

NOTATKI.

1.
2.
3.
4.
5.
6.
7.
8.
9.
10.
11.
12.
13.
14.
15.
16.

17.
18.
19.
20.
21.
22.
23.
24.
25.
26.
27.
28.
29.
30.
31.

Dnie tygodn.	Ś w i ę t a			Bieg	Słońca	
	rzymsko-katolickie	ewangelickie	grecko-katolickie		wsch.	zach.
1 W.	Wszyst. Świętych	Wszyst. Świętych	19 Joliła Pr.		6:45	4:4
2 Sr.	Dzień zaduszny 	Dzień zaduszny	20 Artemija M.		6:47	4:3
3 C.	Huberta Bisk.	Bogumiła	21 Maryona Pr.		6:49	4:3
4 P.	Karola Bor.	Karola	22 Awerkija J.		6:50	4:3
5 S.	Elżbiety i Emer.	Emeryka	23 Jakowa Ap.		6:52	4:3
45. Ew. św. Mat. 13, 24—30. Ew. św. Mat. 9, 18—26.			Łuk. 7, 11—16.			
6 N.	B 25 Leonarda W.	B. 24 po św. Tr. Leo.	24 C. 20 Arefty M.		6:54	4:3
7 P.	Herkuliana	Malachiasza	25 Markiana		6:55	4:3
8 W.	4 Koronatów	Seweryna	26 Demetrya		6:57	4:3
9 Śr.	Teodora Męcz.	Teodora	27 Nestora M.		6:58	4:2
10 C.	Andrzeja z Aw. 	Proba	28 Terentya M.		7:00	4:2
11 P.	Marcina Bisk.	Marcina	29 Anastazył M.		7:01	4:2
12 S.	Marcina Pap.	Jonasza	30 Zenowia M.		7:03	4:2
46. Ew. św. Mat. 13, 31—35. Ew. św. Mat. 24, 15—28.			Łuk. 8, 5—15.			
13 N.	B 26 Eug. i Stan. K.	B. 25 po św. Tr. Bry.	31 C. 21 Stach. M.		7:04	4:2
14 P.	Serafina Wyzn.	Lewina	1 Nojemwryi. KID		7:05	4:2
15 W.	Leopolda Wyzn.	Leopolda	2 Akindyna M.		7:07	4:2
16 Śr.	Amara Op.	Otona	3 Akepsyma M.		7:09	4:2
17 C.	Salomei P. 	Hugona	4 Joannyka Pr.		7:11	4:1
18 P.	Otona Op.	Gelazyusza	5 Hałaktyona		7:12	4:1
19 S.	Elżbiety Kr.	Elżbiety	6 Pawła Arch.		7:13	4:1
47. Ew. św. Mat. 24, 15—28. Ew. św. Mat. 25, 31—46.			Łuk. 16, 19—31.			
20 N.	B 27 Feliksa de W.	B. 26 po św. Tr. Ed.	7 C. 22 Jerona		7:15	4:1
21 P.	Ofiarow. N. M. P.	Ofiarowanie P. M.	8 Sob. św. Michalla		7:16	4:1
22 W.	Cecylii P.	Cecylii	9 Onysyfora M.		7:18	4:1
23 Śr.	Klemensa P. 	Klemensa	10 Erasta Ap.		7:19	4:1
24 C.	Jana od Krzyża	Emilii	11 Myny Mucz.		7:21	4:1
25 P.	Katarzyny P. M.	Katarzyny	12 Joanna Mył.		7:22	4:1
26 S.	Konrada B.	Konrada	13 Joanna Złot.		7:24	4:1
48. Ew. św. Łuk. 21, 25—33. Ew. św. Mat. 21, 1—9.			Łuk. 8, 26—39.			
27 N.	B 1. Adw. Wirgil.	B. 1. Adw. Gintera	14 C. 23 Fytypa Ap.		7:25	4:1
28 P.	Krescentego	Rufina	15 Hurya Mucz.		7:27	4:0
29 W.	Saturnina	Waltera	16 Małteja Ap.		7:28	4:0
30 Śr.	Andrzeja Ap. 	Andrzeja Ap.	17 Hryhorya Nik.		7:29	4:0

Odmiany księżycy.

Nów 2. o godz. 3:1 rano.

Pierwsza kwadra 10. o godz. 6:35 rano.

Pełnia 17. o godz. 1:30 rano.

Ostatnia kwadra 23. o godz. 7:19 wieczór.

Przepowiednia pogody.

Początek piękny, 7. deszcz, 11. do 16. śnieg,
3 dni pięknie, poczem nieprzyjemnie.

Gdy dzwonka głos ostatni raz
Odezwie się ponury
O luba wtedy nie płacz nie
Z twarzyczki swojej otrzyj łzę.



Listopad

NOTATKI.

1.

2.

3.

4.

5.

6.

7.

8.

9.

10.

11.

12.

13.

14.

15.

16.

17.

18.

19.

20.

21.

22.

23.

24.

25.

26.

27.

28.

29.

30.

Grudzień

□ ma dni 31 □

Czytaj, bracie, me zdania, czytaj słowo w słowo,
A znajdziesz w nich naukę, znajdziesz radę zdrową.

Dnie tygodn.	Ś w i ę t a			Bieg	Stońca	
	rzymsko-katolickie	ewangelickie	grecko-katolickie		wsch.	zach.
1 C.	Eligiusza Bisk. 	Longina	18 Platona		7:30	4:07
2 P.	Bibiany P.	Aurelii	19 Awdyja Pr.		7:32	4:07
3 S.	Franciszka Ks.	Dymitra	20 Hryhorya		7:33	4:07
49.	Ew. św. Mat. 11, 2—10. Ew. św. Łuk. 21, 25—33.		Łuk. 8, 4 - 55.			
4 N.	B 2 Adw. Barbary	B 2 Adw. Barbary	21 C 24 Wow. Boh.		7:34	4:06
5 P.	Sabby Op.	Amosa	22 Fylymona		7:35	4:06
6 W.	Mikołaja Bisk.	Mikołaja	23 Amfyłokija		7:36	4:05
7 Śr.	Ambrożego	Agaty	24 Ekateryny		7:37	4:05
8 C.	Niep. Pocz. N. M. P.	Dzień pokutny	25 Kłymenta		7:38	4:05
9 P.	Leokadyi P. 	Joachima	26 Ałyppa		7:39	4:05
10 S.	N. M. P. Loret. 	Judyty	27 Jakowa M.		7:40	4:05
50.	Ew. św. Jana 1, 19—28. Ew. św. Mat. 11, 1—10.		Łuk. 10, 25— 37.			
11 N.	B 3 Adw. Damaz.	B 3 Adw. Damaz.	28 C 1 Adw. Stef.		7:41	4:05
12	Maksentego	Otylii	29 Paramona		7:42	4:05
13 W.	Łucyi i Otylii	Łucyi	30 Andreja Ap.		7:43	4:05
14 Śr.	Such. Nikazego 	Nikazego	1 Dekem. Nauma		7:44	4:05
15 C.	Ireneusza	Ignacego	2 Awakuma		7:45	4:05
16 P.	Adelajdy Ces. 	Ananiasza	3 Sofonia P.		7:46	4:05
17 S.	Łazarza Bisk. 	Łazarza	4 Warwary		7:47	4:05
51.	Ew. św. Łuk. 3, 1—5. Ew. św. Jana 1, 19—28.		Łuk. 12, 16—21.			
18 N.	B 4 Adw. Gracyana.	B 4 Adw. Wunib.	5 C 2 Adw. Saw.		7:48	4:05
19 P.	Nemezyusza	Abrahama	6 Nykołaja Ap.		7:48	4:05
20 W.	Teofila Męcz.	Izaka	7 Amwrozja Jep.		7:49	4:06
21 Śr.	Tomasza Ap. 	Tomasza	8 Pałappa Prep.		7:50	4:06
22 C.	Zenona M.	Beaty	9 Zaczat. Boh.		7:50	4:06
23 P.	Wiktoryi P. 	Dagoberta	10 Myny i Erm.		7:51	4:07
24 S.	Wig. Adama i E. 	Adama i Ewy	11 Danyiła		7:51	4:08
52.	Ew. św. Łuk. 2, 33—40.		Łuk. 14, 16—24.			
25 N.	B Narodz. Chr. P.	B Narodz. Chr. P.	12 C. 3. Adw. Spiryd.		7:51	4:08
26 P.	Szczepana Męcz.	Szczepana	13 Ewstratia		7:52	4:09
27 W.	Jana Ewang.	Jana Ewang.	14 Ftyrsa		7:52	4:10
28 Śr.	Młodzianków	Młodzianków	15 Etweterya		7:52	4:10
29 C.	Tomasza Bisk.	Jonatana	16 Ahhea Pr.		7:52	4:11
30 P.	Dawida Kr.	Dawida	17 Danyiła		7:53	4:12
31 S.	Sylwestra Pap. 	Sylwestra	18 Sewastyana M.		7:53	4:13

Odmiany księżycy.

Nów 1. o godz. 10:16 wieczór.
Pierwsza kwadra 9. o godz. 8:11 wieczór.
Pełnia 16. o godz. 12:10 w południe.
Ostatnia kwadra 23. o godz. 11:41 przed połud.
Nów 31. o godz. 5:27 po południu.

Przepowiednia pogody.

Z początku nieprzyjemnie, mgły i śniegi do 10., poczem sucho do 18., surowo i mroźno do 28., do końca pięknie.



Grudzień

NOTATKI.

- | | |
|-----|-----|
| 1. | 17. |
| 2. | 18. |
| 3. | 19. |
| 4. | 20. |
| 5. | 21. |
| 6. | 22. |
| 7. | 23. |
| 8. | 24. |
| 9. | 25. |
| 10. | 26. |
| 11. | 27. |
| 12. | 28. |
| 13. | 29. |
| 14. | 30. |
| 15. | 31. |
| 16. | |

Uroczystości św. Patronów.

KARYNTYA, KRAINA, POBRZEŻE, STY-
RYA I TYROL PÓŁN.: Józef Obl. (19.
marca).

KRAINA: Jerzy (24. kwietnia).

AUSTRYA GÓRNA: Floryan (4. maja).

GALICYA, KRAKÓW: Stanisław (8. maja).

CZECHY: JAN NEP. (16. maja).

BUKOWINA: Jan Jowus z Suczawy (14.
czerwca).

SLAWONIA: Jan Chrzciel (24. czerwca).

TYROL POŁUDN.: Wigiliusz (26. czerwca).

SIEDMIOGRÓD: Władysław (27 czerwca).

MORAWA: Cyryl i Metody (5. lipca).

KROACYA: Eliasz (20. lipca).

KROACYA: Roch (16. sierpnia).

WĘGRY: Szczepan (20. sierpnia).

SOLNOGRÓD: Rupert (24. września).

CZECHY: Wacław (28. września).

GALICYA (z wyjątk. Krakowa): Michał
(29. września).

ŚLĄSK: Jadwiga 15. października).

TRYEST: Justus (2. listopada).

AUSTRYA DOLNA: Leopold (15. listo-
pada).

DALMACYA: Spirydion (14. grudnia).





SZCZĘŚĆ BOŻE!

Przychodzi do Was brat i druh
Tak bardzo sercu blizki:
Jak górnik polski chwat i zuch,
Rozdziela w krąg uściski.
Nieoglądany szereg lat:
W jutrznianej roku porze,
Przychodzi do Was druh i brat
I wita Was: „Szczęść Boże!”

Witajcie Bracia! — otom już
Stęskniony Waszych ramion!
Z ciernistych dróg, z gromowych burz.
Słabości zbywszy znamion,
Dziś pukać śmiem do Waszych drzwi,
By z Wami sięść w komorze:
Górniku! — rękę podaj mi!
Swój. wita Cię: „Szczęść Boże!”

Gościnnym jest górnika próg!
To wiem, lecz pragnąć muszę,
Bym jeszcze dalej wnikać mógł:
W pocziwą jego duszę!
W pocziwe serce! — gdy je raz
Zdobędę i otworzę:
Połączym się na wieczny czas
Pod hasłem tem: „Szczęść Boże!”

Pod hasłem tem pójdziemy wprzód
Do lepszej życia doli,
Gdzie troska się i ból i trud
Ze złego pęt wyzwoli!
Popłyniem wraz w przyszłości toń
W wesołym wciąż humorze:
Kiloły w dłoń! — piosenko dzwoń:
Szczęść Boże nam! „Szczęść Boże!”



Państwa europejskie

alfabetycznie zestawione, ich objętość, liczba mieszkańców i rządcy.

- Austria-Węgry.** 674.147 km^2 , 44,269.572 mieszk. Cesarz Franciszek Józef I. (patrz str. 28).
- Andora.** Rzeczpospolita, 452 km^2 , 6.000 mieszk. Król Edward VII., cesarz indyjski, ur. 9. listopada 1841, panuje od 22. stycznia 1901.
- Belgia.** 29.457 km^2 , 6,744.532 mieszk. Król Leopold II., ur. 9. kwietnia 1835, panuje od 10. grudnia 1865.
- Bułgaria.** 99.276 km^2 , 3,733.189 mieszk. Książę Ferdynand I., ur. 26. lutego 1861, panuje od 7. lipca r. 1887, królem proklamowany 5. października 1908.
- Czarnogóra.** 9.080 km^2 , 236.000 mieszk. Książę Mikołaj I., ur. 7. października 1841, panuje od 13. sierpnia 1860.
- Dania.** 39.665 km^2 , 2,256.000 mieszk. Król Fryderyk VIII., ur. 3. czerwca 1843, panuje od 29. stycznia 1906.
- Francja.** Rzeczpospolita, 536.408 km^2 , 38,715.000 mieszk. Prezydent Armand Fallières, ur. 6. listopada 1841, wybrany 18. lutego 1906, na czas od 1906 do 1913.
- Grecja.** 65.119 km^2 , 2,433.806 mieszk. Król Jerzy I., ur. 24. grudnia 1845, panuje od 31. października 1863.
- Hiszpania.** 496.928 km^2 , 17,913.980 mieszk. Król Alfons XIII., ur. 17. maja 1886, panuje od 15. maja 1902.
- Liechtenstein.** 159 km^2 , 9.434 mieszk. Książę Jan II., ur. 5. października 1840, panuje od 12. listopada 1858.
- Monaco.** 22 km^2 , 15,180 mieszk. Książę Albert I., ur. 13. listopada 1848, panuje od 10. września 1889.
- Niderlandy.** 33.000 km^2 , 5,103.353 mieszk. Królowa Wilhelmina, ur. 31. sierpnia 1880, panuje od 23. listopada 1890.
- Niemcy.** 540.658 km^2 56,345.014 mieszk. Cesarz rzeszy niemieckiej Wilhelm II., król pruski, ur. 27. stycznia 1859 panuje od 1. czerwca 1888.
- Norwegia.** 322.304 km^2 , 2,068.700 mieszk. Król Hakon VII., ur. 3. sierpnia 1872, panuje od 23. listopada 1905.
- Portugalia.** 92.575 km^2 , 5,102.000 mieszk. Król Manuel II., ur. 15. listopada 1889, panuje od 2. lutego 1908.
- Rosja.** 5,389.985 km^2 , 106,199.159 mieszk. Czarz Mikołaj II., ur. 18. (6.) maja 1868, panuje od 20. października 1894.
- Rumunia.** 131.020 km^2 , 5,800.000 mieszk. Król Karol I., ur. 20. kwietnia 1839, panuje jako książę od 20. kwietnia 1866, koronowany na króla 22. maja 1881.
- Serbia.** 48.303 km^2 , 2,345.837 mieszk. Król Piotr I., ur. 11. czerwca 1846, panuje od 15. czerwca 1903.
- Szwajcarya.** Rzeczpospolita, 41.346 km^2 , 3,327.336 mieszk.
- Szwecya.** 450.574 km^2 , 5,009.632 mieszk. Król Gustaw V., ur. 16. czerwca 1858, panuje od 8. grudnia 1907.
- Turcja (europejska).** 162.550 km^2 , 5,812.300 mieszk. Sułtan Abdul Hamid II., ur. 22. września 1842, panuje od 1. września 1876.
- Włochy.** 286.589 km^2 , 31,573.581 mieszk. Król Wiktor Emanuel III., ur. 11. listopada 1869, panuje od 29. lipca 1900.
- Stolica apostolska.** Jego Świątobliwość Papież Pius X. (przedtem Józef Sarto), ur. w Riese przy mieście Treviso we Włoszech 2. czerwca 1835, wybrany na papieża dn. 4. sierpnia 1903, koronowany 9. sierpnia 1903 z kolei 264 następca św. apostoła Piotra — oraz kolegium kardynałów, składające się z kardynałów — biskupów, kardynałów — kapłanów i kardynałów — dyakonów.

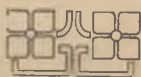


Tabela porównawcza wartości pieniędzy wszystkich krajów.

	Dania	Niemcy	Anglia	Belgia Francya	Grecya	Holandya	Włochy	Ameryka Póln.	Austrya	Rosya	Szwecya	Hiszpania	Tureya
	Krony öre	M.	£. Sz. Pence	Fr. Ctm.	Dr. Lpt.	Fl. Cts.	Liry Cent.	Dol. Cts.	K	h Rub. Kop.	Kr. Öre	Pes. Ctm.	Piast. P.
Dania 1 korona	—	1·15	1·2	1·43½	1·58¼	—67½	1·43½	—26½	1·1466/100	—35½	1·—	1·34	6·15½
Niemcy 1 marka	—87	—	1·—	1·25	1·375/8	—585/10	1·25	—23½	1·—	—30½	—87	1·16	5·23
Anglia 1 £	17·423/4	20·—	—	25·—	27·58	11·76	25·—	4·62	20·14	6·17½	17·423/4	17·20	111·14½
Francya 1 frank	—693/4	—80	—96/10	—	1·10½	—47	1·—	—18½	—81	—247/10	—693/4	—93	4·18
Grecya 1 drachma	—63½	—72½	—82/3	—9055/100	—	—4255/100	—9055/100	—169½	—7299/100	—22½	—63½	—84	4·1½
Holandya 1 florin	1·43½	1·70	1·8½	2·12½	2·34½	—	2·12½	—39½	1·70½	—52½	1·43½	1·98	9·18½
Włochy 1 lira	—633/4	—80	—96/10	1·—	1·10½	—47	—	—18½	—81	—247/10	—693/4	—93	4·18
Ameryka Póln. 1 dolar	3·772/3	4·33	4·4	5·41¼	5·977/100	2·546/10	5·41½	—	4·27½	1·332/3	3·772/3	5·04	24·11
Austrya 1 korona	—87½	1·—	1·—	1·25	1·37½	—585/10	1·25	—23½	—	—307/8	—87½	1·16	5·75½
Rosya 1 rubel	2·82¼	3·24	3·29/10	4·5	4·46½	1·90½	4·5	—74½	3·24	—	2·82¼	3·77	81·½
Szwecya 1 korona	1·—	1·15	1·2	1·43½	1·58¼	—67½	1·43½	—26½	1·1466/100	—35½	—	1·34	615½
Hiszpania 1 peseta	—74	—86	—10½	1·06½	1·15	—50	1·17½	—20	—85½	—263/10	—74	—	4·65½
Tureya 10 piastrow	1·56½	1·80	1·99/10	2·24½	1·47½	1·5½	2·24½	—41½	1·789/10	—55½	1·56½	2·08	—
Dania	1 korona = 100 öre	Niemcy 1 marka = 100 fenig.	Anglia 1 £ = 20 szyl. à 12 pence	Belgia Francya 1 frank = 100 centimów	Grecya 1 drachma = 100 lepta	Holandya 1 florin = 100 cents.	Włochy = 1 lira = 100 cent.	Ameryka północna 1 dolar = 100 cents.	Austrya 1 K = 100 h	Rosya 1 rubel = 100 kop.	Szwecya 1 krona = 100 öre	Hiszpania 1 peseta = 100 centim.	Tureya 1 piaster = 40 par

Obliczenie sążni² i morgów na hektary.

Sążnia ²	hektar	Sążnia ²	hektar	Sążnia ²	hektar	Sążnia ²	hektar	Sążnia ²	hektar
1	0·0004	49	0·0176	97	0·0349	145	0·0522	310	0·1115
2	0·0007	50	0·0180	98	0·0352	146	0·0525	320	0·1151
3	0·0011	51	0·0183	99	0·0356	147	0·0529	330	0·1187
4	0·0014	52	0·0187	100	0·0360	148	0·0532	340	0·1223
5	0·0018	53	0·0191	101	0·0363	149	0·0536	350	0·1259
6	0·0022	54	0·0194	102	0·0367	150	0·0539	360	0·1295
7	0·0025	55	0·0198	103	0·0370	151	0·0543	370	0·1331
8	0·0029	56	0·0201	104	0·0374	152	0·0547	390	0·1403
9	0·0032	57	0·0205	105	0·0378	153	0·0550	400	0·1439
10	0·0036	58	0·0209	106	0·0381	154	0·0554	410	0·1475
11	0·0040	59	0·0212	107	0·0385	155	0·0557	420	0·1511
12	0·0043	60	0·0216	108	0·0388	156	0·0561	430	0·1547
13	0·0047	61	0·0219	109	0·0392	157	0·0565	440	0·1583
14	0·0050	62	0·0223	110	0·0396	158	0·0568	450	0·1618
15	0·0054	63	0·0227	111	0·0399	159	0·0572	460	0·1654
16	0·0058	64	0·0230	112	0·0403	160	0·0575	470	0·1690
17	0·0061	65	0·0234	113	0·0406	161	0·0579	480	0·1726
18	0·0065	66	0·0237	114	0·0410	162	0·0583	490	0·1762
19	0·0068	67	0·0241	115	0·0414	163	0·0586	500	0·1798
20	0·0072	68	0·0245	116	0·0417	164	0·0590	550	0·1978
21	0·0076	69	0·0248	117	0·0421	165	0·0593	600	0·2158
22	0·0079	70	0·0252	118	0·0424	166	0·0597	650	0·2338
23	0·0083	71	0·0255	119	0·0428	167	0·0601	700	0·2518
24	0·0086	72	0·0259	120	0·0432	168	0·0604	750	0·2697
25	0·0090	73	0·0263	121	0·0435	169	0·0608	800	0·2877
26	0·0094	74	0·0266	122	0·0439	170	0·0611	900	0·3237
27	0·0097	75	0·0270	123	0·0442	171	0·0615	1000	0·3597
28	0·0101	76	0·0273	124	0·0446	172	0·0619	1100	0·3956
29	0·0104	77	0·0277	125	0·0450	173	0·0622	1200	0·4316
30	0·0108	78	0·0281	126	0·0453	174	0·0626	1300	0·4676
31	0·0111	79	0·0284	127	0·0457	175	0·0629	1400	0·5035
32	0·0115	80	0·0288	128	0·0460	176	0·0633	1500	0·5395
33	0·0119	81	0·0291	129	0·0464	177	0·0637	Morgi	
34	0·0122	82	0·0295	130	0·0468	178	0·0640		
35	0·0126	83	0·0299	131	0·0071	179	0·0644	1	0·5755
36	0·0129	84	0·0302	132	0·0475	180	0·0647	2	1·1509
37	0·0133	85	0·0306	133	0·0478	190	0·0683	3	1·7264
38	0·0137	86	0·0309	134	0·0482	200	0·0719	4	2·3019
39	0·0140	87	0·0313	135	0·0486	210	0·0755	5	2·8773
40	0·0144	88	0·0317	136	0·0489	220	0·0791	6	3·4528
41	0·0147	89	0·0320	137	0·0493	230	0·0827	7	4·0282
42	0·0151	90	0·0324	138	0·0496	240	0·0863	8	4·6037
43	0·0155	91	0·0327	139	0·0500	250	0·0899	9	5·1792
44	0·0158	92	0·0331	140	0·0504	260	0·0935	10	5·7546
45	0·0162	93	0·0334	141	0·0507	270	0·0971	20	11·5093
46	0·0165	94	0·0338	142	0·0511	280	0·1007	30	17·2639
47	0·0169	95	0·0342	143	0·0514	290	0·1043	40	23·0186
48	0·0173	96	0·0345	144	0·0818	300	0·1079	50	28·7732

1 m² = 0·278 sążnia²; 1 sążnia² = 3·596m²; 1 ar = 27·803 sążni²; 1 hektar = 1·737 morga

Tablica procentowa.

Kapitał	Po 4 ⁰ / ₀ od sta						Po 4 ¹ / ₂ ⁰ / ₀ od sta						Po 5 ⁰ / ₀ od sta					
	na 1 rok		na 1/2 roku		na miesiąc		na 1 rok		na 1/2 roku		na miesiąc		na 1 rok		na 1/2 roku		na miesiąc	
	K	h	K	h	K	h	K	h	K	h	K	h	K	h	K	h	K	h
1	—	4	—	2	—	1 ¹ / ₃	—	4 ¹ / ₂	—	2 ¹ / ₄	—	3 ³ / ₈	—	5	—	2 ¹ / ₂	—	5 ¹ / ₁₂
2	—	8	—	4	—	2 ² / ₃	—	9	—	4 ¹ / ₂	—	3 ³ / ₄	—	10	—	5	—	5 ⁵ / ₆
3	—	12	—	6	—	1	—	13 ¹ / ₂	—	6 ³ / ₄	—	1 ¹ / ₈	—	15	—	7 ¹ / ₂	—	1 ¹ / ₄
4	—	16	—	8	—	1 ¹ / ₂	—	18	—	9	—	1 ¹ / ₂	—	20	—	10	—	1 ² / ₃
5	—	20	—	10	—	1 ² / ₃	—	22 ¹ / ₂	—	11 ¹ / ₄	—	1 ⁷ / ₈	—	25	—	12 ¹ / ₂	—	2 ¹ / ₁₂
6	—	24	—	12	—	2	—	27	—	13 ¹ / ₂	—	2 ¹ / ₄	—	30	—	15	—	2 ¹ / ₂
7	—	28	—	14	—	2 ¹ / ₃	—	31 ¹ / ₂	—	15 ³ / ₄	—	2 ⁵ / ₈	—	35	—	17 ¹ / ₂	—	2 ¹ / ₁₂
8	—	32	—	16	—	2 ² / ₃	—	36	—	18	—	3	—	40	—	20	—	3 ¹ / ₃
9	—	36	—	18	—	3	—	40 ¹ / ₂	—	20 ¹ / ₄	—	3 ³ / ₈	—	45	—	22 ¹ / ₂	—	3 ³ / ₄
10	—	40	—	20	—	3 ¹ / ₃	—	45	—	22 ¹ / ₂	—	3 ³ / ₄	—	50	—	25	—	4 ¹ / ₆
20	—	80	—	40	—	6 ¹ / ₃	—	90	—	45	—	7 ¹ / ₂	1	—	—	50	—	8 ¹ / ₃
30	1	20	—	60	—	10	1	35	—	67 ¹ / ₂	—	11 ¹ / ₄	1	50	—	75	—	12 ¹ / ₂
40	1	60	—	80	—	13 ¹ / ₃	1	80	—	90	—	15	2	—	1	—	—	16 ² / ₃
50	2	—	1	—	—	16 ² / ₃	2	25	1	12 ¹ / ₂	—	18 ³ / ₄	2	50	1	25	—	20 ⁵ / ₆
60	2	40	1	20	—	20	2	70	1	35	—	22 ¹ / ₂	3	—	1	50	—	25
70	2	80	1	40	—	23 ¹ / ₃	3	15	1	57 ¹ / ₂	—	26 ¹ / ₄	3	50	1	75	—	29 ¹ / ₆
80	3	20	1	60	—	26 ² / ₃	3	60	1	80	—	30	4	—	2	—	—	33 ¹ / ₃
90	3	60	1	80	—	30	4	05	2	02 ¹ / ₂	—	33 ³ / ₄	4	50	2	25	—	37 ³ / ₃
100	4	—	2	—	—	33 ¹ / ₃	4	50	2	25	—	37 ¹ / ₂	5	—	2	50	—	41 ² / ₃
200	8	—	4	—	—	66 ² / ₃	9	—	4	50	—	75	10	—	5	—	—	83 ¹ / ₃
300	12	—	6	—	1	—	13	50	6	75	1	12 ¹ / ₂	15	—	7	50	1	25
400	16	—	8	—	1	33 ¹ / ₃	18	00	9	00	1	50	20	—	10	—	1	66 ² / ₃
500	20	—	10	—	1	66 ² / ₃	22	50	11	25	1	87 ¹ / ₂	25	—	12	50	2	08 ¹ / ₃
1.000	40	—	20	—	3	33 ¹ / ₃	45	—	22	50	3	75	50	—	25	—	4	16 ¹ / ₃
2.000	80	—	40	—	6	66 ² / ₃	90	—	45	—	7	50	100	—	50	—	8	33 ² / ₃
3.000	120	—	60	—	10	—	135	—	67	50	11	25	150	—	75	—	12	50
4.000	160	—	80	—	13	33 ¹ / ₃	180	—	90	—	15	—	200	—	100	—	16	66 ² / ₃
5.000	200	—	100	—	16	66 ² / ₃	225	—	112	50	18	75	250	—	125	—	20	83 ¹ / ₃

Uwaga do obrachowania procentów.

Chcąc procent za 1 rok jakiegobądź kapitału obrachować, należy ilość kapitału mnożyć z procentem a potem rezultat przez 100 dzielić.

Przypuśćmy, że kapitał wynosi 528 koron i ma być po 3⁰/₀ na rok oprocentowany, liczy się:
 $528 \times 3 = 1584 : 100 = 15 \text{ K } 84 \text{ h.}$

Chcąc procent tylko za jedną część roku obrachować n. p.: 1 miesiąc, 2 miesiące, 1/2 roku, wtenczas dzieli się ilość całorocznych procentów przez

12 przy 1 mies. (poniew. 1 mies. = 1/12 roku)
 6 " 2 " " 2 " = 1/6 "
 4 " 3 " " 3 " = 1/4 "
 3 " 4 " " 4 " = 1/3 "
 2 " 6 " " 6 " = 1/2 "

Takim sposobem byłoby w wymienionym przykładzie: 528 K kapitału, po 3⁰/₀ tylko na 1/4 roku (3 miesiące) do obrachowania w następujący sposób:

Procenta za cały rok wynoszą:

15 K 84 h : 4 = 3 K 96 h za 1/4 roku, jak to w tabelach po 3⁰/₀ obrachowanych się znajduje, mianowicie:

za 500 K kapitału 3 K 75 h proc. za 1/4 roku.
 " 20 " " " 15 " " " 1/4 "
 " 8 " " " 6 " " " 1/4 "

więc za 528 K kapitału 3 K 96 h proc. za 1/4 roku.

Choć burza łuczy wkoło nas,
Do góry wzniesimy skroń.
Nie straszny dla nas burzy czas,
Boć silną przecież mamy dłoń!
Weselmy, bracia, się,
Choć wicher w żagle dmie!

Kto pracą każdy święci dzień,
Ten smutku nie zna — nie!
Choć słońce kryje chunury cień.
On w lepszą przyszłość patrzy się.
Weselmy, bracia, się,
Choć wicher w żagle dmie!

MARYA KONOPNICKA.

Maryanna w Brazylii.

Ile razy spojrzę na „Listy“ Dygasińskiego z Brazylii, a pomyślę, jaką to on przeszedł biedę, nim się z ludźmi tamtejszymi porozumieć zdołał, tyle razy żałuję, że zamiast udawać się do konsulów, do dziennikarzy, do inspektorów i do hrabiów, nie udał się Dygasiński prosto do Maryanny.

Maryanna byłaby dla niego nieoszacowanym skarbem. Objęłaby go najakuratniej o wszystkim: co? jak? a nadto wyprowadziłaby go z wszelkich językowych trudności.

Trudności te nie sprawiały Maryannie nigdy żadnego kłopotu: po prostu nie istniały dla niej.

Kiedy pani jej, zaraz po przybyciu, posłała ją do wspólnej hotelowej pralni, oddanej do użytku gości, którzy, mając własną służbę, sami chcieli zajmować się praniem swej bielizny, po portugalsku „ropa“, a właścicielka przyszła objaśnić o czasie i o kolei prania — Maryanna, nieprzywykła, żeby jej kto do balii nos wtykał, pobiegła na górę cała w ogniach:

— A jaki też naród tutejszy spierny, proszę pani, to niech ręka boska bronі! Ledwo stanęłam u balii, zaraz tam przyleciała jakaś jedza i dalej na mnie: Ty taka! ty owaka! Ja tu nie myślę robić prania z całej Europy!

— Czyż podobna?

— Przecie! wyraźnie słyszałam, ja wykrzykiwała: że nie myśli ludziom z całej Europy prac. Tak ja jej na to: moi pani, jeśliś pani, bo ja tam twego państwa nie widziałam! My ta nie ze żadnej Europy pochodzące, tylko z Dąbrówki, z guberni smoleńskiej! Papiery na to są! Rozumiesz pani?

— No i co?

— A cóż, zara jej buzia zmalęła, za brała się baba i poszła!

Istotnie, Maryanna była z Dąbrówki. Nie żadna emigrantka, broń Boże gdzież tam! Z Dąbrówki wysłała ją stała pani panience, która była w naukach aż we Francyi, w samym Paryżu, i z mąż za Pensylwańczyka, prowadzącego interesy wielkiej paryskiej firmy, do Brazylii wyszła.

Wyszła, ale „nie miała wskórania“, jak opowiadała Maryanna. Słaba była, tępiła, a nadewszystko rady sobie dać nie mogła z murzyńską niechlujną służbą.

— Ach, mamó — pisała do Dąbrówki — gdyby tu była Maryanna!

— A cóż? Możeby i wysłać Maryannę. Szło o Pensylwańczyka, jak ten projekt przyjmie. Był to skrupuł zbyteczny całkiem. Dzielny Pensylwańczyk miał na ciebie za miłe, za najmilsze, wszystko co po

chodziło z Dąbrówki, z gubernii smoleńskiej, ba, i ze wszystkich dalszych. Jeszcze, jako narzeczony, kupił on był sobie słownik polsko-niemiecko-francuski i pilnie studiował niektóre drobiazgi polskiej literatury bieżącej. Co większa, nietylko żądał, aby do niego pisano z Dąbrówki po polsku, ale nawet sam się puszczał na pisanie małych liścików w tymże, upodobanym przez siebie, języku. Z tego to czasu pochodziła owa kartka, będąca rozkoszą narzeczonej, bawiącej wtedy u matki, kartka, która po kilkakrotnych darciach i przepisywaniach, oraz po mozolnej kwerendzie w słowniku, tak brzmiała:

„U nas lało i wiało nader silnie. Kocham ciebie nader tkliwie.“

Otóż, wbrew spodziewaniu, kiedy przyszło radzić się Pensylwańczyka co do wyboru służącej, projekt wysłania Maryanny o mało że nie upadł całkiem.

„Mielibyście z niej wielką pomoc, pisała matka z Dąbrówki — sługa z niej dobra, wszystko robi, pierze.“

Na nieszczęście... ale były dwa nawet nieszczęścia. Pierwsze, iż przecinek między „robi“ a „pierze“ przepadł gdzieś bez śladu, czemu się przy tak długiej a do tego mozolnej przeprawie, zgoda nie sposób dziwić; a drugie — że młodej pani nie było wtedy w mieście, kiedy list ten przyszedł. Zły klimat wypędził ją do Petropolis w góry. Dzielną Pensylwańczyk sam się tedy zabrał do odczytywania listu.

Odczytał i zrozumiał wybornie. Tego tylko nie mógł pojąć, dlaczego mu matka chce przysłać fabrykantkę zamiast sługi? Zajrzał do słownika raz, zajrzał drugi raz, jak wół wyraźnie stoi: pierze (Feddern, plumes). Z tego nie był kontent. Po licha mu służąca z taką specjalnością?

Odbywszy tedy odpowiednie studia, tak w małej kieszonkowej metodzie jak i w słowniku, odpisał do Dąbrówki w tych słowach:

„Dziwię się nader silnie, że kochana Mama wybrała nam tę służącą. Będzie ona fabrykowała pióra, zamiast pilnować domu. Nader tkliwie całuję ręce mamy.“

Upłynęło parę miesięcy, nim się porozumiano i nim się znalazł ów przecinek w drodze zaginiony.

Tymczasem młodsza pani pisała a pisała; list za listem gonił.

„Mamo droga! Bez Maryanny rady sobie nie dam. Mamo kochana, proszę o Maryannę, bo się tu zamęczę, zadreczę z tymi murzynami!“

Co było robić? Nie było co robić! Maryanna jechała do Rio.

Podróż ta przedstawiała jej się, tak co do kierunku jak i co do trwania swego, dość mętnie.

— Jeszcze gdzieś za Częstochową! — odpowiadała organiście i ekonomowej, które się o Brazylię pytały.

W dzień wyjazdu ubrała się też tak, jak się zwykle wybierała na wielkie do roczne odpusty. Wzięła na siebie nową kamlotową suknię, na to watowaną jubkę, na to dużą swoją paradną chustkę derową; zaciesała siwiejące włosy na wysoki grzebień, przykryła je czarną kordonkową siatką, na siatkę włożyła aksamitny kapelusz, który ją zaszczytnie wyróżniał już od lat piętnastu z pośród gawiedzi wioskowej w każdą niedzielę na sumie; włożyła bawełniane mitynki, jedną rękę okreciła kokosową koronką i wzięła w nią książkę do nabożeństwa, w drugiej rozwiesiła chustkę białą do nosa i stanęła gotowa do drogi — za morze.

Pożegnawszy państwo, dzieci, służbę pokojową, wychodziła już za próg, kiedy zobaczyła ulubioną kokoszę ze świeżo wyleżonym drobiazgiem. Wróciła tedy raz jeszcze, sypnęła jej dużo pośladu. Marynie obiecała, że ją za łeb wydrze, jeśli kania choć jedno z małych kacząt chwyci, zajrzała do maciory, porachowała prosiętą, uchyliła drzwi od karmnika, gdzie pochrząkiwał podpasany na kielbas wieprzak, nawymyślała Zuzce, że nie wygarnia z koryta wczorajszego jadła i, szeleszcząc wykrochmalonemi spódnicami, do krów, do obory poszła.

Dotąd trzymała się mężnie; ale kiedy Krasula zaryczała, a Kwiatucha obejrzała

się na nią, opuściła nagle Maryannę moc ducha, a małe bure jej oczki silnie mrugać zaczęły. Teraz dopiero poznała co to jest rzucić przyjaciół. Byłaby się nawet rozpłakała może, ale zajeżdżający w tej chwili przed oficynę Wicek zawadził o sernicę, na której oczekiwał świeżo ogrzany twaróg, i omal nie wywrócił całego kramu.

To ją orzeźwiło natychmiast. Jak stała, tak nie dbając na swoją toaletę, skoczyła, Wicka zwymyślała, prase z twarogiem naprostowała, psa, który do serwatki milczkiem podchodził, kopnęła, a tymczasem dziewczki, rade, że gospodyni w „tyłochy świat“ rusza, i choć ze dwie niedziel pomstować o byle co nie będzie, spieszenie zaczęły węzłki jej wynosić, a w rękę ją całować, a fartuchy do oczu przykładając, jako że niby taka je żalność spiera. Maryanna także się udobruchała, Zuzkę i Marynę pocałowała w głowę, pogłaskała kota, pogłaskała Rozboja i głosiło się przeżegnawszy, zapadła w grochowy zasłane kilimkiem.

Zaraz przecież od krzyża wracać chciała, bo jej się zdawało, że gęsi Maćkowe między dworskie wpadły i że je odherają na ściernisku; ale się Wicek uparł, koniom po bacie dał i ruszyli naprzód. Kiedy Maryanna stanęła we Warszawie, okazało się, że jakoś trudno z nią będzie. Nietylko bowiem ani słowa po niemiecku nie umie, ale gniewa się jeszcze, kiedy ją o to pytamy.

— Ja? Jabyś zaś po szwabsku miała, z przeproszeniem, szwargotać? Tfu! z przeproszeniem! Czy ja ot nie katoliczka? Czy do spowiedzi nie chodzę, czy co?

A tu w Hamburgu, gdzie właśnie szła jej droga, nie znaliśmy żadnego Polaka. Nie było rady, chyba Maryannę opisać i agentowi znanego domu handlowego listem ją polecić, żeby nie przepadła gdzie w mieście i we właściwym czasie na okręt dostać się mogła.

Opisać? hm!... Ale jak ją tu opisać? To że była niska, krępa, że miała bure, małe oczki, nos kaczkowaty i pocziwą twarz czerwoną a świecąca, zdawało nam się niedostatecznym jakoś. Agent musi

być o przybyciu Maryanny uprzedzony, musi czekać na nią, poznać ją i zabrać ze sobą. Trzeba ją tedy koniecznie czeniś wyróżnić. Radzimy o tem, kiedy Maryanna spostrzegła wielkiego papierowego motyla na lampie.

— A to, proszę ja państwa mego! — wykrzykuje — nie dobreby było?

Pomysł jej wydaje nam się z razu tak komicznym, że wszyscy wybuchamy śmiechem. Ale Maryanna bierze to zupełnie seryo i gotowa jest paradować w motyłu do Hamburga.

Odczepiamy go tedy od lampy i przypinamy Maryannie, która spogląda z zupełnem zadowoleniem na tę nową swoją ozdobę. Wielki, czerwony w złote centki motyl tworzy istotnie jedyną w swoim rodzaju broszę, Maryanna rozmawia z nami jeszcze chwilę, ale od czasu do czasu patrzy ukradkiem w lustro; pewnem jest prawie, iż żałuje, że jej w tym stroju nie widzi ekonomowa i organiscina. Odprowadzona wreszcie przez bandę chłopaków, którzy myślą, że to „sztuki“, siada szczęśliwie do wagonu i jedzie.

Jedzie bez żadnej niepewności, bez żadnego strachu. Dygasiński, wybierający się w tę stronę z listami polecającymi i w charakterze dziennikarza, nie miał, jak się okazuje z listów jego, tej wybornej równowagi umysłu, w jakiej utrzymuje Maryannę ów czerwony motyl. Okazuje się on skutecznym wszakże pod jednym tylko względem: agent domu handlowego istotnie czeka na Maryannę, poznaje ją po tym nieomylnym znaku, który wygląda zdala jak sygnał pożarny, i zabiera ją pod swoją opiekę. Ale trzeba nieszcześćcia, że okręt tylko co odpłynął i że dwa tygodnie czekać trzeba na wyruszenie drugiego.

Kiedyśmy otrzymali tę wieść niepomyślną, ogarnął nas żywy niepokój. Co ona tam robić będzie w Hamburgu przez te dwa tygodnie, kiedy nie umie nawet Boga zawezwać w żadnym obcym języku? Oszuka kto, ograbi, a już że się nie wygody nacierpi, to pewna. Ale odpowiedź przychodzi jak najbardziej uspokajająca. Maryanna zupełnie się obcem miastem nie czuje zakłopotaną; co jej potrze-

ba, to pokaże na migi, a kiedy kto jej zrozumieć nie chce, czy nie może, natychmiast palcem stuka w swojego motyla, którego ciągle na piersiach nosi.

W porcie — pisze agent — wszyscy już ją znają. Są tacy, którzy usługują jej nawet bardzo pilnie, myśląc, że ten wielki, czerwony motyl, to znak jakiegoś stowarzyszenia, na które się ona powołuje z całą powagą. Nareszcie odbieramy wiadomość, że nasza Maryanna szczęśliwie morze przepłynęła i jest w Rio.

Zmęczoną była, przybladła, mitynki jej się zdarły, kapelusz wykrzywił, gdyż dla odznaczenia się od gawiedzi nie zdejmowała go prawie; chustka derowa zeskorupała od słonych wyziewów morza, ale strzępy czerwonego motyla jeszcze się na niej trzymały.

Pensylwańczyk był zachwycony. Takiej tegiej, przysadkowatej baby jak żyw nie widział jeszcze.

— Maryanna przyjechała! — pisał do Dąbrówki. — Nader silnie tłusta i dobra!

Istotnie Maryanna była wyborną służką; prała zwłaszcza znakomicie i tylko zbyt wiele zużywała farbki. Instynkty jej kolorystyczne były niepohamowane w tym względzie.

Nigdy też nie można było przewidzieć, czy jej „lazuurku“, jak nazywała, zbraknie, czy nie braknie.

Najczęściej wszakże brakło. Wycierała wtedy ręce w fartuch i nie pomyślawszy nawet o tem, że słowa po portugalsku nie umie, po lazurek biegła.

Po chwili wracała zdyszana.

— Gdzież to Maryanna była? — pyta pani.

— A toż po lazurek latała!

— No i cóż?

— A nic! kupiła!

— Jakże? przecież Maryanna nie umie się rozmówić?...

— I... co to nie umie! Idę do kramu, powiadam, coby mi lazurku dali. Powytrzeszczali na mnie oczy i nic. Tak ja jeszcze głośniej! A oni do siebie: czego ta głupia baba od nas chce, kiedy my jej nie rozumiemy?

— Jakże Maryanna mogła wiedzieć, co oni mówią?

— Albo to co wielkiego? Takiemu ta barabaszowi po oczach dość spojrzeć, to się i wie, co gada.

— No i cóż się stało?

— A nic! Co ja tu, myślę sobie, będą stała i medytowała, a tam mi woda stygnie. Obejrzę się, spojrzę, leży papier niebieski od cukru. Łap ja za on papier, rekaw od koszuli wyciągam, jedno do drugiego przykładam i mówię: tego do tego!

— No i zrozumieli?

— Co nie mieli zrozumieć! Przecieżem im wyraźnie po polsku mówiła!

Pewnego wszakże razu wraca Maryanna rozmarzona jakaś. Małe jej bure oczki mniejsze się jeszcze wydają niż zwykle, usta wdzięcznie zasznurowane, spojrzenie melancholiczne. Jest przytem małowówna i z partesu stapa.

— Co to Maryannie? — pyta pani — Czy nie chora przypadkiem?

— I... nie! — odpowiada z pozorną obojętnością, cedząc słówka przez zęby. Tyła, co mi się tam jeden obświadczył.

— Co? Kto? Jak? Gdzie?

Maryanna czuje się nieco zdziwieniem tem dotkniętą.

— A gdzieżby? Jużci że na półimperyału!

Na wsi jeszcze słyszała o półimperyalach i nazwę tę stosowała do górnych miejsc na tramwaju. Mówi to zresztą takim tonem, jakby imperyal umyślnie był zbudowany dla miłosnych gruchań.

— Jakże to było? — pyta pani mocno rozciekawiona.

— A cóż? Siadam na półimperyała, patrę, niedługo siada przy mnie jeden czarny. Usunęłam koszyka, coby mi się o niego nie zmurzył, i nic, siedzę. A ten mi się przygląda z jednej strony, z drugiej strony, z trzeciej strony, z czwartej strony. Tak ja do niego: I cóż ślepie wytrzeszczasz, baranie jeden, kiejby ryba w garnku? Zara mu się to spodobało, rozśmiał się i pokazuje na mój pierścionek niby czy ja żeniata, czy nie? Tak ja rekę na płask i do ziemi, że to niby już kaput, żem

wdowa. Tak i on pokazuje do ziemi i na swój pierścionek, niby że to i on wdowiec. Westchli my sobie oba, niby k'woli żałości, a tu słońce tak piecze, że się ślina na języku gotuje. Tak niedługo ów czarny bierze mnie za rękę, na swojej kładzie, chustki dobywa i owija, a w oczy mi patrzy. Niby, coby nas ksiądz stułą powiązał. Ale ja zaraz zaczęła kręcić głową, boś to podobno pogany, choć też i chrzczone; skórę a to mają taką grubą, że się tego chrzest święty, jak należy, nie ima, tyle co woda spłynie po tem, jak po kacze, a do tej duszy to się ta nic z tego obmycia z grzechów nie dostanie. Zaraz też zaczęli pisać, coby my z półimperyała złazili, więc mi tylko jeszcze koszyk podał i kaźde my w swoją drogę poszli!

Niemniej chodziła Maryanna przez resztę dnia zadumana, i nazajutrz także była jakaś nieswoja. Młoda pani myślała, że to żal mimowolny za porzuconą okazją szczęścia. Ale nie był to żal. Było to preludium do żółtej febrы.

Wybuchnęła ona u Maryanny z wielką siłą, ale jej nie zgryzła. Zdawało się zrazu, że kobiecina wieczora nie doczeka. Zdawało się wieczorem, że nie dożyje ranka.

Dożyła wszakże i otrząsnęła się z tej śmiertelnej zmary; długo tylko przyjsić jakoś nie mogła do siebie.

Wyżółkła, wychudła, osłabła, ręce jej się trzęsły, zamroki na nią szły, robocie żadnej poradzić nie mogła, choć się rwała do niej. Dzielną Pensylwańczyk byłby ją i taką cherlającą dla żony w domu trzymał, ale doktor zapewnił go, że Maryanna tylko w innym klimacie wyzdrowieć może zupełnie.

Znowu więc nie było rady: Maryanna wracała z za morza. Wyszukała gdzieś w głębi kufra resztki czerwonego motyla, przyspiliła go sobie do chustki i, ufna w ten talizman, z mężnem sercem na okręt siadła. Od pierwszej jej podróży upłynęło coś ośm miesięcy.

Zima była; wczesny zmierzch zapadał w pokoju, kiedy nagle stanęła przed nami Maryanna.

Wykrzyknęliśmy z zadziwienia współczucia: twarz jej była zmieniona, małe oczki głęboko zapadły, krępa, przysadkowata postać pochyliła się nieco.

— Maryanna! Co? Jak tam? Z takim drogi! Po takiej chorobie! Z takiego dalekiego kraju!

Myśleliśmy, że nas zasypie skargami na klimat, na ludzi, na żółtą febrę, na podróż.

Ale nie. Zbliżyła się tylko nieco i, kładąc głowę w swoim aksamitnym kapeluszu, który jej na kark zjeżdżał, a do którego przybyło zielone papuzie skrzydło —

— I!... rzekła wzgardliwie — cóż tam za kraj taki! Takiego ta kraju, proszę państwa — dodała tajemniczo — i liczyć się nie ma! Jakby nie był! Życia tam nijakiego! Twarożku nie uświadczysz, kaszki krakowskiej nie ujrzysz, śmietany nie u widzisz!... Jakże tam, proszę ja państwa, dobrze ma być, kiedy koło nabiątu chodzić nie umieją? Zrobili ta teraz rewolucya, ale gdzie to ta poradzi, kiei naród strasznie głupi. Prowadzi, ato, taki czarny krowę i dzwoni. Kto mleka chce, wylatuje z garnkiem, doł co mu potrzeba i p kramie.

— No, to dobrze właśnie! Mleko święte i nie fabrykowane.

— Ale! Gdzie ta, proszę państwa, do brze! Tam krowy takie pouczone, że odrazu mleko z wodą daje! Cóż ta już, to choć i rewolucya poradzi!

— No, ale kraj piękny?

— Phi!... Ja ta tej piękności nie widział! Juścić mają tam precz i lasy. Wisłę mają, ale że woda w niej, to się ta inaczej nazywa. Gdzie! człowiek takie imion i nie pamięta nawet. Okrutnie głupi naród! Wszystko het poprzekęcane, nie tak nie wołają jak należy, tylko na kądza rzecz ta sobie powymyśliali jako weś przezwiska!

— I jakże się Maryanna z nimi rozmawiała?

— A cóż to, proszę państwa! Czy ja dziecko, czy co? Nie dał mi to Pan Bóg mowy, jak należy?

— I nie bała się Maryanna tamtych ludzi... murzynów?

— Niby tych czarnych? A czego? Takiego ta kopciucha będę się ta bała! Lećciał ta raz jeden za mną na cegielniach pod lasem, obejrzę się, a ten fuzyę trzyma i krzyczy. Myślał, że na głupią trafił.

— I cóż Maryanna?

— A nic. Idę, a ten precz krzyczy i leci z oną fuzyą. Jak mnie też złość weźmie, jak nie zawinę jubki. Strzelaj durniu! mówię, kiej ci pilno!

Wybuchnęliśmy na to szalonym śmiechem.

— I co? I co dalej?

— A cóż! Złakł się i poszedł, jak ten pies po mydle.

— Ale choroba! Taka ciężka choroba!
— odezwał się ktoś z ubolewaniem.

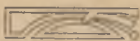
— I... cóż tam choroba! A to, proszę ja państwa — dodała tajemniczo — jeszcze jakem sobie trzy lata temu karty dała kłaść, to tam choroba już stała. Nic, tylko się trefle kładły... Nic, tylko precz trefle! To już ta sądzone było!

— A pani? A pan?

— Pani zdrowa, Bogu dzięki! Ale pan, co gadali u nas, że czarny je, to nieprawda! Piękny pan, ze wszystkim biały! Tylko powiadają, co jak się dziecko urodzi, to lebo jarzębate, lebo pasiate!

Takie są „wrażenia z Brazylii“ Maryanny.

Spisuje swoje Dygasiński, spisuje Hempeł, spisuje Siemiradzki, spisuje ks. Chelmicki, dlaczegóżby wrażenia Maryanny spisane być nie miały?



Odkrycie bieguną południowego.

Od wielu lat mżolą się geografowie całego świata nad odkryciem bieguną południowego, który choć łatwiej niż północny dostępny, mniej przecież jest znany badaczom, kierującym się głównie ku północy. Od r. 1900—1905 badało południowe okolice podbiegunowe pięć ekspedycji naukowych, z których jednak żadna nie może się poszczycić takimi rezultatami, jak angielska wyprawa pod kierownictwem porucznika Ernesta Shackletona, który w początkach sierpnia 1907 wyruszył z Anglii na pokładzie „Nimroda“.

Jak doniósł telegraf, porucznik Shackleton odpowiedział najzupełniej położonemu w nim zaufaniu i zdobył sobie najpocześniejsze miejsce między badaczami okolic podbiegunowych wszystkich czasów. Z zimowej kwatery Kap Royds przedsiębrano liczne wycieczki sankami, z których jedna, trwająca od 29. października 1908 do 4. marca 1909, dosięgła w dniu 9. stycznia 1909 r. 88° 23' południo-

wej szerokości geograficznej, znaleziono się więc zaledwie o 180 kilometrów od bieguną. Według nadeszłych od Shackletona relacji, okolica przedstawia się jako równa, łagodnie wznosząca się płaszczyna lodowa, która na najdalszym południu osiąga wysokość 3000 metrów nad poziom morza; przypuszczalnie na tej samej wysokości znajdować się powinien i biegun południowy.

Prócz tego odkryto południowy biegun magnetyczny, to jest miejsce, w którym igła magnetyczna przyjmuje prostopadłe położenie. Biegun ten, podobnie jak biegun północny magnetyczny, znajduje się na lądzie stałym pod 72° południowej szerokości i 154° wschodniej długości geograficznej. Dotarli do niego w dniu 16. stycznia 1909 geolog David z Sydney, zoolog Mackay i przyrodnik Mawson z Adelajdy.

Trzecia wyprawa sankami pod kierownictwem Mr. Arnytage'a prowadziła rozpoczęte przez porucznika Scotta w r.

1902 badania geologiczne zachodnich pasm górskich i znajdujących się tamże lodowców. Dotarto na szczyt wysuniętego najdalej na południe, a odkrytego w r. 1840, wulkanu Erebus. Wierzchołek jego wznosi się ponad 3900 metrów nad po-

ziom morza, a na szczycie znajduje się krater o średnicy 800 m., głęboki na 24 metr., który z wnętrza wyrzuca na wysokość 600 m. potężne chmury pary i gazów siarczanych.

Na stacyi, z której wyruszały ekspedycje



dycje i w czasie wypraw w głąb lądu stałego, połączonych z nadzwyczajnymi niebezpieczeństwami, przedsięwzięto ciągle badania naukowe, których rezultat przedstawia się bardzo poważnie i obudzi zapewne zapal do przedsięwzięcia dalszych kroków w tym kierunku. Znane z ofiarności społeczeństwo angielskie nie

poskapi materyalnej pomocy, a zachęcając przykładem Shackletona, wysłało wkrótce nową ekspedycję, która postępując wskazanymi drogami, dojdzie zapewne do samego bieguna, od którego obecnie dzieliła już tak nieznaczna tylko odległość.

Kraj rodzinny.

Uciekałem z Włoch, gnany niepokonaną tęsknotą za krajem. Jechałem dnie i noce, aż pewnego wczesnego dnia czerwcowego, przed wschodem słońca, o świcie, pociąg wyrzucił mię na małej pustej stacyjce w okolicach Piotrkowa — i odleciał z hukiem.

Byłem jakby wyrzucony z chaosu na samo dno ciszy.

Przejście było tak gwałtowne, że długą chwilę nie wiedziałem, co się ze mną stało, byłem jeszcze przeniknięty krzykiem pociągów, hałasem i ruchem tygodniowej jazdy szalonej; oglądałem się bezradnie, a przez mózg przewalały się słoneczne krajobrazy, góry, morza, rozwrzeszczane miasta, tysiące twarzy, tysiące przedmiotów, tysiące głosów — majaczyło się we mnie...

Szaro było i tak pusto, i tak cicho, że oprzytomniałem.

Poszedłem w ten przedświtowy mrok, w pola, na przelaj.

Mgły, jakby runami wełny pokrywały łąki, zboża jeszcze czarne stały cicho pochylone, w rosach całe, sennie; szaro-zielonawa kurzawa świtu przysłaniała śpiącą ziemię; pierwsze blaski zorzy rozświecały się na wschodzie i mżyły opalowymi pyłami.

Wszystko spało jeszcze.

Usiadłem na piaszczystej, wilgotnej wydmie pod lasem, nie mogłem iść, bałem się macić tej świętej ciszy zórz pierwszych, nie śmiałem budzić majestatu snu wiosennego...

Ogromny las stał za mną w niezgłębionej ciszy, słychać było tylko monotonne kapanie rosy i coś, jak oddech tych pni olbrzymich, zbitych w gęstwą, stłoczonych, jakby się wspierających w tem słodkiem odpocznieniu.

A przede mną nieobjęta równia szaro-zielonawa; chaos nieuchwytnych jeszcze zarysów drzew, wsi, pól i lasów — przez który snuły się jak wizya senna, ledwo odczułe zarysy rzeki — niby pas mgieł szklistych.

Ale świt już nadchodził.

Niebo zaczęło się oddzielać na wschodzie od ziemi wązkim pasem opali, przechodziło w róż i żarzyło się coraz bardziej, rozlewało, stawało się płynną purpurą, a potem olbrzymimi płomieniami rozlało się na horyzoncie.

I na ziemi uczyniło się jaśniej, z głębin szarych zaczynały wyrzynać się zarysy jakichś kościołów, wież, drzew, to aleja jakaś zarysowała się potężnym konturem, to wsie odrywały się czarnymi plamami z głębin, to strumień wyblysnął nagle z szarości lub szyba stawów zamigotała — cienie ustępowały jakby opony ściągane z ziemi zorzanymi palcami świtu, że coraz nowe wsie, domy, drzewa, drogi, pola wychylały się z próżni, stawały się, zaludniały ziemię — a horyzont wciąż się rozjaśniał, rósł, rozszerzał, rozpurpurzał i cofał, aż zginął w blaskach dnia, bo z pod zórz wychyliła się rozpalona obęcz i po chwili krwawe, bezrżęse oko słońca zawisło w przestrzeniach.

Budziła się ziemia.

Las drgnął, zaszemrał i pochylił korony ku słońcu, a z łąk i oparzelisk zaczęły bić mgły w górę, jak dymy z trybularzy. Stawy podnosiły powieki mgieł i sennem jeszcze zorzanem spojrzeniem patrzyły w niebo; zboża zachrząściły żdźbłami, poruszyły się sennie, że rosa jak grad różowemi perlami posypała się na ziemi. Strumienie zabulgotały i płynęły szybciej, radośniej.

Nad mokradłami czajki już chibotały białymi podbrzuszkami, kołowały i kwiliły, bocian zaklekotał nad stodołą jakąś i ciężkim lotem popłynął na żer, jaskółki świegotały pod strzechami, dzikie kaczkę krzyczały na oparzeliskach, a od wsi jakiejś jeszcze nie widzialnej płynęło po rosach rżenie koni.

Słońce szło w górę, dzień się zrobił zupełny, bo skowronki ze wszystkich pól zrywały się ku niebu i drżał w powietrzu ich hymn porankowy, a potem głos sy-

gnaturki leciał po rosach, dzwonił, budził, radował.

Szedłem zahypnotyzowany czarem tego wiosennego poranku. Zapomniałem już o Włochach, zapomniałem o sobie, zapomniałem o wszystkim — żyłem cudem tej ziemi, miałem wiosnę w sercu, i wszystkie te barwy, drżenia, śpiewy, zapachy, całe to przepiękne życie przyrody tętniło we mnie, było mną i ja byłem nim...

A ten wiosniany cud trwał i potężniał jeszcze.

Zaszumiały grusze na rozłogach i deszcz kwiatnych listków sypał się na trawy i chwiał na żdźbłach, jak motyle.

A słońce podnosiło się wysoko, było już na dwa, już na pięć chłopów i rozświeciło, rozżłociło świat cały.

Zapachniały sady, podobne do kwiatnych obłoków, zapachniały pola zielone, zapachniały łąki całe w kwiatów przepychu, zapachniała ziemia wczoraj zorana — i rozdzwonił i rozśpiewał się naraz świat barwami, życiem, radością, uniesieniem.

Wiosna śpiewała swój hymn tryumfu milionami głosów, i szła przez ziemię barwna, radosna, dobroczynna i święta.

O Święta! śpiewał chaos splecionych głosów polnych.

Święta! dzwoniły strumienie kryniczne, śpiewały niezabudki, niebieskimi oczami zapatrzone w toń migotliwą.

Święta! śpiewały żyta już w kłosach i szły całymi polami jakby ku słońcu i klaniały się rytmicznie, jakby w dziękczynnej modlitwie.

Święta! śpiewały kwiaty łąk, wiśnie we gaje, skowronkowe głosy, szumy borów, zapachy ziemi, brzęki pszczoł.

Święta! Święta! Święta! Dyszał cichy wietrzyk poranny i jak gospodarz tydzień pól nieobjętych, przebiegał je wzdłuż wszere — i gasił rosy, podnosił żdźbła, ocieżała, rozdmuchiwał grzywy zbóż, otrząsał kwiaty, targał miękkimi kochającymi ruchami maćkowe grusze po miedzach, gonił się z potokami, zwiewał kwiatów motyle — to tarzał się po drogach, wysuszał kałuże, to biegł w pola do uznojonych pracą ludzi, osuszał im czole i świstał im w uszy: Święta! Święta!

A potem przyszło południe upajające, potężne żarem — i obezwładniło życie na chwilę.

A potem słońce opadało zwolna ogromne, ciężarne jutrem i kładło się tam, za bory, za ziemie dalekie.

A ziemia rozszalała w potęgę istnienia, wezbrana sokami, nabrzmiała krzykiem radości — przycichać zaczynała sennieć...

I szło wszystko ku odpoczynkowi, ku ciszy wieczornych godzin, bo słońce zapadło zupełnie — świeciły tylko zorze ostatnie, i oczy stawów błyskały gdzieś niegdzie, a od wiosek ostatnie gwar drżały, beczenia owiec, gęganie gęsi, zgłębionych na pastwiskach, to śpiew pastuchów na łąkach leciał po rosach.

A potem mrok, cisza i senność.

Tylko bzy zaczęły mocniej pachnieć słowiki po gąszczach śpiewały czarowny hymn nocy wiosennej — hymn miłości.

Władysław St. Reymont



Marnowane skarby.

Zaprzęgaście bracia moi
Cztery konie siwe,
Pojeździemy, by dogonić
Me lata szczęśliwe,
A jak wy ich dogonicie
Na dębowym moście,
Proście, niech się wrócą lata
Choć na chwilę w goście.

— — — — —
Oj, nie wrócą lata młode
I daremne żale —
Prędzej, niżli Wisły wody
Płyną czasu fale.

(Z piosnek ludowych.)

Umieć żyć dobrze, jest to być człowiekiem i rozumnym i szlachetnym. Więc też od dawnych i najdawniejszych lat pracują ludzie nad tem, ażeby nauczyć żyć dobrze. A jednak ciągle, na każdym kroku mamy liczne tego dowody, iż ci i tamci źle czynią, błędzą, mylą się i marnują te wszystkie skarby, które życie z sobą przynosi.

A skarbów tych nie mało ginie i przepada, bez żalu i bez troski, ażeby je odzyskać.

Niech zginie jeden halerz, niech zgubi się kurczątka, niech snop jeden zboża zmarnuje się, już żalu i troski nie mało.

Ale gdy giną lata całe, gdy marnują się talenta i zdolności, gdy siły i skarby naszego życia zostają źle użyte i na marne pójdą, wtedy nikt nie płacze i nikt nie żałuje.

Każdy dzień naszego życia dobrze użyty, jest skarbem, mnożącym nasze szczęście. Każdy dzień naszego życia źle użyty, jest podeptaniem cennego skarbu.

Anglicy posiadają przysłowie bardzo mądre: „Żyć — to uczyć się! Dlatego też Anglicy uczą się, zdobywają świat, wszystkim innym narodom wskazują drogę, bo umieją ze skarbów życia korzystać.

My narzekamy ciągle i żalimy się, iż życie nasze biedne, smutne, w trosce o

chleb, o dach, o przyszłość naszych dzieci, a nie chcemy tego zrozumieć, iż wszystko zmienić na lepsze potrafimy, gdy będziemy umieli szanować te skarby, które życie daje.

Żyć, byle żyć, byle jeść, ubrać się, jako tako na chleb zapracować, jako tako zabawić się, jako tako oświecić się, to nie jest życie prawdziwe, ale lichy jego naśladownictwo.

Nie pożałujmy godzinki czasu, pogawędzimy o tem, jak żyć należy, ażeby skarbów nie marnować, lecz je zbierać i mnożyć. Gdyby kto powiedział kobiecie: idź grzebać w piasku nad rzeką, znajdziesz tam bardzo wiele koralu przepięknych, to onaby od świtu do nocy, na klęczkach, krwawiąc ręce i kolana, nie zważając na żar południa, ani na zimno mrozu, zbierała i szukała wśród tysiąca ziarn, byle jedną paciorkę koralu odzyskać.

Gdyby kto powiedział gospodarzowi: Idź przekopywać górę skalistą i kamienią, znajdziesz tam złotych groszy wiele, toby pracował i mozolił się wytrwale, zanimby odnalazł dukat jeden marny.

A życie przynosi stokroć większe i bogatsze skarby i dary jak paciorki koralu lub dukatów blaszki złociste. Życie wszystko co najpiękniejsze, najwznioślejsze, najcenniejsze stawia przed nami i po-

włada: bierzcie!... Lecz my nie umiemy zbierać, a potem, jak powiada piosenka ludowa, z płaczem wołamy:

— Niech się wróćą lata nasze młode! niech się wróćą owe dni, w których szczęście było przed nami, nie za nami!...

Lecz w tem właśnie największy smutek, iż życia chwili nikt nie wróci. I co zostało ze skarbów tego życia zmarnowane, już się nie znajdzie. I dlatego tylu ludzi jest nieszczęśliwych i tyle niedoli dookoła, iż ci, co żyć uczyli, nie nauczyli szanować darów największych, zdrowia — czasu — silnej woli i wytrwałości w pracy.

Są to podstawy, podwaliny życia dobrego.

Są to konieczne i niezbędne warunki do uchowania i mnożenia skarbów, które życie przynosi i rodzi.

Ażeby nie nudzić, będziemy się starali gawędę naszą o marnowanych skarbach, o ile można, w krótkości opowiedzieć.

Nie trzeba zaprzęgać czterech karych koni, ażeby gonić za zmarnowanymi latami, tylko trzeba zrozumieć, jak życiem kierować należy, ażeby ono skarby nam przynosiło, a nie zabierało.



Szlachetne zdrowie!
Nikt się nie dowie
Jako smakujesz,
Aż się zepsujesz!

Niektórzy ludzie własnymi
rękoma kopią sobie grób.

Skarb nad skarby, szczęście ponad wszystkie złudy szczęścia daje życie każdej jednostce, gdy zdrowie mu przynosi. Jeżeli dziecko na świat przyszło zdrowe — ma otwarte wrota do wszystkich skarbnic życia i czerpać z nich będzie mogło bez końca.

Lecz na nieszczęście, prawie od pierwszych chwil życia wszystko się ku temu przyczynia, ażeby zdrowie dziecka nadwyżyć i niszczyć. Matka wychowuje dziecko w brudzie i niechlujstwie, karmi je nieumiejętnie, bije w gniewie bezlitośnie, dzieci drugie je noszą niezręcznie, wy-

krzywiają młode kości, sąsiedzi poją w ką, krewni opychają niezdrawem i łaskami i tak dalej, i tak bez końca, tym przyczyn na to się składa, ażeby zdrowie zepsuć i skarb zmarnować.

Złe upowicie, wilgotne izby, niechlujstwo, bicie i przemęczenie dziecka, a nad jego siły, obżarstwo, łakomstwo, to także czyha na to, ażeby najrychlej życie młode z skarbu zdrowia obrabować i niby nędzarza na dalszą drogę puścić.

„Jeszcze nie zrobiono takiego pióra, ani ręki takiej nie wprawiono w piśmienie, która by była zdolna opisać, wiele ludzi nad tem pracuje, ażeby i sobie i drugiemu zdrowie odebrać.

A czyż zdrowie to nie skarb ponad wszystkie skarby i nie dar ponad wszystkie dary?...

Czyż dlatego, iż za te piękne, jasne zdrowe oczy nie zapłaciliśmy ani korony, nie szanujemy ich tyle, ile szanujemy gołębice na pastwisku, gdy każdemu dziecku bez kapelusza na głowie siedzieć godzi się, ażeby gęsi pasło?... Wszak w błasku nadmiernym oczy się psują, wzrok słabnie, skarb wielki się niszczy... lecz mniejsza o to, gęsi są warte po 3 korony, a sztukę, niech dziecko pilnuje.

Za oczy nie płaciło się nikomu, więc niech dziecko pisze zadanie przy kopce i przy lampie, bo szkoda wydać na dobrą lampę i na naftę czystą 4 korony... wzrok przy złym oświetleniu psuje się i niszczy!...

Tak samo w rozlicznych bywa wypadkach.

Za zdrowe płuca nie zapłaciło się jeszcze ani korony, ale za cielę można dostać 20 koron, więc niech Jasiek leci bez tchu w ten mroźny wichur, ażeby cielę schwycić, bo gdyby sąsiad obaczył je na ozimieniu, uderzy.

Za zdrowie dziecka nie zapłaciło się jeszcze ani korony, ale za buty trzeba zapłacić z pięć koron, więc niech do szkoły chodzi w śnieg boso, mniejsza o to, że kaszle i „dusi“ go nocami.

Myślą ludzie, iż takie wszystkie wy-

bryki nie zaszkodzą zdrowiu, gdy dzieci nie umierają zaraz. Jednak nie tylko to jest ciężką chorobą, co od razu śmierć sprowadza. I nie tylko to jest kalectwem, co od razu oczy oślepią albo ręce skurczą.

Zdaje się niejeden raz, oczy niby zdrowe i widzą, a jednak już one swej mocy siły nie mają. Zdaje się piersi zdrowe i ręce silne, a jednak już organizm nadwyreżony i skarb zdrowia okradziony. A

Jeśli tylko choroba wciskać się poczęła, wszystkie zdolności i talenta ludzkie słabną, wytrzymałość się zmniejsza i życie traci niezmierznie wiele z swej potęgi. Ludzie zdrowi i silni są wytrwali w pracy, mają pamięć zdolną do zdobywania wiedzy, wykonywują wielkie prace, usposobienie posiadają pogodne, nie lękają się trudów, są pożyteczni dla narodu i rodziny, sami siebie nie stają się ciężarem.

Nic zaś smutniejszego i boleśniejszego nad widok tych ludzi, którzy stracili skarb nieoceniony — zdrowie!!...

Gdy sąsiad sąsiadowi zaorze skibę na między graniczną, cała wieś oburza się i gniewa na nieuczciwy postępek. I sąd musi nakazać, ażeby tę skibę odorano, ażeby wrócono właścicielowi skarb jego kilka piędzi ziemi, ażeby sprawiedliwość znuwała nad własnością każdej jednostki. Ale gdy sąsiad sąsiadowi nie kilka piędzi ziemi, ale zdrowie jego zabiera przez to, iż go poi i do pijaństwa zachęca, wtedy nikt sądu w gminie nie wyprowadza, ani o powstrzymanie przed krzywdą nie woła.

Gdyby matka swą córkę wydziedziaczyła i ani jednego zagonu z swej ojcowizny na wiano nie dała, ani jednego sznura koralu nie odplotła z swoich bogactw, wszyscyby we wsi mówili: — skrzywdziła swoje dziecko! Ale gdy matka córkę swa biciem i przemęczaniem w pracy nad siły wydziedziaczyła ze zdrowia, to nikt nie powie: — krzywdę jej uczyniono.

Zdrowie jest skarbem. Ale skarb ten nie tylko do mnie należy, lecz także jest skarbem narodu i Ojczyzny. Czem więcej będzie w narodzie ludzi zdrowych i sil-

nych, tem będzie kraj bogatszy i szczęśliwszy, bo bardzo mądrze powiedział Ruskin, angielski pisarz:

— „Należałoby wpajać w ludzi przeświadczenie, że prawdziwe żyły bogactwa są czerwone, nie zaś złote, i istnieją nie w głębi skał, lecz w głębi ciał ludzkich“.

Bo też istotnie, siły ludzi cenniejsze i droższe są nad kopalnie i kruszce; ta krew, która porusza nasze serca, odżywia organizm tysiąckrotnie, jest cenniejszą od skarbów kamieni drogich i kruszców szlachetnych. Lecz byle jeden gwóźdź żelazny bywa dla nas nieraz cenniejszym nad zdrowie nasze własne i byle jaki grosz zdaje się nam więcej wart jak nasze lub naszych dzieci zdrowie. Chaty nasze jeszcze nie mają tyle światła słonecznego, ile potrzeba dla zdrowia ludzkiego. Nasz chleb i pokarm codzienny nie przynosi tych odżywczych soków, które są potrzebne do podtrzymania organizmu w zdrowiu. Nasza praca nie jest prowadzona w tym programie, który szanuje siły i zdrowie nie nadwyręża. Lecz co najważniejsze, nasze zabawy nie umieją być roztropnie prowadzone tak, ażeby zdrowiu nie szkodziły, lecz owszem, pomagały.

Są tacy, którym się zdaje, iż gdy zdarzy się sposobność do zabawy, to już o wszystkim w świecie wolno zapomnieć, byle się bawić, jak to mówią: „na śmierć“, „na umór“!... I nigdy ludziska tyle siły życia nie marnują przy pracy, ile tracą przy zabawie. Jak wesele we wsi, to już wesele bez miary, bez końca, bez rozwagi, aż się trunkami ciała spali, aż się po pijanemu pobiją i pokaleczą, aż bez pamięci i przytomności znajdą się gdzieś w rowie, albo w szynku pod ławą! A potem matka chodzi stroskana i powiada:

— Urzekli mi syna jak družbowiał, uroki mu przez zazdrość zadali, dusi go nocami, dychawicę dostał.

Zmarnowany skarb zdrowia za jedno wesele, toż to strata nigdy nie zwrócona

i już nie odzyska się dawnej siły i już żyć jak kosa podcięte...

Każdy przyzna, iż człowiekowi roz-
weselenia i pociechy w życiu trzeba. Ka-
żdy rozumie, iż zabawa jest potrzebna, ale
trzeba umieć zachować miarę. Przede-
wszystkiem zaś należy już o tem wie-
dzieć, iż do wesolej zabawy i przyjem-
nego wypoczynku nie potrzeba koniecznie
napoju.

Już czas, byśmy umieli się żenić bez
beczek piwa, chrzcić dzieci bez wódki,
grzebać umarłych bez szynków i żyć
bez trucizny, wlewanej kropla po kropli,
kieliszek po kieliszku.

Czas już, byśmy w dzieciach naszych
umieli szanować te ogromne skarby, któ-
rymi mogą kraj i naród uszczęśliwiać,
a więc dlatego strzegli te dzieci od
wszystkiego, co może ich zdolności osła-
bić, siły nadwyrężyć i życie im skrócić.

Powiadają, iż w Chinach kto chory,
płaci karę za to, iż swego zdrowia nie
umiał szanować.

My wszyscy, którzy nierozważnie
i lekkomyślnie zdrowie nasze nadwyrę-
żamy, powinniśmy być karani, bo mar-
nujemy skarb pożyczony i na pomnoże-
nie, a nie zatracenie nam oddany.

Nie wolno mówić lub myśleć:

— Co komu do mego zdrowia, mej
chaty, jedzenia, pracy i zabawy?...

Owszem! Każdy w Ojczyźnie ma pra-
wo czuwać nad tem, ażeby ludzie mieli
zdrowe i jasne mieszkanie, posilny i czy-
sty wikt, aby praca im sił nie niszczyła,
a zabawa i swawola nie zabijała ludzi.

Szlachetni i wielcy wśród narodów
byli właśnie ludźmi takimi, którzy nie
zmarnowali sił życia na marne zabawy,
na pijatyki bezwstydne, na bicie się z są-
siadami lub na przesiadywanie w więzie-
niach, ale siły zdrowia i życia nieśli na
pożytek Ojczyźnie i narodowi.

Opowiadają (w pewnej bajce), iż był
młyn czarodziejski, który miał moc prze-
mieniania starych w młodych i przez to
wyracał znowu falę życia wstecz. Ludzie,
którzy przechodzili przez ten młyn, wy-
chodzili dziećmi i zaczęli żyć na nowo.

Więc pewna staruszka nad grobem sto-
jąca, przyszła także do owego młyna
i rzekła:

— Chcę być młodą i żyć na nowo.

Człowiek, który kierował młynem, ka-
zał usiąść staruszce, za chwilę przynioś
długi zwój papieru i rzekł:

— Musisz się podpisać.

— Czy to rachunek, wiele zapłacę za
odmłodzenie?

— Nie! to jest spis wszystkich twoich
szaleństw, które spełniałeś w życiu. Mu-
sisz jeszcze podpisać się na to, iż wszyst-
kie te same szaleństwa na nowo będziesz
wykonywała.

— Ależ ja nie byłam szaloną! Ja ży-
łam roztropnie!...

— Tak każdy sądzi, kto nie pozna ży-
cia swego dobrze. Od 16. roku do 30. przy-
pada najmniej dwa szaleństwa na jede-
dzień, z wyjątkiem niedzieli, bo wtedy
dwa razy tyle.

— Lecz teraz będę żyła inaczej...

— Kto chce żyć drugi raz, musi to sa-
mo wszystko powtórzyć, co czynił po-
przednio, inaczej życie się nie wróci.

— Nie wróci? — powtórzyła staru-
ska — więc nie chcę żyć drugi raz, gdy
mam tyle omyłek popełnić...

Niejeden z nas, gdyby jak w owej ba-
jce, miał przejść przez próg młyna czar-
dziejskiego, a wiedział, iż znowu ty-
ko zapłakał nad przeszłością i rozżalił się
tęsknie nad tem, iż go lepiej żyć nie
czono.

Ale co w baśni wydaje się nieprawdą
podobnem, bywa prawdą w życiu. Kto
chce poprawić życie i jego skarbów
marnować, ten w każdej chwili może
zacząć żyć rozumnie i rozważnie.

Oświata przychodzi z pomocą, nauka
wyjaśnia wiele prawd, doświadczenie
przestrzega i uczy.

Tylko trzeba chęci i woli.

Na progu życia znachodzi człowiek
bryłę najczystszej marmuru, a przy ni-
m długi. Trzeba zacząć pracować. Marmur
to czas, długi to praca. Jeden z marmuru
tego rzeźbi jakoby najpiękniejszy posąg.

aniola, drugi nędzną jakąś chatę z tego skleci. Jeden zniszczy marmur i rozbije go na drobnego piasku kawałki, inny stworzy dzieło, zachwycające wszystkich... Owa bryła marmurowa to czas, dłużej przetrzymuje niż złoto i srebro i pracownikami. Marnujemyż ów skarb czyli szanujemy go i używamy tak jak należy? Wieleżby, wieleżby tomów można napisać o tem, co z dobrego użycia czasu uzyska ów człowiek, który szanuje każdą chwilę. Lecz dziesięćkroć więcej znajdziemy smutnych przykładów na przedstawienie obrazu tych strat, które ludzie ponoszą przez marnowanie czasu.

Nie jeden pracuje i pracuje od rana do nocy, a z mozołu jego mniejsza korzyść od pracy drugiego człowieka, który robi umiejętnie, zręcznie i wedle planu.

Marnujemy czas dla wielu rozlicznych przyczyn.

Lecz najwięcej skarbu tego idzie na darmo przez to, iż nie staramy się o to, ażeby drobne zajęcia wykonywać w najkrótszym czasie i nie powstrzymujemy się przed gadulstwem.

Rolnik na zaoranie niwy zużyje tyle samego czasu, ile go straci na naprawianiu dyszla, gdy wiąże dyszel złamany starym powrozem, a kilka razy psującą się rzecz, niedbałe lata.

Gospodyni na uszycie koszuli zużyje tyle czasu, ile go straci przy studni na gadaniu z kumoszką o tem, co wczoraj od sąsiadki słyszała.

Dziewoja zmarnuje wiele godzin na niedbałym cerowaniu bielizny, a zyskałaby wiele, gdyby umiała uczynić to porządnie i starannie.

Tak u nas na każdym kroku spotyka się przykłady tego, iż niby pracujemy, a jednak w pracy tej więcej jest marnotrawstwa czasu, jak korzyści istotnej. Są narody, które mają kraj uboższy od naszego, a jednak nie znajdziemy tam tylu ludzi ubogich, ilu jest u nas. Umieją tam ludzie mnożyć pracę przez to, iż co wykonają, to uczynią dokładnie, szybko i na czas.

Nic tak czasu nie marnuje i nie pożera,

jak to poprawianie roboty źle wykonanej, jak owo spażnianie się z pracą tą lub tamą, albo wykonanie niedbałe i liche.

Pewien pisarz zestawiał takie porównanie:

— Kowal z żelaza za pięć dolarów robi podkowy, za które bierze dziesięć dolarów. Nożownik z tej samej wartości żelaza robi noże i otrzyma 200 dolarów. Fabrykant taką samą ilość żelaza za 5 dolarów przerobi na igły i dostanie 6.800 dolarów. Zegarmistrz z żelaza za 5 dolarów zrobi włoskowate sprężynki do zegarków i otrzyma 2 miliony dolarów, czyli 60 razy więcej, aniżeli warte złoto tej samej wagi!

Cóż więc przynosi to zwiększanie się dochodu i zarobku, jeżeli nie umiejętniejsze zużytkowanie materiału w pracy dobrze prowadzonej? Im lepiej kto umie pracować, tem lepiej zużyje każdą chwilę pracy, a im mniej my jesteśmy uzdolnieni do prac naszych, tem robimy gorzej, powolniej i więcej czasu zmarnujemy.

Lecz ażeby umieć pracować dobrze i każdą chwilę zużytkować, a nie marnować, trzeba zrozumieć, czem jest chwila czasu.

W Ameryce do księgarni przyszedł raz młody mężczyzna i wybrał sobie książkę do czytania. Pyta więc:

— Wiele ta książka kosztuje?

— Dolar!

— Czy nie może pan zniżyć ceny? Nie może pan oddać tej książki za tańsze pieniądze?

— Teraz będzie ta książka kosztowała dolara i ćwierć.

— Dlaczego?

— Bo musisz pan zapłacić za czas, który tracimy niepotrzebnie na targowaniu się.

— Jakże być może, ażeby teraz drożej płacić?

— Teraz książka kosztuje półtora dolara.

— Co pan mówi? Wszak cenileś przedtem jednego dolara?

— Każda chwila czasu jest drogocenna,

my nie mamy czasu wolnego na próżniacze targowanie się.

Owym księgarzem rozumnym był Franklin, znakomity mąż stanu i uczony badacz przyrody. Umiał on czas cenić, więc ani jednej chwili tego skarbu nie zmarnował. Ojciec Franklina był ubogi mydlarz, miał 16-cioro dzieci. Benjamin, najmłodszy, własną pracą i nauką wytrwałą doprowadził do tego, iż się stał jednym z najślawniejszych ludzi w Stanach Zjednoczonych.

Jedna godzina dziennie uratowana, wieleż może nam pomnożyć czasu, tego skarbu drogiego i cennego!! Jedna godzina dziennie, to znaczy 365 godzin w roku, to znaczy 3650 godzin przez lat dziesięć, czyli blisko rok zyskanego czasu, bo gdybyśmy liczyli 12 godzin dziennej pracy, to nam przybywa 4180 godzin... Zyskać jeden rok i mieć sposobność ze skarbu korzystać, toć przecie rzecz bardzo pożądana, a jednak my nad tem się nie zastanawiamy.

Godzina dziennie, to można przeczytać w jednym roku 7000 stron, czyli 18 grubych tomów. Godzina dziennie, to 1095 godzin w trzech latach, a gdybym zdołała w jednej godzinie jakie ubogie dziecko nauczyć pisać jedną literę, wieleż w tysiącu godzin zrobić bym mogła?... Jedna godzina dziennie, a może człowiek nieznany stać się sławnym, nieuczony może się wykształcić, ubogi może się wzbogacić!...

W Anglii znakomitym mężem stanu, ministrem i pisarzem był niejaki Gladstone. Ogromnie wiele on pracował, zdumiewali się ludzie nad jego umysłem bystrym i wyrobionym, a wiecie, jak on czas szanował? Oto zawsze miał w kieszeni książkę, ażeby czytać, jeśli tylko jedną chwilę wolną znajdzie.

Był jeden kamieniarz, który w chwilach wolnych zbierał motyle. Po jego śmierci znaleziono najwspanialszy zbiór motyli i oddano do muzeum, ażeby ludzie podziwiali piękno przyrody.

Pewien włoski uczony napisał na drzwiach swego domu: „Kto tu wejdzie, musi ze mną pracować“. Dobrzeby było

na drzwiach naszych chat i mieszkań pisać: — „Szanujmy czas!“

Nie dziwujmy się, że przykłady przytaczane, są brane z życia ludzi na obcych. Dowodzi to, iż u nas, wśród Polaków, mało właśnie spotyka się jeszcze ludzi tych, którzy umieją czas jako skarby prawdziwy szanować. My posiadamy wiele cierpliwości, wiele wytrwałości, i prawda, ale czasu nie umiemy szanować i inne narody nas w tem zawstydzają.

Szewc, Karol Frost w Ameryce, powiedział sobie:

— Godzinę dziennie muszę się uczyć

I sam, bez pomocy niczyjej zaczął się codziennie przez godzinę uczyć, a potem został najślawniejszym matematykiem w Stanach Zjednoczonych.

Cieśla, Jan Hunter, także Amerykanin, jako młody chłopak, zaczął w chwilach wolnych od pracy zbierać rozmaite okazy co do budowy zwierząt, miał później zbiór sławny i profesora przez 10 lat opłacał, ażeby 24.000 okazów uporządkować według planu nauki.

A kto wynalazł koleje żelazne i lokomotywy?

Oto maszynista, ubogi robotnik, spalacza w kopalniach węgla. Sam się uczył, sam pracował, sam też powiadał zawsze:

— Wolną chwilę chwytam jak złoto.

W wolnych chwilach od pracy przy maszynie uczył się matematyki, fizyki, mechaniki, i oto stworzył wynalazek, który milionom i milionom ludzi daje zarobek, ułatwia handel, zbliża oddalone przestrzenie, światy najdalsze czyni blizkimi!...

Wieleż my skarbów zmarnujemy wtedy, gdy stoimy pod karczmą i rozmawiamy o byle czem. A gdybyśmy przez ten czas słuchali głośnego czytania albo gdyby każdy z nas miał tak zawsze przy sobie jakąś mądrą i naukową książkę, nosił ją ów angielski minister, wiele byśmy rzeczy poznali i wiele się nauczyli?...

Ażeby nie marnować tego cennego skarbu „czasu“, należy wcześniej dzieci nakłaniać do pracowitości i w życiu do

powiem należy zaprowadzić taki ład, wedle którego każda praca musi być wykonana w swoim czasie.

Najwięcej marnują ludzie czasu na narpawianie źle użytych chwil. Gospodyni biega, krzyczy, gniewa się, szuka, woła, bo już gospodarz w pole jedzie, obiad nie ugotowany, klucza od komory znaleźć nie można, mleko się zwarzyło.

A wszystko dlatego, iż ona się trochę zagadała z Magdą kowalową, późno przyszła od studni, późno rozpałała pod blachą, późno ziemniaki oskrobała. Jedna godzina zmarnowana na dzień, to 360 godzin zmarnowanych w roku, i nie żał nam, i lży z ocz nam nie płyną, iż tyle złota w proch rozszypujemy.

A te dzieci nasze, na pastwisku przykute do gęsi i cieląt, czy to nie krzywdą im się dzieje? Czy to nie marnujemy im życia na próżniactwie bezlitośnem?

— Szkoda zapłacić pasterzowi 10 koron przez lato, niech Marysia pasie!

I tak pasie Marysia swoją krowinę, Jaga swoją, Zuzia swoją, i tak przy każdej bydlęcej istocie, jedna dusza ludzka marnieje, jedno serce ludzkie gaśnie, jedno życie młode psuje się i rani, bo nawyka do złego, a nie uczy się pracować jak należy.

Wam się zdaje często, iż dziecko jak dziecko, nie wiele umiejąc, nie wiele zrobić może. A w duszy dziecka każdego skarb nad skarby, miliony, klejnoty, cuda nad cudami, tylko je wydobyć, tylko wychować, tylko wykształcić, tylko zużytkować...

Tak piszą Anglicy:

— Gdy w fabryce płótna jedna niteczka się zerwie, wtedy psuje się ogromna tkanina i pracownicy każą płacić za szkodę. Któż zapłaci za szkodę tyłu chwil zmarnowanych, w których praca dzieci naszych była przerywana, płała tkaninę i psuła życia drogę?...

— Gdyby! o, gdyby!... — woła niejednen z żalem — gdybym był uczęszczał do szkół, gdybym był uczył się, gdybym był lat młodych nie strwonił!

Zapewne! Bardzo to boleśnie obaczyć, iż się zmarnowało wiele lat, ale kto za-

czyna poznawać błąd i winę, ten może jeszcze wiele poprawić i uratować. Zmarnowany skarb czasu da się odzyskać, tylko należy mieć silną wolę...

O niej, o woli naszej, teraz pogawędzimy.

* *

Madry filozof polski (Trentowski) powiedział:

— „Wolą różnimy się od zwierza, samowolnością stajemy się zwierzęciem“.

Trzeba się bowiem dobrze nad tem zastanowić, ażeby zrozumieć, co to jest wola nasza, a potem, ażeby ocenić, jakim skarbem jest silna wola.

„Wola jest matką wszystkich dobrych uczynków — samowola jest matką wszystkich złych uczynków“. Jeżeli jesteśmy samowolni, czynimy źle i sobie i drugim, marnujemy skarby ogromne, bo nie umiemy pokierować tak życiem, ażeby wszystko, co ono niesie, użyć dobrze i korzystnie. Przeciwnie zaś, gdy mamy wolę silną, posiadamy sprężynę, która naszą pracę ułatwia, przyspiesza i utrwala.

Wola ludzka to skarb, ale gdy jest dobrze użyty i dobrze kierowany. Lecz my — o wartości tego skarbu nie mamy pojęcia, a więc i nie umiemy go używać. My wiemy, iż mórg pola wart jest tyle i tyle koron, wiemy, iż z morga możemy zebrać tyle i tyle owsa lub żyta, więc mórg pola cenimy i szanujemy.

My wiemy, iż maszyna ta lub inna wykonana to lub tamto, więc maszynę tę szanujemy, bo ona kosztowała 10—20—50 K.

Ale czem jest wola nasza, albo wola dzieci naszych, my nie wiemy, więc ani jej nie szanujemy, ani nie wyrabiamy. Nam się zdaje, że każdy rys woli, to jest samowola i dlatego chcąc dobrze wychowywać dzieci, karcimy i karzemy za to wszystko, co jest objawem silniejszej woli. My też wiemy dobrze, że i nam rodzice zakazywali wiele rzeczy, które szkodliwymi nie były, a przez to wolę w nas łamano.

Nieźmiernie to trudna rzecz odróżnić, kiedy chęć tego albo pragnienie tamtego

jest objawem silnej woli lub samowoli. Nie da się rzecz taka w jednej krótkiej pogawędce określić bardzo dokładnie. Potrzeba czytać książki o wychowaniu i zaznajamiać się z dziełami o życiu duszy ludzkiej (psychologii). Na razie pragnę tylko na to zwrócić uwagę, iż my sami swojej własnej woli nie umiemy ocenić i nie znając siły tej woli, nie umiemy nią kierować.

— Chcieć, to znaczy módz!...

A więc trzeba chcieć wiele, wtedy będzie można wiele zdziałać, zdobyć i wykonać!...

A my tak po staremu, wedle naszego przyzwyczajenia:

— Gdybym mógł, zrobiłbym to!

— Gdybym mogła, miałabym tamto!...

Nam się zawsze zdaje, że inni ludzie mieli łatwiejsze życie, iż im wszystko składało się na pomyślność, a nam każda rzecz nie uda się, bo nam już „przeznaczenie” inaczej drogę zakresliło.

— „Pod nieszczęśliwą gwiazdą” urodziłam się — powiada kobieta i narzeka, iż rady dać nie może w domowych obowiązkach.

Lecz to nie „nieszczęśliwa” gwiazda winna, tylko słaba wola, zmarnowany skarb woli silnej, chwiejność i niestałość, sto rzeczy się zaczyna i sto rzeczy nie kończy się!

Znakomity angielski pisarz „Walter Scott” miał już lat 55, gdy się przekonał, iż ma ogromne, straszne długi. 600 tysięcy dolarów był winien. Postanawia wtedy:

— Muszę je spłacić, do końca życia muszę je spłacić!...

Postanowił i spłacił... Urodzony w roku 1771, 55 lat miał w roku 1826, umarł zaś w roku 1832, a więc...

A więc w sześciu latach spłacił 600 tysięcy dolarów długu.

Zawołano pewnego cieślę do naprawy ławki w sali sądowej.

— Dlaczego tak bardzo starannie tę ławę naprawiasz? — pyta go woźny.

— Chcę, ażeby ona tak długo trwała, aż ja na niej jako sędzia zasięde.

W kilkanaście lat później na tej samej

ławie zasiadł sędzia-cieśla, który złożył wszystkie egzamina i otrzymał posadę sędziego.

A czy w historii narodu naszego nie znajdziemy ogromnego zastępu ludzi tych, którzy właśnie silną wolą pokonywali wrogów, wstrzymywali waśnie i rozterki, dźwigali ducha wyżej i wiedli pokolenie swoim przykładem?... Czyż taki Łokietek miał silną wolę nie wydzwignąć kraju z zameczków i podziałów?... Czy Kazimierz Wielki jakkolwiek, który Polskę murowaną zostawił, nie silną wolą doprowadzał do tego, co nas zapisało imię Wielkiego wśród serc polskich?... Wszak weźmy pod uwagę, glębość, męstwo, bohaterstwo, odwaga, to wszystko są objawy silnej woli, a więc czyż nie słusznie mogą ci narzekać, którzy widzą, iż teraz ludzi mężnych, odważnych i bohaterów coraz mniej, bo coraz mniej woli żelaznej?...

Marnujemy skarb i jesteśmy ubodzy.

Marnujemy skarb i jak nędzarze łachmanach, zamiast w królewskich szatach chodzimy.

Nie umiemy wyrabiać w sobie i w naszych dzieciach silnej woli, więc życie nasze ja bez czynów podniosłych i bez pożytków na szczęście i dobro narodu.

Zaczęliśmy syna dawać do szkół. Zamiary były dalekie i cel piękny, ale gdy trzeba było dać na książki kilkanaście kopien i na opłacenie nauczyciela do pomocy kilka koron, pożałowaliśmy wydatku. Jakiś wrócił do krów i plan daleki spadł na ziemię.

Gdzież była siła woli?

Chcieliśmy założyć we wsi szkoły wyższą, ażeby się dzieci dależej uczyły. Aż gdy należało zrobić ofiarę, wybudować budynek, dać pola kawałek, pożałowaliśmy i oto niech będzie jak było, silna wola jak pajęczyna rozwiała się.

Lecz inni wolę miewali jak stal i dąb, chodzili tam, gdzie my dojść nie umiemy.

600 mil piechotą przez gęste lasy szedł biedny człek do Nowego Jorku, ażeby tam znaleźć pracę. Kilka tygodni chodził, pukał do domów i fabryk, prosząc o pracę, ale nigdzie nie mógł jej znaleźć.

Dowiedział się wreszcie, że w pewnym

drukarni potrzeba zecera do składania liter.

Zgłosił się i stanął do pracy, której wykonać nie umiał. Pierwszy dzień robota szła licho, chciano go oddalić. Silna wola pokonała trudności. W dziesięć lat później ów robotnik już był współwłaścicielem drukarni, założył najlepsze pismo w Nowym Jorku, w sześciu tygodniach miał już 11.000 prenumeratorów...

Czyż więc nie umiał on użyć skarbów, które miał dane w życiu?...

Czyż ci wytrwali ludzie nie mieli tego samego skarbu, który my mamy?...

Oto jakże my biedno i chwiejnie wyglądamy z naszemi skargami:

— Trudno! nie można!...

Biedny cieśla pracuje razem z swoim synem. Robota jest pilna.

— Czy nie mogę jutro być wolnym? — pyta cieślę syn jego młody.

— Cóż za sprawa ważna? Dlaczego chcesz spoczynku?

— Nie, ojcze! nie chcę spoczynku, lecz muszę zdać egzamin wstępny do wyższej szkoły.

— Egzamin? W dalekiem mieście? Ależ mój synu, ja nie mam za co ciebie tam utrzymywać, ja nie mogę ci dopomagać w nauce.

— Będę tu we wsi pracował, będę się w wolnych chwilach uczył, a tylko na egzamin pójdę do miasta.

Na drugi dzień rano poszedł pieszo dziesięć mil do miasta, złożył egzamin bardzo dobrze, wrócił do wsi i sam się ucząc, przeszedł wszystkie klasy.

Do nauki potrzeba mu było wiele książek. Ojciec na to grosza nie miał. Chłopak więc wstawał rano, zbierał poziomki, sprzedawał, za to kupował książki.

Był to Teodor Parker, znany zaszczytnie uczony.

Jakież skarby pomogły mu w pracy mozolnej i długiej?...

Miał tę samą siłę, którą każdy z nas w duszy posiada, lecz umiał ją użyć, miał wolę i jej nie stąpił, nie zgłuszył, nie zmarnował.

A czy ci nasi dzielni żołnierze, którzy pod Dąbrowskim w legiony się zapisy-

wali i cudów dokazywali w walkach pod Napoleonem, nie silną wolą rośli w bohaterów?...

A czy u Kościuszki, Głowackiego, Kiłińskiego nie siła woli stwarzała te czyny, którymi karty historii jaśnieją?...

A czy Brodziński nie siłą woli szedł naprzód w nauce, gdy rozmaite przeszkody tamowały drogę?... A ksiądz Kordecki nie siłą woli doprowadził do tego, iż Częstochowa została uratowana?...

Moc nad moce, potęga nad potęgą tkwi w naszej woli, tylko trzeba umieć nią władać...

Siła woli może być skierowana ku dobru lub złemu celowi. Tak samo, jak ów zany młodzieniec dąży do zdobycia wiedzy i siłą woli pokonywa trudności, tak samo nieuczciwy człek dąży do zdobycia majątku drogą oszustwa lub kradzieży, a pomaga mu w tem siła woli.

Dlatego trzeba czuwać i pracować nad tem, ażeby wyrabiać w dzieciach charakter i żeby człowiek umiał osądzić, co jest celem dobrym, a co celem złym.

Każdy człowiek musi mieć przed sobą wytknięty jakiś cel, do którego dąży. Im są ludzie szlachetniejsi, tem piękniejszy cel życia przed sobą widzą.

Zmarnujemy skarb wielki, gdy nie zwrócimy woli naszej ku celom dobrym. A te cele dobre, szlachetne, jasne, promienne zbliża oświata.

Dlaczego człowiek nieoświecony kradnie? Oto dlatego, że nie widzi w swoim czynie brzydoty zła. Dlaczego człowiek ciemny upija się i nie umie zachować miary? Bo nie widzi szlachetniejszego celu użycia pieniędzy.

Jeden gospodarz we wsi stara się i gorliwie nad tem pracuje, ażeby zachęcić innych do oszczędności, ażeby zaprowadzić kasę pożyczkową, ażeby czytelnię rozszerzyć i na chwile wolne znaleźć szlachetne rozrywki.

A drugi gospodarz powiada:

— Co mnie tam o innych się starać? Co zarobię, to mam, co z zarobionymi pie-

nieźmi zrobić, to moja rzecz, czy przepię, czy schowam, to moja wola.

Otóż właśnie powinno się nam o to rozchodzić, ażebyśmy poznali i zrozumieli, iż wola nasza nie może być samowolną, bo nigdy wola ta nie powinna zezwalać na złe, a zawsze dążyć do dobrego.

Im więcej wola nasza od nas samych się oddala, a ku dobru drugich zwraca się, tem szlachetniejszy cel życia mamy przed sobą.

Kościuszkę wolę swoją zwrócił ku temu, ażeby Ojczyźnie służyć. Dlatego stał się wzorem i ideałem człowieka szlachetnego.

Jeżeli ów człowiek wolę swoją zwrócił ku temu, ażeby kupować coraz więcej ziemi, cel ma dobry.

Lecz jeśli dwu jest takich, którzy starają się nabywać coraz więcej ziemi, a jeden kupuje dlatego, ażeby zbierać plony i grosz chować, zaś drugi kupuje dlatego, ażeby nie dać ojcowizny w obce ręce i dzieciom ją zostawić, to któryż z nich w celu swoim stanął wyżej?...

Jeśli dwu uczęszcza do szkół i znosi nie mało przykrości, bo jak powiadają i w głodzie i w chłódzie miesiące spędza, to wyteżają wolę swą do celu szlachetnego, zdobycia nauki. Ale, gdy jeden powiada:

— Uczę się, ażebym miał lepszy zarobek w rękę.

A drugi znów mówi:

— Uczę się, ażebym umiał lepiej dla Ojczyzny pracować.

To pierwszy, iż o sobie myśli i siebie za cel stawia, niższy jest co do wartości charakteru od drugiego, który pragnie być jednostką pożyteczną nie dla siebie, ale dla narodu i Ojczyzny.

Mickiewicz, król polskiej pieśni, powiada:

Mierz siły na zamiary,

Nie zamiar wedle sił!

W tych słowach jest wzniosła nauka i jest drogowskaz, chroniący od zbłądzenia.

My wszyscy powinniśmy stawiać

przed sobą cele i zamiary szlachetne, piękne i jasne, a wszystkim nam siła do osiągnięcia ich nie braknie. Bo w duszy każdego człowieka jest moc i siła ogromna, bo każdy z nas obdarowany jest bogato i hojnie, bo każdy ma skarby większe nad skarby w ziemi ukryte, lecz nie każdy umie z tych skarbów korzystać.

Gospodarz uważa za swój skarb wielki rolę, gospodyni uważa za swoje skarby korale i pieniądze, a ani jeden ani drugi nie rozważa, iż noszą oni w duszy swe skarby miliony.

Ani ojciec ani matka nie wie i nie rozumie, jakie skarby kryją się w sercach i duszach dzieci ich, wiele te dzieci mogą im przynieść szczęścia, sławy i pożytku sobie i narodowi.

Gdybyśmy ciągle i ciągle złoto chcieli mieć w rękę i złotem chcieli się otaczać — zabrakłoby go wkrótce.

Gdybyśmy żelazem chcieli się posługiwać i jego mocą się zasłaniać — przekonalibyśmy się, iż przecie rdza żelaza przegryza.

Gdybyśmy tylko w wielkich i wspólnych budowlach chcieli znaleźć chluby naszą, poznamy, iż i one wieczostrwały nie są.

Ala gdy pracujemy nad tem, ażeby wyrabiać w nas i w dzieciach naszych charakter prawy i szlachetny, wtedy siła woili naszej skierowana jest ku celom dobrym i życia droga nie mija jak lot ptaka bez śladu.

— Chciałbym uczynić coś dobrego i pożytecznego w gminie i we wsi, ale nie wiem, jak się nie wiesz. Ludzie nie chcą pomagać, każdy woli przeszkodzić, jak pomódz.

Tak mówi niejeden i żali się, że jego chęci i zamiary nie łatwo wykonać się dadzą.

— Jaby rada pracować lepiej i chacie i wśród dzieci — rzeczy znów gospodyni — ale u nas więcej tylko będzie wyśmiania i wydrwiwania, aniżeli pomocy. Byle co zrobić inaczej jak robią imy we wsi, a już cała wieś wydrwi i osądzi.

iz to wszystko „nowomodne“, że chcę sławy i pychy.

Przez takie oglądanie się na ludzkie sądy i zdania marnujemy ogromne skarby — dobre chęci!...

Powiada wprawdzie stare przysłowie, iż „dobremi chęciami piekło brukowane“, ale bez dobrych chęci nic dobrego się nie wykona.

Ludziom nie brakuje chęci, ale im brakuje wytrwałości. Nie ten jest bohaterem, kto zaczyna walczyć z wrogiem, ale ten, kto wytrwa i zwycięży. Nie ten jest wielkim człowiekiem, kto chce uczynić coś bardzo pożytecznego i wielkiego, ale ten, kto wykona czyn taki, przez który ludzkość do szczęścia się zbliża.

Gdyby tak wszyscy, zawsze za najpierwszą przeszkodą ustawiali w zamierzanej pracy, byłibyśmy dziś jak przed tysiącami lat, ludźmi bez oświaty i postępu.

My dziś korzystamy z tysiąca wynalazków i zdobyczy naukowych tych, którzy pracowali mozolnie i wytrwale, a czyż nasze syny i wnuki po nas nie odziedziczą nic więcej nad to, co my po praojcach dostali?

Marnujemy skarby, gdy wytrwałości nie posiadamy i dzieci nie przyzwyczajamy, ażeby w wytrwałej pracy szły naprzód.

Zwycięstwo bez trudności nie jest bohaterstwem, dlatego nie nazwie nikt tego bohaterem, kto bezbronnego pokona.

Wytrwałość nie byłaby cnotą wielką, gdyby nie polegała właśnie na tem, iż musi pokonać przeszkody.

Czyż Sobieskiego bohaterstwo byłoby tak wielkie, gdyby on był nie wytrwał wśród walki pod Chocimem, gdzie 30.000 naszych miało stanąć naprzeciw ogromnej liczby Turków?...

Czy bohaterstwo ludu naszego pod Racławicami byłoby tak zapisane w pamięci narodu, gdyby lud ten był nie wytrwał w ogniu kul?...

A czy tylko w krwawym boju wytrwałości i męstwa potrzeba?... Musimy zwyciężać codzień rozliczne przeszkody i trudy, ażeby zwyciężyć zasługą życia całego.

Skarb nad skarby, klejnot nad klejnoty, naszej woli siła. Powiedzieć sobie: — chcę! i dojść do celu, oto znaczy umieć żyć...

Daleko, daleko, w dzikich lasach Ameryki żyła wdowa bardzo biedna. Skarbem jej całym był chłopczyk 18-miesięczny. Życie niema z czego, dziecka niema czem karmić, zarobić niema gdzie i trzeba jeszcze ciągle troszczyć się o to, ażeby chłopczyny dzikie zwierzęta nie pożarły.

Uboga wdowa powiada sobie:

— Chcę wychować dziecko tak, aby mu było w życiu dobrze.

Całe życie swe zwraca wdowa ku temu, ażeby wyrobić u chłopca energię i silną wolę.

Gdy Jakób miał lat 16, zgodził się już do poganiania mułów. W rok potem zgodził się już do zmiatania podłóg w wyższej szkole w mieście wielkiem. Lecz gdy podłogi pozamiatał, chwycił książki do rąk, uczył się, uczył, uczył bez wytchnienia. Złożył egzamin i zaczął chodzić do wyższej szkoły tak przygotowany, jak gdyby od lat najmłodszych był pod opieką nauczycieli. W nocy u cieśli heblował deski i za to otrzymywał wynagrodzenie.

Uboga wdowa widzi syna już jako ukończonego akademika, w parę lat potem jest on już w senacie, a oto wreszcie zostaje prezydentem Stanów Zjednoczonych, co się równa znaczeniu króla lub cesarza w niejednym państwie.

— Dziś mija lat 27, kiedym się zgodził do zmiatania podłogi w szkole wyższej — mówi Jakób Garfield do matki — dziś jestem prezydentem wielkiego narodu, a wszystko zawdzięczam tobie, boś mi wyrabiała w dzieciństwie silną wolę!...

Ale niestety, takich matek i synów takich nie wielu się spotyka.

Łamią się nasze cele, przy drobnych przykrościach.

— Poszedłbym na odczyt do czytelnicy, ale deszcz zaczyna, wolę spocząć w chacie.

— Chowałabym więcej kur, bo to się opłaca, ale trzeba ogrodzić sad i pilnować, żeby w polu szkody nie robiły.

— Można by zawiązać spółkę handlo-

wą we wsi i dowozić towary do miasta, ale łatwo spotkać się można z przykrością i niezgodą.

Tak my się boimy i tak zamiary i chęci łamiemy łatwo.

Kazimierz Brodziński, jako biedny chłopczyzna przecierpiał niemało w szkołach, kiedy mu wszystko po niemiecku kazano się uczyć. Gdy obaczył, jak przekupka polską książkę darła, ażeby poziomki wsypać, ukradł tę książkę i uciekł jak ze skarbem drogoceennym. Ten człowiek wszakże przetrwał wśród trudnych warunków i zasłynął jako pisarz polski, który pierwszy wskazał drogę pracy wśród ludu.

Mierz siły na zamiary!...

Jeśli zamiar tylko taki, aby zjeść, spać i ubrać się, to i siły tylko na taką drogę, z chaty do pola, z pola do karczmy... z karczmy do chaty...

A jednak jakże inni inaczej żyją!

— Z tym Tomaszem wieczne umartwienie i ciągły kłopot — rozpacza matka, bo malca odszukać nie może. — Ledwie zaczął chodzić, ucieka z domu, zbiera robaki, żaby, pijawki i wszystko to znosi do mieszkania.

— Wyzuć to wszystko! — woła z gniewem ojciec.

Ody ropuchy skaczą około stołu, ślimaki posuwają się po talerzu, myszy z kieszeni wyglądają.

Ale Tomasz Edward i bicie zniesie cierpliwie, i bez obiadu się obejdzie, i na nocleg w stajni się zgodzi, byle tylko zwierzęta wszelakiego rodzaju miał przy sobie...

Raz przywiązała go matka do stołu, ażeby nie szedł z domu, nie pomogło! Sznur przepalił, uciekł, wrócił w nocy i przyniósł całe pudło pajaków, pluskiew, robaków.

Matka schowała mu ubranie, on się wybrał w las w jakiejś starej spodnicy i znów przyniósł okazy rozmaitych zwierząt.

Oddano go do szkoły, ale i stamtąd wydalić Tomasz musiano, bo zamienił izbę szkolną w menażeryę. Podczas młotliwy w szkole, kawka z kieszeni Tomasz wydobyla się i skrzeczy wcale radośnie. Musiał się ze szkoły wynieść. Po jakimś czasie przyjęto go do innej szkoły. Zdawało się, że już będzie nieco lepiej. Lecz co się dzieje? Podczas lekcji chłopcy zaczynają skakać i piszczeć... pijawki im u nóg się powieszały, cała chmara pijawek po izbie szkolnej posuwa się.

Któż winien, jeśli nie Tomasz?...

Daremne wszelkie starania, takien urwisza w szkole nie chcą mieć, rodzice nie wiedzą, co z nim uczynić. Oddano więc dziecko do szewca i — zmarnowano.

W dziewięciu latach zgromadził Tomasz Edward z Aberdeen tyle okazów, iż sześć ogromnych wozów zabrać ich nie mogło. Biedak! Sprzedał to wszystko, ażeby mieć grosz na naukę, lecz i to kształcić się nie mógł, został szewcem. W życiu całe żałował, iż jako przyrodnik nie mógł zajmować się pracą, do której mu powołanie.

Podobnie jak rodzice owego Tomasz postępujemy i my często z naszymi dziećmi. Nie umiemy ocenić i uszanować objawów tych talentów, które rysują się wyraźnie i często jeszcze dziecko karzem surowo za to, iż ono bawi się tem, co mu najwięcej sprawia przyjemności.

Tam mały Jaś rysować pragnie. Nuda! dadzą mu ołówka i papieru, on węglik po ścianach chat rysuje konie, psy, ptaki. Biją chłopca jakby za największą przewinę, a nie zbadają, iż rysunki owe zdradzają talent wielki.

Tam znów chłopczyzna z deszczulek patyczków robi młyn, buduje most, stawia jakąś wieżę i znowu narzekanie ciągle karanie, ażeby odciągnąć od niepotrzebnej zabawki.

I znowu złamie się talent wybitny, zmarnują się siły i skarby ogromne, a my ani tego nie umiemy ocenić, czem są dla dziecka jednostek, ani straty nie obliczamy. Jaka przez to Ojczyźnie i narodowi w przyszłości.

Zdaje się nam, iż jeśli dziecko odziedziczy po ojcu kawał ziemi i gospodarzyć na nim będzie, nie może być czem innym, jak tylko rolnikiem i jako rolnikowi, innego wykształcenia nie potrzebujemy dawać nad to, jakie syn od ojca w praktyce otrzyma. Jednakże trzeba zrozumieć, iż nie to ma decydować, czem syn nasz będzie, czy my mamy mniej lub więcej pola, ale mają decydować jego zdolności i talenta. Syn szewca może mieć największe zdolności do gospodarstwa. Syn rolnika może mieć największy talent do handlu lub przemysłu.

A więc rada bardzo ważna.

Trzeba dzieci nasze kształcić i oświecać, nie mówiąc, czem one będą, a dopiero przy wykształceniu dzieci talenta ich wrodzone okażą się i wtedy wedle zdolności trzeba nimi kierować.

Ci, którzy znali rodziców Jana Matejki, opowiadają, iż nie cieszyli się oni tem, co Jasię ciągle rysował, a nawet do lakiernika chciano go dać, ażeby farbami się cieszył.

Cóżby się było stało, gdyby chłopak dał swój talent złamać? Byłaby Polska poniosła ogromną stratę, byłby skarb, geniusz wielki utonął i zginął.

Niejedną raz mówią rodzice:

— Co tam talent do muzyki lub rysunków, z tego chleba nie będzie, niech tak pracuje, ażeby i chleb i pieniąż miał.

Gdyby tak jednak wszyscy sądzili, musiałyby się narody wyrzec wszystkich arcydzieł i sztuk pięknych, życie by było tylko poświęcone na to, ażeby jeść, spać, ubrać się i grosz schować.

Miło nam patrzeć na wspaniałe koscioły, na piękne obrazy, miło nam przysłuchać się pięknej muzyce, zaśpiewać pieśni, przeczytać ciekawe i zajmujące książki.

Któż to wszystko wykonał i nam zostawił? Oto ci, którzy mieli skarby wielkie, talenta wrodzone i tych nie zmarnowali, nie strwonili, nie złamali.

Wszak twierdzą ludzie poważni, iż po rozbiorze Polski, nasi poeci i malarze o życiu Polski ciągle światu przypominali, bo się wszystkie ludy obce, cywili-

zowane zdumiewać musiały nad takimi pieśniami, jakie pisał Mickiewicz, nad tymi obrazami, które malował Matejko, nad tą muzyką, którą tworzył Szopen i Moniuszko.

Czy tak samo nie znalezioneby wśród nas ludzi z szczególnymi talentami do przemysłu, wynalazków, handlu, rzemiosł niektórych?...

O! bez wątplenia, iż nie stalibyśmy jak obecnie na szarym końcu, gdyby nasze talenty były należycie rozwijane i wyrabiane.

A do rozwoju zdolności i do zużytkowania talentów początek daje oświata.

Gdybyśmy nie orali i nie zasiewali niwy przez lat kilka, powiedziano by o nas, iż marnujemy skarb, ziemi soków nie zużywamy. A gdy my pozostawiamy nasze dusze bez oświaty, naszej pamięci nie wzbogacamy, naszego rozumu nie rozwijamy, czy nie marnujemy skarbów ogromnych?...

Nauka i oświata nie stwarza cudów, tylko skarby nasze umie użyć jak należy. Narody, które stoją dziś najwyżej pod względem oświaty, przemysłu, dobrobytu, nie składają się z ludzi inaczej obdarowanych jak my. Tylko tam umiano skorzystać z skarbów, a u nas się te skarby depce, ponieważ i marnuje.

* * *

— Jak się macie staruszkule?... Dopomóż Boże w waszej pracy!... Sami okopujecie ziemniaki?...

— A sam, niema mi komu dopomódz. Człowiek już stary, siły słabe, robota ciężka...

— Gdzież wasze dzieci?

— A w Prusach!... Syn i córka, oboje do Prus pojechali.

— Czyż nie było roboty we wsi? w kraju?

— Gdzie tam nie było? Oto widzą, jak pracuję od 4-tej rano do 9-tej wieczór, pracuję a obrobić ziemi nie mogę. Jenemu że te Prusy zapachniały, moda taka nastała, aby jechać i jechać za robotą. Mój syn żonaty pojechał, mego brata troje dzieci pojechało, to i moi zabrali się, pojechali, a

my starzy nie mamy siły obrobić około ziemi jak należy.

Tak żali się stary góral, oparty o motykę.

I mnie żalność jakaś rzewna około duszy owija się.

— Jakto? Woląż nasze dzieci nieść pracę swoją i siły swe obcym na wysługi, a tu, w Ojczyźnie, gdzie tyle sił potrzeba, nie chcą pozostać?...

„Zmarnowane skarby“, coś mi szepce raz po raz do ucha. Na obce progi niesiemy skarby naszych sił i naszej pracy, pod obce stopy rzucamy naszego życia cząstkę, wrogom Ojczyzny idziemy służyć za grosz lichy i marny, a tu tyle pracy i niema rąk wytrwałych, a tu tyle skarbów i niema komu ich z czarnej ziemi wydobywać...

Ziemio ty nasza najmiłsza!

Matko ty najdroższa!...

Kiedyż przyjdą na twoje łany ci, którzy będą umieli tak pracować, ażeby cię z pohąńbienia wywieść i w jasności szczęścia obaczyć!

Tyle skarbów w zagonach pól, w przestrzzeniach lasów, w głębokościach skał, w falach rzek...

Tyle skarbów w milionach rąk, w biciu serc, w potędze sił ducha, w talentach rozrzuconych, a oto życie idzie, mija rok po roku... nędza ciśnie, smutek pali... płaczemy, mówiąc:

— Biedni my!...

Jeśliśmy biedni, to nie dlatego, że ziemi mamy mało, nie dlatego, że ziemia licha i neurodzajna, nie dlatego, że fabryk nie mamy, ale biedniśmy dlatego, iż nie umiemy skarbów naszych uszanować i marnujemy czas, zdrowie, siły, talenta, życie marnujemy.

W okolicy Krosna spotykam znajomego.

Wypytyuję się o to i o owo, jak zwykle, co po wsiach robią, co słyszą. Wreszcie o tem zaczynam:

— Założono tam warsztaty tkalne, sprowadzono maszyny, jakże robota idzie?

— Ludzi niema do roboty...

— Co?... Jakże być może?

— A nasi nie bardzo się garną do tej pracy. Dziewczęta nie chciały zgodzić się za tę cenę do miesięcznej roboty, pojechały do Prus, a tu z Czech dziewczęta przyszły i robią, i są zadowolone.

A więc czy to znów nie marnowanie skarby na uciechę obcych?

Czemu dziewczęta z Czech przycho-
dzą do nas z kosztami koronek i te sprzą-
dają i pieniądze biorą, a nasze nie pój-
dą tam z wyrobami swojemi?...

Trzebaby uczyć i uczyć, zachęcać, zachęcać, ażeby zrozumiano u nas, że dziewczęta polskie mogą coś więcej mieć, jak siedzieć z cielećkami całe lato na pastwisku, jak drzemać całą zimę przy piecu, w brudnej chacie!...

A po tę pracę lepszą i dającą zarobek niekoniecznie zaraz trzeba pod progi pruskie śpieszyć. Kto zechce — znajdzie pracę w kraju, ale o to idzie, ażeby chciał w kraju dla kraju pracować!...

* *

Niech się nikt nie odważy powiedzieć, iż my nie posiadamy skarbów wspaniałych.

Nasze zwyczaje i obyczaje narodowe, nasze pieśni i podania, nasze stroje, nasza mowa, wiara nasza, nasza historia, literatura, to wszystko są skarby cenne, drogie, wspaniałe...

Jakże zazdrościłoby mogły nam inni ludy, gdyby na tyle były wykształcone, iżby zdołały ocenić swoje ubóstwo wobec naszego bogactwa...

A my — ani tych skarbów nie widzimy, ani nie cenimy, bo ich nie znamy.

Byle jaki parobczak pojechał na parę miesięcy za robotą w obce strony, już zrzuca sukmanę lub płótniankę, już przebiera się za Niemca, już po niemiecku zaczyna paplać, już gardzi tem wszystkiem, co zna i widzi w wiosce rodzinnej.

A Kasia lub Marysia byle poszła do miasta na służbę, już przebiera się „z pańska“, już nie zanuci piosenki dawnej, już o zwyczajach wioskowych zapomni...

Ze wsi dalekiej przyjdzie parobczak na robotę do miasta, za rok, za dwa już on inny człowiek, ponaucza się wyrazów obcych, przebierze się po miastowemu

szuka zabaw i rozrywek innych jak dawniej. śpiewa inne pieśni jak te, które w chacie słyszał.

A nie wszystko nowe lepsze od dawnego! I nie zawsze to co stare jak śmiecie ma się wyrzucić precz.

Są tacy, którzy bardzo skrzętnie nad tem pracują, ażeby nam udowodnić, iż wszystko co było, to próchno i pleśń, wszystko trza rzucić i nowe życie rozpoczynać, lecz ci, którzy tak czynią, okradają dusze nasze ze skarbu miłości Ojczyzny i gorzej jak pioruny palą pień narodowego życia.

Jeśli syn odziedziczył po rodzicach dom, a widzi, iż są w nim pewne braki i wady, to stara się poprawić co złe i doprowadzić chce do tego, ażeby dom ów uczynić coraz lepszym i wygodniejszym i piękniejszym.

Cóżbyśmy powiedzieli o owym synu, któryby rzekł:

— Zwalę dom jak ruderę, bo wszystko w nim warte pogardy.

A ci, którzy chcą doprowadzić do tego, ażeby wszystko z przeszłości obalić i zdeptać, ci, którzy w przeszłości nie widzą nic ani dobrego ani godnego szacunku, są zupełnie podobni do owych, co to siebie chcą tylko mianować na bohaterów i swoje czoła chwały blaskiem ozłocić pragną.

Przeszłość narodu jest także skarbem i nie wolno nam nią pogardzać, ani z niej się naśmiewać. Przyszliśmy na gotowe drogi i wytykamy wady. Pomyślmy, czuli ci, którzy po nas przyjdą, zastaną wszystko bez błędu i bez winy.

Mickiewicz, gdy jako wygnaniec z

kraju ojczystego musiał żyć we Francji, tęsknił tak za Litwą, iż prosił, ażeby krewna, która jechać będzie z nad Niemna, wzięła trochę wody z tamtej rzeki i przewiozła ją na chrzest syna Mickiewicza.

Tak w żalu i smutku tęsknicy za Ojczyzną, chciał nasz śpiewak kroplą wody z Litwy poświęcić czoło dzieciny, ażeby czuło się zbratane z tem, co jest z kraju dalekiego, co wszakże drogiem sercu jego być powinno!...

A my — żyjąc wśród pól i wód ojczystych, nie umiemy ukochać ich, nie umiemy uszanować tych wspomnień, które snują się jak siecią pajęczą dokoła, nie znamy nawet często historii naszych miast i wsi, nie wiemy, jakie zdarzenia dziejowe tu się odgrywały, jacy ludzie tu żyli, jakie czyny tu spełniano.

„Zapomnienie“ przychodzi jako niszczyciel bezlitośny i zacierą w pamięci te obrazy, które przeszłość malowała.

„Zapomnienie“ zwyczaje i obyczaje nasze strąca w pył, „zapomnienie“ nasze pieśni, przypowieści, przysłowia zatracą, „zapomnienie“ legendy i podania grzebie bezlitośnie, a tak marnowane skarby giną i — nie powrócą!...

A tak czasem sercu żal za tymi skarbami, których mamy ogromnie, ogromnie wiele, a uszanować nie umiając — marnujemy...

Zmarnowane skarby nie wracają się...
Nie wrócą minione lata...

Nie wróci rok życia...

Zdrowie zmarnowane nie wróci...

I naród nie odzyska tych skarbow, które złe dzieci zmarnują...

Wybaczcie przydługiej gawędzie.

J. Strokowa.





Francuski aeroplan w Wiedniu.

Zanim inżynier Hipsich będzie mógł zaprodukować swój aeroplan, interesujący o tyle, iż jest pochodzenia austriackiego, ujrzą Wiedeńczycy popisowy wzlot francuskiego aeronauty Legagneux'a, na aeroplanie „Henri Farman I bis“, na aero-

planie więc francuskiego systemu.

Jak wiadomo, jest Farman jednym z pierwszych twórców maszyn do latania cięższych od powietrza i namiętym przeciwnikiem żeglugi napowietrznej w balonach. Przyszłość aeronautyki widzi on

podobnie jak współcześni mu bracia Wilbur i Orville Wrightowie, w aeroplanach i nad budową ich, oraz wydostawaniem od długiego szeregu lat z zapalem pracuje.

Rezultaty tej pracy nie są zbyt świetne i stoją dość daleko za rezultatami usiłowań Wrightów. W każdym razie przyczynią się poważnie do dalszych prac i postępów nad rozwiązaniem tego doniosłego problemu.

Pogadanka naukowa o żelazie.

Żelazo jest ciężkie, bo przeszło siedmiu razy cięższe od wody; uderzone daje dźwięk właściwy metalom, albowiem do metali żelazo należy. Wszystkie metale są ciężkie, błyszczące i dźwięczne, wszystkie są pierwiastkami. Oprócz rtęci czyli żywego srebra, wszystkie znajdują się w stanie stałym, a do stopienia ich potrzeba zwykle bardzo wielkiego gorąca. Do metali pospolicie znanych należą: żelazo, miedź, cynk, ołów, rtęć i drogie metale: złoto, srebro i platyna.

Żelazo wykopuje się z ziemi, ale nigdy w stanie czystym. Wiemy, że gdziekolwiek żelazo znajduje się w miejscu wilgotnem, rdzewieje, a wkrótce całe zamienia się w rdzę. Rdza jest połączeniem żelaza z tlenem i wodą. Taką rdzę w wielkiej ilości, znajdującą się w ziemi, nazywamy od barwy czerwonej rudą. Rudy żelaza są to połączenia żelaza z innymi pierwiastkami, na przykład tlenem, z węglem, z siarką itp. Są one przytem zanieczyszczone ziemią i piaskiem. Żeby z rudy otrzymać żelazo, trzeba ją stopić. Odbywa się to w wielkich piecach, zbudowanych z cegieł ogniotrwałych. Pod takim piecem pali się wiecznie ogromny ogień, z wierzchu zaś przez otwór wysypuje się rudę. Po każdej warstwie rudy nasypuje się węgla i wapna. Ruda topi się, znajdujące się w niej pierwiastki łączą się z węglem, i innymi topnikami, to jest owymi materiałami, którymi się przesympuje rudę i razem ze wszystkimi zanieczyszczeniami pływają po wierzchu roztopionego żelaza. Zebrane, dają nam

Dla Wiednia stanowić będzie wzlot Legagneux'a niemałą sensację, choćby z tego już powodu, iż będzie najzupełniejszą nowością, dotąd bowiem Wiedeńczycy nie mieli sposobności oglądać tego rodzaju widowisk.

Na rycinie naszej widać aeronautę Legagneux'a obok maszyny do latania, na chwilę przed podjęciem próbnego wzlotu.

Żuźle, których używamy do posypywania dróg i do wielu innych celów. — Kiedy żelazo jest już dostatecznie czyste, otwierają otwór u dołu pieca i przez ten otwór wpływa ono do form lub do zagłębień w piasku. Tam żelazo to zastyga. Takie żelazo nazywamy lanem lub surowem. Jest ono twarde, ale kruche i zawiera wiele węgla. Z niego wylewają piece, kraty, drzwiczki do pieców itp. Nie możnaby jednak z żelaza takiego zrobić noża ani podkowy. Szyny, podkowy robi się z żelaza kutego. Żelazo kute zawiera o wiele mniej węgla, niż lane. Ażeby otrzymać żelazo kute, topi się żelazo powtórnie, doprowadzając miechami wiele powietrza. Tlen, znajdujący się w powietrzu, spala węgiel i uwalnia od niego żelazo, które po zastęgnięciu przechodzi pod ogromne młoty, poruszane maszynami, które to żelazo przekuwają. Takie żelazo kute nie jest już kruche i ma tę własność, że dwa jego kawałki rozgrzane dają się razem skuwać, jak powszechnie z niemiecka nazywają szwejsować. Widzimy to często w kuźni.

Noże, brzytwy, kosy, sierpy, piły, sprężyny, robi się ze stali. Stal jest to rodzaj żelaza, które ma więcej węgla niż kute, mniej niż lane a przechodzi przez hartowanie. Hartuje się stal w ten sposób, że rozgrzewa się ją, a potem nagle ostudza, na przykład przez włożenie do wody. Stal hartowana staje się twarda i giętka. Im bardziej rozgrzewaliśmy ją, tem jest jaśniejszą i twardszą; im mniej, tem ciemniejszą i giętszą. Szable są ze stali lśniaco-

białej, sprężyny i piły z niebiesko-czarnej. Stal traci swe własności, jeżeli ją odhartujemy, to jest rozgrzaną później ostudzimy.

Rud żelaznych jest wszędzie wiele. Na błotnistych łąkach znajduje się często pod darnią warstewkę rudy, zwaną rudą darniową. Ruda taka do wytapiania żelaza nie nadaje się. Czerwona powłoczka na jeziorach błotnistych jest to ruda żelazna. Najlepszymi rudami są: magnetyt (połączenie żelaza z tlenem), hematyt (żelazo z tlenem) także i syderyt (połączenie żelaza, tlenu i węgla). Syderyt znajduje się w Syrii i w Anglii, skąd też najlepsze pochodzi żelazo. Magnetyt ma czasem ciekawą siłę, zwaną magnetyczną, a mianowicie trafiają się kawałki tej rudy, które

mają własność przyciągania kawałków żelaza. Jeżeli z takiego magnetytu zrobimy igielkę i ustawimy na sztyfciku tak by mogła się swobodnie obracać, to igielka zawsze jednym końcem obraca się na północ. Taką igielkę, zamkniętą w pudełeczku, mają zawsze marynarze i podróżnicy i według niej kierują się w ciemnych i burzliwych nocach. Przyrząd taki nazywamy kompasem.

Niemą pożyteczniejszego metalu od żelaza.

Nietylko wszystkie nasze najpotężniejsze narzędzia, noże, piły, pługi itp., nie tylko koleje żelazne i całe rusztowania domów z żelaza wyrabiamy, ale potrzebuje go także do żywienia się człowiek i zwierzę i roślina.

O Wezuwiuszu i innych wulkanach.

Napisał BOGDAN DYAKOWSKI.

(Co to są wulkany? Wezuwiusz i głośniejsze jego wybuchy. Ilość wulkanów i częstość wybuchów. Głośniejsze wybuchy poza Europą: Krakatau, Loa, Mont-Pele. Poglądy na działalność wulkanów.)

Wulkany czyli góry ogniowe różnią się od innych gór tem, że od czasu do czasu wybuchają, to jest wylewają ze siebie rozpaloną, gęstą, ognisto-ciekłą masę, noszącą nazwę lawy. Spływa ona po ich stokach i powoli zastyga w twardą masę kamienistą albo szklaną, przypominającą szlak hutniczą. Biada ludziom, których zaskoczy ten ognisty potok: jeśli nie zdążyli oni uciec zawczasu, czeka ich tam śmierć niechybna!

Obok lawy z otworu na szczycie czyli krateru wulkan wyrzuca mnóstwo pary wodnej oraz drobno sproszkowanego pyłu, zwanego popiołem. Popiół ten zasypuje okoliczne miejscowości, grzebiąc pod sobą nieraz całe wsi, a nawet miasta. A para wodna, skraplając się i spadając na ziemię, miesza się z

tym popiołem i wytwarza błotnistą strugi, zalewając wszystko, co spotkają na drodze.

Dodajmy do tego huk, jakby grzmotów podziemnych, oraz trzęsienie ziemi towarzyszące zwykle wybuchom, a łatwo zrozumiemy, że zjawisko to należy do najgroźniejszych w przyrodzie.

Kraj nasz na szczęście nie posiada wulkanów, a i w Europie znajduje się ich niewiele. Obfitują w nie zato inne części świata.

Z europejskich najgłośniejszym jest Wezuwiusz, wulkan, położony we Włoszech, niedaleko miasta Neapolu. Wezuwiusz, jak wszystkie wulkany zresztą, nie wybucha bez ustanku, ale z przerwami, a przerwy te wynoszą nieraz po kilka set lat.

Całą ostatnią ćwierć wieku ubiegłego Wezuwiusz był zupełnie spokojny, aż nagle w pierwszych dniach kwietnia 1906 r. cała Europa została wstrząśnięta wieścią o nowym, niezwykle silnym wybuchu Wezuwiusza, który obrócił w perzynę kilka miejscowości w najbliższej okolicy, pozbawił dachu tysiące lu-

dzi, a pewną ich liczbę zagrzebał nawet w gruzach zniszczonych wsi i miasteczek.

Nie pierwszy to i nie ostatni zapewne wybuch Wezuwiusza: niejedno zniszczenie owoców ludzkiej pracy i ludzkiego życia zapisano już na jego karb i niejedno wypadnie jeszcze zapisać w dalszej przyszłości. Powinnyby więc ludzie zachowywać się zawsze z pewną nieufnością względem takiej strasznej góry. Że jednak ostatni wybuch gwałtowniejszy zdarzył się w roku 1872, a więc 38 lat temu, zdążono tedy prawie zupełnie zapomnieć już o tem.

Wprawdzie Wezuwiusz przypominał się ciągle: z mniejszemi lub większemi przerwami dymił on i urządzał małe wybuchy, nie dające się zresztą nikomu we znaki, był wciąż czynny, dawał ciągle do poznania, że nie wolno go uważać za wygasły, że prawa jego do wybuchów nie są bynajmniej przedawnione. Ale ludzie oswoili się z tą słabinką jego działalnością i mniemali, że nowy wybuch, jeśli przyjdzie kiedyś, to w dalekiej przyszłości; że nie oni będą jego świadkami i... ofiarami.

Aż przyszedł niespodzianie, jak zresztą prawie wszystkie poprzednie wybuchy, nietylko tego, ale i innych wulkanów. Od czasu słynnej katastrofy z r. 79, która zniszczyła rzymskie miasta Herculanium i Pompeję, położone u stóp Wezuwiusza, każdy jego wybuch był niespodzianką dla okolicznych mieszkańców. Wulkany bowiem dymią i urządzają małe wybuchy nieraz całemi latami, bez żadnych groźniejszych następstw, tak, iż ludzie osławają się z nimi i przestają zwracać na nie uwagę. Specjalnych zaś zwiastunów większego wybuchu nie bywa prawie nigdy.

Wybuch z roku 79 po Chrystusie jest pierwszym, o którym posiadamy pewne historyczne wiadomości. Przedtem widocznie musiała być kilkowiekowa przerwa w działalności wulkanu, gdyż nie znajdujemy wcale wzmianek o wybuchach u dawniejszych pisarzy rzymskich; jeden z uczonych ówczesnych uznał tę górę za wulkan wygasły.

Wybuch z roku 79 poprzedzony był o lat kilkanaście trzęsieniami ziemi, które zniszczyły nawet część Pompei, ale miasto odbudowało się wkrótce i o wybuchu nikomu ani się śniło.

Przyszedł on nagle. Rozpoczął się od strasznego trzęsienia ziemi; po niem wzniosła się z krateru olbrzymia chmura, utworzona z białej pary, pomieszanej z kamieniami i popiołami, to jest rozkruszonymi na drobniutki pył cząstkami skał, wyrzucanemi przez wulkan. Od popiołów cała chmura przybrała barwę czarną. Była ona tak olbrzymią, że na znacznej przestrzeni zapanowała zupełna ciemność.

Z chmury lunął ulewny deszcz. Woda, spływająca po stokach, pomieszana z popiołem, utworzyła błotniste potoki, które ogarniały po drodze wszystko i one to właśnie załaly Herculanium i Pompeję. Błoto otoczyło sobą wszystkie przedmioty i twardniejąc, odtworzyło ich kształty tak dokładnie, że dziś, wypełniając gipsem pozostałe przestrzenie w tufie (skale powstałej z tego błota), otrzymujemy zupełnie dokładne modele ludzi, którzy padli ofiarą tego wybuchu. Lawy przy tym wybuchu nie było, zdaje się, wcale, albo co najwyżej bardzo niewiele.

Część kamieni, oraz innych produktów wybuchu, spada zawsze na samą górę i tworzy naokoło otworu wybuchowego stożek, który dalsza działalność wulkanu powiększa, przez dosypywanie nowych okruchów, albo też zmniejsza, a nawet znosi zupełnie, jeśli nowy wybuch zdarzy się z odpowiednią siłą i bardzo gwałtownie.

Wybuch z roku 79 usypał dzisiejszy stożek, tworzący obecny wierzchołek Wezuwiusza z kraterem. Dawniej krater i stożek były znacznie szersze, ale poprzednie wybuchy musiały nadwyrężyć stożek — a w roku 79 ostatecznie zapadła się jego południowo-zachodnia część i pozostała tylko północno-wschodnia, tworząca rodzaj półkolistego wału, z jednej strony nowego stożka, usypanego w tym czasie.

Wął ten nosi nazwę Monte Somma i oddzielony jest głębokim wąwozem, Atrio del Cavallo, od dzisiejszego stożka wybuchowego. Stanowi on znakomitą ochronę dla miejscowości, położonych na północo-wschód od Wezuwiusza, potoki lawy bowiem, wylewające się z krateru, nie mogą przedostać się przez Monte Somma, muszą płynąć wąwozem i ostatecznie wylewają się na stoki południowe lub zachodnie, w tę właśnie stronę, w której leżały Herkulanum i Pompeja.

Od czasu katastrofy z roku 79, zanotowano kilka większych i znaczną ilość mniejszych wybuchów Wezuwiusza, poprzedzielanych okresami spokoju. Najdłuższa przerwa, bo prawie pięćsetletnia, była między wiekiem XII. a XVII., kiedy cała góra okryła się bujną roślinnością, a nawet sam krater porósł lasem starych dębów i jesionów. Przez cały ten czas Wezuwiusz drzemał, ale wydobywająca się tu i owdzie przez szczeliny para wodna, oraz kałuże słonej i gorzkiej wody, stanowiły groźne przypomnienie, że potężny wulkan może się obudzić lada chwila.

Jednakże prawie pięćset lat przeszło i bujna zieloność na stokach kazały zupełnie zapomnieć o możliwości wybuchu; tembardziej, że w pierwszej ćwierci wieku XVII. ustały nawet wydechy pary wodnej.

Aż w końcu roku 1631 nadeszła naraź katastrofa: zapowiadały ją na kilka dni przedtem huki podziemne, ale ludzie, ukołysani długoletnią ciszą, nie chcieli wierzyć w możliwość wybuchu.

Nastąpił on 15. grudnia, kiedy po trzęsieniach ziemi w ciągu nocy, rozłupała się nad ranem, ze strasznym hukiem, południowa część góry, wyrzucając popiół i kamienie. Deszcz popiołów dochodził aż do Dalmacyi, a rozpalone masy, wyrzucane poza Sommę, spaliły doszczętnie miejscowości położone za wąłem, jak Ottajana, Palma i inne.

Wylew lawy nastąpił 18. grudnia, a płynęła ona z taką szybkością, że potoki jej już w godzinę dosięgły morza,

niszcząc po drodze miejscowości na stoku zachodnim i południowym: Bosca Treccasa, Torre dell' Annunziata, Torre del Greco, Portici, Resini i inne. Trzy tysiące ludzi poniosło śmierć na miejscu.

Odtąd Wezuwiusz jest ciągle czynny. Do bardziej głośnych wybuchów — po wieku XVII. — należy wybuch z r. 1794, kiedy lawa, wylawszy się z krateru o godz. 11. w nocy 15. czerwca, potokiem, szerokim na 700 metrów (2000 stóp), w ciągu sześciu godzin dosięgła morza, zniszczając doszczętnie Torre del Greco, z którego nie pozostało ani śladu. W wodzie jeszcze toczyła się ona gwałtowną falą po masach już zaścigłych; morze wrzało naokoło, a ugotowane ryby pokryły jego powierzchnię.

A gdy tak z tej strony lawa siała zniszczenie, wszędzie naokół, aż do 20. czerwca, spływały ze stoków błotne potoki, niszcząc owoce pracy ludzkiej na długie lata. I znów ucierpały: Bosca Ottajano, Torre dell' Annunziata i inne miejscowości.

W wieku ubiegłym najznaczniejszy był wybuch w r. 1872. W dniu 24. kwietnia wylał się potok lawy ognistej z krateru do Atrio del Cavallo. Miał być tak wspaniały widok, że w nocy, 25 na 26. kwietnia, mnóstwo osób udali się nad Atrio, aby podziwiać z bliska imponujące zjawisko. Ale nagle, między godziną trzecią a czwartą rano pękł stożek od strony Atrio, wylewając przez szczelinę potoki lawy i wyrzucając gęsty grad rozpalonych kamieni. Widzowie w Atrio znaleźli się naraz w gęstej chmurze pary, zasypani rozrzutnymi kamieniami, otoczeni lawą. Większość ich zginęła; niektórzy tylko zdolali się schronić do obserwatorium na Monte Somma.

Wybuch ten o tyle był mniej groźny od innych, że już w 24 godziny po nim lawa przestała płynąć i że potoki jej zatrzymały się, nie dosięgłszy wielu miejscowości uprawnych. W ten sposób strumień ów stanął na 426 metrów

przed Torre del Greco, które poprzednie wybuchy niszczyły doszczętnie i niejednokrotnie.

Odtąd, aż do roku 1906, Wezuwiusz dawał znać o sobie jedynie słabszymi wybuchami.

Ale zato ten ostatni wybuch należał do większych i do bardzo długich, trwał bowiem 8 dni: od 4. do 12. kwietnia. Przewyższył zaś znacznie rozmiarami kłęski poprzedni wielki wybuch z roku 1872. Zniszczenie siał w obie strony: na południo-zachód płynęła lawa, w kierunku północno-wschodnim wiatr niósł chmury popiołu i zasypywał nim okolicę w sposób niemiennie straszny w skutkach, jak lawa. Ofiary w ludziach obliczają ogółem na tysiąc osób, straty materialne na 400 milionów lirów (1 lir = 95 h).

Strumienie lawy skierowały się ku południo-zachodowi i w ciągu niewielu minut zalały i zniszczyły zupełnie Bosco Trecase, które los ten spotyka prawie przy każdym większym wybuchu. Ponieważ to jednak nastąpiło nie pierwszego dnia wybuchu, ludność więc zdążyła ująć zawczasu, tak, iż tylko pięć osób padło ofiarą ognistego potoku.

Zniszczywszy Bosco, lawa popłynęła dalej ku morzu w kierunku Torre dell' Annunziata, strumieniem na 7 metrów grubym, a na 400 szerokim; na szczęście jednak nie doszła do tego miasta. Ale ludność, nie czekając na nadejście gorejącego potoku, tłumnie je opuściła, tak, iż z trzydziestu tysięcy zostało zaledwie dwa.

To samo, co lawa na południo-zachodzie, zrzucił popiół na wschodzie; zagrzebał on i zniszczył historyczne pod tym względem Ottajano, które ten los spotyka również nie po raz pierwszy. Ludność jednak usuwała się stąd mniej szybko, tak, iż w popiele zostało zagrzebanych około dwustu osób. Ten sam los spotkał sąsiednie San Giuseppe.

Zresztą deszcz popiołu padał wszędzie w okolicy; o dwa kilometry od łądu na morzu, nie można było oddychać,

tak powietrze było przepełnione popiołem. W niektórych miejscach na lądzie, w ciągu kilku minut, tworzyły się pokłady popiołu, grube na trzy metry, tak, że grzebały one ludzi w pozycjach stojących. Pociągi grzęzły w popiele. W Neapolu na ulicach leżała warstwa popiołu gruba na pięć centymetrów (2 cale). Dwie hale targowe zawaliły się w Neapolu pod ciężarem popiołu i okrucichów, zabijając dwadzieścia osób, a raniąc paręset.

Wezuwiusz jest jednym z wulkanów najlepiej poznanych; wybuchy jego są zapisywane z całą skrzętnością i mniejszą lub większą dokładnością w ciągu prawie dwu tysięcy lat. Samo czytanie opisów tych wybuchów przejmujące grozą i wstrząsa dreszczem.

A jednak nie jest to bynajmniej najgroźniejszy wulkan na kuli ziemskiej, wybuchy jego nie należą wcale do najstraszniejszych.

Na ziemi znajduje się około 350 wulkanów czynnych, a 400 do 500 takich, które, chociaż spokojne obecnie, wybuchają jednak w czasach historycznych, w każdym zaś razie pozostawiły po sobie zastygłe potoki lawy oraz inne produkty wybuchów w stanie tak świeżym, że, na zasadzie tych pozostałości, możemy wnioskować o niezbyt jeszcze dawnym ich działaniu.

Z przerażeniem czytaliśmy wszyscy opisy kwietniowego wybuchu Wezuwiusza, jako zjawiska groźnego i stosunkowo rzadkiego.

Tymczasem zjawisko takie rzadkiem jest jedynie dla Europejczyka, Europa bowiem, poza Wezuwiuszem, posiada zaledwie kilka wulkanów na wyspach śródziemnomorskich, zaledwie więc bardzo drobną część ogólniej ilości gór ziejących ogniem, przeto i ilość większych wybuchów w naszej części świata jest bardzo mała i stanowi zjawisko istotnie rzadkie.

Inaczej się jednak sprawa przedstawia, jeśli weźmiemy pod uwagę całą kulę ziemską. Ilości małych wybuchów niema co nawet rachować, zdarzają się

one bowiem ciągle. Ale samych tylko większych, gwałtownych wybuchów wypada średnio na rok 10, właściwie więc co miesiąc moglibyśmy mieć do czytania równie wstrząsający opis, jak ostatni wybuch Wezuwiusza, gdyby nie to, iż znaczna część wulkanów, bo przeszło 200, znajduje się na wyspach, niektóre przytem na bezludnych, tak, iż częstokroć nie bywa ani świadków, ani ofiar katastrofy.

W każdym razie najgwałtowniejsze i najstraszniejsze w skutkach wybuchy zdarzyły się poza obrębem Europy, a do najgłośniejszych należy słynny wybuch na wyspach Krakatau, który nastąpił w maju r. 1883 i pochłonął mnóstwo ofiar, aczkolwiek same wyspy były niezamieszkane. Skutki wybuchu objawiły się tu w takiej okazałości, jak rzadko, a notowane były na ogromnym obszarze.

Wyspy Krakatau leżą na południowy wschód od Azji w cieśninie Sundajskiej. Na jednej z tych wysp znajdował się wulkan tej samej nazwy, który wybuchął umiarkowanie w wieku XVII., następnie jednak uspokoił się i trwał w tym stanie do r. 1880, kiedy nastąpiło tutaj gwałtowne trzęsienie ziemi, odczute aż w Australii północnej.

Była to zapowiedź obudzenia się wulkanu, który pokazał całą swą potęgę dopiero w r. 1883. Wybuchy zaczęły się w maju, dosięgły zaś największej okazałości w dniach 26. do 28. sierpnia, kiedy nastąpiła gwałtowna eksplozja, wskutek której zawaliła się część stożka wulkanu i znikła z powierzchni znaczna część samej wyspy: z 33 i pół kilometrów kwadratowych, zmalała ona do 10 i pół. Ze stożka zaś została tylko jedna ściana stercząca z wody.

Skutki wybuchu były straszne. Na okolicznych, mniejszych wyspach, odległych o 20 kilometrów od miejsca katastrofy, zginęła co do nogi cała ludność. Na morzu powstała olbrzymia fala, wał, wysoki na 30 metrów, który wdarł się na wybrzeża dwu wielkich wysp Sumatry i Jawy, niszcząc do

szczętnie całutkie wsi i miasta, wraz z ich ludnością, i zmieniając do tego stopnia wygląd miejsc, że poznawano je nie z widoku, lecz z położenia. Zginęło przytem 40.000 osób.

Olbrzymia ta fala obiegła całą kulę ziemską, naturalnie jednak z mniejszym nateżeniem. Ocean Indyjski był wzburzony aż do morza Czerwonego przylądku Dobrej Nadziei; na wschód przez ocean Wielki, fala dotarła do San Francisco, a ostatecznie odczuto ją i na Atlantyku.

Podobne wzburzenie ogarnęło powietrze: w okolicach Krakatau szalały orkany. Fala powietrzna obiegła również całą kulę ziemską, ale dalej ludzie nie mogli już odczuć wstrząśnienia, zauważono je tylko na czułych przyrządach meteorologicznych. W Berlinie zanotowano pierwszą falę atmosferyczną tego pochodzenia w 10 godzin po wybuchu, co odpowiada szybkości 100 kilometrów na godzinę.

Huk był słyszany na ogromnej przestrzeni, mającej 3.400 kilometrów (przeszło 450 mil geograficznych) czyli wynoszącej piętnastą część powierzchni ziemi. Słyszano go na Ceylonie na zachodzie i na Filipinach na wschodzie, w Sajgonie (Indo-Chiny) na północy, w porcie Perth w Australii południowo-zachodniej na południu.

Gdyby n. p. ośrodek wybuchu został przeniesiony do Warszawy, wtedy huk słyhałoby było nie tylko w całej Europie, ale na wschodzie Grenlandyi, na Spitzbergu, Nowej Ziemi, u ujścia Obi, w okolicach Tomsku, około Siemipalatynska, w Bombaju, w Kraju Kongo i całej Afryce północnej.

Takim hałasem Wezuwiusz nie może się poszczycić, bo nawet i u nas nie słyszano weale ostatniego wybuchu tego wulkanu. Zresztą żaden z wybuchów, o jakich historia wspomina, nie wywołał tak mocnych dźwięków.

Z innych głośniejszych wulkanów par słów wspomnienia należy się hawajskim, położonym na oceanie Wielkim. Jeden z nich, zwany Loa, posiada kra

ter długości 13, a szerokości 10 kilometrów. Wylewa on przerażające ilości lawy i co najważniejsza, dość często: w r. 1852 wylał potok długi na 32 kilometry; w r. 1854 na 42 kilometry, objętością dorównywający całemu Wezuwiuszowi; w r. 1859 wylany został znów potok na 53 kilometry długi. Wogóle jeden umiarkowany wybuch tego wulkanu dostarcza tyleż materiału, a nawet więcej, co Wezuwiusz przez cały czas swojej działalności od słynnej katastrofy, przy której zostały zniszczone Herkulanum i Pompeja.

Na zakończenie wspominamy jeszcze o jednym niedawnym wybuchu, krótkotrwałym wprawdzie, ale niezwykle groźnym. Mamy tu na myśli wybuch Mont-Pelee na Martynice w Ameryce, w maju 1902 r.

Już pod koniec kwietnia słychać tam było nieznośne dudnienia, wylały popiół, płynęły potoki błotne, ale wszystko to było w słabym stopniu i nie zapowiadało jeszcze groźnej katastrofy. Przyszła ona nagle. Około 8. godziny rano, 8. maja, rozległ się przerażający huk, wulkan wyrzucił olbrzymią czarną chmurę, która w ciągu jednej minuty dosięgła miasta Saint Pierre, położonego o 6 kilometrów i obróciła je w jedną chwilę w perzynę, grzebiąc zarazem 30 tysięcy ludzi. Ocalał jedyny człowiek — więzień, zamknięty w głębi boku podziemi!

Katastrofa ta nagłością swą przewyższa wszystkie inne, najstraszniejsze nawet.

Należałoby tu jeszcze wskazać przyczyny, wywołujące wybuchy, jak ró-

wnież wytłómaczyć długie przerwy w ich działalności. Niestety, nie jest to rzecz tak prosta ani łatwa, jakby się mogło wydawać na pozór.

Umysł ludzki od dawna zajmuje się badaniem tych zjawisk tak imponujących, a zarazem tak ważnych i niebezpiecznych. Niejedno zostało tu już wyjaśnione, ale też i niejedna zagadka ciemną jest jeszcze do dziś dnia.

Brak miejsca nie pozwala nam rozwodzić się szerzej nad tą sprawą, ani podawać różnych poglądów na zjawiska wulkanizmu oraz ich naukowego uzasadnienia. Tyle tylko można tu powiedzieć, że zjawiska wulkaniczne uważamy jako skutek stygnięcia i kurczenia się ziemi, które wywołuje rozmaite zmiany w stanie ognisto-płynnej masy czyli tak zwanej magmy, wypełniającej wnętrze ziemi, i wypychają w pewnych chwilach do góry.

Bezpośrednią przyczyną wybuchu bywa działanie pary wodnej i gazów; one bowiem dostarczają siły wybuchowej, wyrzucając wszystko na powierzchnię. Woda dostaje się w głąb ziemi szczelinami jej powierzchni oraz bezpośrednio wsiąkaniem. Zetknąwszy się z rozpaloną magmą, zamienia się ona w parę, która prężnością swoją dostarcza magmie siły wybuchowej. Za takim przypuszczeniem przemawia, między innymi, ta okoliczność, że w bardzo wielu miejscowościach (n. p. na wyspach Hawajskich) przeważająca ilość wybuchów przypada na czas deszczów.





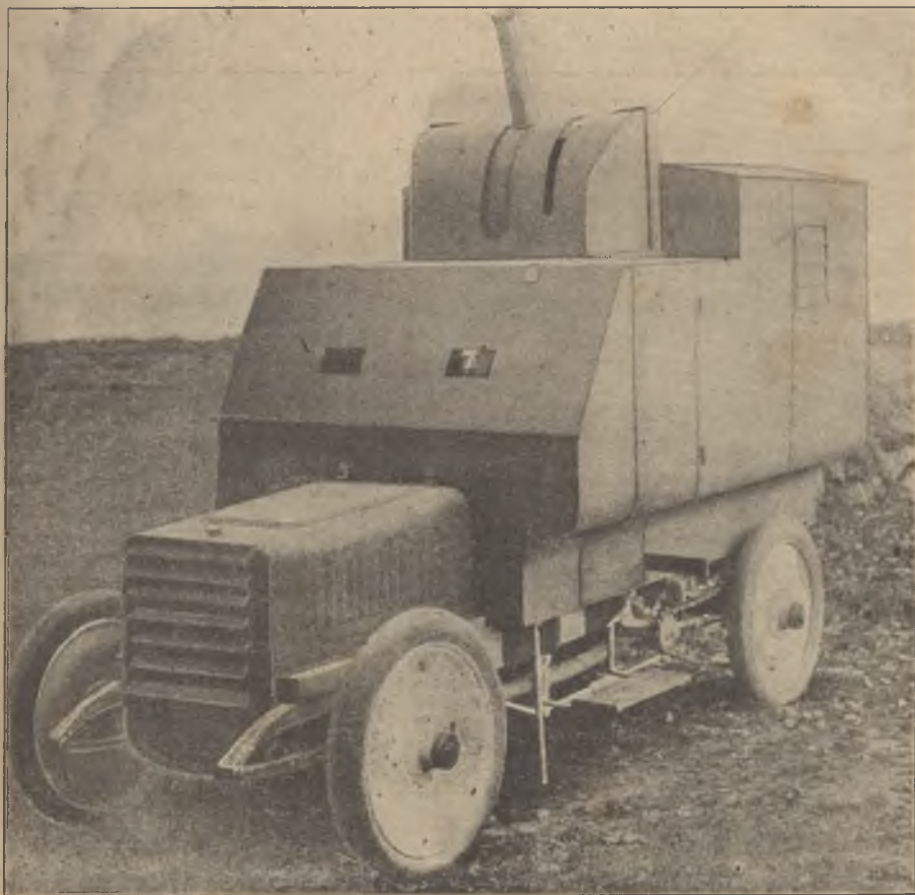
Rezydencya nowego sultana.

Wojna przyszłości.

Najnowsze wynalazki ostatnich czasów zmieniły w zupełności dotychczasowy sposób wojowania, pociągają też za sobą coraz bardziej zwiększające się wydatki na cele zbrojnego pogotowia, które jest charakterystycznym dla nowoczesnego pokoju. Zbrojny pokój rujnuje daleko

myślano także i środki obronne, umożliwiające skuteczną z nim walkę.

Wobec rozwoju żeglugi napowietrznej nieprzyjacielska flota balonowa może się stać bardzo niebezpieczną, to też pomyślano zawczasu, jak się przeciw niej bronić. Ostrzeliwanie balonów z karabinów



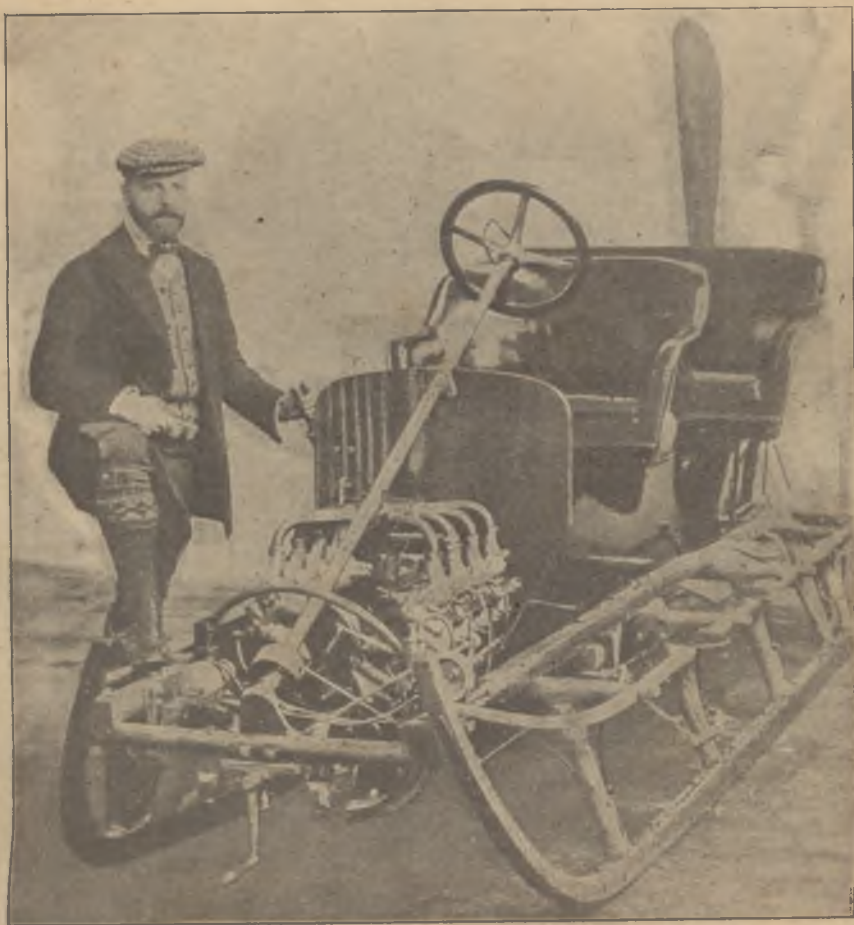
Niemiecki opancerzony samochód, przeznaczony do ostrzeliwania balonów.

gruntowniej finanse nowożytnych państw, niż najzaciętsza wojna w dawniejszych czasach. Dziś, gdy w razie wojny ma się do czynienia z niewidzialnym nieprzyjacielem, rzucającym swe pociski z latawców lub posuwającym się pod wodą, ob-

okazało się niepraktycznym, używane mogą być w tym celu natomiast z dobrym skutkiem lekkie działa polowe, których doniosłość jest o wiele większą i pocisk sprawia dotkliwszą szkodę, niż małokalibrowa kula karabinowa. Niemcy, którzy

interesują się bardzo kwestią balonową i na seryo myślą o utworzeniu flotyli statków napowietrznych, pomyśleli także o środkach, któreby pozwoliły walczyć z nieprzyjacielskimi balonami, gdyby one znalazły się na niemieckiej ziemi. Do tego celu użyto pancernego automobilu, który w środkowej swej części posiada rodzaj stalowej wieży z małą armatką. Lufa jej może być dowolnie kierowaną aż do zupełnie prostopadłego kierunku, obok zaś znajduje się otwór, przez który artylerzysta śledzić może kierunek balonu, aby odpowiednio nastawić dział. Na ze-

wnątrz automobil obity jest grubą stalową blachą, na przodzie widzimy otwory przez które szofer orientuje się w okolicy. Całość, jak widać na załączonej rysunku, przedstawia się dość zgrabnie, budzi o tyle zaciekawienie profanów, jest to pierwszy tego rodzaju wehikuł. Z przykładem Niemiec pójdą niezawodnie wszystkie inne mocarstwa które zazdrośnym okiem śledzą wszelkie ulepszenia na polu wojskowym u swych bliźszych lub dalszych sąsiadów i natychmiast naśladują.



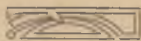
Inżynier austriacki Franciszek Wels i skonstruowane przez niego sanki automobilowe.

Sanki motorowe.

Każda pora roku ma swoje przyjemności, a zwolennicy sportu dla każdej z nich starają się wymyślać coraz to nowsze urządzenia, któreby umożliwiały prowadzenie sportu. Po wysokich bicyklach przyszła kolej na rowery, nad tymi wzięły wkrótce górę motorowce, aż ostatecznie zapanował wszechwładnie automobil. Sport automobilowy z powodu wielkich kosztów nie może się należycie rozwinąć, gdyż jest dostępny tylko dla klas najzamożniejszych, mimo to jednak spotykamy się na tem polu z coraz to nowszymi wynalazkami i ulepszeniami.

W ostatnich czasach spróbowano skonstruować sanki z urządzeniem automobilowem, a próby wszystkie się powiodły. Najbliższym nas automobilistą-sankarzem jest znany aeronauta, inżynier Wels, który w Górach Olbrzymich w

Czechach urządza obecnie wycieczki wynalezionym przez siebie automobilem w postaci sanek. Usiłowania jego uwieńczył pomyślny wynik, sanki Welsa okazały się bardzo praktyczne a ciekawe są dla zajmujących się tym przedmiotem z powodu dowcipnego zastosowania śruby powietrznej, która nadaje sankom chyżość do 100 kilometrów na godzinę a poruszana jest zapomocą czterocylindrowego motoru o sile 24 koni. Nowy automobil posiada przyrząd do zmieniania kierunku drogi oraz hamownicę w postaci czterech kawałków ostro zakończzonego żelaza, zakrzywionych haczykowato, które umieszczone są po dwa na przodzie i z tyłu pojazdu. Podobny automobil, jednak na innej zasadzie — zbudował francuski inżynier Péroche, używając zamiast śruby powietrznej zębatego koła.



PIEŚNI GÓRNICZE.

Już się rozlega miły głos
Dzwoneczka z naszej wieży,
Więc śpieszmy wraz — jak każe los,
Nad szyb niech każdy bieży.

Całuska śpiesznie lubej daj
I śpiesz w podziemnych gnomów kraj.
Nas czeka praca tam, [nam!
Szczęść nam, szczęść nam, Szczęść Boże

Z wesołą myślą śpieszmy wraz
W dół stromą hen drabiną;
Do pracy każdy zdąża z nas,
Już w piecach kroki giną.
Już słychać zdała strzałów huk
I stokroć miłszy młotów stuk
Ozwie się tu i tam! [nam!
Szczęść nam, szczęść nam, Szczęść Boże

A jeśli kiedy przyjdzie czas
Podziemne żegnać góry
I dzwonka głos ostatni raz
Odezwie się ponury:

O luba, wtedy nie płacz, nie,
Z twarzyczki swojej otrzej łzę!
Wszak się obaczym tam! [nam!
Szczęść nam, szczęść nam, Szczęść Boże

OSTATNIE POŻEGNANIE.

Andante con animo.

Ze zbioru czeskich pieśni
tłom St. Zakrzewski

1. Wśród ran - nych mgieł i ros Nas bu - dzi dzwon - ka głos! Ach
2. Lecz je - śli zgi - nąć mam Bez cie - bie w do - le sam, To

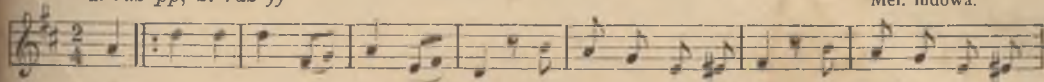
1. że - gnaj, lu - ba, i - dę znów Na szyb, lecz wró - cę we - sól
2. wierz, naj - droż - sza, wiel - ki Bóg Wśród nam nie - zna - nych śmier - ci

1. zdrów, By z u - stek twych pić czar, Mi - ło - ści bo - skiej dar!
2. dróg Po - łą - czy znów nas tam, Szczęść nam! Szczęść Bo - że nam!

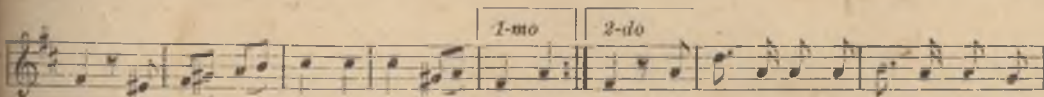
MARSZ GÓRNICZY.

1. raz pp, 2. raz ff

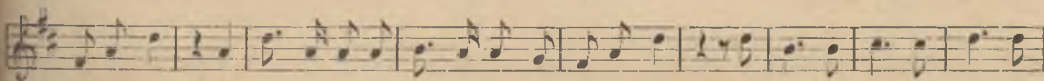
Mel. ludowa.



1. Gór - ni - cy w szy-bie ko - pią wraz Ży - la - stą dło - nią swą, Ka - mienne ska - ły



prą, W głę-bo - kiej no - cy kru - szą głąz Gór głąz A je - śli ru - dę znajdą gdzieś, to



nu-cą pieśń, A je - śli ru - dę znajdą gdzieś, to nu-cą pieśń: Za młot, za młot szczęść Boże



nam, My wszyscy w do-le kopiem tam, za młot, za młot, za młot, za młot, za młot, za młot, za młot, za młot, za



młot, za młot szczęść Bo-że nam, my wszyscy w dole ko-piem, w dole ko-piem tam.

I choć najmniejsza z wszystkich chat
Górnicza chata tam
Gdzie z lubą mieszka sam,
Nie dałby jej za cały świat!
[Wesoły jego zawsze głos
Choć ciężki los]
Za młot za młot.
I zawsze górnik zuch i chwyt
Tęsknoty nie zna nie
Weselem zawsze tchnie!
Już od najmłodszych swoich lat
[Więc tylko dziś górnikiem być
Śpiewać i pić.]
Za młot i t. d.

Handwritten signature: Janki B...



Znaczenie górnictwa.

Kopalnie wieków ubiegłych były symbolami kary; pracowali jedynie niewolnicy lub skazańcy. W ciężkich kajdanach, przykuci niejednokrotnie do złomów skalnych, bili w nie kilofem lub rozsadzali oporną skałę siłą ognia.

Starożytne kopalnie zajmowały się przeważnie odbudową szlachetnych kruszców i nie sięgały nigdy do głębokości dzisiejszych. A przecież ciężka praca, brak odpowiednich narzędzi i środków pomocniczych skłaniały rzadko do oddania się zawodowi górniczemu i ciągnięcia zeń zysków. Jeżeli zaś byli wolni od uprzedzeń i tacy, co się ośmielili walczyć z siłami natury, to, zrażeni niebezpieczeństwami życia, pozbyli się szybko swej własności i porzucali zawód górniczy, by pracować zbożnie na polu innym, niefortuną zaś i pełną niebezpieczeństw kopalnię zdać w ręce odważniejszego.

Od tego czasu podnosiło się górnictwo zwolna, lecz stopniowo, to też widzimy w nim wiele ulepszeń, zdobytych doświadczeniem i nauką a zarazem i większe umiłowanie owej gałęzi przemysłu, co wzboğaca kraje i wynosi je do rzędu przodujących. To też wybijał się ów zawód na pierwsze miejsce, ustawodawstwo otaczało go swą pieczą, z chwilą zaś, gdy szkoły otworzyły mu swe gościnne podwoje, wówczas zaświtało dlań ożywcze słońce; przestarzałe poglądy i przesady legły w grobie, nieszczęśliwe wypadki znacznie się zmniejszyły, górnictwo zaczęło żyć i kwitnąć.

Przedewszystkiem jednak czasy ostatnie zmieniły się nie do poznania. Uprzedzenia minionych wieków pierzchnęły zu-

pełnie, dziś garniemy się wszyscy do górnictwa, by zbożnie na chleb codzienny pracować i utorować naszemu zawodowi nowe szlaki wiedzy i postępu. Nauką wiedzą zapadamy dziś w jednej chwili w łono ziemi, w jednej chwili rozrywamy wiekami spojone jej wnętrzości, w jednej chwili wyrzucamy je na światło dzienne i przerabiamy, pieniądz zaś płynie jedną wielką falą i żywi miliony.

By zaś to osiągnąć, nie budujemy niośle podziemnych labiryntów, lecz budujemy naprzód naszą matkę ziemię, świadrujemy jej łono do niebywałych głębokości i tak poznajemy jej zawartość. W ten sposób otwieramy zakłęte zamki natury by się dostać do skarbów ukrytych nieś je w dani społeczeństwu.

Dziś świat stoi na górnictwie. Ono jest jego fundamentem, jest podstawą jego rozwoju ekonomicznego i kulturalnego; o jego wielkości zależy siła i byt państwów. To też się dziś nie wstydzimy naszego zawodu, wiedząc, „że synowi podziemnych, czarnych światów, każdy chętnie poda swą dłoń“, nie boimy się zaglądać w oczy gnomom i elfom brodatym, rzucać się w podziemny ogień i zalewać nas wodę, gdyż posiadamy zaradczkie środki pod ręką, nauką i doświadczeniem zdobyte, a nadto, gdyż jesteśmy owianę wspólną ideą niesienia sił własnych i pracy na ołtarz Ojczyzny i całego społeczeństwa.

„Prysnęły nieczule lody i przesady światło ćmiałe“, młodzież stanów wszelkich chwyta dziś za młot górniczy i rozsadza i burzy najtwardsze granity, upa-

trując w górnictwie dobrobyt i przyszłość promienną.

A choć droga śliska i wszelkimi zapo-rami i przeszkodami zawałona, nie zraża-

my się — owszem, zdobywamy przesko-dy siłą młodości i wytrwałości, usuwamy zapory wiedzą i doświadczeniem i budujemy podwalinę pod potężny gmach.

—0—

GÓRNICTWO W POLSCE.

Przemysł górniczy i połączone z nim ściśle hutnictwo w zawiązkach swych rozpoczyna się w początkach cywilizacji, i jak nic czerwona, cały jej rozwój prze-plata. Jako przejście między rolnictwem, a fabrycznym, mechanicznym przemy-słem, dał impuls do wynalezienia i budo-wy maszyn. Pierwsze maszyny parowe były górniczymi pompami. I dziś nie prze-żył się, przeciwnie wzrósł olbrzymio i ma wszelkie dane do dalszego, na długie wie-ki jeszcze obliczonego wzrostu. W dzie-sięcioleciu, kończącym się w r. 1909, pro-dukcya węgla na ziemi wzrosła o półtora raza i wynosi dziś około 750 milionów tonn, żelaza zaś wzrosła prawie w dwój-nasób do 50 milionów tonn.

Kopalnie i huty stanowią jedno z naj-ważniejszych bogactw kraju, czego jedy-nym z wielu przykładów może być Ang-lia, rozsyłająca swój węgiel i żelazo po całej kuli ziemskiej. Polska, choć nie może się co do bogactwa minerałów mierzyć z Anglią, nie jest jednak upośledzoną. Upo-śledzoną jest jednak, stosownie do starego przysłowia: „Cudze chwalicie, swego nie znacie“, własną opinią i nieznanomością tak potężnej części dobrobytu narodu, jak tego własny przemysł górniczy. Do dziś niestety mało się jeszcze u nas zwraca uwagi na przemysł, zanadto jeszcze jeste-śmy narodem rolniczym, dlatego też o górnictwie i kopalniach, szczególnie na-szych, spotkać się można u szerszej pu-bliczności z zadziwiającym brakiem zda-nia i pojęcia o ważności zadania tego przemysłu.

A jednak kopalnie w Polsce należą do najstarszych i do znanych na całym świe-cie. A jeszcze bardziej znanym i cenionym jest górnik, robotnik polski, który pracą

swą ciężką podtrzymuje byt nie tylko własnych, lecz i wielu zagranicznych ko-pań. Spróbujemy zatem zrobić pobieżny przegląd naszych kopalń.

Węgiel kamienny w Polsce znajduje się tylko w jednej części kraju na grani-cy Prus, Rosyi i Austrii. Teren jednak jest nader rozległy i bogaty; należą doń znane kopalnie na Górnym Śląsku, oraz kopalnie w Austrii na Śląsku i Morawach koło Mo-rawskiej Ostrawy, Dąbrowy i Karwiny — kopalnie jednak te są tak dalece w rękach niemieckich lub czeskich, że do na-szego przemysłu liczyć ich nie możemy, gdyż choć przeważna większość ludu ro-boczego, a we wschodniej części Śląska wyłącznie jest polska, to jednak kapitał, urzędnicy, dozorczy i duch w nich panują-cy jest niemiecki lub czeski. Bezsprzecz-nie naszymi są jednak kopalnie w drugiej części wspomnianego terenu, a mianowicie okręg węglowy w Galicyi i Zagłębie Dąbrowskie w Królestwie. To ostatnie góruje co do produkcji, reprezentuje jed-nak prawie wyłącznie kapitał zagrani-czny, francuski, belgijski, włoski, a czę-ściowo i niemiecki. Również wiele wyż-szych miejsc w administracyi kopalń zaj-mują cudzoziemcy. Nie brak jednak i Po-laków na stanowiskach pełnomocników, dyrektorów i zawiadawców kopalń. Z ga-licyjskich kopalń wymienić trzeba jako największe kopalnie Gwarectwa Jaworz-nickiego w Jaworzniu, następnie kopalnie Towarzystwa akcyjnego w Sierszy (da-wniej hr. Potockiego), kopalnie Gwarec-twa Brzeszcze i nowo otwierające się ko-palnie w Libiążu i w Borach.

W Galicyi jednak węgiel nie stanowi jeszcze największego bogactwa mineral-nego — prym bowiem trzyma sól ka-

mienna, w ostatnich zaś latach nafta, oczywiście nie ilościowo, ale podług wartości wydobytych produktów.

W roku ubiegłym produkcja węgla w Galicyi wynosiła (127 milionów tonn), przedstawiała wartość około 7 milionów koron, podczas gdy wartość produkcji soli wynosiła około 12 milionów koron, a produkcji ropy około 20 milionów koron.

Sól stanowi w Austrii monopol skarbu państwa, wszystkie jej więc kopalnie, tak zwane saliny, są rządowe, kierowane jednak przez inżynierów Polaków pod specjalnym zarządem Dyrekcyi skarbu we Lwowie.

Nowy, rzutki i postępowy, zmienny zarówno co do bogactwa znajdujących terenów, jak nawet w nieprzewidzianej wydajności pojedynczych szybów, przemysł naftowy jest dzieckiem ostatniej doby, bo datuje się zaledwie od lat 50. Dzięki niezwykle bogatym źródłom, jakie z biegiem czasu napotkano i odkryto w Słobodzie rungurskiej, w Wietrznie, Potoku, Schodnicy, Boryslawiu i w Tustanowicach, wzrosła produkcja nadzwyczajnie, a nawet produkcja przewyższa możność zbytu. Nafta wykształciła szereg ludzi tęgich, przyzwyczajonych do oglądania się li tylko na swą głowę i pięć palców, wyrobiła szereg ludzi pożytecznych i stoi dziś jako przemysł, silnie, coraz bardziej stając się tem, czem przemysł być powinien, normalnie obracającym się kółkiem w maszynie społecznej narodu — zapewniając przedsiębiorcom odpowiednie zyski, dając społeczeństwu miliony w formie podatków i dając dobrze płatne zatrudnienie całym rzeszom robotniczym.

Sól i nafta ciągną się w jednej prawie formacji geologicznej wzdłuż Karpat od Wieliczki, Bochni, aż po Kossów i Kaczykę na Bukowinie, przeplatane kopalniami nafty od Równego, Gorlic, Potoka, przez Boryslaw, Tustanowice, aż na razie po Niebylew, Rypnę, Słobodę rungurską. W środku tego łuku znana miejscowość Boryslaw, oprócz nafty jeszcze jeden kryje skarb — jedyny na całej ziemi воск ziemny, czyli tak zwany ozokerit. Oprócz nieznacznej produkcji dwóch miejscowo-

ści w powiecie stanisławowskim dostarcza on 100 procent produkcji ozokeritu całej ziemi. Ciekawy ten minerał, z barwy i miękkości do pszczołowego wosku podobny, zastępuje go też prawie wszędzie w handlu, używany także w znacznych ilościach w elektrotechnice. Przy wysokiej cenie (do 150 K za cetnar metr.), choć produkcja nie wielka, wartością swą jednak dorównuje prawie węglowi (około 6 milionów koron).

Boryslawskie kopalnie wosku zatrudniają przeszło 2000 robotników; mają wzorowe maszynowe urządzenia i gdyby nie niekorzystne stosunki handlowe, mogłyby ze spokojem spodziewać się długiej przyszłości.

O ile Bóg sprawiedliwie minerałami różne kraje pobłogosławił — musimy minerały żywiczne (naftę i воск) uważać za wynagrodzenie za brak metali. Mamy wprawdzie różne rudy, ale i pokłady i gątowne na razie przeciętnie kiepskie — jedyny cynk stanowi wyjątek, gdyż produkuje go zarówno bogata ziemia krakowska, jak i południowo-zachodni kąt Królestwa Polskiego w znacznej ilości. Kopalnie rudy żelaza ma Królestwo dość dużo, ruda jednak, choć płytko położona, w wielu wypadkach nie opłaca wydobywania. W Galicyi mieliśmy za dawnych czasów hutę, idącą we własnej rudzie, jak n. p. Kuźnice koło Zakopanego w Tatrach — ogólnie jednak Galicya uboższą jest pod tym względem od Królestwa. Z innych metali ołów i srebro wydobywano niegdyś w Olkuszu, kopalnie miedzi istnieją do dziś w okolicy Kielc. Wątpić jednak należy, by metale te kiedy w większej dało się produkować ilości. Właściwą przyszłość górnictwo polskie upatrywać musi na razie tylko w węglu, soli i nafcie.

Oprócz materiału wydobywanego z kopalń, wspomnijmy jeszcze o innym materiale, który nie mniejsze, — większe nawet bogactwo kraju stanowi — materiał żywym, pracowników górniczych. Materiał to, który co do jakości nie powstydzi się przed obcymi — a imponuje pilnością, odwagą i wytrwałością, najważniejszym

w górnictwie przymiotami. Górnicy polscy, robotnicy, jak wogóle robotnicy Polacy, zarabiają na ogół dobrze i warci też są swej płacy. Mówić tu trzeba nie tylko o tych, co w kraju pracują, ale i o stu tysiącach polskiej ludności górniczej w Westfalii, o Polakach w Pensylwanii i na Węgrzech, naszych wiertaczach w Niemczech, na Kaukazie, na Sumatrze, i Bóg wie gdzie jeszcze! Niebezpieczeństwo, panujące w kopalniach, wytwarza koniecz-

ność karność i rygoru, scentralizowany ustrój nowoczesnych kopalń wytwarza zmysł organizacyjny, odpowiedzialność nakłania do sumiennosci i obowiązkowości. Łączność, serdeczna koleżeńskość górnicza i dążność ku lepszemu chlubnie charakteryzują naszych górników. Ich pracy zmierzającej do zrobienia „w swoim kółku“ wszystkiego jak najlepiej, by „całość się sama złożyła“, życzymy

SZCZĘŚĆ BOŻE!



Jak powstał węgiel kopalny.

Każdemu z nas znany jest dobrze węgiel z drzewa czyli drzewny, którego używamy n. p. do palenia w samowarach lub w żelazkach do prasowania. Wyra- białą go w leśnych węglarkach czyli miel- lerszach w ten sposób, że kawałki drzewa układają w kopce, przykrywają darnią, a potem zapalają. Drzewo pali się, a ra- czej tli powoli czasem przez kilka tygo- dni, a to dlatego tak długo, że powietrze nie ma do niego przystępu. Drzewo spalić się może całkowicie tylko wtedy, gdy cią- głe świeże powietrze dopływa, a gdy zamkniemy powietrzu dostęp do drzewa przez przykrycie go ziemią, drzewo nie spali się na popiół, lecz powstanie z niego węgiel drzewny. Skoro taki węgiel z drze- wa powstać może, to musi ono węgiel w sobie zawierać. Rzeczywiście w drze- wie znajduje się węgiel i to jest go dosyć dużo, bo na 100 kilogr. drzewa jest w niem czystego węgla około 50 kilogr., a reszta, t. i. 50 kilogramów, przypada na popiół i różne gazy do powietrza podobne. Wę- giel podobny do drzewnego możnaby o- trzymać i bez ogrzewania, lecz trzeba- by pozostawić drzewo lub wogóle rośliny pod ziemią lub pod wodą przez bardzo długi czas, nie przez parę tygodni, lecz przez tysiące lat.

Ziemia, na której mieszkamy, nie wy- glądała zawsze tak jak dzisiaj. Przed wielu tysiącami i milionami lat żyły na

niej również zwierzęta i rośliny, lecz od- mienne od dzisiaj żyjących. Były morza i góry, lecz nie te, które obecnie widzimy. Dużo gór, które niegdyś wysoko się pię- trzyły nad ziemią, znikło zupełnie, bo skały w nich zwietrzały i spłukały je de- szcze i rzeki, a stać się to mogło, bo, jak powiedziałem, już temu lat miliony minę- ły, jak owe góry powstały. I morza z wielu miejsc ustąpiły, a inne znowu prze- strzenie ziemi zalały. Każdy z nas słyszał o kopalniach soli w Wieliczce i Bochni koło Krakowa. Ta sól wła- śnie w morzu się osadziła, a dzisiaj w tem miejscu widzimy miasta polskie duże i piękne.

Otóż w pewnym czasie, już bardzo od nas odległym, który uczeni nazywają pe- r y o d e m węgł o w y m, z morza, które wtedy zalewało północną część Europy, a więc i kraje polskie, zaczęły się powoli piętrzyć góry. W miarę, jak one stawały się coraz wyższe, coraz dalsze części dna morza wylaniały się z słonej wody i sta- wały się ziemią urodzajną, bo ziemia przez wodę przedtem zalana jest zawsze żyzną.

W ten sposób u podnóża owych gór powstały płaskie bagniste niziny, które często i morze na nowo zalewało, to zno- wu pokrywały je namułem i piaskiem rze- ki, które z gór do morza płynęły i niosły ze sobą, szczególnie podczas wezbrania.

mnóstwo materiału skalnego. Te bagniste niziny pokryły się wkrótce bujną roślinnością, a to tem łatwiej, że i na dnie morskiem rosną rośliny, więc już były one wtedy, kiedy to dno morza stało się bagniskiem nadbrzeżnem.

Rośliny te wyglądały jednak, jak to już wspomniałem, odmiennie, jak dzisiaj rosnące u nas. Nikłe chwasty, zwane skrzypami, jakie widzimy na każdej mokrej łące, tworzyły gęste lasy bagniste; a były to drzewa bardzo gałęziste i do 30 metrów wysokie. Znamy dobrze widłaka, małą roślinę o drobnych liściach, która wije się wśród mchów po lasach, a którą dzieci chętnie owijają kapelusze. Otóż i owe widłaki nie wszystkie były małemi roślinami, lecz tworzyły również lasy, a uczeni nazywają takie widłaki *Sigillaria* i *Lepidodendron*ami. Z pomocą grubych korzeni tkwiły one w ziemi, a były to drzewa potężne, dochodzące 40 metrów wysokości, a często i trzech ludzi, wzięwszy się za ręce, nie objęłoby takiego drzewa. I paprocie, rosnące w cieniach drzew leśnych, były wtedy wielkimi drzewami; dzisiaj takie drzewiaste paprocie rosną tylko w krajach gorących. Lecz w owych bagnistych lasach nie było drzew liściastych, a tylko trafiały się drzewa szpilkowe, nieco podobne do naszych sosen i świerków. Bardzo tam jednak musiało być smutno i ponuro, bo nie śpiewał żaden ptak, nie latały motyle, nie było barwnych i pachnących kwiatów, gdyż nie było wtedy tego wszystkiego, jak i człowieka, na świecie.

I powietrze, zdaje się, musiało być nieco inne, bardzo wilgotne i zawierało dużo takiego gazu, który nazywają kwasem węglowym. Ten to gaz rośliny wciągają do swych liści i właśnie z niego gromadzą w swem wnętrzu węgiel, który można w węglarkach z roślin otrzymać. Gaz taki wydobywa się w dużych masach z ziemi, z gór dymiących, zwanych wulkanami; tych właśnie wulkanów było w owych, a zwłaszcza w poprzednich okresach czasu dużo, więcej jak dzisiaj. — A jakie to zwierzęta żyły w takich warunkach na świecie?

W takich bagniskach należałoby się spodziewać przede wszystkim ryb i żab; rzeczywiście żyło tam dużo ryb, a choć nie było właściwych żab, żyły jednak do nich i do jaszczura podobne zwierzęta małe i duże, mające nawet 2 metry długości. Jedne miały 4 nogi i ogon, inne zupełnie jak węże nie posiadały nóg. W wodzie i powietrzu znajdowało się dużo różnych owadów, które wtedy pierwszy raz ukazywały się na świecie, a były to dość duże zwierzęta, bo przy rozłożonych skrzydłach niektóre miały prawie 1 decymetr szerokości. Były one podobne do karakonów, inne znowu do tych ważek, które zawisają na swych cieniutkich jak błonki skrzydłach nad wodami, jakby się ważyły, w morzach zaś, które oblewały ziemię, żyło jeszcze mnóstwo, przeróżnych muszli, raków, koralu i innych zwierząt, których nazwami możnaby całe książki zapisać.

Otóż takie ciche, umarłe, bagniste lasy z mnóstwem różnych jaszczurów i owadów rosły bez końca nad morzami, nikt ich nie wycinał, jak to i dzisiaj dzieje się w krajach niezamieszkałych przez ludzi. Drzewa powalone przez burze, lub zgniłe ze starości wpadały w wodę i tam zostały zamulone przez wodę rzek lub przez morze, które nieraz jeszcze wdzierało się na ląd.

Takie zamulone rośliny leżały od tego czasu w ziemi przez miliony lat i stało się z nimi to, co się znacznie prędzej dzieje z drzewem w węglarkach, to jest: zamieniły się na węgiel i to często tak zupełnie, że prawie śladu nie widać, iż ten węgiel powstał z roślin. Jakie rośliny go utworzyły, to możemy poznać po odciskach znajdujących w łożach, dzielących warstwy węgla. Skoro jeden bagnisty las został zamulony, na tem samym miejscu wyrastał drugi, a potem trzeci i tak powtarzało się to jeszcze wiele razy i stało się często dużo warstw węgla leży jedna na drugiej, przegradzanych łupkami i piaskowcami. — Gdy się to działo w krajach polskich, więc i na Śląsku, w innych krajach, jak n. p. w Czechach

wśród jezior dalekich od morza rosła również mnogość przeróżnych roślin, a rzeki wpadające do takich jezior, ciągle te rośliny przymulały i nowe z gór nanosiły. W ten sposób i tutaj tworzyły się warstwy węgla, chociaż daleko od wybrzeży morza. — W owym peryodzie węglowym, który pokrótce opisałem, utworzyło się najwięcej węgla na świecie i z tego czasu pochodzi ten węgiel, jaki mamy w zachodnich częściach Polski, t. j. na Ślą-

sku, jak węgiel kamienny. I ten węgiel powstał podobnie, jak węgiel kamienny, lecz później i z innych nieco roślin. Że ten węgiel powstał z roślin, to niekiedy można zupełnie dokładnie zobaczyć, gdyż czasem widać w nim wyraźnie słoje drzew, z których się utworzył. I dzisiaj można w wielu miejscach obserwować, jak powstaje węgiel w ziemi. W wielu okolicach naszego kraju, jak n. p. w puszczy Niepołomskiej niedaleko



Widok lasu nad morzem z czasów peryodu węglowego. Po lewej stronie obrazka widać olbrzymiego drzewiastego widłaka (*Lepidodendrona*), a dalej w tyle cały las takich samych drzew. Obok *Lepidodendrona* rośnie wielka paproć. Na prawo widać lasek skrzypów (*Kalamitów*)
W wodzie pływa jaszczur ogoniasty.

sku, około Krakowa w Galicyi i w Królestwie Polskiem. Cały ten obszar razem, na którym u nas ten węgiel występuje, nazywamy „śląsko-krakowskim“ zagłębiem węglowym.

Lecz ten peryod węglowy nie był jedynym czasem, podczas którego tworzył się węgiel w ziemi. W krajach polskich, n. p. w Galicyi koło Kołomyi, Żółkwi, Dębicy, w Księstwie Poznańskiem koło Bydgoszczy i w Królestwie Polskiem koło Sievierza wydobywają węgiel brunatny

Krakowa, lub w dolinie Nowotarskiej, na bagnistych nizinach rośnie mnóstwo mchów, turzyc, sitów i innych roślin. Skoro te rośliny częściowo zamrą, pozostają zawsze w wodzie i przez to zgnić nie mogą, lecz zamieniają się powoli na węgiel, czem głębiej w wodzie, tem bardziej zbity, bo nad nim ciągle rosną nowe rośliny i przygniatają te, które już zginęły. Węgiel w ten sposób dzisiaj tworzący się nazywamy torfem.

Tak w krótkości przedstawia się historia tworzenia się w ziemi węgla, a najważniejszy z nich dla człowieka jest wę-

giel kamienny. Nazywają go czarnem złotem lub czarnym dyamentem, gdyż on przynosi ludziom bogactwo. Gdzie tego dużo, powstają fabryki, ludzie za swoją ciężką pracę mają piękne wynagrodzenie, kwitnie

dobrobyt i powiększa się bogactwo narodu. W naszym kraju tego czarnego złota dużo, więcej nawet, jak nam go teraz potrzeba, lecz niestety w obcych on rękach, przeważnie nie polskich.

STATYSTYKA

produkcji węgla kamiennego w zagłębiu śląsko-galicyjsko-morawskim w roku 1908

I. Królestwo polskie.

W roku 1908 czynnych było 28 kopalń węgla kamiennego z 258 szybam wyciągowymi.

Przeciętna liczba czynnych maszyn parowych i elektrycznych w kopalniach

Maszy ny	Liczba	Siła HP.
Wyciągowe	88	12078
Wodociągowe	129	21841
Do innych celów	290	18923
Razem	507	52742

Przeciętna liczba zatrudnionych w kopalniach robotników: górnicy 5157 pomocnicy pod ziemią 10423, razem pod ziemią 15580; pomocnicy nad ziemią 5726, kobiety 966, razem 22271.

Węgla wyprodukowano ogółem 55,209.711 cetnarów metrycznych o dwa miliony więcej niż w roku 1907.

Produkcya ta rozdziela się na następujące kopalnie:

Nazwa kopalni:	Właściciel lub dzierżawca	Produkcya w cetn. metr.
Niwka	Tow. Sosnowickie	4.872.884
Klimontów	" "	666.161
Mortimer	" "	3.459.122
Milowice	" "	3.938.941
Hr. Renard	Hr. Renard	5.758.571
Andrzej II.	" "	303.114
Kaźmierz	Tow. Warszawskie	5.075.763
Jakób II.	" "	134.863
Feliks	" "	391.295
Paryż	" Franc.-włoskie	5.649.675
Koszelew	" "	
Saturn	" Saturn	6.849.734
Czeladź	" Czeladzkie	5.259.821
Flora	" Flora	2.704.991
Franciszek	" "	67.060
Mikołaj	" "	

Nazwa kopalni:	Właściciel lub dzierżawca	Produkcya w cetn. metr.
Jan	Spdk. Hr. Walewskiego	282.668
Grodziec I.	St. Ciechanowski	435.445
Grodziec II.	Tow. Grodzieckie	4,868.808
Antoni	Dzier. Schoen i Lamprecht	1,158.263
Reden	Tow. Franc.-rosyjskie	1,684.918
Tadeusz	" " "	396.913
Stanisław	Dzierż. St. Hilczyński	76.038
Helena	" M. Żołędziowski	216.354
Andrzej I.	" J. Wrzosek	5.301
Alwina	" W. Szyszkin	109.542
Floerz Rudolf	" W. Kondaki	485.092
Pokład Ignacy	" B. Woyde	69.642
Jakób I.	" K. Płodowski	47.552
Wańczyków	" A. Zieliński	9.748
Andrzej III.	" J. Wrzosek	230.580
Floryan	" M. Karpus	852
Razem		55,209 711

II. Galicya.

Kopalnia	Ilość robotników			Produk. węgla cetn. metr.	Siła maszyn H. P.
	na dole	na górze	razem		
Gwarectwo Jaworznickie w Jaworzniu	2073	589	2664	7,188.961	4067
Gal. Akc. Zakłady gór.-hut. w Sierszy	878	352	1230	3,891.786	2204
Krystyna, Tęczynek, Galic. Akc. Zakł. gór.-hut. . . .	262	115	377	386.498	100
Societe anonyme w Borach .	386	260	646	626.138	1944
Kop. Hławiczki w Tęczynku	116	40	156	191.398	81
Gw. węgl. w Brzeszczach .	304	156	460	397.230	706
Tow. Comp. Gal. des mines w Libiążu	84	59	143	14.950	1655
Kulka-Poniżil w Tęczynku .	33	13	46	65.632	—
Razem . .	4138	1584	5722	12,762.593	10757

III. Morawy.

Kopalnia	Właściciel	Produkcya cetr. metr.	Ilość robotników		
			pod ziemią	nad ziemią	razem
Ludwik	Gw. Witkowickie	1,707.000	410	176	596
Głęбина	Gw. Witkowickie	3,057.000	882	336	1218
Karolina i Salom.	Gw. Witkowickie	3,003.000	997	292	1289
Przywóz	Tow. Kolei Północn.	937.000	538	142	680
Henryk (X)	Tow. Kolei Północn.	1,192.000	576	152	728
Jerzy	Tow. Kolei Północn.	794.800	437	101	538
Ignacy	Tow. Maria Anna	3,146.670	1135	362	1497
Razem . .		13,837.470	4975	1571	6546

IV. Śląsk austriacki.

Kopalnia	Właściciel	Produkcya cetr. metr.	Ilość robotników			
			pod ziemią	nad ziemią	kobiet	razem
Jan	Hr. Larisch	2,716.000	982	208	29	1219
Franciszka	Hr. Larisch	2,189.000	788	151	47	986
Głęбина	Hr. Larisch	2,556.000	793	145	15	953
Henryk	Hr. Larisch	2,471.000	892	154	55	1101
Albrecht	Tow. Austr. gór.-hut.	2,892.000	1143	213	80	1436
Gabriela	Tow. Austr. gór.-hut.	3,025.000	1198	227	77	1502
Hohenegger	Tow. Austr. gór.-hut.	2,095.000	852	186	13	1051
Główny szyb	Gw. Orłowa-Łazy	2,883.600	1062	217	125	1404
Nowy szyb	(Br. Guttmann)	4,161.000	1479	299	73	1851
Zofia	(Br. Guttmann)	1,374.000	528	180	34	742
Szyb No. II.	Ostr. gór. Tow. Akc.	1,117.200	521	147	6	674
Szyb No. VII.	Ostr. gór. Tow. Akc.	1,851.943	791	80	—	871
Eugeniusz	Ostr.-Karwińskie	1,274.858	665	146	26	837
Teresa	Gw. Witkowickie	2,259.000	902	148	19	1069
Ida	Gw. Witkowickie	1,243.000	447	122	20	589
Bettina	Gw. Witkowickie	3,242.100	886	209	47	1142
Eleonora	Gw. Witkowickie	1,943.300	554	293	60	907
Gruszów	Tow. Kolei Półn.	1,169.000	616	80	37	733
Zarubek	Tow. Kolei Półn.	4.500.000	1702	285	158	2145
Aleksander	Tow. Kolei Półn.	2,512.000	930	139	39	1108
Michałkowice	Tow. Kolei Półn.	2,010.000	868	124	93	1085
Jan	Tow. Kolei Półn.	1,955.000	994	99	87	1180
Józef	Zwierzyna	916.224	332	59	49	440
Trójca	Hr. Wilczek	2,800.637	895	469	115	1479
Emma	Hr. Wilczek	1,423.000	516	130	39	685
Michał	Hr. Wilczek	1,089.620	516	130	39	685
Jan-Marya	Hr. Wilczek	969.510	377	118	44	539
Razem . .		60,558.992	22149	4777	1443	28369

V. Śląsk pruski (dolny).

Kopalnia :	Właściciel	Produkcya cetr. metr.	Ilość robotników			
			pod ziemią	nad ziemią	kobiet	razem
Anselm	Gw. Witkowickie	2,532.700	528	310	29	867
Oskar	Gw. Witkowickie	2,639.300	666	227	32	925





Statystyka

wytwórczości soli na salinach galicyjskich w roku 1907.

a) Sól kamienna.

W Galicyi zachodniej, t. j. w kopalniach soli Wieliczki i Bochni wydobyto:

soli kuchennej	330.715 q
„ na cele przemysłowe	600 „
„ na cele fabryczne	746.611 „
„ dla bydła	224.397 „
odpadków soli	22.500 „

razem 1,323.623 q

przyczem zajętych było ogółem 1790 robotników.

W kopalniach tych prócz wyszczególnionej ilości soli otrzymano 145.320 hl solanki naturalnej.

b) Sól warzonka.

Sól tę otrzymywano tylko w Galicyi wschodniej, a mianowicie na salinach: Boteczów, Delatyn, Dolina, Drohobycz, Kałusz, Kossów, Lacko, Łanczyn i Stebnik.

Na wszystkich tych salinach wytworzono:

soli topkowej	518.376 q
omoków :	6.478 „

razem 524.854 q

przyczem było robotników 430 w kopalniach, ewent. ługowniach, a 698 w warzelniach i innych robotach nadziemnych.

Do wywarzenia wymienionej ilości soli użyto:

solanki naturalnej	1,566.524 hl
solanki sztucznej	198.424 „

razem 1,764.948 hl

Poza tem użyto:

drzewa opałowego 84.348 m.

p. wartości 401.642 K

ropy (ropału) 45.784 q wart. 162.546 „

c) Kainit.

W kopalni soli w Kałuszu wydobyto 83.000 q kainitu.

Według powyższych zestawień wytworzono w całej Galicyi:

soli kuchennej	330.715 q
„ warzonki	518.376 „
„ na cele przemysłowe	999.386 „
kainitu	83.000 „

razem 1,931.477 q

o łącznej wartości 17,430.256 K.





Przemysł naftowy i woskowy w Galicyi w roku 1908.

Ogólna produkcya ropy w Galicyi w r. 1908 wynosiła 17,586.220 q czyli o 6,801.520 q więcej, niż w roku 1907. Naturalnie, nie tylko pierwsze, lecz dominujące stanowisko pod względem produkcji zajmują Tustanowice, które wyprodukowały 13,187.100 q ropy; Borysław dał jeszcze 2,669.100 q, Tustanowice więc z Borysławiem razem 15,856.200 q, czyli 90 proc. ogólnej produkcji. Faktycznie produkcya Borysławia i Tustanowic była jeszcze większa, jeśli uwzględnimy te ilości ropy, jakie na miejscu pod kotłami zostały spalone; podane cyfry obejmują tylko ilość przetłoczonej ropy z kopalń; ilość ropy spalanej należy szacować mniej więcej na 6000 wagonów, licząc, że przy jednym szybie zużywa się rocznie około 40 wagonów ropy, a szybów w wierceniu, instrumentowaniu i tłokowaniu było w Borysławiu i Tustanowicach przez cały rok przeciętnie około 150 (w listopadzie ubiegłego roku było 152 szyby).

Ciekawe są daty produkcji ropy w innych miejscowościach Galicyi, które kolejno odgrywały dawniej rolę środowisk i centrów naszego przemysłu naftowego. Jedną z najdawniejszych kopalń, Słoboda Rungurska, wyprodukowała w roku ubiegłym jeszcze około 400 wagonów ropy, słynny niegdyś Potok 1544 wagony (1385 w r. 1907), Wielopole i Tarnawa 1820 wagonów (1739 w r. 1907), Rogi 710 wagonów (903 w r. 1907), Schodnica 3648 wagonów (3965 w r. 1907), Bitków i Pasieczna 1179 wagonów, Ropienka 1800 wagonów. Ogółem wszystkie kopalnie oprócz Borysławia i Tustanowic wypro-

dukowały 1,730.000 q ropy, czyli 10 proc. całej produkcji.

Tak się przedstawiają cyfry produkcji, inaczej wyglądają cyfry przeróbki tej wyprodukowanej ropy. Jak wiadomo, od szeregu lat przeróbka ropy nie idzie u nas równym tempie ze wzrostem produkcji w tej dysproporcji pomiędzy produkcją ropy a jej zużytkowaniem, leży właśnie przyczyna chronicznie trwającego przesilenia w naszym przemyśle naftowym. Gdy produkcya ropy w roku ubiegłym wynosiła 175.862 wagony, a wraz ze spaloną w kopalniach ropą przeszło 180.000 wagonów, ogólna ilość ropy wyeksportowanej do rafinerii koleją wynosiła 126.282 wagony, drogą kołową i rurociągami około 8000 wagonów, czyli razem 134.282 wagony, o 36.571 wagony więcej, niż w roku 1907, jednakowoż jeszcze o 41.580 wagonów mniej, niż wynosiła produkcya; z tego też powodu zapasy ropy, które w końcu roku 1907 wynosiły 63.690 wagonów, musiały wzrosnąć o te 41.580 wagonów, czyli wynosiły z końcem 1908 r. 104.270 wagonów. Ta właśnie nadwyżka, spowodowana i brakiem dostatecznych urządzeń ekspedycyjnych na stacji Borysław i za mało jeszcze rozwiniętym eksportem naszych produktów naftowych, spowodowała ogromną niżkę ceny ropy, gdyby wielkie ilości ropy trzeba było magazynować, budować odpowiednie zbiorniki, płacić koszty magazynowania, asekuracji i t. d., a niejednokrotnie trzeba było rzucić wielkie ilości ropy na targ po byle jakiej cenie, dla braku wogóle miejsca na magazynowanie.

Z tej wymienionej ilości ropy w roku 1908 wywieziono do rafinerii galicyjskich i na cele opałowe 45.702 wagony (w roku 1907 — 28.134 wagony), do rafinerii austriackich, poza Galicyą położonych, 54.082 wagony (w roku 1907 — 42.283 wagony) i do rafinerii węgierskich 33.872 wagony (w roku 1907 — 27.299 wagonów) i wreszcie za granicę do Niemiec wywieziono ropy w stanie surowym 625 wagonów.

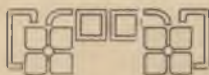
Do celów opałowych zużyto ropy zamiast węgla w zakładach przemysłowych przeważnie w Galicyi 7000 wagonów; rafinerie więc galicyjskie przerobiły 38.700 wagonów ropy, czyli w ogólnej przeróbce partycypowały więcej niż w czwartej części (28 proc.), węgierskie partycypują w czwartej części, gdy rafinerie w Austrii, poza Galicyą położone, przerobiły przeszło 40 proc. ropy użytej do przeróbki, a na cele opałowe poszło blisko 6 proc. W roku obecnym stosunek ten się zmieni na korzyść rafinerii galicyjskich wobec powstania nowej rafinerii w Limanowej, która będzie w stanie przerobić 6—7000 wagonów ropy i ma być jeszcze rozszerzona, a powstanie w roku 1910 wielkiego zakładu odbenzynowania ropy w Drohobyczu, przesunie stanowczo punkt ciężkości w przeróbce ropy na Galicyę.

W roku ubiegłym ogromnie się podniósł eksport naszych produktów naftowych w porównaniu z rokiem 1907; nafty rafinowanej wywieziono 2,341.604 q, blisko o milion cetnarów więcej, niż w roku 1907; eksport nafty zrównał się już prawie z wewnętrzną konsumcją nafty w całej monarchii austriacko-węgierskiej. Największą ilość nafty wywieziono do Niemiec (1,453.179 q), następnie do Francji (262.545 q), trzecie miejsce zajmuje Szwajcarya (175.051 q), potem idzie Turcja (133.235 q), Włochy (50.573 q), Anglia

(30.891 q), Dania (27.337 q). Benzyny wywieziono 255.963 q, dwa razy tyle co w roku 1907 i tutaj największy kontyngent wywozowy stanowią Niemcy; olei smorowych wywieziono 935.123 q (587.994 q w r. 1907), olei gazowych 167.436 q (68.912 w r. 1907). Bardzo silnie wzmożł się także eksport parafiny; parafiny czyszczonej wywieziono 252.800 q (131.315 q w roku 1907), łusek parafinowych 33.861 q (16.205 w roku 1907).

Wartość ogólna wywiezionych w roku 1908 produktów naftowych wynosiła 56,141.589 K, czyli była dwa razy większa niż w roku 1907 (27,691.441 K); import produktów naftowych przedstawiał jeszcze wartość 3,649.923 K (4,312.481 K w roku 1907); importowana jest ropa z Rumunii do Węgier za zniżonem cłem, wyborowe gatunki rosyjskich olei smarowych i nieznaczna ilość parafiny. Surowiec więc naftowy, produkowany w Galicyi, daje dzisiaj podstawę do handlu zewnętrznego monarchii, którego wartość dochodzi do 60 milionów koron; jest to bardzo poważna cyfra w bilansie państwa, a zarazem jest ona najsilniejszym argumentem, przemawiającym za tem, aby rząd jak najtroskliwszą opieką otaczał tę gałąź naszego rodzimego przemysłu.

Produkcya wosku ziemnego w Galicyi w roku 1908 wynosiła 256 wagonów (264 w roku 1907). Jak wiadomo, wosk ziemny surowy jest materiałem do fabrykacji cerezyny, do której używa się także pewnego procentu parafiny; fabryki cerezyny istnieją w Austrii i za granicą, dlatego też istnieje eksport wosku surowego i eksportu cerezyny; wosku surowego w roku 1908 wywieziono za granicę 16.453 q (18.137 w r. 1907), a cerezyny 12.147 q (11.168 w roku 1907); wartość wywiezionego wosku i cerezyny wynosi 4,208.335 koron.



Najgłębszy otwór wiertniczy.

Za największy otwór wiertniczy uważano dotychczas otwór w Paruszowicach w pobliżu Rybnika na Górnym Śląsku głębokości 2003 metrów. Obecnie inny otwór w tym samym okręgu Rybnickim, mianowicie otwór Czuchów nr. II., prowadzony przez rząd pruski obok wsi Czuchów, przeszedł tę głębokość. Był on zaczęty d. 10. grudnia 1906 przy średnicy 440 mm i do 19. maja 1907 był prowadzony sposobem udarowym. Od wspomnianej daty zastosowano wiercenie dyamentowe przy średnicy 176 mm i dnia 19. grudnia 1908

otwór dosięgnął głębokości 2156⁷/₈ metrów przy średnicy 48 mm na spodzie.

Naturalnie, że postępy wiercenia przy tak znacznej głębokości nie są takie, jak w pokładach wyżej leżących. Wszelkie przeszkody w samym wierceniu, z jakimi zawsze trzeba się liczyć, znacznie więcej dają się tu odczuwać. Samo podnoszenie przyrządu zabiera około 8 godzin czasu, opuszczanie zaś nieco mniej. Pojedyncze poważne przeszkody pomimo znacznej głębokości udawało się dotychczas szczęśliwie usuwać.

Niepohamowany wybuch nafty.

Niespełna dwa lata temu firma angielska S. Paerson i Ska nabyła tereny naftowe w okolicy Dos Bocas w Meksyku. Tereny te znajdują się na brzegu laguny, oddzielonej od morza wązkim, gdyż zaledwie 2 kilometry szerokim pasem lądu. Pierwszy otwór, wiercony przez tę firmę, natrafił na naftę w głębokości 2000 stóp i dawał około 5000 beczek nafty na dobę. Następny otwór, przewiercony do głębokości 1824 stóp przez twarde pokłady marglu, dnia 4. lipca 1908 wszedł nagle w miękki łożysko i w niespełna 20 minut później nafta zaczęła tryskać z otworu w stosunku 12.000 beczek na dobę. Ziemia naokoło otworu zaczęła silnie drżeć i rozwarła się w kilku miejscach; jedna z tych szczelin otworzyła się tuż pod kotłem, wyrzucając najpierw gaz — a następnie naftę, która zapaliła się i dążyła w stronę otworu wiertniczego. Z powodu silnego wiatru wszelki ratunek okazał się nie-

możliwym i w jednej chwili wszystko około otworu wiertniczego stanęło w ogniu a działalność źródła naftowego oczywiście się wzmagała. W chwili wybuchu otwór był rurowany do głębokości 43 stóp rurami o 11⁵/₈ cali średnicy, a na głębokości 1283 stóp rurami 8 cali średnicy. Po pół godziny po zapaleniu się źródła ciśnienie wzmogło się do tego stopnia, że całkowita długość (1825 stóp) czterocalowych rur została wyrzucona z otworu. W nocy 13. lipca, t. j. w 9 dni po zapaleniu się źródła wysokość płomienia została określona przez inżynierów na 1500 stóp, a na wysokości 800 stóp szerokość płomienia wynosiła 90 stóp! W chwilach wzmocnienia działalności nafta tryskała z szybkością 100.000 beczek na dobę.

Różne plany zatamowania źródła nafty mogły być wprowadzone w czyn, gdyby przed ukończeniem przygotowania do wykopania danego projektu, postawa źródła

zmieniała się do tego stopnia, że projektowane sposoby były zupełnie bezcelowe. Dnia 17. lipca źródło rozwarło się, tworząc krater o średnicy 150 stóp, jednocześnie nieprzerwany dotychczas słup tryskającej nafty zaczął słabnąć i sporo niespalonej nafty zaczęło spadać z powrotem na ziemię. Wówczas postanowiono wrzucić jak największe ilości piasku i żwiru do krateru, celem zatkania źródła. Plan ten wprowadzono w czyn i napór nafty zaczął coraz bardziej słabnąć i chwilami został zupełnie przerwany dzięki zapadaniu się krateru; wobec czego udało się zagasić pożar dnia 30. sierpnia r. 1908.

W trzy tygodnie po zagaszeniu pożaru średnica krateru wynosiła 400 stóp, a sondowania w odległości 30 stóp od brzegu wykazywały głębokość 200 stóp. Olbrzymi wypływ wody i nafty z krateru utorował sobie drogę do laguny, pokrywając jej

powierzchnię warstwą nafty. Dnia 1. października 1908 obliczono wypływ z krateru na 3 miliony beczek wody i 15.000 beczek nafty na dobę, starano się więc uratować naftę, budując poprzeczną tamę pomiędzy kraterem i laguną, tak, aby wierzchem tamy spływała sama nafta, którą możnaby zbierać, ale wykonanie tego planu okazało się niemożliwym wobec ciągłego osiadania gruntu. Działalność krateru coraz bardziej wzmagala się i wynosiła dnia 1. listopada 1908 14 milionów beczek wody dziennie z 17% zawartości ciał stałych oraz nafty. Obecnie krater w dalszym ciągu zapada się jeszcze i powiększa i niema nadziei zatamowania źródła, gdyż olbrzymie ilości wytryskującej wody unoszą ze sobą wszystkie ciała stałe w miarę wpadania ich do źródła z obrywaniem się ścian krateru.

Znaczenie wzlotu Bleriota.

Trudno dziś w całej pełni docenić znaczenia przewrotu, jaki w dziejach ludzkości zapoczątkował ostatni wzlot francuskiego aeronauty Bleriota. To pewna, że jest on początkiem nowej ery, początkiem nowego zwycięstwa ludzkości nad ostatnim, dotąd niepokonanym żywiołem — powietrzem.

Udany wzlot Bleriota otwiera nowe widnokręgi. Żegluga powietrzna, jako najlepszy i najdogodniejszy środek komunikacyjny, nie należy już do złudzeń i marzeń niewykonalnych. Lotu swego dokonał bowiem Bleriot nie na statku tak niepewnym i kosztownym, jak Zeppelin (statek Zeppelina kosztuje miliony), ale na latawcu zbliżonym tak z kształtu jak i funkcji do ptaka w locie, tego najlepszego wzoru, jaki w tej dziedzinie daje nam natura.

Skromny rozmiarami, rozwinął statek Bleriota szybkość niebywałą, bo przewyższającą bieg pociągu błyskawicznego i najszybszych torpedowców. Na odbycie drogi

przez kanał La Manche potrzebował Bleriot 23 minuty, podczas gdy najszybsze okręty potrzebują na tę drogę 1 godzinę 20 minut. Sukces Bleriota jest więc niebywałym.

To też dziś w innym świetle, jak dotąd, oceniać należy aeronautykę. Z przedmiotu prób i sportu niezadługo stanie się ona częścią życia codziennego, spełniającą jedną z najważniejszych funkcji nowoczesnego życia społecznego — komunikację. Marzenie lotu na skrzydłach stanie się możliwością realną, a może i codzienną potrzebą.

Nowy środek komunikacji niewątpliwie będzie miał doniosłe znaczenie dla państwa, przede wszystkim jako statek wojenny, służący do rekognoskowania. Dokona może również przewrotu w obecnych pojęciach o potędze flot morskich, redukując ich znaczenie.

Niemniej jednak — jak słusznie pisze jedno z pism lwowskich — nowa ta siła.

a raczej ta dawna siła, którą człowiek wreszcie nauczył się posługiwać i zmusić, by go niosła, stanie się prawdopodobnie tak potężną, że ludzkość zmuszona będzie dalej sięgnąć myślą, a nie zastanawiać się jedynie nad możliwością niespodzianych napadów i z góry rzucanych granatów. Należy się spodziewać, że te biliony nowych dróg, które otworzyły się nagle na morzu powietrznym, zbadanie ich i zużytkowanie, tyle dadzą ludzkości zajęcia, iż nadejdzie czas, kiedy ludzkość zrozumie, iż istnieją stokroć ważniejsze zadania niż konstruowanie powietrznych torpedowców i pancerzy przeciw pociskom miotającym ze statków powietrznych.

Bleriot przeleciał ponad kanał La Manche, następnym krokiem na tej drodze będzie może przelot przez morze Śródziemne i wówczas padną ostatnie granice. Nie statki wojenne jednak będą tymi, które najpierw zaczną szybować po nowych tych drogach, lecz statki inżynierów, sportsmenów, potem kupców, wreszcie pasażerskie. Albowiem żegluga powietrzna ma przede wszystkim pokojowe zastosowanie nie praktyczne. Które z mocarstw nie zrozumie tego, pozostanie w tyle w tych wielkich, społecznych i kulturalnych zawodach, które zainicjował Bleriot.



Latawiec Bleriota.

Jak wygląda latawiec Bleriota?

Latawiec, na którym Bleriot przeleciał kanał La Manche i wzbudził podziw całego świata, zdumiewa prostotą i logiką swojej konstrukcji. Podczas gdy inne latawce mają przeważnie formę pudełkową i dlatego wyglądają ciężko i nienaturalnie, latawiec Bleriota zbudowany jest zupełnie na kształt ptaka do tego stopnia, że nawet proporcja poszczególnych części składowych jest zachowana. Składa się on z głównego szkieletu, zaopatrzonego na

przodzie w dwuskrzydłową śrubę o 2'10 średnicy, tuż za śrubą spoczywa motor o sile 22/25 HP o ciężarze 60 kg. Za motorem (w tyle) siedzenie dla żeglarza, który nie spoczywa, jak n. p. w aparacie wrightowskim, wewnątrz pudeł, ale siedzi w ten sposób, że cała górna połowa ciała występuje ponad aparat. Szkielet aparatu zaopatrzonego jest u dołu w trzy koła białe, cyklowe ze stalowymi szprychami i pneumatykiem, w ten sposób rozłożone, że dwa

koła spoczywają na przodzie aparatu tuż pod motorem, a jedno niedaleko „ogona“. Koła te służą z jednej strony do wznoszenia się, bo na nich aparat cały, zanim się wzniesie w powietrze, biegnie po ziemi, z drugiej zaś strony do spadania, bo sprężyny ich łagodzą uderzenie aparatu o ziemię. Ogon, który jest przedłużeniem (jak u ptaka) szkieletu, zaopatrzony jest w dwa stery: wertykalny czyli pionowy dla kierowania aparatu na prawo lub lewo, i horyzontalny dla kierowania aparatu w górę lub na dół.

Drugą główną częścią składową aparatu Bleriota są dwa skrzydła (znowu jak u ptaka), przytwierdzone po obu bokach szkieletu i poruszane motorem. U skrzydeł tych zadziwia ich szczupłość, bo całe rozpięcie obu skrzydeł wynosi zaledwie 7'8 m, a płaszczyzna ich wynosi 14 m². Skrzydła te dają się z niezmierną łatwością odjąć i złożyć, co udowodnił Bleriot, biorąc pierwszą nagrodę w rekordzie w transportowaniu swego monoplanu.

Cały ten latawiec ze wszystkimi przyborami, zapasem benzyny na 2 godziny i jeźdźcem waży zaledwie 300 kg. Idealniejszy aparat trudno istotnie sobie wymarzyć.

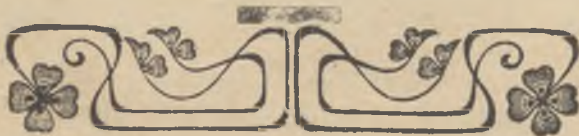
Latawiec ten obok „Zeppelina“ wyglądałby jak wielki parterowy domek obok dwóch wież ratusza lwowskiego postawionych jedna na drugą. Przytem forma zewnętrzna tego aparatu jest ogromnie naturalna, piękna, zgrabna i z oddalenia tru-

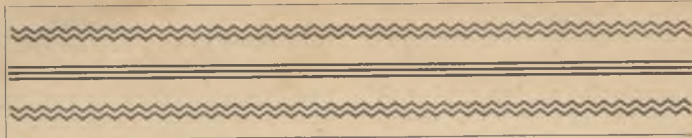
dno rozpoznać, czy się ma do czynienia z monoplanem, czy też z ogromnym ptakiem. Jeżeli teraz zważymy, że ten „ptak“ robi około 70 km na godzinę (szybkość ciągu błyskawicznego) — to będziemy mieć pojęcie, czem jest monoplan Bleriota. Najszybsze łodzie torpedowe nie osiągają tej szybkości, a najszybsze parowce przebywają kanał La Manche w 1 godzinie 20 minut (Bleriot 23 minut).

Początkowo były w Bleriota, jako żeglarza powietrznego, same nieszczęścia. Aparat po aparacie ulegał zniszczeniu, a ile biedny Bleriot odbył podróży bez latawca — głową w dół — na ziemię — trudno by zliczyć. Dziw istotnie, że dotąd żyje i chodzi z całemi kośćmi. Z powodu rekordu w nieszczęściu nazywano go w świecie awiatyki „człowiekiem, który zdobył rekord w niszczeniu aeroplanów“. Ale Bleriot niczem nie zraził się, ani nie dał odwieść od swych planów. Po kilku zniszczonych aeroplanach zarzucił budowanie aeroplanów wedle szablonu Wrighta i wpadł na pomysł zbudowania swego monoplanu na kształt ptaka.

Monoplan, na którym Bleriot przeleciał kanał La Manche, nosi nr. 11. Monoplan nowszy nr. 12. okazał się niepraktyczny, bo ma siedzenie poniżej skrzydeł i dlatego jest bardzo niebezpieczny w razie jakiegś katastrofy.

Zdaje się, że Bleriot już zostanie przy nr. 11., choćby dlatego, że ten właśnie model zapewnił mu nieśmiertelną sławę.





Trzęsienia ziemi.

Straszną i grozą przejmującą wiadomość rozniosły telegramy w ostatnich dniach roku 1908. Oto jedno z najpiękniejszych miast wyspy Sycylii, Messyna, zostało do szczętu zburzone przez trzęsienie ziemi i rzeczywiście do szczętu, bo tylko jeden jedyny dom ocalał. A

bo już wiele razy ulegała ona podobnemu losowi, chociaż nie tak strasznemu, zawsze jednak odbudowywano ją z gruzów. Tym razem zniszczenie było tak straszne, że była chwila, w której myślano podpaść szczątki zburzonego miasta na czterech rogach i zniszczyć to ogniem, czego nie



Ogólny widok Messyny.

było to miasto, które liczyło przeszło 150.000 mieszkańców, a więc większe niż Kraków. I nie tylko to miasto legło w gruzach w owej strasnej chwili, lecz jeszcze wiele innych miast na wyspie Sycylii i we Włoszech zostało zburzonych całkowicie lub częściowo, a pod gruzami walących się domów zginęło 200.000 ludzi. Messyna nosiła przydomek „mężnej”,

zniszczyła straszna katastrofa. Dziesiąty tysięcy żołnierzy pracowało dzień i noc, by wydobyć z gruzów ludzi, bo z wielkich zwalonych domów odzywały się ięki świadczące o tem, że ludzie pod gruzami jeszcze żyją. Dlatego nie było czasu na usuwanie dziesiątek tysięcy trupów, które nieopogrzebane leżały na ulicach i gnily, roznosząc śmiercionośne wonie i grożąc

zarazą tym, którzy ocaleli. Trzęsienia ziemi powtarzały się ciągle przez parę dni, a uczeni przepowiadają, że jeszcze przez długie lata ziemia się nie uspokoi. To właśnie było powodem, że myślano spalić nieszczęśliwą Messynę i nigdy jej już nie odbudowywać, a chociaż później tego zaniechano i postanowiono miasto odbudować, jednak mieszkańcy nowo odbudowanego miasta ciągle będą musieli

zwanych wulkanami. Palą one wszystko, co po drodze napotkają i niosą zniszczenie nie mniejsze, jak trzęsienia ziemi.

Kiedy ziemia nasza stygła, wytworzyła się na jej powierzchni skorupa ze skał i ta skorupa ziemska musi ciągle tworzyć fałdy, bo wewnątrz ziemi stygnie ciągle i powoli, a przez to twardnieje w coraz głębszych częściach i zmniejsza się jego objętość. Dzieje się z skorupą ziemi coś



Trzęsienie ziemi w Kalabryi: Ruiny w Ferrazano.

żyć w trwodze, czy nie spotka ich los podobny, czy znowu nie nadejdzie owa straszna chwila, trwająca kilka minut, w której stracą mienie, a może i życie. A skąd się biorą owe straszne katastrofy?

Powiadają, i zdaje się słusznie, że nasza ziemia dzisiaj z twardych skał złożona, kiedyś, gdy powstała, była podobna do słońca zupełnie miękka i bardzo gorąca, a dopiero stygnąc miliony, a może i setki milionów lat, tak oziębla i stwardniała, jak to dzisiaj widzimy. Lecz w środku jest jeszcze gorąca, a jak gorąca, to możemy sobie wyobrazić, widząc te gorące płynne skały, popioły i trujące gazy, wydobywające się z głębi ziemi z gór

podobnego jak z skórą jabłka, położonego w suchym miejscu, kiedy mięsz pod skórą wysycha i przez to zmniejsza swą objętość. Na jabłku tworzą się fałdy ze skóry, która staje się za wielką i marszczyć się musi. Takie zmarszczki, lecz znacznie większe, tworzą się i na ziemi naszej i nazywają się w nauce górami łańcuchowymi, a takich gór dużo na świecie, a od nas najbliższe leżą góry Karpaty. Lecz nie tak łatwo marszczy się skorupa naszej ziemi, złożona z skał bo trzeba na to całych tysięcy i więcej lat, żeby się taki fałd, taki łańcuch górski wytworzył. Dlatego właśnie nie możemy zauważyć, jak się ziemia podnosi i

fałduje, bo wobec tego czasu, jaki jest potrzebny na wytworzenie się takich gór, życie jednego człowieka jest zaledwie krótką chwilką.

Kiedy takie twarde skały wyginają się, tworząc góry, muszą pękać i w ziemi powstają głębokie szczeliny, przez które niekiedy wydostają się na powierzchnię ziemi owe gorące, stopione skały z wnętrza ziemi i takie właśnie miejsca nazywamy wulkanami. Prawdopodobnie takich gór dawniej tworzyło się więcej na świecie i może prędzej nieco fałdowała się ziemia, jak dzisiaj, lecz i dzisiaj jeszcze

w skorupie ziemskiej. Te głębie morskie właśnie, które otaczają Sycylię i Włochy, powstały przed niedawnym geologicznym, choć przecież od pojawienia się człowieka na ziemi bardzo odległym czasie. Dlatego przeto, że tam te zaburzenia w ziemi, zaczawszy się niedawno, jeszcze się nie skończyły, tak często dają się odczuć na powierzchni jako groźne trzęsienia.

Chociaż trzęsienie ziemi na Sycylii we Włoszech w roku 1908 pochłonęło 200.000 ludzi i było pod tym względem najstraszniejszym z wszystkich trzęsień to jednak historia zanotowała trzęsienia



Messyna: Widok portu.

takie tworzenie powolne zmarszczek na ziemi odbywa się ciągle, lecz tak powoli, że my tego zauważyć nie możemy, a tylko odczuwamy skutki tego fałdowania ziemi. Kiedy ziemia silniej zaczyna się wyginać, powstają owe straszne trzęsienia ziemi, z których jedno przed niedawnym czasem zniszczyło Messynę na Sycylii i część południową Włoch. Właśnie te miejsca ziemi, jak wiele innych nawiedzanych przez trzęsienia, leżą na liniach wielkich, a niedawnych zaburzeń

które zajęły znacznie większą przestrzeń, jak trzęsienie włoskie. Takim było trzęsienie ziemi w południowej Azji, w Indjach Wschodnich 12. czerwca roku 1897. Objęło ono obszar około 3,120.000 kilometrów kwadratowych, a ziemia falowała zupełnie jak woda. Na przestrzeni 400.000 kilometrów kwadratowych nie ocalał żaden budynek murowany, a w miejscach najsilniejszego wstrząśnienia przedmioty podskakiwały do 20 cm. wysoko. W wielu okolicach góry się osunęły

i zatamowały rzeki tak, że potworzyły się duże jeziora, z których największe miało dwa i pół kilometra długości a blisko dwa kilometry szerokości. W ziemi potworzyło się wiele pęknięć, sięgających daleko w głąb skorupy ziemskiej i ciągnących się bez przerwy na znacznej przestrzeni.

I jeszcze wiele podobnie groźnych trzęsień możnaby wyliczyć; jedno z nich w roku 1906 zniszczyło piękne miasto w Ameryce San Francisco.

najtrwalsze waliły się budowy; rzeki występowały ze swoich łożysk i wylawszy na obie strony, ukazały dna suche, a wody wszystko zmuliły. Ludzie, nagłym strachem zdjęci, od zmysłów i rozumu odchodzili." Obliczono, że od roku 1000 do 1876 nawiedziło Polskę 66 trzęsień ziemi, lecz nie były one — jak powiedziałem — bardzo silne i nie wszystkie z pewnością były tektoniczne.

Jest bowiem i inny rodzaj trzęsień, już



Widoczek okolicy, nawiedzonej przez trzęsienie ziemi. Szyny kolei żelaznej zostały pocięte, a w ziemi (na prawo) potworzyły się głębokie szczeliny.

I u nas w Polsce, a szczególnie w Galicyi, leżącej blisko, niedawno utworzonych gór Karpat, trafiają się takie trzęsienia, które uczeni zowią trzęsieniami tektonicznymi, lecz są one na szczęście mniej silne, a więc i mniej groźne.

Już w roku 1201 dnia 5. maja, jak notuje nasz historyk Długosz, było silne trzęsienie na ziemiach polskich, które się przez kilka dni powtarzało, „powywracało ono wiele wież, domów i ogrodów.“ Jeszcze silniejsze trzęsienie było 5. czerwca 1443 r., a było ono tak gwałtowne, że według słów owego pisarza „wieże i gmachy murowane upadały na ziemię i

znacznie mniej groźny i dobrze znany na małą skalę górnikom. Skoro w kopalni zawali się strop na znaczniejszej przestrzeni, daje się to odczuć na powierzchni ziemi, bo szyby w oknach drżą, a często i domy się rysują. Otóż w ziemi dużo jest takich wielkich, czasem olbrzymich jaskiń, przestrzeni próżnych, z których woda wypłukała skały, bo wiele skał jak sól, gips, a nawet wapienie w wodzie się rozpuszczają. Takie wydrążenia podziemne często się zapadają i powodują wstrząśnienia ziemi, czasem nawet dość silne. Za takie trzęsienia uważają n. p. to, które nawiedziło Galicyę wschodnią dnia 17. sierpnia 1875 r., a także przed

niedawnym czasem, t. j. w jesieni 1908 r. W Galicyi wschodniej, a mianowicie na Podolu galicyjskiem, dużo jest właśnie takich skał, jak n. p. gips, który woda może wypłukać, a skoro się utworzą olbrzymie jaskinie podziemne i strop się w nich zapadnie, ziemia musi zadrzeć dość silnie. Takie trzęsienia nie zajmują jednak bardzo wielkich obszarów ziemi i szkód wielkich nie sprawiają, a nazywają je trzęsieniami zapadowemi.

i pary wydostaną się na powierzchnię, tworzą sobie drogę w zatkanym kominie, przą na skorupę ziemi, a wtedy słychać huk podziemny i cała ziemia drży. I te drżenia, które nazywają trzęsieniami wulkanicznymi, mogą być dość gwałtowne, chociaż są zwykle mniej niebezpieczne, jak sam wybuch wulkanu. Takich wulkanicznych trzęsień ziemi nie było za pamięci ludzkiej w Polsce, gdyż niema u nas obecnie wulkanów. By-



Korso w Reggio.

Jeszcze istnieje i trzeci rodzaj trzęsień ziemi, a ma on swe źródło w wybuchach wulkanów. Te trzęsienia są ograniczone do najbliższego sąsiedztwa czynnych wulkanów, t. j. takich, które jeszcze ciągle od czasu do czasu wybuchają. Otóż, nim ognista lawa wydostanie się z wnętrza ziemi przez szczeliny w niej, przedtem zawsze wybucha olbrzymia ilość rozmaitych par i gazów. Taki komin, którym owe roztopione skały z wnętrza ziemi wypływają, często jest zawalony lawą, która zastygła w nim podczas ostatniego wybuchu wulkanu. Nim przeto owe gazy

ły one jednak kiedyś w bardzo a bardzo odległych czasach i w tem miejscu ziemi, gdzie my obecnie żyjemy, gdyż są na ziemiach polskich skały, które powstały z lawy, wyrzucanej przez wulkany.

Wogóle trzęsienia ziemi w Polsce zdarzają się bardzo rzadko i nigdy na szczęście, nie pociągają za sobą groźniejszych następstw. Kraje polskie należą, według określenia geologów, t. j. ludzi badających budowę ziemi, do tak zwanej tablicy runicznej, a obszary ziemi, znajdujące się w tej tablicy, nie ulegają silniejszym wstrząśnieniom skorupy ziemskiej



Trzęsienie ziemi: San Francisco w Ameryce.

KAZIMIERZ TETMAJER.

Franek Seliga i Pan Bóg.

(Z cyklu: Na skalnem podhału.)

Był chłop, Franek Seliga, na bani w Magórze robił; rudę kopał. Piękny był taki, że kiedy wsią szedł, kobietami potrzasało. Dumny też był z tej urody strasznie, rozzuchwalony, a jeszcze i z tego się pysznił, że się ze szlachty wywodził, bo takie jest opowiadanie o Seligach i Zychach z Witowa.

— Jo jest ze ślakty — mówił.

— E, jesce wte cygani nie kradali, kieś ty ślakcice be! — śmiali się z niego.

I był w Kuźnicach pan Walewski, rachmistrz, który miał córkę Anielcię, tak śliczną, jakiej jeszcze na świecie nie było. Spodobała się ta panna Walewska Frankowi Selidze.

— Ta by się ku mnie równała — mówił — teloz by nos z jednego saka wyjeni, jak dwa pstrągi.

I co już pierwej elegant był, to teraz temu miary zaczęło niebyć. Czucha na

nim czarna, długa, szeroko czerwonym sznurkiem bramowana, portki niebieskim sznurem w dziewięciore wyszyte, kiedy najgrubszy gazda jak już w pięciore dał wyszyć, to się sam po sobie oglądał; kypce jasne, żółte, kapelusz z maleńkiem skrzelem z kostkami, pióro z głuszca za nim. Do kościoła do Nowego Targu w niedzielę panna z ojcem jeździła; tam Franek Seliga taki strojny chodził. Najgorzej, kiedy było błoto, bo już nie wiedział, jak iść. Więcej uskoczył z kamienia na kamień, niż upiętkował. Ale on był lekki.

Ustał pić, ustał palić, nic, tylko pieniądze składa, a stroi się. A w kościele, u św. Anny w mieście, żeby niewiedzieć ile ludzi było, potrafił on się przepchać ku ławce, w której panna Walewska z ojcem siedziała.

Już tam Panu Bogu on się wtedy nie uprzykrzył. Mało wiedział, gdzie jest, tylko

se głowę podźwigował w górę, że to jest taki cudowny, a popatrywał na pannę. Ona się też ku niemu czasem z nad książki spoglądała.

A Franek sobie to najlepiej tłumaczył, bo strasznie podufały i wszystko o sobie trzymający był.

— Zalubiła mnie — mówi. — Niemogło inacyj być.

— Wto?

— Janiela.

— Jako Janiela? Mostowego?

— Baj to!

— Wietrznego Kuby?

— Baj to!

— Krzeptowsko?

— Baj to!

— Ze to wtoroz by haw była? Maćkowej Bronci wydano, Staseckula wydano, na Gładkiem obstarnio, nie ku tobie — — je kaześ ty haw jesce wtorom Janiele na-
loz?

— To je nie jest dziewczka, to je jest panna.

— Panna?

— Panna.

— E dyś ty hłop.

— Baj to! Jo jest ze ślakty.

— Hej! Z takiej, co z obory wykiduje!

— Niekze ta!

— Ale powidze, Franek, nie gadoj głupstwów: wtoroze to ta Janiela, co cię zalubiła?

— Walewsko.

— Z Kuźnic?

— Ba haj.

— Cyś ogłupioł?

— Nie ogłupiołek.

— Ona by cię miała zalubić?

— A ino.

— Cy cię odymiło?

— Nie odymiło mię ta nijako.

— A hojby i tak beło: bees jom to brał?

— Bedem.

— Eć! Dadzom ci jom! Kiebyś choć organistym był, abo cosi kajs. Ale coześ ty? Sprosty hawiorz i telo.

— Alek pikny do cudu.

— No jużci prawda, to ci nima co pe-

dzieć, dyabeł sie tobom nie ocielił, a skądze wies, ze cie zalubiła?

— Poziero ku mnie.

— Iści! To i liska poziero na grule, nie bedzie ik jadła.

Przyjdzie Franek do Kuźnic w sobotę po wypłaty, czy kiedy, to już tak wypługuje, to już tak študeruje, czyby jako tani Anielci nie zobaczyć? Bo i ona się jemu strasznie w serce zakradła. No i tyle w tym spekulował, że się do niej przecie nablżył i czasem nie czasem jakieś słowa przepowiedział. Ona to choć niby panna była, to tam znowu bardzo od niego nie odlatywała; w sukieneczynie tylko w niedzielę i we święto chodziła, zresztą spocynica na niej zwyczajna, na głowie chustka, a buty ta też nie zawsze pod nią cupkały.

Boso się jej zdarzyło wylecieć nieraz i nie dwa. Tylko że jej już niemożna było mówić Anielciu, ale panno Aniolo, bo ojciec za rachmistrza służył i tak przykazywał.

Póki to tak było na daleko, że się tylko ku sobie spoglądali, to nic, ale poszła raz Anielcia na borówki w Olczysko w jedną niedzielę i tam się z nią Franek Seliga przykradł, bo on do tego jedyny był. Hej! były już usta na ustach, ręce poza plecy — — wydarła się.

Dopiero się teraz Franek Seliga wściekł, bo się tego jeszcze dowiedział przy tem, że onaby się za niego i wydała tylko żeby ojciec pozwolił.

Ale nie upłynęło parę dni, potrafiła mu Anielcia odkazać, że ojciec ani słyszeć o niczem niechce, że jej upatrzył krawca w Sączu i że tam ją wyda za mąż. I tak jeszcze powiedział, że choćby mu się świat cały do nóg walił, to go to nie zmieni, i Pana Boga się przysięgł, że z tego nic nie będzie. Gniewał się strasznie, krzyczał, powiedział, że ją do lamusa zamknie, gdzie pieniądze chowali, a Franka jak psa zastrzeli, żeby się tylko nablżył.

I czy ją do lamusa zamykał, czy gdzie indziej, dość, że jej od tego czasu Seliga nie widywał, a tylko przez służącą wiedział, że ona go kocha i że do niego tęskni.

Bardzo mu to pochlebiało, ale go i żal brał okrutny za nią.

I tak mu jeszcze odkazała, że ludzie tu nie pomogą, chyba Pan Bóg.

— Hej wiera! — myśli Franek. — Dy Pon Bóg wsekemocny, kiebyk go piknie popytał, cyby mię tyz jako nie spar w tyj biedzie?

Niebyło kościoła blisko, jeden w Chochołowie, drugi w Nowym Targu, ale była kapliczka murowana z mosiężnym daszkiem, a oko Opatrzności w niej, wyrobione z drewna i pomalowane.

Stało to przy drodze.

Idzie Franek ku kapliczce, zdejmując kapelusz, klęka i tak się modli: Panie Boże, jakbyś mi dopomógł w tym stropieniu, to jo Ci tylo śrybła do kościoła w mieście okfiarujem, kielo do obu garści nabierem. Zkąd będzie to będzie, cy ze ziemie wykopiem, cy z morza wyłowiem, cy z Luptowa prziniesem, cy z kase homerskiej ukradnem: to się Ty juz o to nie staroj. Nie Twoja głowa w tem, ino moja. Tyś ta jest wsekmogoncy, to Ty to w ocymieniu sprawić mozes, kiebyś ino fciół, ale jo juz i do tyźnia pocekam, cobyś ino sprawił, a pytom Cię barz piknie, odmień serce w panie Walewskim, coby się nom nie przeciwiał. Amen.

Wstał i poszedł.

Kopie rudę, kopie, czeka, ale nic. Tyle mu służka doniosła, kiedy w sobotę z bani zeszedł na dół, że się pan Walewski jeszcze raz rozgniewał na córkę, że ją i wybił po plecach „lajstokiem“.

Tydzień właśnie minął.

Idzie Franek znowu pod kapliczkę, klęka, zdejmując kapelusz i tak mówi: Panie

Boże, tydzień minon. Cok przyobiecoł, dotrzymiem. Jakeś ta moze cemi inem zatrudniony był, niekze jesce będzie do tyżnia. O tydzień zaś zejndem z banie dołu. Barz Cię pięknie pytom, ale nie śpasuj, bo se mnom śpasów niema. Kiebyk niewiedziół, ze sytko mozes, tobyk Cię ta telo nie nukał, ale kie mozes, to mozes, uróbze, bo tu przecie nie idzie o nic, ino o szczęście. Amen.

Upłynął tydzień, nie dowiedział się Franek Seliga, aby się serce w panu Walewskim odmieniło.

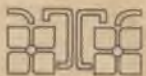
Idzie trzeci raz ku kapliczce, klęka, zdejmując kapelusz i mówi: Panie Boże, kiebyk ku Tobie z próżnemi rencami sed, to hej, ale dyjek Ci przecie przyobiecoł dotrzymiem, ino się haw robota w jesieni skończy. Nie trza długo cekać. Wiemy juz o jednym zydku przy Popradzie, w harendzie. Pytom Cię barz piknie i zaś Ci jesce tydzień przycyniem, ale nie śpasuj, bo se mnom śpasów niema.

Wyczekał się Franek; nic.

Idzie tedy czwarty raz ku kaplicy, zdejmując kapelusz, ale już nie klęka i mówi: Panie Boże! Coześ tak na uwziętego se mnom?! Nie bedem Cię juz pytał więcej, bo widze: darmo. Wadził się tyz s Tobom nie bede, boś na niebie, wysoko, a jo nie oreł.

Ale Ci nic nie okfiarujem, a jesce Ci na despet zrobiem, kieś taki nieusłuhany. Kie na uwziętego między nami, to jo ta tyz cosi kajsi worcem!

Ułożył kopczyk z kamieni, wypinał się, podważył ciupagą daszek i stracił go z kapliczki na ziemię.





WIDMO W ZBROI.

ROZDZIAŁ I.

Pan zamku w opałach.

Poznań, 3./XI. 1905.

Zamek Kruszwicki.

Szanowny Pan Bronisław Sęp.

Nowy Jork.

Czczegodny mistrzu!

Okrzyk rozpaczny wrywa się z piersi mojej! Przybądź i ocal mnie! Jestem blizki obłędu, w tobie mistrzu pokładam jedyną nadzieję! Ręka ma drży, wzrok zamglony, nie mogę pisać. Zaspokoję najwygórowańsze żądania twoje. Przybywaj niezwłocznie, ratuj nieszczęśliwego!

Henryk Czerski.

List ten otrzymał Sęp ranną pocztą.

Zawezwał swego wiernego pomocnika Józefa, podając mu go, rzekł:

— Przeczytaj list ten z uwagą, poczem powiedz mi, jakie wrażenie odniosłeś.

Józef czytał powoli, gdy skończył, powiedział:

— Człowiek, który list ten pisał, jest bardzo nieszczęśliwy. Słowa niepowiązane, ręka drżąca, wskazują na silny rozstrój nerwowy, okropny cios musiał go dotknąć.

— Jestem tego samego zdania. Spełnimy życzenia Czerskiego, pośpiesz się, za godzinę pociąg odchodzi.

— Za chwilę będę gotów, mistrzu!

Postanowienie wyjazdu z pomocni-

kiem świadczyło, że detektyw bierze sprawę poważnie. W godzinę potem był w drodze do Poznania. W wagonie dał Sęp objaśnienia swemu pomocnikowi.

— Byłem w zamku Kruszwickim. Przed kilku laty zawezwał mnie poprzedni właściciel w sprawie fałszerstwa weksli. Sprawa ta zajęła kilka dni, tak miałem dość czasu, by obejrzeć wspaniały ten zamek.

Z początkiem zeszłego stulecia przyjechał do Poznania milioner junker niemiecki, wybudował w stylu gotyckim przepyszną zamek. Sprowadził średniowieczne meble, portrety sławnych przodków, swoich zbroje po nich pozostałe. Zamek ten jest osobliwością godną zwiedzenia, godzinami chodziłem po nim. Korytarze przedwnej budowy dzielą obszerne sale, a kład te schody prowadzą do wieżyczek zamkowych. Zbrodniarze mogliby tu mieć ukrycie kryjówek. Uważając za niebezpieczne udać się samemu, zabieram cię z sobą.

Józef skinął na znak zrozumienia. Ciągnął się na sprawę, grożącą niebezpieczeństwem.

— Mistrzu, czy znasz pana Henryka Czerskiego?

— Nie znam. Przypuszczam, że to jakiś starszy właściciel zamku. Junker niemiecki sprzedał kilka lat przed śmiercią całą swoją posiadłość Janowi Czerskiemu. Ten pozostawił ją znanemu mi Karolowi Cze-

skiemu, który przed rokiem skonał. Henryk Czerski jest albo spadkobiercą po ś. p. Karolu, albo nabywcą całej posiadłości.

Na tem urwała się rozmowa. Detektyw i pomocnik jego, zajęci swemi myślami, zdążyli do celu podróży.

Ranek następnego dnia był ponury i dzidy. Ostre wiatry jesiennego dąły, szare mgły unosiły się nad wzburzonym jeziorem, którego toń lazuru w słonecznych blaskach wyjaśniała niejedno smutne oblicze.

Ciężkie czarne chmury zawisły nad zamkiem położonym na wzgórzu, z którego okien był widok na świetlane jezioro, na pełne życia i ruchu miasto Poznań. Dziś było wszystko ciemne i smutne.

Dwaj mężczyźni, w długich, nieprzemakalnych płaszczach, wstępowali na wzgórze prowadzące na zamek. Stanęli przed bramą wchodową.

— Jesteśmy u celu, — rzekł starszy i nieco słuszniejszy — już na zewnątrz przedstawia się zamek nadzwyczajnie!

— Nie uznaję tego! — odparł, mrużąc, Józef. — W tę straszną słotę wszystko wydaje się ponurem, być może, że przy jakiej pogodzie inaczej się to przedstawia.

— Zdaj się na mnie — rzekł Sęp, opuszczając kołnierz płaszcza. Weszli wspinali schodami przez drzwi oszklone i zadzwonili.

Otworzył im służący. Niemało był dziwny, widząc przed sobą dwóch rzemokłych przybyszów.

— Czego panowie sobie życzą, — spytał, mierzając ich od stóp do głowy.

— Chcemy się widzieć z panem Czerskim. Czego stoisz? śpiesz się chłopcze! Służący wzruszył ramionami.

— Sądzę, że pan Czerski nie przyjmie panów. Jak się panowie nazywają i czego chcą?

Sęp postąpił o krok naprzód.

— Pójdź natychmiast i powiedz panu, że dwóch panów przyszło i chce się z nim rozmówić. Nie zwykłem kilka razy objawiać życzenia mego.

Stanowczy ton detektywa podziałał. Pojrzawszy w błyszczące oczy i silną

postać Sępa, odszedł śpiesznie. Po upływie kilku minut wrócił, prosząc uprzejmie, by panowie się za nim udali.

Zaprowadził ich na pierwsze piętro do wspinałej pracowni Henryka Czerskiego.

Gdy weszli, powstał siedzący przy biurku smukły mężczyzna — pan zamku.

Miał lat 28, cierpienia i zgryzoty nadawały mu wygląd starszego. Twarz ogolona, żółta i zapadnięta, ciemne, głęboko osadzone oczy były bez blasku, a usta zaciskały się kurczowo w niemym bólu.

Gdy wyszedł im naprzeciw, rozjaśniło się oblicze jego blaskiem nadziei.

— Jeżeli się nie mylę, mam przed sobą pana Bronisława Sępa?

Detektyw skłonił się potakująco.

— Tak, panie, ja nim jestem, a to mój wierny towarzysz Józef.

Wyciągając ręce do obu, rzekł Czerski z ożywieniem:

— Witam was, panowie! Obecność wasza uspakaja mnie, kamień spadł mi z serca!

Sęp uściśnął serdecznie podaną rękę.

Poznał od razu, że ma przed sobą nie szczęśliwego, a to go przejęło współczuciem i spowodowało zająć się jak najgoręcej sprawą.

— Przyjechałem bardzo chętnie — powiedział. — Znając rozległy zamek i jego urządzenie wewnętrzne, przypuszczałem, że pomoc będzie mi konieczną, zabrałem więc pana Józefa, licząc na to, że zbrodnię popełniono w zamku samym.

Henryk Czerski wskazał obu krzesła, sam usiadł przed biurkiem.

— Więc pan zna zamek? — zapytał ucieszony.

— Tak, panie! Byłem tu przed laty u pana Karola Czerskiego i wtedy miałem sposobność obejrzeć go dokładnie.

— Ależ to nadzwyczajne! Jakżeż mi żał, że dopiero teraz zaprosiłem pana, gdybym to był prędzej zrobił, tajemnica byłaby już dziś rozjaśniona i nie byłbym stracił mej najukochańszej Wandy.

Nieszczęśliwy zakrył twarz rękami, ciche bolesne westchnienie wyrwało się z ust jego.

Po chwili zapanował nad sobą, odstąpił oblicze i drżącym głosem powiedział:

— Wybaczcie panowie! Ból — straszne wspomnienie — opowiem wszystko — a wtedy pojmiecie mnie.

Sęp rzekł z powagą:

— Tak panie! Staraj się o ile możności być spokojnym, uprzejmie: o to proszę! Przedstaw nam cały przebieg sprawy jasno i rzeczowo, nie zatajaj żadnych spraw rodzinnych, najdrobniejszy szczegół może być wielkiej wagi. — Muszę objąć cały stan rzeczy, aby osnuć plan postępowania.

Henryk Czerski skinął głową potakująco, poczem rzekł:

— Będę się starać zebrać myśli i jak najdokładniej wszystko opowiem.

Po krótkiej przerwie rozpoczął:

— Zmarły Karol Czerski był moim wujem. Matka moja, siostra Karola Czerskiego, zakochała się w biednym robotniku i wbrew woli wuja wyszła za niego. Z bólem wyznaję, że ojciec mój był nałogowym pijakiem i lubił grać w karty.

W krótkim czasie roztrwonił znaczny nasz majątek. Moja ukochana, nieszczęśliwa matka, wskutek wiecznych zmartwień, dostała wady serca i zakończyła smutne swe życie. Zostało nas dwóch: brat Adam i ja.

Gdy po skonie matki nie można mnie było oderwać od zwłok, ojciec mój i wtedy pijany, bił mnie i lajał, a brat, zamiast się ująć za mną i uznać wyrządzoną mi krzywdę, stanął po stronie ojca.

Po tej okropnej scenie wyrzekłem się ojca i brata, poprzysiągłem, że się nigdy z nimi nie zetknę, spakowałem rzeczy i puściłem się w drogę.

To było przed pięciu laty, od tego czasu nie widziałem się z nimi. Wyjechałem do Brazylii, tam dostałem posadę u właściciela dóbr ziemskich.

Mimo ciężkiej pracy i małego zarobku byłem zadowolony. U moich chleboborców była bona do dzieci. Dziewczę to było łagodne i ciche, a tak wiotkie i jasne jak kwiat czarowny lotosu. Pokochałem ją całą siłą duszy i całym żarem serca

młodego. Wskazując na obraz wiszący nad biurkiem, rzekł:

— To ona, to moja najukochańsza Wanda!

Wzruszenie opanowało go, przerwał opowiadanie, a Sęp i Józef wpatrywali się w twarz dziewczęcia przedziwnej, niemieckiej urody, w jej postać giętką kształtną, w sploty jedwabistych, płowych włosów.

— Miłość moja bezgraniczna znalazła oddźwięk w jej sercu. Po dwóch latach ciężkiej pracy, nadzwyczajnej oszczędności, złożyliśmy skromny kapitał i pobraliśmy się. Brak mi wyrazów na określenie naszego wielkiego szczęścia.

O, gdyby nie ta odziedziczona fortuna! Byłbym nadal pracownikiem, który zarabiał na chleb codzienny, szczęśliwy, gdy wraca do swego skromnego domostwa spędza wieczór przy swej ukochanej.

Byłbym dotychczas z moją Wandą, czy nie miłszą mi ona, niż wszystkie skarby świata?

Głos jego załamał się, po chwili jednak przemógł się i mówił dalej:

— Przed pół rokiem wyczytałem w jednym z dzienników, że poszukują Henryka Czerskiego, któremu zapisał całe majątko Karol Czerski. Nazajutrz napisałem do adwokata w Poznaniu, który umieszczył tę odezwę, otrzymałem odpowiedź zawiadamiającą mnie, że jestem jedynym spadkobiercą ogromnego majątku i zamieszkałym w Kruszwickiego.

Wiadomość ta napełniła nas radością bezgraniczną, jedna chwila zrobiła z biedaków, liczących się z każdym centem, zazdrości godnych magnatów. Następnego dnia opuściliśmy Brazylię i wyjechaliśmy do kraju. Zamieszkaliśmy w wspaniałym zamku Kruszwickim.

Od starego kamerdynera dowiedziałem się o wszystkim, co zaszło.

Krótko po moim wyjeździe ojciec zakończył życie na obłęd opilstwa. Brat mój Adam udał się do wuja z prośbą, by się nim zajął. Wuj i tak miał wyrzuty sumienia, że matka moja zgasała w nędzy i opuszczeniu, chciał więc nas obu zabrać do siebie i zaopiekować się nami. Nikt nie

wiedział, dokąd ja się udałem, więc tylko Adam sprowadził się do zamku, a wuj starał się o niego jak o własne dziecko. Nie odwdzieczył się wujowi, gdyż odziedziczył po ojcu namiętność do pijaństwa i kart. Chociaż Karol Czerski mu dawał znaczniejsze kwoty pieniężne, nie wystarczały one na pokrycie jego zachcianek. Jednego wieczora, gdy przegrał grubo w karty, odbił zamek od kasy i wykradł cały stos banknotów.

Gdy wuj odkrył brak pieniędzy, wyprzedził niewdzięcznika. Stało się to przed dwoma laty, od tego czasu nie pokazywał się Adam. Nikt nie wie, gdzie obecnie przebywa.

Od znajomego, do którego nieraz pisywałem, dowiedział się wuj o pobycie moim w Brazylii, gdzie ciężko pracowałem, by zarobić na kawałek chleba. Opowiadał też mój przyjaciel, co mnie spowodowało do wyjazdu i do wyrzeczenia się ojca i brata.

Wobec tego uczynił mnie wuj swym jedynym spadkobiercą. O wszystkim dowiedziałem się po powrocie z Brazylii od starego sługi.

Przez dwa miesiące żyliśmy jak w raju, najłżejsza troska nie zaćmiewała szczęścia naszego. Nagle wszystko się zmieniło!

Trzy miesiące temu w jasną noc księżycową siedzieliśmy w ogrodzie pod wonnymi lipami. Było nam tak błogo, że ani jednym słowem nie przerywaliśmy pełnej harmonii ciszy. Patrząc w jezioro świetlane, słuchaliśmy śpiewu ptaków, przytuleni do siebie, śniliśmy złote sny przyśności.

Zegar wydzwonił jedenastą. Ramię w ramię udaliśmy się do zamku. Sypialnia nasza, położona w północnem skrzydle, była tej nocy rozjaśniona srebrzystym światłem księżyca.

Rozmowa nasza krótką była, położywszy się, a już po chwili sen mnie zmożył.

Przebudził mnie okrzyk przeraźliwy. Wanda siedziała na łóżku, ze zmienioną, wybladłą twarzą, zwróconą w przeciwną stronę ścianę. Skierowałem i mój wzrok w

to samo miejsce. Włosy stanęły mi dębem, mroz przeszedł po kościach, serce na chwilę bić przestało. Oparta o białą ścianę, stała długa, ciemna postać o bladej twarzy, o kształtach nieruchomych, miałem złudzenie, że wuj wstał z grobu.

Muszę przyznać, że nie należę do odważnych. Bóg nie stworzył mnie śmiałym i nieustraszoną, owszem jestem lęklwym i nerwowym, za nic w świecie nie byłbym wyskoczył z łóżka i rzucił się na to zjawisko.

Jak sparaliżowany z wzrokiem błędnym spoglądałem na straszne widmo, które wyciągnęło ramię i zawołało groźnie, grobowym głosem:

— Nikczemniku, sam używasz majątku! Dlaczego nie dzielisz go z twym bratem, który zdala żyje w nędzy i opuszczeniu? Odpokutujesz za twój brak serca. Wszyscy przodkowie byłych właścicieli tego zamku sprzysięgli się. Nie zażyjesz chwili spokoju w tych murach!

Wanda zemdlą.

Padłem na poduszki — bezprzytomny.

O świcie przebudziliśmy się. Gdy pierwszy brzask jutrzni przedarł się, odechnęliśmy swobodnie.

Od tej nocy żyliśmy w ciągłym strachu.

Ukazywały nam się najrozmaitsze widma. Były i średniowieczne postacie, jakby wykrojone z portretów przodków zawieszonych w zamku. Poznałem je. Pierwszy ukazał się mężczyzna w czerwonym aksamitnym płaszczu z białym koronkowym kołnierzem i w wysokich butach. Po nim nastąpili rycerze średniowieczni w zbrojach. Nie wierzyłem w duchy, dziś jestem przekonany o ich istnieniu.

— Czy nie zrobiłeś pan niczego, by przeszkodzić tym odwiedzinom? — zapytał Sęp.

— Owszem! Kazałem porobić podwójne zamki, nic to jednak nie pomogło. Kilku ze służby czuwało w przyległych pokojach, utrzymują, że nikt nie przechodził tamtędy.

— Jak często zjawiały się widma? — zapytał Sęp z uśmiechem.

— W nierównych odstępach czasu. Nieraz po kilku dniach, a czasem miał i tydzień.

— A czy się odzywały?

— Nie! Czasem zdawało się, że szepcą, ale nigdy słów uchwycić nie mogłem.

— Czy i wtenczas okazują się, gdy służba czuwa w przyległych pokojach?

— Tak, panie! Służba jednak nie zauważyła ich.

— Pewnej nocy na okrzyk mój zbiegła służba, widmo jednak znikło bez śladu.

— Czy zawiadomił pan policję?

— Tak, ale już po zniknięciu Wandy.

— Jak to się stało?

— Duch wuja okazał się powtórnie. Wanda pierwsza spostrzegła go. Po bezsennych nocach biedaczka tak była wyczerpana, że z braku odporności zemdląca.

Postać zbliżyła się ku mnie, chciałem krzyczeć, skoczyć z łóżka, byłem jednak jak skamieniały i pozbawiony głosu.

Widmo było w zbroi, żelazną dłońią dotknęło się mego czoła, straciłem przytomność. Gdy otwarłem oczy, Wandy już nie było, odtąd nie widziałem jej!

— Kiedy to się wydarzyło? — zapytał Sęp.

— Przed dwoma tygodniami.

— Czy nie zmieniłeś pan sypialni, czując się w tej niepewnym?

— Owszem, ale i tam nie było spokoju. Kazałem więc przygotować inną. Zamówiłem nowe łóżka, gdyż wmawiałem sobie, że w naszych hebanowych łóżkach duchy się zagnieździły. Zanim meble były ukończone, Wanda znikła!

— I nie ma pan pojęcia, gdzie się znajdować może małżonka pańska?

— Nie, panie! Po tej nocy nie spałem już w tym pokoju. Obrałem sypialnię na drugim piętrze i zawsze dwóch służących śpi przy mnie. Duch nie okazał się.

Z policji przysłano kilku urzędników, ci przeszukali cały zamek, nocowali w obu sypialniach. Inspektor policji doszedł do wniosku, że szajka zbrodniarzy inscenizowała to wszystko, by wykraść Wandę. — O panie! Ocal ją! — Kto wie, gdzie zawlekli nieszczęśliwą. Nie mogę i nie chcę w to uwierzyć, że Wanda nie żyje!

Lzy rzęsiście rozpaczy i bólu spływały po twarzy Henryka Czerskiego.

Sławny detektyw siedział ze spuszczoną głową. Po głębokim namyśle rzekł z powagą i spokojem:

— Ciężka to sprawa! Jednak porzuć pan myśl o duchach. Widma owe to ludzie z krwi i kości jak my wszyscy. Celem tych zbrodniarzy zgniebić pana i podkopać szczęście jego!

— Komużby mogło zależeć na tem? Nie wyrządziłem krzywdy nikomu, dla czegożbym miał mieć nieprzyjaciół?

— Czy pan sądzi, że niema takiego człowieka, któryby czyhał na pańską zgubę?

— Nie znam żadnego — odparł Czerski.

— Ale ja go znam. Widzi pan, małżonka pańska znikła, dzieci pan nie ma. W razie śmierci pana, któżby był spadkobiercą?

Czerski wzdrygnął się i rzekł głosem bezdźwięcznym:

— Mój brat!

— Słusznie — brat pański, Adam Czerski! Ten sam, który wraz z nałogowym ojcem rzucił się na pana, ten sam, który okradł swego dobroczyńcę i wskutek czego został wypędzony i wydziedziczony!

Pan zamku drżał na całym ciecie.

— To niemożliwe. Nie mogę sobie przedstawić tyle podłości w człowieku.

— Wierzaj mi pan — rzekł detektyw — są jeszcze gorsi.

— Ale jak pan wpadł na to?

— Z opowiadania pana odebrałem wrażenie, że brat pański jest człowiekiem bez charakteru i zdolnym do zbrodni. Słowa wypowiedziane przez rzekomego ducha wuja pańskiego utwierdziły mnie w tem. Wszak Karol Czerski wypędził Adama, a przed śmiercią zupełnie przytomny zapisał panu całe swe mienie, jakżeż to możliwe, by duch jego wyrzucał panu, iż nie dzielisz majątku z bratem?!

Jakże to niedorzeczne i niezręczne, ciężkie głupstwo popełnił zbrodniarz, odzywając się w te słowa.

Henryk skinął głową. Musiał przyznać słuszność detektywowi, ale straszny ból

rozdzielał serce jego na myśl o nikczemności brata.

Sęp powstał.

— Proszę pana wskazać nam obie sypialnie i galerię z portretami antenatów.

— Chodźmy, panowie! — rzekł Czerski.

Jedna sypialnia była położona w skrzydle północnem. Był to obszerny pokój o dwóch wielkich oknach, z których był widok na szmaragdowe jezioro. Detektyw prosił o wskazanie miejsca, na którym się duchy okazywały.

Była to ściana naprzeciw łóżek. Drzwi były po przeciwnej stronie. Sęp zbadał jak najdokładniej cały pokój. Opukał dębem drzewem obłożone ściany, najdłużej zatrzymał się na miejscu, gdzie duchy się okazywały, nie napotkał nic podejrzanego ani w ścianie, ani w posadzce.

Wyszedłszy z pokoju, udali się przez mały przedpokój na wązki, długi korytarz. Znajdowały się tam duże, prawie do podłogi sięgające okna, a między niemi ustawione były zbroje rycerskie. Miało się wrażenie, jakoby postacie z żelaza straż odbywały.

Na końcu korytarza były drzwi oszklone, a temi wchodziło się do galerii przodków. Była to obszerna sala, na ścianach wisiały olejne portrety, przedstawiające rycerzy średniowiecznych czasów, byli to przodkowie pierwszego właściciela zamku Kruszwickiego. Niemał każdy z nich miał zarzucony długi płaszcz aksamitny, z koronkowym kołnierzem. Sęp prosił o wskazanie tych, którzy się w noc ukazywali.

— Czy i twarze duchów były podobne do twarzy na portretach?

— Tak, — odpowiedział Czerski, — poznawałem ich zawsze. Widzi pan tego uzbrojonego, ze zwisającym piórem przy kapeluszu, z przenikliwym wzrokiem i długą bródką, tego sobie najlepiej zapamiętałem.

Detektyw, potrząsając głową, rzekł z powagą:

— Zbrodniarze są bardzo sprytni.

Przypuszczam, że przebywają oni stale w zamku i znają lepiej rozkład jego, jak

sam właściciel. Nabieram coraz więcej przekonania, że ręka Adama jest w tem, wszak przez tak długi czas mieszkał w zamku, nie dziw więc, jeżeli zna każdy zakątek.

Poszli dalej. Przy końcu galerii były znów drzwi oszklone, które prowadziły na taki sam długi korytarz. I tam umieszczone były zbroje, a kilkoma schodami wychodziło się do przedpokoju, stamtąd do sypialni, z której znikła Wanda Czerska.

Sypialnia ta nie różniła się od uprzedniej. Te same ściany, ta sama posadzka i jednaka przestrzeń.

Zbadawszy i ten pokój, nie znalazł Sęp nic podejrzanego. Stamtąd udali się panowie do jadalni, przy śniadaniu, ze względu na służącego, nie omawiano sprawy.

Dopiero, gdy przeszli do fajczarni, zapytał pan zamku Sępa:

— Czy obmyśliłeś pan już plan postępowania?

— Naturalnie! Przedewszystkiem musimy jak najrychlej stąd wyjechać.

— Jakto, — zapytał Czerski przestraszony — pan mnie opuszcza?

— Tylko pozornie. Powtarzam panu, że mojem zdaniem, zbrodniarze mieszkają w zamku i są im znane kryjówki, o których pan pojęcia nie ma. Jestem przekonany, że są poinformowani o naszym przybyciu i nie przedsięwzięją niczego, jak długo znajdujemy się w zamku.

Wobec tego wyjeżdżamy po obiedzie.

Gdy zmrok zapadnie, wrócimy przez małą furtkę ogrodową do zamku, zareczam, że jeszcze tej nocy pochwycimy widma.

— Ale czy to się panu uda? — rzekł Czerski.

Jak już nadmienilem, nie okazują się widma, odkąd wyprowadziłem się na drugie piętro.

— Wyprowadzka pana nie mała ich zmartwiła. Tu, gdzie pan teraz śpi, jest wykluczone okazanie się duchów, musi pan więc postąpić w sposób, który panu podam:

Jak tylko zmrok zapadnie, udaj się pan pod pozorem silnego zmęczenia do swej

teraźniejszej sypialni. Chcąc zaświecić świecę, zapal pan firankę, pościel i narób pan krzyku.

Staraj się pan wylać jak najwięcej wody i doprowadź pokój do takiego stanu, by tam spać nie można.

Pan zamku zdziwiony zapytał:

— Gdzie spać będę?

— W sypialni, z której zginęła małżonka pańska.

Czerski wzdrygnął się. Był przerażony na samą myśl spędzenia nocy w pokoju, gdzie stracił swoją nadewszystko kochaną Wandę.

— Boże mój! — zawołał. — Czyż to być musi, czyż 'niema innej rady?

— To jest konieczne, — rzekł Sęp z naciskiem. — Jeżeli mamy pochwycić tych łotrów, jeżeli pan chce nadal żyć w spokoju, a przedewszystkiem, jeżeli panu zależy na odzyskaniu swej małżonki, musi się pan zastosować do moich rozporządzeń.

— Więc pan sądzi, że tej nocy widmo się zjawi?

— Jestem przekonany o tem. Bądź pan spokojny, będę w pobliżu. O której godzinie ukazują się zazwyczaj duchy?

— Gdy zegar z wieży wydzwania północ.

— Dobrze. Więc wszystko ułożone, wszak zgadza się pan?

— Zgadza się — rzekł Czerski uspokojony.

Po obiedzie prosił Sęp w obecności służącego, by założono konie. Gdy powóz zajechał, pożegnali się i ruszyli w drogę.

ROZDZIAŁ II.

Józef w matni.

Nad wieczorem Sęp i Józef przybyli na dworzec kolejowy. Życie tam wrzało, tłumy zalegały kasę z biletami.

Detektyw trącił Józefa, mówiąc:

— Wiedziałem o tem, że będą nas obserwować na dworcu.

Zrobił nieznaczny ruch ręką i wskazał młodego włóczęgę, który z miną znudzonego opierał się o słup w pobliżu kasy.

Józef spojrzał pytającym wzrokiem.

— Ten obdartus jest jednym z młodych sług zamku Kruszwickiego — rzekł półgłosem Sęp. — Zapamiętałem sobie twarz jego, a on nie zadał sobie pracy zmienić dostatecznie swej fizygnomii.

Patrz, na tysiąc kroków zauważyć można, że jest szminkowany i nosi perukę.

Doszli do kasy, w tej samej chwili zbliżył się obdartus.

— Proszę o dwa bilety pierwszej klasy do Berlina — zawołał Sęp głośno.

Kupiwszy bilety, wyszli na peron, gdzie czekał pociąg błyskawiczny.

Wsiadając do wagonu, zauważyli młodego łotra, śledzącego ich. Za chwilę miał pociąg ruszyć.

Włóczęga nie zamyślał opuścić swego stanowiska, przechadzał się na peronie, rzucając od czasu do czasu spojrzenia na detektywa i jego towarzysza.

— Do stu piorunów! Obdartus nie spuszcza nas z oka, mistrzu, nie będziemy mogli wysiąść.

— No to pojedziemy! — odparł Sęp.

— Wszak nie możemy jechać do Berlina, pociąg błyskawiczny nie zatrzyma się w drodze.

— Nie przychodzi mi na myśl jechać tak daleko, za chwilę wysiądziemy.

Ostry gwizd i pociąg ruszył. Włóczęga uśmiechnął się z zadowoleniem, gdy widać było gości z zamku, odjeżdżających.

— Chłopak ten będzie niemile zdziwiony, gdy go tej nocy chwycimy za kark — rzekł, śmiejąc się, Sęp.

Józef dziwił się pewności mistrza. Pociąg pędził z błyskawiczną szybkością, nie mógł sobie przedstawić, w jaki sposób wysiądą.

Sęp odgadł myśli Józefa, rzekł rozbrajająco:

— Teraz uważaj, za chwilę wysiądą.

Jechali z dziesięć minut, mijali ostatnie domy Poznania. Wtem pociągnął detektyw za linę bezpieczeństwa.

Ostry gwizd lokomotywy. Pociąg

zwolnić biegu, wreszcie stanął na otwartym polu.

— Chodź Józefie, teraz możemy wyjść.

Sęp nie dbał o zdziwionych towarzyszy, zmierzał ku wyjściu. Za nim szedł Józef.

Zatrzymał go konduktor z kontrolorem.

— Co się stało, kto pociągnął hamulec bezpieczeństwa? — zapytał kontrolor.

— Ja — powiedział detektyw. — Wiele mam kary zapłacić?

— Co panu na myśl przyszło, coś to za sposób! — krzyczał zaperzony kontrolor.

— Muszę wrócić do Poznania.

— To wprost niesłychane! Przytrzymuję pana.

Sęp pochylił się i szepnął kilka słów do ucha kontrolorowi, który zmienił nagle swe postępowanie.

— To co innego — rzekł uprzejmie. — Teraz pojmuję. W każdym razie będzie pan łaskaw złożyć kaucję.

— Dobrze — rzekł detektyw.

Wyjął z pugilaesu sto dolarów, a podając je kontrolorowi, zapytał:

— Czy to wystarczy?

— Tak, panie.

Kontrolor uklonił się z uszanowaniem i wskoczył do wagonu. Konduktorzy wrócili na swoje miejsca, a w kilka sekund później kurier ruszył. Sęp i Józef pozostali na torze kolejowym.

— Teraz, — rzekł Józef, uśmiechając się z zadowoleniem, — możemy wolnym krokiem pójść w stronę Poznania, dużo przed północą staniemy w zamku.

Było już ciemno, gdy przybyli do miasta.

Zatrzymali się tam dość długo, dopiero o jedenastej wyruszyli do zamku.

Sęp opisał dokładnie swemu pomocnikowi urządzenie zamkowe.

Stanęli przed parkanem, zręcznie przeskokczyli go, zakradając się ostrożnie przez ciemne aleje parku. Na końcu alei znajdowała się mała furtka, prowadząca do suterenu, tam zatrzymali się, Sęp wyjął klucz, który mu był wręczył właściciel

zamku. Zanim otworzył drzwi, zwrócił się do Józefa i powiedział:

— Powtórzmy jeszcze raz. Pójdiesz niezwłocznie na pierwsze piętro, obejrzyj dokładnie salę z obrazami antenatów i korytarze ze zbrojami. Późem o bierzesz sobie stanowisko na południowym korytarzu. Ja zaś, rozejrzawszy się na dole, przyjdę na górę i stanę sobie koło sypialni Czerskiego.

Sprawuj się jak najciszej, by najłżejszy szmer nie zdradził twej obecności.

Józef skinął. Był dumny i szczęśliwy, że mistrz powierzył mu tak trudne do spełnienia zadanie.

Bez szelestu otworzył Sęp furtkę, obaj weszli. Józef udał się wedle wskazówek mistrza w bok, gdzie znajdowały się wąskie kamienne schody, prowadzące na piętro. Na górze były żelazne drzwi, które wytrychem otworzył. Przesunął się jak cień i znalazł się na korytarzu, który prowadził do sypialni na lewym skrzydle zamku. Ani razu nie zaświecił lampki elektrycznej, tak dokładne były wskazówki Sępa.

Młody detektyw obejrzał uważnie cały korytarz i przesunął się koło ustawionych tam zbroi, bacząc pilnie, by nie zaczepić o łańcuchy, któreby brzękiem swym jego obecność zdradziły. Nareszcie doszedł do oszklonych drzwi. Stał jakby wrósł w ziemię. Z sali przodków migotało słabe światło.

Schylił się i zaglądał przez szyby do sali. Zdziwiony spostrzegł, że lampka oświetlała jeden z największych portretów. Przed obrazem stał przygarbiony człowiek. Zmarszczona, jak ziemia czarna twarz miała wyraz ptaka drapieżnego, a cała jego postać skarlówiała robiła wrażenie odstraszaające. Przymocowana na piersiach latarka rzucała światło na obraz.

Trzymając w rękach tablicę, odrysowywał portret rycerza z 17. wieku w czarnym aksamitnym płaszczu i kapeluszu z białym strusim piórem.

Zajęcie było niezrozumiałe dla Józefa. Nie mógł sobie wytłómaczyć, w jakim celu człowiek ten wśród nocy, przy świetle małej latarki kopiował obraz. Zadecydo-

wał udać się za garbusem, gdy ten wyjdzie z sali przodków.

Po chwili karzelek przykręcił latarkę, zwracając się do drzwi oszklonych, przy których stał młody detektyw.

Józef odskoczył zręcznie i skrył się do niży, wyciętej w murze. Kaleka wyszedłszy ze sali, zagiał na lewo. Młody detektyw posuwał się za nim jak cień.

Droga prowadziła wązkimi schodami na dół. Na ostatnim stopniu zatrzymał się karzelek.

Pocisnął sprężynę, znajdującą się po prawej stronie tafla dębowej. Natychmiast rozsunała się ściana. W otworze, który robił wrażenie ciemnej przepaści, znikł tajemniczy człowieczek.

Zaledwie to się stało, Józef zaświeceł lampkę elektryczną. Pocisnąwszy tę samą sprężynę, zajrzał do szerokiego otworu i spostrzegł schody, wiodące do suterenu. Pomknął szybko, a tafla zasunęła się.

Schodził powoli i ostrożnie, a tak ciuchutko, że nikt nie mógł usłyszeć kroków jego.

Zeszedłszy, znajdował się na małym korytarzyku, na którego końcu były wązkie drzwiczki, przez których szparę przeblyskiwało światło.

Zbliżył się na palcach. O mało, że nie wydał okrzyku zdziwienia, gdy dostrzegł, zaglądając przez szparę, świetnie urządzoną pracownię krawiecką.

Na środku pokoju był wielki stół drewniany, z gładką niepolituowaną płytą. Na niej siedział ze skrzyżowanymi nogami, przy świetle lampy naftowej, ułomny karzelek i trzymał sztukę czarnego aksamitu w rękach. Przed nim leżał rysunek zdjęty przezeń w sali przodków, wpatrywał się weń uważnie.

Na stelażach wisiały rozmaite starożytne stroje, podobne do tych, które były na obrazach. Porozrzucane leżały przyłbicy, stalowe pancerze, pałasze i hełmy.

— Otóż jedna z największych tajemnic odkryta. Ten żwawy krawczyk szyje tu w ukryciu ubrania dla duchów.

Dziś zdjął rysunek z kostiumu, w któ-

rym się widmo następną razą okaże. Nie to jednak nastąpi, sprawię ja mu łaźnię.

Młody detektyw wyjął rewolwer. Wziął go w prawą rękę, przygotował do strzału. Za jednym pchnięciem otworzył się drzwi. Józef podniósł broń, a stojąc na progu, zawołał:

— Hej, chłopcze — Ty —

Nie skończył. Silne uderzenie w głowę odebrało mu przytomność. Z łoskotem padł na ziemię.

Mały garbus zeskokczył ze stołu, zając się od śmiechu.

ROZDZIAŁ III.

Widmo rycerza.

Gdy Józef odszedł, Sęp przejrzał dokładnie wszystkie ubikacje w suterenu, przypuszczając, że może stamtąd prowadzi tajemna droga do obu sypialni.

Zbadał ściany, powały, podłogi, praczkarni, komórkach i spiżarkach, lecz nie znalazł nic podejrzanego.

Udał się nareszcie tą samą drogą, co Józef na górę, przypuszczając, że się na pierwszym piętrze znajdzie jakieś ukryte wejście do sypialni.

Sęp nie zaświeceł ani razu lampki, gdy znalazł dokładnie rozkład zamku, z czasów, gdy był gościem u Karola Czerskiego. Po dziwić należy niezawodną pamięć króla detektywów.

Józef zostawił drzwi, prowadzące na parter, otwarte, tak że Sęp nie potrzebował użyć wytrychu. Przyciszonym krokiem udał się na pierwsze piętro. W połowie pietra stanął, nasłuchując.

Jakiś szmer dochodził uszu jego. Wstrzymując oddech, słuchał. Nie omylił się, szelest stawał się wyraźniejszym.

W chwili, gdy chciał postąpić, zdawało mu się, że dochodzi go odgłos ostrożnych kroków z góry.

Przypuszczał, że to Józef schodzi, chcąc go zawiadomić o ważnym odkryciu. Przedsięwziął sobie skarcić go za nieostrożność i za nie dość ciche stapanie.

Sęp oparł się o ścianę, by schodząc nie zawadził o niego. Ten jednak przesł-

wał się, trzymając się ściany. Gdy natknął na detektywa, wydał głuchy okrzyk, który przekonał Sępa, że to nie Józef.

Detektyw chwycił go za gardło, z siłą nadludzką rzucił go na ziemię.

Przyłożywszy rewolwer do piersi leżącego, drugą ręką zaświlił lampkę i spojrzął w twarz swej ofiary.

Poznał służącego, który w przebraniu włóczęgi śledził ich na dworcu kolejowym. I ten wlepiwszy błędny wzrok w detektywa, poznał go, a zgroza ogarnęła zbrodniarza na myśl, że człowiek, którego widział przed kilku godzinami odjeżdżającego, powalił go na ziemię i grozi mu rewolwerem.

— Ani słowa, chłopcze, inaczej zastrzelę cię jak psa — syknął Sęp.

Skuł mu ręce i nogi, zakneblował usta, tak, że zbrodniarz ani się ruszyć nie mógł, ani dobyć głosu. Dźwignął skrępowanego, zaniósł go do suterenu i złożył go na prog.

— Tegoś się nie spodziewałem, łotrze, — szepnął mu do ucha. — Tej nocy porachuję się z wami, zacny pan Adam Czarski w takim samym stanie jak ty będzie leżał u twego boku.

Sęp zauważył, że słowa jego wywołały wyraz zgrozy na twarzy zbrodniarza. Miał więc pewność, że jest na tropie, że przeczucie nie omyliło go i Czarski jest sprawcą wszystkiego.

Doszedł raz jeszcze do spętanego przestępcy, a przekonawszy się, że ucieczka niemożliwa, odszedł.

Wszedł na pierwsze piętro, nie czyniąc szelestu. Skręcił w wązki korytarz, gdzie miał go oczekiwać Józef. Wtem usłyszał lekkie brzęczenie.

Skądżeby ono pochodziło, czyżby pomocnik jego natknął na którąś ze zbroi?

Sęp skrył się za jedną, badając, czy niema nikogo na korytarzu. Mimo, że słabe światło migotało w jednym oknie, nie dostrzegł detektywa Józefa.

Już miał wyszeptać imię swego pomocnika, wstrzymał się — zegar z wieży wydzwaniał uroczyście północ. Czy to jeszcze zegar dzwoni, czy to brzęk zbroi?

Mróz przeszedł po ciele odważnego

detektywa. Powoli zstępował z postumentu rycerz w zbroi. Pobrzękując spuszczone palaszem, zbliżył się do drzwi oszklonych, prowadzących do sali antenatów.

Szybko otrząsł się Sęp ze strachu, zdolał się nawet uśmiechnąć, teraz już wiedział, co miał znaczyć ów brzęk.

Żelazny rycerz wszedł do sali, w ślad za nim postępował Sęp. Nie mało był zdziwiony, nie dostrzegając swego pomocnika. Niebo rozjaśniło się, gwiazdy przesunęły, rzucając tajemnicze blaski w mroczną głąb zamku.

Detektyw zastanawiał się, co mogło być powodem nieobecności Józefa, wszak powinien go być oczekiwać na korytarzu, byłby więc tak samo jak on spostrzegł czarnego rycerza, trwożył się, czy jakieś nieszczęście nie spotkało wiernego towarzysza.

Nie zastanawiał się nad tem dłużej, całą uwagę zwrócił na żelaznego pana, posuwającego się wolno po sali.

Na środku przystanął, oglądając się, detektyw skrył się za słup między oknami, na szczęście śledzący duch go nie spostrzegł.

Jeszcze chwilę ociagał się rycerz, potem skierował swe kroki na róg sali i stanął przed wielkim obrazem w złoconych ramach.

Podsunał w górę prawą część ramy, odchylił obraz wraz ze ścianą. W ten sposób utworzyło się wązkie przejście, w którym znikł zbrojny pan, zasunawszy napowrót obraz.

Sęp zrobił to samo. Gdy otworzył tajemnicze drzwi, dostrzegł korytarz, z którego były dwa wyjścia. Drzwi z prawej strony prowadziły do sypialni w północnem skrzydle, w tej ostatniej spał tej nocy Czarski.

Pan zamku miał więc ujrzeć widmo w zbroi. Szybko podążył Sęp za rycerzem. Uszu jego doszedł znów brzęk zbroi, przez szparę ściany zajrzał Sęp do słabo oświetlonej sypialni. Głuchy jęk, potem łoskot. Detektyw chciał wbiedz do pokoju, ale drzwi otwarły się, wyszedł rycerz, dźwigając na barkach ciężką bryłę.

Skrył się znów za śłup, za chwilę wszedł zbrojny pan, odetchnął głęboko, stanąwszy przed obrazem, zasunął go ostrożnie. Teraz zauważył detektyw, że żelazny rycerz dźwigał ciało ludzkie. Przenikliwy wzrok Sępa poznał nieprzytomnego pana zamku.

Widmo w zbroi posuwało się ku drzwiom oszklonym i zeszło tymi samymi schodami, którymi zstępowali garbaty krawczyk i Józef. Tym razem mistrz kroczył śladem widma. Sęp nie rzucił się jeszcze na rycerza, przypuszczał może, że ten uda się do tajemnej kryjówki. Zbrodniarz zeszedł z kilku stopni i stanął, nie nacisnął sprężyny w ścianie, gdyż tafla debowa była odsunięta. Mimo ciężaru, który go przygniatał, wsunął się zrecznie, a za nim zapadła tafla. Daremnie szukał Sęp przy świetle swej lampki ukrytej sprężyny, nie mógł jej na razie znaleźć.

Detektyw zgrzytał zębami ze złości. Jeżeli było drugie wyjście z tej kryjówki, zbrodniarz mógł umknąć.

Wtem znów usłyszał brzęk żelaza. Sęp odetchnął swobodniej. Rycerz wracał.

— Teraz nie ujdiesz cało — zawołał. — Detektyw wybiegł na górę i czekał.

Po chwili rozsunała się ściana na dole, czarna postać rycerza wysunęła się, wchodziła powolnym, ciężkim krokiem na górę. Sęp pozwolił przejść zbrodniarzowi, chciał go dopiero napaść w pewnej od schodów odległości, by krzyk nie doszedł pomocników, znajdujących się najprawdopodobniej w kryjówce.

Dopiero w sali antenatów rzucił się Sęp na widno i powalił je o ziemię. Krzyk przeraźliwy przerwał ciszę, daremnie szamotał się rycerz w zbroi. Sęp przygniatał go swą żelazną dłonią.

Detektyw odsłonił przyłbicę, przy świetle latarki dostrzegł bladą, od złości wykrzywioną twarz z rysów podobną do pana zamku. Miał przed sobą Adama Czarskiego.

Z błyskawiczną, szybkością, nie zdejmując zbroi, skuł mu ręce i nogi. Ubezwładniony, bezbronny leżał zbrodniarz u stóp jego.

— Tak popełnione przez ciebie prze-

stępstwo przemieniło się w tragedję ciebie — rzekł Sęp z powagą.

Zgrzyt zębami był odpowiedzią.

Łotr pod wrażeniem grozy nie mógł dobyć słowa. Detektyw zostawił go a sam zeszedł na dół i stanął przed tajemniczym wejściem. Wystrzelił parę razy z rewolweru i dopiął swego celu.

Służba obudzona strzelaniem i łoskotem, zlatywała się ze wszystkich stron. Sęp przywołał ich, było ich z dziesięć, każdy z nich chwycił w pośpiechu co znalazł z broni.

— Słuchajcie — zawołał — w sali antenatów leży skrępowany zbrodniarz, który przez tak długi czas udawał ducha. Tutu w suterrenach znajduje się jeden z jego pomocników. Jestem Bronisław Sęp, tutaj ja przychwyciłem i skułem ich obu.

Król detektywów spoglądał badawczym wzrokiem na wszystkich, ale przeszedł do przekonania, że żaden z obecnych nie był współwinnym. Wszyscy byli przerażeni i pełni podziwu i szacunku dla sławnego detektywa.

— A teraz odkryjemy ich ostatnią tajemnicę. W tem miejscu znajduje się wejście, przez które zbrodniarz zawlókł waszego nieszczęśliwego pana.

Rozpoczął z pomocą służby na nowo poszukiwania, po krótkiej chwili udało mu się znaleźć ukrytą sprężynę.

— Mistrzu mój — zawołał głos z dołu.

— To ty Józefie, — rzekł uciechony Sęp — śpiesz. — Przerwał mu przeraźliwy nieludzki pisk.

Gdy detektyw chciał pchnąć drzwi, odezwał się ponownie głos Józefa:

— Na miłość Boską, nie zbliżaj się do strazu. Nad drzwiami znajduje się ciężar, który wchodzącemu spada na głowę i pozbawia przytomności.

Detektyw wstrzymał się. Po chwili pchnął nogą wrota i z błyskawiczną szybkością odskoczył w tył. Spadło żelazo, które na szczęście Józefa nie pozbawiło życia.

Sęp wszedł do kryjówki. Jednym spojrzeniem objął całą pracownię krawiecką śpiesząc ku drzwiom, prowadzącym do ciemnej, wilgotnej nory.

Przedstawił mu się obraz rozdzierającego. Ze spętanymi nogami leżała Wanda Czerska przy ścianie. Twarz jej była wybladła i wynędzniała, wzrok przygasły, jednak uśmiech szczęścia igrał na jej na wpół rozchylonych ustach. Na łonie jej spoczywała głowa ukochanego Henryka, którego wniósł przed chwilą żelazny rycerz. I on jak wniebowzięty patrzył w oblicze swej Wandy. Wtem odwrócił się i spostrzegł wchodzącego z latarką Sępa, widok niespodzianego szczęścia oszołomił go.

U samego wyjścia leżał skuty Józef, a przed nim tarzał się w strasznych bólach karzeł, dobywając żałosne jęki.

— Paniel! lotr ten leciał na nas z wyciągniętym nożem, gdy usłyszał głos twój z góry. Wtedy to zebrałem wszystkie siły, dźwignąłem się i spętanymi nogami uderzyłem go tak silnie, że zdaje mi się, że koniec jego blizki.

Niedługo trwało, a wszystkie pęta były rozcięte. Pan zamku uniósł swą ukochaną małżonkę na górę. Wszyscy udali się za nim, garbusa też zabrano.

Henryk Czerski był jak zdruzgotany, gdy poznał w tajemniczym rycerzu brata swego. Pochylił się nad nim z uczuciem miłości, z zamiarem wyszeptania słów przebaczenia. Adam rzucił nań spojrzenie pełne jadem i głosem ochrypłym cisnął mu wyznanie swej winy.

— Dlaczego tak patrzysz na mnie — zawołał — tak to ja! Chciałem ciebie i twoją żonę zamorzyć głodem, poczem za-

garnąć wszystko i żyć w zbytku i rozpuście!

— To ja byłem widmem w zbroi, a Jan Tarski, garbaty krawczyk i Filip, młody sługa, byli moimi pomocnikami!

Gdyby ten przebrzydły detektyw, wykrywając rzeczy, dla innych niewidzialne, nie był się zjawił, byłoby mi się wszystko udało. Trupy wasze byłyby gniły w norze ciemnej i wilgotnej, byłbym was przesyłał gruzem i popiołem, a sam spijałbym rozkosze życia!

Wszystko przepadło! Piekło wam i przekleństwo!

Henryk odwrócił się. Słowa okrutnika zatarty w nim litość i uczucie braterskie. Adama Czerskiego i sługę jego Filipa uwięziono, garbusa zabrano do szpitala, gdzie po długich, strasznych cierpieniach życie zakończył.

Oszczędzonym zostało Henrykowi Czerskiemu oskarżenie sądowe własnego brata, gdyż Adam, nie widząc nikąd ratunku, obwiesił się w celi więziennej. Sługę Filipa zasądzono na długie lata ciężkiego więzienia.

Henryk Czerski, by zatrzeć okropne wspomnienia, sprzedał zamek Kruszwicki i wyprowadził się z ukochaną swą małżonką do Nowego Jorku. Życie płynęło im w błogiem szczęściu i weselu.

Król detektywów otrzymał sowite wynagrodzenie. Czerski i małżonka jego Wanda odczuwali szczerą wdzięczność dla Sępa, często go odwiedzali i gościli u siebie.





Udogodnienie szkolne w Szwajcaryi. - - - -

Mała Szwajcarya to ojczyzna najwyższych, najrozumniej pojętych swobód obywatelskich. I dzięki tej właśnie, do ideału podniesionej, swobodzie obywatelskiej, pracują tam wszyscy rażno i owocnie pod wspólnym i jedynym sztandarem dobra i pożytku kraju. W niektórych dziedzinach życia społecznego praca obywatelska doszła do takiej doskonałości, że służyć może za wzór państwom najpotężniejszym nawet i najbogatszym. Należy do nich w pierwszym rzędzie dziedzina samorządu miejskiego.

Mamy przed sobą sprawozdanie z działalności zarządu miasta Zurychu za rok ubiegły. Suche cyfry, jakże jednak wymowne, jak pochlebnie świadczą o trosce ojców miasta, zwłaszcza o fizyczne i duchowe dobro malutkich, przyszłych obywateli wolnej Szwajcaryi. Dość powiedzieć, że Zurych, liczący 175.000 mieszkańców, wydał w r. 1908 na cele oświaty szkolnej 3.484.000 franków, co stanowiło 22 procent ogółu wydatków miejskich. Suma ta umożliwiła 25.895 dzieciom pobieranie nauki w szkołach miejskich i ogródkach dziecinnych.

W Szwajcaryi nauka szkolna jest, jak wiadomo, powszechna, obowiązkowa i bezpłatna. W kantonie zurychskim dzieci otrzymują nadto bezpłatnie książki i przybory szkolne, co kosztuje rocznie przeszło 160.000 franków. Państwo przyczynia się do wydatku tego sumą 25.000 franków.

(Szwajcarzy umieją się dobrze rządzić i mogą być wzorem dla najpotężniejszych państw. 22 procent ogółu wydatków miejskich miasta Zurych przeznaczono na szkoły. Miasto daje bezpłatną naukę, książki, pożywienie, a nawet i ubranie uczącym się dzieciom. Po za czasem szkolnym istnieje specjalna opieka dla dzieci, których rodzice pracują cały dzień. Na gimnastykę i higienę zwrócona jest szczególna uwaga.)

Zarząd miejski nie tylko jednak zapewnił dzieciom naukę szkolną, ale troszczy się także o dalszy los wychowanków swoich. W tym celu utworzył dla chłopców warsztat stolarski, dla dziewcząt zaś zorganizował kursy kulinarne. W nauce innych rzemiosł istnieją kantonalne szkoły przemysłowe.

Głód nie jest dobrym towarzyszem nauki, a dzieci robotników niezawsze mają w domu pożywny obiad lub śniadanie. Miasto Zurych, czyniąc zadość potrzebom tej, wydawało w ciągu miesięcy zimowych 4.304 dzieciom bezpłatne obiady kosztem 48.000 franków. Nie zapomnieli jednak i o ciepłym ubraniu dla tych dzieci, które go nie miały. Wydatek na ten cel wyniósł w roku sprawozdawczym 5.400 franków.

Rodzice ubodzy, zajęci walką o kawałek chleba codziennego, nie mają czasu na wychowanie dzieci w wieku przedszkolnym, a więc w okresie, gdy najbardziej potrzebują nadzoru i opieki. Miasto Zurych posiada 50 ogródków dziecięcych, w których rodzice oddawać mogą swoich dzieci, o ile doszły już do czterech lat. Dla młodszych istnieją specjalne ochronki. W ogródku takim dziecko spędza 2 do 3 lat, do czasu wstąpienia do szkoły początkowej. W ogródkach takich w roku 1908 było 1.860 dzieci.

Nauka w szkołach szwajcarskich kończy się o godzinie 4-ej po południu, po

niemi dzieci rozchodzą się do domów. Jeśli rodzice zajęci są poza domem, kto wówczas doglądać będzie chłopca czy dziewczynkę i kierować ich pracą?... W tym wypadku śpieszy z pomocą miasto: posiada ono 26 schronisk, w których dzieci przepędzać mogą czas pozaszkolny, 4 godziny 4-ej do 7-ej wieczorem, na zabawie pod nadzorem nauczyciela i przygotowaniu lekcji na dzień następny. W schroniskach tych korzystało w ciągu roku 78 dzieci. Otwarte one są także w miesiącach wakacyjnych, na co miasto asygnuje dodatkowo 6.200 franków.

Biedne, wątłe dzieci miejskie potrzebują odpoczynku na łonie przyrody. Zakładają potrzebę tę „Towarzystwo kolo-
nizacji letnich“, któremu miasto asygnuje rocznie około 40 tysięcy franków. W roku bieżącym kasa miejska wyasygnowała dodatkowo franków 4.757 na wyjazdy dla dzieci, które przez czas wakacji pozostały w mieście. Miasto posiada także dla dzieci chorowitych 2 letniska letniskowe, czynne przez cały rok. W roku bieżącym korzystało z nich 230 dzieci. Dla zaznajomienia dzieci z życiem wiejskim i przyrodą, tak cudowną w ziemi szwajcarskiej, urządzane są wycieczki szkolne kosztem miasta. Dla dzieci chorych na piersi projektowane jest utworzenie w najbliższej przyszłości szkół leśnych, w którychby w ciągu lata wzmacniać mogły zdrowie swoje bez przerwy lekarskiej.

Zgodne z zasadą: „w zdrowym ciele zdrowa myśl“, zarząd miasta Zurychu szczególną troską otacza higienę szkolną.

Na kąpiele szkolne i naukę pływania budżet zeszłoroczny przeznaczył 4.644 franków, na urządzenie placów do zabaw i przybory 6.491 franków; w zimie miasto urządza bezpłatne ślizgawki dla dzieci. Dla dzieci, pragnących się udoskonalić w gimnastyce, która nauczana jest obowiązkowo w szkołach, istnieją specjalne, bezpłatne kursy gimnastyki. Dla należytego wreszcie pielęgnowania i leczenia zębów miasto posiada własną klinikę dentystyczną, przeznaczoną wyłącznie dla dzieci szkolnych.

Słabą stroną pedagogii jest, jak wiadomo, sprawa losu dzieci mniej uzdolnionych, tępych. W Zurychu istnieją przy szkołach ludowych specjalne oddziały dla dzieci takich. Liczba uczniów w oddziale takim jest ograniczona (najwyżej 22), ażeby nauczycielowi umożliwić przystosowanie się do indywidualności uczniów. Prócz tego istnieją specjalne kursy dla jakających się, a w roku ubiegłym zarząd miejski otworzył własny zakład dla dzieci, upośledzonych fizycznie i moralnie.

Szwajcarski kodeks cywilny otacza szczególnymi względami dobrobyt dzieci. Zbyteczna zaznaczać, że kodeks ten karze surowo rodziców za znęcanie się nad dziećmi. Ale idzie on jeszcze dalej i nakłada na rodziców obowiązek troszczenia się o moralne i fizyczne dobro dzieci. Dziecko, pozbawione odpowiedniego wychowania, odbierane zostaje na mocy wyroku sądowego rodzicom i przechodzi pod ustawową opiekę organów samorządu miejskiego.



Pogadanka naukowa.

Co to jest mózg.

Mózg jest masą substancji nerwowej, podzielonej symetrycznie na dwie półkule: prawą i lewą. Powierzchnię jego okrywa substancja szara, mając około 1

cm grubości, złożona z komórek nerwowych. Powierzchnia ta pokryta jest wyniosłościami krętymi i nieprawidłowemi, którym nadano nazwę zwojów. Pod tą

powierzchnową warstwą szarą znajduje się substancja biała, składająca się z włókien nerwowych. Substancja ta łączy obie półkule mózgowe rodzajem pomostu, zwanego spoidłem. Pośród tej substancji białej, tworzącej najznaczniejszą część środka mózgu, widzimy dwa jądra jeszcze substancji szarej, noszącej nazwę wzgórków wzrokowych i ciał prążkowanych. Wreszcie nad, obok i z tyłu tych jąder szarych znajdują się jamy, zawierające przedłużenie opony miękkiej i płyn surowiczy, zwany płynem mózgo-rdzeniowym, ponieważ otacza mózg i rdzeń i ułatwia zmianę objętości tych narządów wskutek rozszerzenia się ich naczyń krwionośnych. Jamy te noszą nazwy komór mózgu.

W substancji szarej kory mózgowej odbywają się procesy inteligencji, woli i uczucia. Niezliczone komórki w niej zawarte są szlachetnymi i istotnie czynnymi pierwiastkami mózgu.

Substancja biała odgrywa tylko rolę przewodnika. Włókna nerwowe, z których się składa, przeprowadzają wrażenia do świadomości i przenoszą rozkazy woli. Za

pośrednictwem tych włókien wszystkie uczucia, wzruszenia, wyobrażenia i pojęcia powstające w komórkach mózgowych, łączą się z sobą i kojarzą, pęczki bowiem białe, wchodzące w skład tej warstwy przechodzą z jednej półkuli mózgowej drugą i od jednego zakątka do drugiego tej samej półkuli.

Taką jest w ogólnych zarysach budowa mózgu. W szczegóły tutaj nie wchodzimy, zatrzymujemy się tylko jeszcze na nauce o umiejscowieniach mózgowych (kalizacya), na których opiera się czynność mózgowa.

Otóż 3 główne czynności mózgu, uczucie, inteligencja i wola, mają za podkład anatomiczny, za siedlisko materijne, różne zwoje tworzące całą powierzchnię mózgu. Każda zaś z tych czynności posiada swe siedlisko odrębne, swój oddzielny środek czynnościowy. Niektóre z tych środków już wyraźnie określone tak przez fizjologię doświadczalną, jak i przez doświadczenia obserwacyjne chorób i zmian mózgowych, które je sprawdzają.



Mordercze wynalazki.

Od lat dziesiątka mamy już broń bezdymną.

Obecnie sztuka niszczenia się wzajemnego między ludźmi uczyniła krok naprzód: wynaleziono broń cichą, strzały bez huku.

Wynalazcą jest Maxim, syn głośnego mechanika, który wsławił się obdarzeniem ludzkości znakomitą kartaczkownicą i kulami, które się cofają w locie, więc można nimi atakować nieprzyjaciela, ukrytego poza murem, wałem, a choćby i górą.

Syn przyniósł ojcu zaszczyt.

Poczynione próby z nową bronią dały podobno rezultaty świetne.

Jeżeli broń ta przyjmie się w ogóle w wojsku — pole wojenne będzie w przy-

szłej wojnie zgoła inaczej wyglądało, aniżeli dotychczas: ani dymu, ani huku. Nie tylko nic nie będzie zdradzało nieprzyjaciela, ale nawet nie zdradzi nic, że oto jest pole walki, że oto odbywa się utarczka, że oto czynią się straszne zapasy...

Będzie widno na polu bitwy i cicho. I śmierć kosić będzie ludzkie żniwo w majestacie milczenia...

Broń Maxima nie jest jedyną bronią cichą.

Oddawna już wynalazcy pracują nad rozwiązaniem tego zadania i mamy do bry dziesiątek modeli, które wszystkie zbudowane są na jednej i tej samej zasadzie.

Huk powstaje, jak wiadomo, skutkiem gwałtownego wydzielania się gazów z li-

y po wyskoczeniu z niej kuli. Gazy porzysają bardzo silnie a nagle cząstkami powietrza i wstrząśnienie to właśnie stanowi dźwięk, a przynajmniej przyczynę dźwięku. Sam dźwięk bowiem powstaje w świadomości, na skutek podrażnienia słuchowych, wywołanego falowatym ruchem cząsteczek powietrza.

Gdy udało się gazy wyładować z lufy w tempie nieco powolniejszym — huku — nie byłoby.

Otóż wszyscy wynalazcy umieszczają na końcu lufy pewien, mniejszy albo większy przyrząd, przeznaczony na przyjęcie gazów przy ich wylocie z lufy.

W systemie Maxima jest to rodzaj niewielkiej rurki, w której pomieszczona została, w formie ślimakowatej cienka a sprężysta przepona, posiadająca otwór na przepuszczenie kuli. Gazy w tej rurce właśnie wykonywują pierwszy akt rozszerzenia się i wychodzą na powietrze bez pierwotnej gwałtowności.

Świsł kuli jest jedynym dźwiękiem, jaki wydaje nowa broń.

A teraz, czy stanowić będzie ten wynalazek przewrót w sztuce wojennej, podobny do tego, jaki sprawił proch bezdymny?

Co do tego pisarze wojenni wypowiadają zdanie wielce sceptyczne.

Naprzód broń obecna musi posiadać podobnie jak za czasów Napoleona, bagnet na końcu lufy. Bagnet, zdawało się wychodzi coraz bardziej z użycia skutkiem postępów, jakie uczyniła artylerya a wogóle sztuka strzelania. Wydawało się, że niedalekim jest dzień, w którym bagnet zostanie złożony w muzeach wojennych, jako weteran dobrze zasłużony, ale już całkowicie bezużyteczny.

— Atak na bagnety?...

To miało stać się zadawnionym sposobem wojowania.

Tymczasem dość niespodziewanie wojna rosyjsko-japońska przywróciła bagnetowi całą jego, — że tak powiemy — „użyteczność“. Starcia się na bagnety były wielokrotne pomiędzy Japończykami i Rosyanami, a obecnie spostrzeżono się, że atak na bagnety ciągle jeszcze stanowić może — ostatni argument.

Otóż osadzenie rurki jakiejś na końcu lufy wyłącza całą sprawność bagnetu.

Wprawdzie rurka ta może być ruchoma.

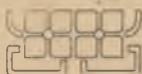
Wszak i bagnet jest bronią ruchomą, którą żołnierz nosi u boku na miejscu dawnego miecza, a osadza go na karabinie w razie potrzeby.

Ale zmiana rurki na bagnet to nie bagatela.

Naprzód wymaga to pewnego czasu wtedy, kiedy każda sekunda jest droga. A potem rurka po pewnej liczbie strzałów staje się bardzo gorąca; nie łatwo ją wtedy zdjąć i schować.

Istnieje jeszcze jeden ważny skrupuł. Jakkolwiek taka rurka, czyniąca broń ciężką, była lekką, zawsze ona coś waży i przyczynia się do powiększenia wagi broni. A dążeniem całem współczesnej mechaniki wojennej jest uczynienie karabinu możliwie lekkim, podczas gdy nawet kilkanaście łutów na końcu lufy czyni manipulowanie bronią trudniejszym.

Wszystko to sprawia, że rządy wcale nie śpieszą się z nabytkiem tego nowego wynalazku, którego korzyści nie tyle są widoczne, ile złe strony jaskrawo rzucają się w oczy.



Szkoła górnicza w Dąbrowie.

(Śląsk austr.)

Zdarzeniem bardzo doniosłym dla całego społeczeństwa polskiego, a szczególnie dla górnictwa polskiego, jest założenie w grudniu 1907 roku polskiej szkoły górniczej w Dąbrowie na Śląsku austriackim.

Wobec silnego rozwoju przemysłu górniczo-hutniczego w okręgu ostrawsko-karwińskim, oraz następnie w krakowskim, przemysłu, którego stan robotniczy rekrutował się głównie, — a nawet wyłącznie z ludu polskiego, — stworzenie szkoły fachowej z językiem wykładowym polskim, umożliwiającej tym robotnikom poprawę bytu przez osiągnięcie wyższych szczebli drabiny administracyjnej, — było obowiązkiem społecznym i narodowym.

Obowiązek ten był odrazu pojęty i z właściwą ich sposobowi myślenia i działania realnością, wprowadzony w czyn przez Czechów już przed szeregiem lat, gdyż już od r. 1874 istnieje czeska szkoła górnicza w Morawskiej Ostrawie. Szkoła ta, to jeden z głównych czynników, który pozwolił Czechom opanować okrugiem ostrawsko-karwińskim, — a przynajmniej zająć w nim dominujące stanowisko. Posiadając oparcie na całej klasie dozorców, sztygarów i nadsztygarów, mogą Czesi wywierać silną presję wynaradawiającą na robotników Polaków, z drugiej strony opierać się zwycięsko naporowi Niemców.

Robotnik polski, chcąc opuścić najniższy stopień zarobkowy, musiał się wyrzec swej narodowości i wzmocnić zastępy silniejszych, jakimi dzięki świadomej oświatowej polityce byli Czesi i Niemcy.

Sprawa polskiej szkoły górniczej była

sprawą czysto realnej natury. Podczas gdy polskie szkoły ogólnie kształcące (gimnazya etc.) mają znaczenie ogólniejsze, — podnoszą ogólny poziom kulturalny ludności polskiej, — szkoła górnicza ma działać więcej bezpośrednio, ma dać lepszy kawałek chleba, — ma podnieść dobrobyt a przez to wzmocnić siłę ludności polskiej.

O polską szkołę górniczą starano się już od dawna, jednakże starania te przybrały formy realne, gdy sprawą zajął się Zjazd polskich górników. Za jego staraniem reprezentanci kopalń zagłębia krakowskiego subskrybowali jednorazowy zasiłek dla założenia szkoły. Po długich przeszło rok cały trwających pertraktacjach udało się wreszcie Związkowi uzyskać dla nowej szkoły uznanie gwarectw śląskich, które subskrybując roczną subwencję 2000 K, weszły przez reprezentantów swoich w skład zarządu szkoły. Od tej chwili zapewniony został byt tej szkoły, a jej wychowankom umożliwiony przystęp i przyjęcie do kopalń śląskich.

Szkoła została otwartą w dniu 1. grudnia 1907 roku w ofiarowanym na ten cel wygodnym i obszernym przez gminę Dąbrowę, lokalu.

Uroczystość poświęcenia szkoły odbyła się w dniu 8. grudnia w obecności posła do parlamentu, Jana Zaranckiego, jako delegata Koła polskiego, posła dra Michejdy i prezesa Związku polskich górników, posła na Sejm galicyjski, inż. Franciszka hr. Zamoyskiego.

Odtąd nauka w nowej szkole rozpo-

częła swój przebieg normalny i odtąd także stała Delegacya w zabiegach o utrwalenie bytu tej szkoły notuje same pomyślne wyniki.

Szkoła górnicza w Dąbrowie jest t. zw. szkołą średniego typu, której absolwenci mają prawo w myśl austriackiej ustawy o kierownikach kopalń zajmować posady sztygarów i dozorców, przedewszystkiem w kopalniach węgla kamiennego.

Nauka w szkole trwa dwa lata, rozpoczyna się z reguły co roku i rozpada się na: A) kurs przygotowawczy, B) kurs fachowy.

A) Kurs przygotowawczy.

Rozpoczyna się w pierwszych dniach września każdego roku i trwa przez 6 miesięcy, t. j. do końca lutego następnego roku.

Na kurs przygotowawczy mogą być przyjęci tylko tacy robotnicy kopalniani, którzy mają 18 do 28 lat i wykażą się co najmniej dwuletnią praktyką, odbytą w kopalniach węgla kamiennego. Jeżeli kandydat odbył dwuletnią praktykę w kopalniach rudy, wosku ziemnego lub węgla kamiennego, w takim razie wystarcza sześciomiesięczna praktyka w kopalniach węgla kamiennego. Przebieg praktyki może doznać przerwy z powodu służby wojskowej lub choroby, jednak czas trwania tychże nie wlicza się do unormowanego czasu praktyki.

Kandydaci, czyniący zadość tym wymaganiom, mogą być przyjęci na kurs przygotowawczy szkoły, jeżeli posiadają:

a) ukończoną z dobrym postępem szkołę ludową (Volksschule) i złożą egzamin wstępny, lub

b) ukończone cztery klasy szkół średnich (Mittelschule) albo pełną szkołę wydziałową (Bürgerschule).

Egzamin wstępny na kurs przygotowawczy obejmuje następujące przedmioty: 1) język polski, 2) język niemiecki, 3) arytmetykę.

Język polski. Z tego przedmiotu wymaga się, aby uczeń władał biegle językiem polskim w słowie i piśmie do tego stopnia, by mógł z wykładów należycie

korzystać i robić sobie w czasie wykładów odpowiednie notatki. Przy egzaminie wstępnym powinien kandydat poprawnie napisać dyktat, płynnie odczytać zadany ustęp i treść jego zwięźle podać.

Z języka niemieckiego wymaga się znajomości czytania i pisania i takiego zrozumienia potocznej mowy, które umożliwia zrozumienie wykładu tego języka w szkole.

Z arytmetyki bardzo biegle czytanie i pisanie liczb całkowitych i dziesiętnych. Pisanie liczb rzymskich. Cztery działania liczbami całkowitemi i dziesiętnymi nienanowanymi. Rachowanie liczbami nianowanymi. Podzielność liczb. Najmniejsza wspólna wielokrotność i największa wspólna miara. Cztery działania ułamkami zwyczajnymi, dziesiętnymi i liczbami mieszanymi. Upraszczenie i rozszerzenie ułamków zwyczajnych i zmianą tychże na dziesiętne, względnie liczby mieszane.

Podanie o przyjęcie na ten kurs, napisane własnoręcznie, zawierające dokładny adres kandydata i zaopatrzone w metrykę chrztu, świadectwa szkolne, świadectwa z praktyki lub książeczkę służbową, jakoteż zaświadczenie odnośnej władzy gminnej, że kandydat (jego rodzice lub opiekunowie) posiada środki wystarczające na to, żeby utrzymać się w szkole przez przeciąg 2 lat nauki bez równoczesnej praktyki w kopalni, należy listem poleconym (rekomendowanym) wnieść najpóźniej do 15. sierpnia na ręce podpisanego Zarządu szkoły.

Po upływie pewnego czasu otrzyma kandydat odpowiedź od Zarządu szkoły, czy do szkoły może być przyjętym i kiedy ma się zgłosić do egzaminu wstępnego, który się odbywa między 1. a 5. września.

B) Kurs fachowy.

Nauka na kursie fachowym rozpoczyna się w pierwszych dniach marca każdego roku i trwa do końca czerwca roku następnego (wyjawszy lipiec i sierpień jako miesiące wakacyjne).

Wprost na kurs fachowy mogą być przyjęci kandydaci, którzy oprócz wymagań co do lat wieku i praktyki, pod A) po-

danych, posiadają ukończone cztery klasy szkół średnich (w pierwszym rzędzie szkół realnych) i złożą egzamin wstępny z przedmiotów kursu przygotowawczego (arytmetyka i algebra, geometrya i trygonometrya, geometrya wykreślna, fizyka i chemia, język polski i język niemiecki, rysunki odręczne i z geometryi wykreślanej).

Podania o przyjęcie na ten kurs, zaopatrzone załącznikami, przy kursie przygotowawczym podanymi, należy listem poleconym wносить najpóźniej do 15. lutego każdego roku pod adresem Zarządu szkoły, który po upływie pewnego czasu zawiadomi kandydata, czy do szkoły może być przyjętym, względnie wyznaczy mu

termin zgłoszenia się do egzaminu wstępnego, który się odbywa między 1. a 3. marca.

Nauka w szkole jest bezpłatną. Różnowoczesna praca w kopalni jest wykluaczona.

Przy szkole istnieje internat, obowiązkowy dla uczniów zamieszkałych w siedzibie szkoły, w którym opłata za pełne utrzymanie (pomieszkanie, opał, światło, śniadanie, obiad i wieczerza) wynosi obecnie 40 koron (34 marek, 16 rubli sr.) miesięcznie, płatne z góry.

Wszelkie korespondencje należy adresować:

Zarząd Szkoły górniczej,

Dąbrowa (Śląsk austriacki), Austrya.

Wieliczka.

Legenda o odkryciu kopalń Wielicki jest następująca:

Gdy Bolesław Wstydlivy, król polski, zaręczył się z córką króla węgierskiego, św. Kunegundą, ta nie chciała przyjąć od ojca żadnego posagu w złocie, ani w srebrze, prosiła tylko, ażeby jej darował to, coby równie bogaczom, jak i ubogim było potrzebne. Otrzymawszy zezwolenie ojca, wrzuciła do szybu w żupach węgierskich ślubną obrączkę. Stanąwszy potem w Krakowie, kazała się zawieźć do Wielicki, a gdy za jej wolą ziemię tam kopać zaczęto, znaleziono sól, a w pierwszej jej bryłce — ów ślubny pierścień.

Tak opiewa podanie o Kingi pierścieniu, które jednak jest młodsze niż historyczne zapiski o istnieniu Wielicki.

Historyk Długosz wspomina o założeniu klasztoru Cystersów w r. 1176 w Sulejowie i nadaniu mu deputatu soli, który niewątpliwie pochodził z Wielicki. Także w historii klasztoru w Tyńcu znajduje się wzmianka o darowiźnie soli dla tegoż klasztoru przez Kazimierza I. i już wyraźna nazwa miejscowości: „Magnum sal“ (wielka sól) alias Wieliczka.

Na pewne zatem twierdzić można, że saliny wielickie istnieją już lat 800. Za panowania Bolesława Wstydliwego, małżonka św. Kunegundy, zostały zapewne, po spustoszeniach napadami hord tatarskich, przywiedzione do ładu i dlatego tych czasów sięga podanie o pierścieniu.

Miasto samo powstało znacznie później aniżeli kopalnia. Założycielami Wielicki byli bracia Jesche i Hysmbold ze Śląska, którym Henryk (Probus) oddał grunt na wybudowanie miasta. Wójtami wielickimi byli przeważnie znakomici dworzanie królewscy, wśród których słynny z bogactw Mikołaj Wierzynek.

Najdawniejszym herbem miasta był „posuł“ (młotek) i dwa kilofy żelazcami ku górze zwrócone. Później do tych godło przyłączono postać kobiecą z wagami w rękę, jako znak sprawiedliwości, ponad temi godłami unosiła się królewska korona.

Od roku 1809 pieczętuje się miasto białym orłem z królewską koroną na polu czerwonym.

Za Kazimierza Wielkiego zakwitła Wieliczka znakomicie, zwłaszcza, że król

ten obdarzył jej mieszczaństwo różnymi przywilejami, nadając mu prawo zakupu soli z pierwszej ręki i sprzedawania jej na składzie w Oświęcimie i Krakowie i zastrzegł statutom, by z żupy nikomu, jak tylko przekupniom wielickim i krakowskim soli nie sprzedawano. To samo odnosiło się do materyałów do salin potrzebnych, które jedynie mieszkańcy Wieliczki dostawali i wyrabiali. Dla większego zapewnienia korzyści wymienionych, zakazał król Zygmunt August przemieszczać żydom w Wieliczce i handel solą prowadzić.

Późniejsi królowie potwierdzali przywileje swych poprzedników, Władysław IV. zaś uwolnił raz na zawsze mieszczan od postoju żołnierzy, górników zaś od służby wojskowej.

W połowie XVI. stulecia znajdowała się kopalnia w pełnym rozkwicie, dzięki znakomitej administracji Jana Bonnera. W tym czasie istniało wiele szybów światowych, jak Lois, Seraf, Regis, Wodna góra, z których Lois i Wodna góra służyły do ciągnięcia solanki dla warzelni soli, podczas gdy Seraf i Regis do wydobywania soli odbudowanej. Do właściwego wydobycia soli utrzymywano przedsiębiorców zwanych stolnikami, którzy własnych robotników posiadali.

Odbudowa soli polegała na szramowaniu i zbijaniu klinami ław solnych, a zatem analogicznie do odbudowy dzisiejszej. Z ław tych czyli kłapci wyrabiano następnie różnej wielkości złamki, stosownie do zamówienia. Największy złamek, 25—30 ówczesnych cetn. posiadający, zwał się bałwanem.

Oprócz tej soli wyrabiano sól cetnarową i beczkową, którą to ostatnią oddawano klasztorom i urzędnikom jako deputat lub płacono nią zakupywane żelazo dla kopalni potrzebne.

Płaca robotników zależała od długości wykonanych szramów, tak jak i obecnie, zatem już wówczas pracowano w akordzie.

Robotnicy dzielili się na: 1. walaczów, 2. beczkowych, 3. kieratowych i komornych, 4. rotnych i komornych, 5. wodnych,

6. wozaków, stosownie do przekazanej im czynności.

Ci robotnicy stanowili zupełnie odrębną kastę ludzi i rekrutowali się przeważnie z górników młodszych, podczas gdy kastę inną stanowili kopacze i kruszacy, a więc górnicy starsi wiekiem i doświadczeńsi w kopalnictwie. Kopacze i kruszacy uważali się z tego względu za coś wyższego, co i do chwili obecnej wśród klas robotniczych pozostało.

O kwitnącym stanie saliny i miasta świadczą liczne składy solne, założone w Oświęcimie, w Będzinie i nad Wisłą, jak również i ta okoliczność, iż ówczesne dochody kopalniane 24.000 złp. wynosiły.

W latach 1620—1640 za administracją Andrzeja Górskiego zestawiono przepis służbowe, dotyczące bezpieczeństwa w kopalni.

Na pierwszą połowę 17go stulecia przypada pogłębienie szybu Danielowca, obecnego Arcyksięcia Rudolfa, służącego do zjazdu i wyjazdu górników.

W roku 1644 wybuchł w szybie Bonnera groźny pożar, ugasł zaś dopiero po kilku miesiącach bezskutecznej pracy, w strawieniu wszelkich zapasów drzewnych. Stłumienie tego pożaru przypisuje również historia św. Kunegundzie, do której grob i do Starego Sącza pośpieszyła procesja z urzędników i robotników złożona, a co na tablicy w Sączu w tym celu ufundowanej jest uwidocznione.

Rzecz naturalna, że pożar trwający kilka miesięcy, w kopalni straszne skutki po sobie pozostawił i spowodował zawalenie się kilku komór, wywołujących powstanie na świecie zawalisk groźnych dla miasta.

Druga połowa 17. stulecia zapisała się smutnie dla kopalń wielickich, gdyż ciągła wojna i napady Szwedów na Polskę zniszczyły ją doszczętnie, a na domiar złego, musiała kopalnia opłacić pomoc Austrii przeciw Szwedom. Kopalnia upadła skutkiem tego; wytwórczość zaś całą kopalni pożerały klasztory i zakony. Na okoliczności te zwracano uwagę króla. Dzierżawcy nie mogli sprostać przyjątemu na siebie obowiązkom, dlatego zaciągali

znaczące długi, pogrążając kopalnię w stan smutny bez wyjścia.

Z początkiem 18. stulecia powstała znana dobrze zwiedzającym Wieliczkę kaplica św. Antoniego, wykuta w jednolitej skale soli zielonej przez nieznanego z nazwiska robotnika. W kaplicy tej odprawiano po wstąpieniu na tron cesarza Józefa II. codziennie nabożeństwo, później jednak zniesiono ten zwyczaj, i w r. 1897 przeniesiono nabożeństwa uroczyste kilka razy w roku odprawiane do kaplicy św. Kunegundy, z komory pustej na kaplicę zamienioną.

Od czasów najdawniejszych aż do chwili obecnej było w Wieliczkę 19 szybów światowych, z pośród których do naszych czasów 8 pozostało, a mianowicie: szyb Boża wola, Lois, Franciszek Józef, Górsko, Arcyksiążę Rudolf, Franciszek, Elżbieta, Józef i cała plejada szybików kopalnianych, służących różnym celom.

Szybami dobywalnymi są obecnie: szyb Franciszka Józefa, szyb Elżbiety i szyb Józefa. Szyb Arcyksięcia Rudolfa służy do zjazdu i wyjazdu ludzi, zaś szyb Lois, Boża wola, Górsko i Franciszek są szybami wietrznymi, a oprócz tego Boża wola służy do spuszczenia i wyciągania koni z kopalni. Na szybach dobywalnych są ustawione obok maszyn gończych maszyny wodociągowe, puszczane w ruch peryodycznie, a mianowicie w czasie poboru zamówionej solanki lub pompowania nagromadzonej w zbiornikach kopalnianych surowicy, której dopływy są bardzo nieznaczne. Maszyny wodociągowe szybów Franciszka Józefa, Elżbiety wyciągają rocznie około 13.000 m³ solanki, odpuszczanej całkiem bezużytecznie, gdyż mała jej część, około 4% całej ilości, służy do celów leczniczych i poprawy pa-szy.

Oprócz wymienionych urządzeń posiada salina wielicka dwa kompresory, poruszające specyałki (pompy kopalniane) zapomocą ściśniętego powietrza, zakład centralny elektryczny, służący do oświetlania budynków manipulacyjnych i składowych materyałów rządowych, jak również do poruszania tartaku i kolejki linewko-

wej powietrznej, dwie lokomotywy do odwożenia soli na stację kolei państwowej przeznaczone, wreszcie kuźnię i warsztat mechaniczny, w którym wykonuje Zarząd konieczne naprawy i ostrzy górnicze narzędzia.

W latach ostatnich odkryto w górach wschodnich większe partye „polskich solnych dyamentów“, lśniących przy efektywnym oświetleniu jak najczystsze brylanty. Miejsce to, nazwane „grota kryształowa“, jest czarujące i bywa chętnie przez obcych zwiedzane.

Cała kopalnia zatrudnia przeszło 1400 robotników, pracujących częścią w akordzie (w dniówkach ugodowych), częścią w dniówkach zwyczajnych, t. j. za zapłatą według stopnia płacy, do jakiej należą. Żelężnicy, zatrudnieni przy odbudowie soli lub robotach wstępnych i przygotowawczych, a zatem kruszaczy, wyrabiających fragmenta, strzelcy wytwarzający sól w kawałkach i piecowi, którzy pędzą (piece) drogi kopalniane, otrzymują zapłatę, polegającą na wyznaczeniu jednostki ceny za 1 decymetr szramu (wcinki) stosownie do twardości kamienia. Reszta robotników, zwana wozakami, pracuje przeważnie w dniówkach zwykłych, z wyjątkiem niektórych robót, jak wynoszenie fragmentów lub miału solnego z miejsc odbudowy na poziomy koleje posiadające, lub nakładanie fragmentów na wózki kopalniane, które są również objęte akordem. Przewózka pozioma urobku odbywa się przy pomocy kolejek kopalnianych i wózków zwanych skrzyniami i wagonami, które poruszają konie lub odpychają wozacy, zależnie od odległości.

Skrzynie, t. j. wózki z silnej blachy sporządzone, służą do przewożenia złamków solnych, solnej miałczyzny, rumów, lub wreszcie ziemi do zasypywania puštěk kopalnianych używanej.

Do przewożenia fragmentów solnych i wszelkiego rodzaju materyałów służą wagony bez ścian, których boki krótsze są żelaznymi oparciami zaopatrzone. Siłę pociagową tych wózków stanowi obecnie 16 koni, umieszczonych w dwóch stajniach gór wschodnich i zachodnich. Odży-

wiane dobrze i nie pracujące nad siłę — trzymają się znakomicie, i nieraz kilkanaście lat pełnią swą służbę głęboko... pod ziemią.

Do spuszczenia soli z komór lub poziomów wyższych na poziomy niższe, t. j. głębiej leżące, służą pochylnie hamulcze, poruszane samodziłajaco lub też szybiki kopalniane w podobny sposób urządzone. Przewózka wreszcie pionowa odbywa się przy pomocy wiader i kołowroteków ręcznych, albo klatek gończych, silnicami parowemi poruszanych.

Drogi kopalniane, pędzone w soli lub twardym kamieniu, nie wymagają obudowy (wyprawy) i trzymają się całe lata znakomicie. Przeciwnie, drogi w łożach solnych, kruchych i syjących się marglach, lub wreszcie w takiej materii wykute, która jest wystawiona na znaczne ciśnienie warstw górnych lub bocznych, wymagają sztucznego wzmocnienia drzewem, żelazem lub murem.

W Wieliczce widzimy przeważnie obudowę (wyprawę) drewnianą, rzadziej murowaną lub żelazną. Drzewo przesiąka i nasycy się z czasem solą do tego stopnia, iż twardością swą przechodzi najtwardsze ciała, można powiedzieć kamienie, gdy tymczasem żelazo niszczy się szybko solną wilgocią trawione, kruszy się i rozpada. Nasywanie takie jest naturalne lub sztuczne. W miejscach wilgotnych, w których powietrze jest solną parą nasycone, osadzają się z wolna krople wody na obudowie drewnianej, wsiąkają w nią i pokrywają z czasem zewnętrzną powierzchnię solną powłoką, działającą odpornie na wpływy powietrza kopalnianego. W miejscach natomiast suchych, wyposażonych silnym przewiewem powietrza, nasycamy obudowę drewnianą sztucznie, polewając ją przy pomocy odpowiednich przyrządów surowicą solną i w ten sposób uzyskujemy z czasem sztuczną powłokę solną, która w razie pożaru w kopalni może nam oddać nieocenione przysługi, gdyż drzewo w ten sposób nasycone jest prawie ogniotrwałe. Obudowa, czyli wyprawa chodników drzewem zależy od jakości pokładów i od ich ciśnienia. Dwa stemple pio-

nowe i trzeci poziomy u góry zaciągnięty i zwany kapą, przedstawiają ogólny typ obudowy dróg kopalnianych. Wyprawę taką nazywamy odrzwioną, odrzwia zaś jedno przy drugich obok siebie ustawione, zowiemy wyprawą całodrzewną.

W chodnikach, których boki składają się z miałkich i usypujących się łożów, stosujemy wyprawę całodrzewną lub wzmacniany poszczególne odrzwia deskami, zależnie od ciśnienia. Bardzo dobrą ochroną drzewa od wpływów słonowilgotnego powietrza za kopalnianego, jak również od złowrogiego ognia jest bielenie budowy wapnem odpowiednio przyrządzonem, odbijającym i wzmacniającem nadto blado światło górniczego kaganka, które w kopalniach wielickich z skutkiem stosujemy. Wyprawa murowana utrzymuje się również wyśmienicie, jest jednakowoż znacznie kosztowniejsza i dlatego jedynie w szybach używana. W komorach solnych wznosi Wieliczka kaszty od czasów niepamiętnych, które pochłoneły całe lasy, przenosząc je z góry pod ziemię. Ten rodzaj wzmocnienia, t. j. wyprawy, jest nadzwyczaj kosztowny, jednakowoż konieczny przy obecnym systemie odbudowy. Tu i ówdzie spotykamy także kaszty murowane, t. j. wzniesienie z nieczystych solnych kawałków, powiązane drewnianymi krągłakami i wypełnione rumami. Wytrzymałość takiego kasztu jest bardzo mała, i z tego względu wykonujemy jego budowę tylko w razach wyjątkowych. Przewiew kopalni wielickiej jest naturalny, dzięki wielu szybom w różnych wysokościach nad poziomem morza leżącym, i tylko w chodnikach od szybów głównych odległych, doprowadzamy powietrze drogą sztuczną zapomocą młynków (wentylatorów) powietrznych, ręcznie poruszanych. Przeciętna temperatura kopalni wynosi $+11^{\circ}$ Celsjusza — zaś roczna wytwórczość soli do celów spożywczych i przemysłowych używanej okragło 1,000.000 metrycznych cetnarów.

By wyzyskać sole zanieczyszczone, projektowane jest w niedalekiej przyszłości urządzenie na wielką skalę warzelni soli.



DR. JAN BUZEK.

Z higieny górnika.

Praca górnika jest nader znużająca i niebezpieczna. Odbывается ona w podziemnych krainach, dokąd nie dociera jasny promyk ożywczego słońca. Na każdym niemal kroku grozi niebezpieczeństwo jego zdrowiu i życiu. Zawistne gnomy, owe bajeczne duchy podziemne, zaprzysięgły się na śmiałkę-górnika, który ich wewnętrzności szarpie i z łona ich skarby wyrwa. Rzucają głazy na jego czarne, potem ociekające ciało, by je zmiażdżyć, z piersi ich buchają gęste kłęby zabójczych gazów i płomieni, by zdusić i spalić zuchwalca. Zagrożony górnik musi bronić w tych warunkach pracy swe zdrowie i życie. Te broń daje mu technika i higiena.

Czego naucza higiena górnika?

Naucza go, jak żyć należy, by zachować zdrowie i krzepkie ciało, a ostrzega go przed chorobą. Bada więc to, co życiu sprzyja, a co życiu szkodzi. Z wyników tych badań formuje potem ogólne prawidła, które każdy powinien znać i według nich się stosować.

Na podłoże życia materialnego składają się: powietrze, woda, pokarm i stykanie się czyli obcowanie z innymi ludźmi. Na tem podłożu człowiek toczy się od kolebki aż do deski grobowej.

Wyż wymienione czynniki są dla życia ludzkiego niezbędne. — Bez powietrza człowiek żyć nie może. Służy ono do odnawiania krwi. Powietrze składa się z 78'8% azotu, 20'7% tlenu, reszta odpada na parę wodną i na różne domieszki, zanieczyszczające powietrze, n. p. kwas węglowy, cząstki mineralne i roślinne, które się w postaci pyłu unoszą w powietrzu. Powietrze, konieczne dla zdrowia, musi

być czyste, a skład jego może tylko nieznacznie ulegać wahaniom. Powietrze w kopalni zupełnie inaczej się przedstawia, aniżeli powietrze na powierzchni ziemi. Zawiera ono w mniejszej lub większej ilości szkodliwe gazy, n. p. metan, siarkowódór, amoniak, a przede wszystkim jest ono uboższe w tlen. Mianowicie pracujący górnicy w szybie i konie i palące się lampki i strzały dynamitowe dużo pochłaniają tlenu, natomiast wytwarza się bezwodnik kwasu węglowego, który dla zdrowia jest szkodliwy. Oprócz tego spotykamy w kopalni tlenek węgla, powstający wskutek niedostatecznego spalania się, co się dzieje n. p. podczas pożarów w kopalni. Już najmniejsze ślady owego gazu około 0'2% do 0'3% zabijają człowieka w krótkim czasie. Ponadto jest powietrze w kopalni w znacznym stopniu zanieczyszczone pyłem węglowym, który górnik przez cały czas pracy wdycha do płuc, co naturalnie nie jest obojętne dla zdrowia.

Prawie każdy górnik ma cerę ziemisto-błądą. Powietrze bowiem kopalniane działa ujemnie na jakość krwi, co znowu wpływa niekorzystnie na ogólną przemianę materii. Stąd u górników blednica, bóle i zawroty głowy, brak apetytu i osłabienie. Pył zaś węglowy, dochodzący do płuc, wnika w tkankę płucną, tam się osadza, tworząc liczne złogi pyłowe, przez co płuco przybiera miejscami czarny kolor, miąż jego jest zbity, a gruczoły skrzelowe są znacznie powiększone i twarde jak kamień. Wskutek tych zmian górnik skłonny jest do katarów, nieżytów oskrzeli, czemu towarzyszy uporczywy kaszel, w następstwie czego wytwarza

się rozedma płuc. Na gruźlicę stosunkowo mało górników zapada — tak przynajmniej twierdzi statystyka.

Celem jako tako możliwej poprawy powietrza w kopalni wskazana jest dokładna wentylacja szybu, polewanie miejsc wodą, gdzie się dużo pyłu tworzy — rzeczy, które wkraczają w zakres techniki górniczej.

Drugim ważnym warunkiem zdrowia jest dobra woda. Służy ona do rozcieńczenia pokarmów strawionych, do ich łatwiejszego wchłonięcia i do rozrzedzenia krwi. Powinna być bez smaku i zapachu, ma być orzeźwiająca i nie śmie zawierać szkodliwych — ni trujących, ni chorobotwórczych — pierwiastków. Wskutek wysokiej temperatury w głębiach kopalni górnik bardzo się przy pracy poci i pija dużo wody, czasem nawet 5 litrów przez szychotę. Na tem jednak cierpi żołądek. Ściany jego nadmiernie się rozciągają, wskutek czego wytwarza się zwolna rozstrzeń żołądka, której towarzyszy przewlekły nieżyt żołądka. Picie więc wielkiej ilości wody jest szkodliwe, a to tem więcej, jeżeli woda nie jest czystą. Woda w kopalni zwykle jest zanieczyszczona i nie jest zdatną do picia. Dlatego sprowadza się wodę dobrą ze źródeł lub studni w beczkach do kopalni. Woda ta powinna być zawsze świeża, a naczynia, w których się przechowuje, muszą być bardzo skrupulatnie czyszczone. O ile bowiem czysta woda niezbędną jest do życia, o tyle może stać się źródłem zarazy, jeżeli zawiera drobnoustroje chorobotwórcze, n. p. bakterie tyfusowe, cholery i t. d.

Konieczne do życia są dalej pokarmy, które są źródłem siły i energii życiowej. Są one owem paliwem, bez którego wszelkie życie wkrótce gaśnie. Pokarmy składają się z istot białkowych, tłuszczów, węglowodanów, soli mineralnych i wody. Istoty białkowe znajdują się w białku jaja kurzego, w mięsie, w serze i t. d., tłuszcz jest w maśle, słoninie, węglowodany zawarte są w mące, ziemniakach, ryżu i t. d. Człowiek dorosły potrzebuje celem utrzymania równowagi ustroju przeciętnie dziennie 110 g białka, 60 g tłu-

szczy i 500 g węglowodanów. W tym też stosunku powinniśmy przyjmować pokarmy. Samym chlebem człowiek żyć nie może, tak samo umarłby przy dyecie wyłącznie mięsnej lub tłuszczowej. Pokarmy powinny więc być mieszane. Chleb z masłem i serem jest prawie że idealnym pierwowzorem dobrego składu pokarmów. W kopalni nie powinien górnik jeść, w przeciwnym razie połykałby masę pyłu węglowego i innych nieczystości, co mogłoby się stać dla jego zdrowia szkodliwym. Zato powinien się górnik w domu dobrze i dostatecznie odżywiać, bo praca jego wymaga wielkiego nakładu sił.

Praca górnika, to praca zbiorowa. Jeden drugiemu musi pomagać i tylko w ten sposób możliwy jest prawidłowy ruch pracy w kopalni. Ciągłe więc stykają się tutaj górnicy ze sobą. W pewnych razach może ten bezpośredni kontakt stać się źródłem chorób zaraźliwych. Zarazki przenoszą się bowiem przez dotyk, albo też za pośrednictwem powietrza, wody lub pokarmów. Przypuśćmy n. p., że któryś z górników jest suchotnikiem. Chory taki ciągle kaszle i masę płwocin wydalą na zewnątrz. W płwocinie takiej mieści się dużo bakterii gruźliczych, które — unosząc się w powietrzu — mogą łatwo dostać się do płuc drugiego górnika i jego zarazić. Albo jeżeli który cierpi na chorobę robakową (Ankylostomiasis), albo na tyfus lub czerwonkę, to za pośrednictwem jego wypróżnień kałowych może zakazić całą kopalnię.

Otóż górnik powinien bacznie śledzić stan swojego zdrowia, a jeżeli zauważy jakieś ostre zaburzenie, a szczególnie stan gorączkowy, powinien się udać do lekarza o poradę. Albo jeżeli w domu zachoruje jego dziecko na jakąś podeirzliwą chorobę, n. p. na dyfteryę albo szkarlatynę, powinien też to zaraz zgłosić celem przeprowadzenia środków zaradczych, by się choroba dalej nie rozwlekła. Moment ten jest bardzo ważny w koloniach, gdzie górnicy i ich rodziny w wielkiej ilości blisko siebie mieszkają. Wówczas odosobnienie dziecka a właściwie odesłanie jego do szpitala i odpowiednia desinfekcja mie-

szkania przecina za jednym zamachem dalszy rozwój epidemii. W przeciwnym razie choroba gwałtownie wybucha i dużo ofiar pochłania.

W celach więc zapobiegawczych nie pijać wody zepsutej, stolec tylko oddawać do odpowiednich naczyń, a nie w łada którym miejscu, gdzie się potrzeba odezwie. Jeżeli się górnik do tych prostych przepisów higieny zastosuje, ustrzeże siebie i towarzyszy pracy od niejednej choroby.

Widzimy więc, że zawód górnika wpływa pod wieloma względami ujemnie na jego zdrowie. Tem usilniej powinien dbać o to, by ową szczerbę, ową lukę, którą mu zadaje walka o chleb i jego byt, wyrównać i zapełnić higienicznym życiem poza kopalnią, w domu. Jak najczęściej przebywać na świeżem powietrzu, wdychać pełnemi piersiami powietrze czyste, pełne blasków słońca, zapachu kwiecistych łąk i aromatu lasów, mieszkanie czysto utrzymywać i wietrzyć, a nie przesiadywać w zadymionych i dusznych gospodach.

Co do napojów powinien pamiętać, że najzdrowszym a więc i najlepszym napojem jest czysta woda, której nam matka-przyroda nie skąpi; zaś wszelkie napoje wysokowe, czy to zwykła wódka, czy to wino, piwo, koniak lub rum, to wszystko trucizny, działające szkodliwie na jego ustrój. Alkohol niszczy i niweczy zdrowie i duszę człowieka, rozstraja i rozsądza życie rodzinne a podcina w samym zarodku przyszłe potomstwo. Alkohol to największy wróg ludzkości, on największe nieszczęścia na nią sprowadza, on ją prowadzi na przepastne błota i bagna, w których się ona tarza i tonie. Nędza materialna, nędza duchowa, kryminały i domy obłąkanych, to dzieła jego rąk, to jego straszne tryumfy. Niejedna bieda o-

minie z daleka górnika, jeżeli on będzie stronił od owego dyabła w kieliszku. Hasłem górnika niech więc będzie: Prez z alkoholem! Nie wydawać na ową truciznę ani jednego krwawo zapracowanego grosza. Nie wyrzucać także niepotrzebnie pieniędzy na tytoń i cygara. I tytoń zawiera truciznę — nikotynę. Pocóż więc zatruwać swoje zdrowie? Lepiej pieniądze te oszczędzać, a część tych oszczędności obracać na poprawę pożywienia. Nie szczędzić pieniędzy na chleb, masło i mięso. Spotykam w mojej praktyce domy górników, gdzie się zakorzenił nałóg pijania czarnej kawy o każdej porze dnia: na śniadanie, na obiad i na wieczerzę. Gotują kawę w dużych garncach na zapas już rano, by mieli przez cały dzień co jeść. Pomijając już sam fakt, że czarna kawa, choćby nawet trochę mlekiem „postraszona“, nie stanowi żadnego pokarmu, jest zwyczaj ten dla zdrowia, szczególnie dla dzieci, bardzo niebezpieczny i szkodliwy. Twierdzą stanowczo, że dzieci, które się tak stale zatruwają ową kawą, źle się rozwijają a co gorsza, później stają się pijakami. Organizm bowiem przyzwyczajony od pierwszych lat do środków podniecających, ciągle nowych szuka podnieć, a nie znalazłszy już ich w kawie (koffeinie), rzuca się w objęcie silniejszej trucizny — alkoholu. Nie pije więc czarnej lury; natomiast bardzo pożywne i zdrowe jest mleko.

Górnik powinien się dobrze odżywiać i żyć higienicznie. W takim razie nabeździe sił potrzebnych, powetuje szkodliwe skutki swej pracy w kopalni, będzie miał swobodną myśl a krzepką dłoń przed okiem jego roztoczą się szersze widnokręgi, a życie jego ponure i chmurne ukształtuje się jakoś radośniej i jaśniej.



Kronika bieżąca.

(Z przeglądu Górniczo-hutniczego, rok 1908).

Wytwórczość węgla kamiennego na jednego mieszkańca wynosiła w r. 1905:

w Stanach Zjednoczonych . .	4.128 kg
w Anglii	6.425 „
w Niemczech	3.111 „
w Austrii	845 „
w Francji	905 „
w Belgii	3.188 „
w Rosyi	123 „

Wytwórczość węgla kamiennego na kuli ziemskiej wynosiła w r. 1907:

Stany Zjed. Ameryki półn.	430,000.000 ton
Anglia	268,000.000 „
Niemcy (wraz z węglem brunatnym)	205,500.000 „
Austro-Węgry (wraz z węglem brunatnym)	40,000.000 „
Francya	37,000.000 „
Belgia	24,000.000 „
Rosya	17,800.000 „
Japonia	12,900.000 „
Indye Wschodnie	11,200.000 „
Kanada	10,500.000 „
Chiny	10,500.000 „
Australia	10,500.000 „
Afryka południowa	4,000.000 „
Hiszpania	3,200.000 „
Inne kraje	4,000.000 „

Razem . 1.089,100.000 ton

Składy węgla pod wodą. Urządzenie składów węgla pod wodą w celu ochrony przed zniszczeniem wskutek wietrzenia, samozapalenia się lub pożarów z przyczyn zewnętrznych okazało się praktyczne, jak tego dowiodły próby, robione w przeciągu pięciu lat w Anglii. W Ameryce Western Electric Company od r. 1902 po-

mieszcza swoje zapasy węgla w wielkich zbiornikach wody w celu uniknięcia szkód, na jakie firma ta narażona była skutkiem wielkiej łatwości samozapalenia się węgla z Illinois. W Hawthorne (Chicago) budują obecnie wielki taki zbiornik, który pomieści 10.000 ton (t. j. 1000 wagonów) węgla. Zbiornik ujęty jest ścianami betonowymi; po mostach betonowych prowadzą wzdłuż i wszerz zbiornika wierzchem tory kolejowe, dzielące cały dół na pola czworokątne, do których węgiel składa się wprost z wagonów zapomocą żorawi. Koszt zładowania 1 tony węgla wynosi 5 centimów. Dół ma około 100 m długości, 35 m szerokości i 5 m głębokości. Gdy węgiel ma pójść do użytku, wówczas wydobywa się go ze zbiorników i ładuje do wagonów, w których pozostaje przez 24 godzin dla wyschnięcia, poczem dopiero przewozi się go do miejsca przeznaczenia. Pomiędzy wydobyciem węgla ze zbiornika a spalaniem go upływa zwykle 24 godziny, co wystarcza zupełnie do osuszenia materiału. Zbiorniki zalewa się wodą rzeczną lub inną; użycie do tego celu wody słonej ma być dla dobroci węgla bardzo korzystne.

Opis zagłębia krakowskiego ukaże się wkrótce w druku, wydany staraniem Stałej Delegacji Zjazdu górników polskich. Celem tego opisu jest zapoznanie szerszych warstw społeczeństwa naszego z przemysłem górniczym, rozwijającym się coraz silniej w okolicach Krakowa. Wytwórczość roczna kopalń węgla zagłębia krakowskiego w roku 1907 wyniosła 13,668.961 q; jest to więc wytwórczość

poważna, stanowiąca wielkie bogactwo kraju, a to tem bardziej, że wedle zdania fachowców szybki wzrost tej wytwórczości jest zapewniony.

Pewność ta opiera się zarówno na najnowszych odkryciach geologicznych, wykazujących, że węgla należy spodziewać się nie tylko w dotychczasowym skromnym okręgu około Jaworzna, Sierszy i Tenczynka, lecz aż pod Karpaty, jako też i na więcej realnych podstawach, mianowicie, na powstaniu na nowych terenach kilku nowych kopalń, które dopiero rozpoczynają odbudowę i za lat kilka dadzą znaczny przyrządek do ogólnej wytwórczości zagłębia.

Stoimy więc w przededniu rozwinięcia się wielkiego przemysłu, gdyż, jak wiadomo, kopalnie węgla, a więc tani opał, są najsilniejszym czynnikiem rozwoju przemysłu fabrycznego. Pragnąc, żeby przemysł ten już od zawiązku był i utrzymał się jako nasz przemysł, należy starać się, żeby w pierwszym rzędzie nasze koła, nasze kapitały zainteresowały się tym noworozwijającym się przemysłem.

Zainteresowanie może jednak opierać się jedynie na dobrej znajomości przedmiotu, a znajomości własnego przemysłu i handlu zawsze nam brakowało. Dlatego też opis, podający ogółowi rzeczowe i dokładne wiadomości o zagłębiu krak., okazał się potrzebny. Opis ten p. t. „Monografia zagłębia węglowego krakowskiego“, nad którym pracuje komitet redakcyjny z radcą górniczym Ferdynandem Jastrzębskim na czele, jest już tak daleko posunięty, że część jego pierwsza, obejmująca zestawienie geologiczne podług stanu d. 1. kwietnia r. 1908 nadań i wytwórczych pól górniczych, oraz opis budowy geologicznej zagłębia krakowskiego, ukaże się w ciągu lata i zawierać będzie 5—10 arkuszy druku oraz 3 mapy w wielkim formacie. Część druga ukaże się w ciągu roku bieżącego i obejmie: monografię pojedynczych przedsiębiorstw górniczych i hutniczych, statystykę, przemysł fabryczny, taryfy kolejowe i politykę taryfową, drogi wodne i kanał Dunaj-Odra-Wisła, wreszcie wpływ rozwoju przemysłu górni-

czego i hutniczego na podniesienie gospodarstwa krajowego. Będzie to więc szerokie, ale ogólnym planem związane ze sobą prac, w których znawcy stosunków wypowiedzą swe poglądy, względnie podadzą rzeczowe wiadomości.

Byłoby nader pożądanem, żeby ten rozszedł się jak najszerzej, gdyż wtedy tylko spełni swój cel. Zwracamy się tedy do wszystkich, z gorącym go poleceniem.

Otrzymanie monografii, która ukaże się w oznaczonej z góry liczbie egzemplarzy, można zapewnić sobie, przysyłając sumę 25 koron na ręce p. Ferdynanda Jastrzębskiego (Kraków, św. Jana 13), a także pod adresem biura Związku górników i hutników polskich (Lwów, ul. Jakóba Strzemię 1. 1.).

Dotychczas wyszła już z druku część pierwsza, obejmująca monografię uprawnień górniczych węglowego zagłębia krakowskiego, opracowana przez Ferdynanda Jastrzębskiego, c. k. radcę górniczego w Krakowie. W pierwszych dniach czerwca ma się ukazać część druga, obejmująca opis budowy geologicznej zagłębia węglowego krakowskiego z dwoma mapami pięcioma profilami geologicznymi, opracowana przez dra Kazimierza Wójcika, docenta uniwersytetu krakowskiego.

Przecinanie metali przy pomocy tlenu odbywa się w ten sposób, że ostry płomień mieszaniny wodoru z tlenem lub acetylenem z tlenem rozgrzewa do białości brzeg przecinanej blachy, poczem w tym miejscu kieruje się cienki strumień tlenu, który spala metal, tworząc otwór w blacie, który posuwany po niej w linii prostej, przecina ją w ten sposób. Wyniki ostatnich doświadczeń z przecinaniem blach stalowych przy użyciu wodoru i tlenu są następujące:

Grubość blachy w mm	Czas przecinania 1 m	Zużycie lit-ów na 1 wodoru tlen	
5	2 min. 42 sek.	135	135
10	3 „ 42 „	185	185
20	5 „ 35 „	280	280
50	4 „ 45 „	370	550
100	8 „ 48 „	690	1450
130	10 „ 45 „	950	2150

Widzimy więc, że im więcej tlenu stosowano, tem robota odbywała się szybciej. Szerokość otworu wynosiła 1'5 mm przy blasze 20 mm, 2'5 mm przy 40 mm,

przy grubszej 4'5 mm. Przecinany materiał badano na zaszle w nim zmiany chemiczne i strukturalne i przekonano się, że nie było prawie żadnych.



Kilka słów o hodowli kur domowych.

(Z zapisków starego praktyka.)

Kura domowa należy do najstarszych oswojonych stworzeń; prababki jej żyją jeszcze w dzikim stanie w południowej Azji i na wyspach Jawie-Sumatrze. Z tamąd do Europy sprowadzono od razu parę ras odmiennych. Przez krzyżowanie tych ras wytworzyło się mnóstwo gatunków — tak, że dzisiaj mamy już około dwadzieścia wybitnych ras. Wymieniam tutaj rasy najpożyteczniejsze w gospodarstwie domowym. Mylne jest rozpowszechnione mniemanie, że tylko wieśniacy mogą się zajmować hodowlą rasowych kur. Owszem każdy wieśniak, posiadający chociażby tylko dziesięć sztuk kur, powinien starać się, aby mu dały możliwie największy zysk — a osiągnąć to może poprawieniem gatunków za pomocą krzyżowania z kurami rasowymi lub sprowadzając sobie gatunek kur przystosowanych.

Gatunki kur można podzielić na dwie grupy: 1. kury niesne 2. kury na tuczenie. Do kur nieśnych na pierwszym miejscu zaliczam kury włoskie. Główne ich cechy — dziób i nogi mocno żółte — duży grzebień, u kur zwieszony, u kogutów sterczący, barwa pierza rozmaita; waga przeciętna 3 kg. Kura znasza 220 jaj rocznie, kurczęta rosną prędko a kurki już w szóstym miesiącu jaja nieść zaczynają.

Po włoskiej, kura hiszpańska pierwsza zajmuje miejsce. Któż nie zna czarnej, tak rozpowszechnionych minerek? Są także białe lub szare.) Z postawy podobne do włoszek, tylko mniejsze; grzebień taki sam jak u włoszek — płatki

uszne białe — pióra lśniące. Posiadają wszystkie przymioty włoszek, tylko mniej wytrzymałe są na zimno. Odmrażają bardzo łatwo grzebień i płatki uszne i na długo potem nieść przestają — to też mogą być hodowane jedynie w okolicach, gdzie zima ma przebieg łagodniejszy. Znoszą przeciętnie 200 jaj rocznie. Kury wysiadują i wodzą bardzo źle; niektóre minorki całkiem nie kwoczą. Do rzędu bardziej rozpowszechnionych dopiero od lat kilkunastu należy pożyteczna wielce, chociaż nie piękna rasa kur siedmiogrodzkich: „gołoszyjek“. Wyróżnia się z pomiędzy inych ras bardzo skąpem upierzeniem i jak krew czerwoną, obnażoną szyją. Głowa z kępką fryzowanych piórek jest tej samej czerwonej barwy. Zalety tej rasy są ogromne. Obfitość jaj, dobre wysiadywanie kurcząt i ogromna wytrzymałość na zimno.

Do ras nieśnych zaliczają także Hamburki. Są to maleńkie, najczęściej szare kurki — kogut bardzo ładnie upierzony, niosą się bardzo dobrze, ale same są tak małe, że je raczej za skrzydlate kwiatki do ozdoby podwórza uważać należy.

Do kur nieśnych i na tuczenie także dobrych zaliczyć trzeba na pierwszym miejscu Hudany. Cechą główną, odróżniającą tę rasę jest czepek z piórek nad strzępiastym grzebieniem. Budowa krępa, temperament żywy, waga dorosłego koguta 4 kg, kury 3 kg. Barwę mają czarną i białą mieszaną — podobne bardzo do Crevecoenerów, rasy również we Francji hodowanej. Obie te rasy dają dużo smacz-

nego mięsa, dobrze się nosą, wytrwałe na zimno, dają się hodować na małych podwórkach.

Kochinchiny i Brahmaputerki są tak blisko z sobą spokrewnione, że je równocześnie opiszę. Są to kury duże, ciężkie, nogi w tak zwanych pończoszkach, to jest obrośnięte w pierze. Obie rasy dochodzą do 6 kg wagi, a kurczęta do 3 kg, mięso bardzo smaczne i delikatne. Obie te rasy mają ogromną ochotę do wysiadywania i są bardzo dobremi matkami. Przeciętnie składają 120 jaj rocznie, dość małych stosunkowo do swej figurki. Wielka niewybredność w jedzeniu i zahartowanie jest też ich dużą zaletą, ale hodowla ich dość kosztowna, bo wymagają znacznej ilości pokarmu.

Do mniej cenionych, lecz również pożytecznych kur należą rasy Langshans, Plymouth-Rock, Dorkingi, Padewskie i w Galicji rozpowszechnione „zielononózki“.

Jak powyżej zaznaczyłam, na hodowlę kur powinniśmy więcej niż zazwyczaj zwracać uwagi, gdyż kto wie, czy z czasem nie dałoby się z tego wytworzyć głównej gałęzi dochodu naszych wiejskich gospodarstw. Pierwszym warunkiem zyskowej hodowli jest: postarać się o kury silne, rasę odpowiednią klimatowi, gdzie mieszkamy, bacząc, czy w okolicy handel jajami czy też tuczne kury miałyby większy rynek zbytu. Wybrawszy rasę — postaramy się o dobry kurnik.

W każdym gospodarstwie znajdują się budynki, w których można zrobić zagrodę dla kur. I tak w oborach, a szczególnie w stajniach dla koni, których wyziewy mają tępić robactwo dokuczliwe dla drobiu. Przytem w stajniach jest ciepło, więc kury się wcześniej nieść zaczynają. Jeżeli kurom nie możemy dać takiego schronienia, to trzeba zbudować kurnik. Jeżeli można, to najlepiej postawić kurnik z drzewa sosnowego. Powinien być 2 m wysokości a tak duży, aby kury swobodnie poruszać się mogły. O przewietrzaniu kurnika koniecznie trzeba pamiętać, to też najlepiej zrobić dwa otwory w ścianach, które zakrywać zasuwami z blachy. W kurniku powinny się znajdować poziomo poprzy-

bijane drążki czyli „grzędy“. W połowie wysokości kurnika powinny być przybity do ścian gniazda. Przynajmniej w dwóch kątach kurnika powinny być także dla kur urządzone kąpiele piaskowe. W tym celu miesza się piasek, ziemię, popiół drzewny trochę siarki, i tworzy mały pagórek, w którym kury trzepią i obsypują całe, prężyć w celu uwolnienia się od dokuczliwych robaków. — Warunkiem pomysłu tego chowu kur jest: czystość, to jest kurniki choć raz na pół roku powinny być wysypane wapnem, aby wszelkie robaki i zarazki chorób wygubić. Kury powinny zawsze mieć kurnik wysypany piaskiem, w braku tegoż, trocinami.

Kury powinny mieć czystą, dwa razy dziennie zmienianą wodę; karmę wystarczająco podawać dwa razy dziennie: rano karmić posypane otrębami — na południe ziarno: pszenicę, owies lub tatarkę. W razie zastąpienia jednej kury należy na tychmiast oddzielić ją od całego stada. Kurnik wewnątrz wapnem posypać. Jeżeli tak dbać będziemy o kury, to prawie pewnem jest, że się żadna zaraza nie wkradnie do kurnika. Choroby kur są liczne, niebezpieczne, a dla braku miejsca często niemożliwe do wyleczenia. Przeważnie głównym tych chorób powodem jest nieczystość, niestaranie utrzymany kurnik a czasem także przeniesiona zaraza z innego kurnika.

Jeżeli kura kwocze, to znaczy chce siedzieć na jajach, należy ją posadzić w miejscu zasłoniętym od wiatru i lepiej dać jej mniej jaj, aby je dobrze obsiadła, niż za dużo. Za 21 dni wykluwają się kurczęta, zwykle bez żadnej pomocy. Po wykłuciu nie powinny kurczęta przez 24 godzin nic jeść ani pić. Później dać im ugotowanego, posiekanego jajka, zmieszanego z podwójną ilością chleba. Można też dawać po trochu: twaróg i pieczone mięso. Po dziesięciu dniach można już dawać drobny ryż, pszenicę, kaszę, stopniowo przyzwyczajając kurczęta do tańszego karmu.

W dzisiejszych czasach dużo już słyszeć się daje o sztucznych wylęgarniach. Jeszcze jednak nie zostało dokładnie zba-

lane, który z tych licznych przyrządów jest najlepszy. W każdym razie wylęgarki nadają się raczej tam, gdzie hodowla drobiu jest przedsiębiorstwem na większy przemiar i spekulacyjnym. Niedawno wynaleziono maszynę do wylęgania, w której podobno z bardzo dobrym skutkiem ciepło kwoczki zastępuje zwykły koński

nawóz. Poczekajmy, co o tym wynalazku powie praktyczne zastosowanie. Gospodyni wiejska nad najlepsze sztuczne wylęgarnie kurczątek-sierotek, przekładać będzie dobrze rozkwokaną kurę i w tym względzie przyznać jej trzeba słuszość zupełną.

L. HRDINY.

DO SĄDU.

Tłumaczył z czeskiego JAN CZECH.

Zapatrzyłem się na obraz Szpilara, tytułowany „Dożywocie“. To mi przypomniało historię z mojej rodzinnej wioski, znaną mi jeszcze z lat dziecińczych.

Był to ostatni akt dramatu życia ludzkiego, chylącego się ku końcowi. Jedna stancyjka, przy ścianie próchniejące łóżko, przy łóżku stary, rozetrnięty stół z szerokimi szparami i pełno wydeptanymi krzyżowemi podłózkami. Krzeselka żadnego niema, bo w tym ciasnym kącie nie byłoby dlań miejsca. Dlatego to dwoje starych, prawie i wiekiem pochyłonych małżonków siedzi na krawędzi łóżka. Około pięćdziesięciu lat kroczyli razem jedno ko drugiego, po tej krzyżowej i cierniowej drodze żywota, aby się nareszcie doczekać szczęśliwego dożywocia.

Doczekali się staruszkowie i siedzą razem na krawędzi łóżka. Głowa starca pochyłona na piersi, pokryta siwymi kosmykami siwych włosów — prawie na ostrzyżenie nie ma pieniędzy. W ustach wisi niedbale dawno wyschnięta drewniana fajeczka tylko tak z przyzwyczajenia, bo na tytoń również nie ma pieniędzy, a złożone jak do modlitwy ręce opierają się o kolana. Oczy wciśnięte w ziemię, a myśl... łatwo ją odczytać z wyrazu twarzy odgadnąć.

Stara towarzyszka życia kończy rok niego z glinianego garnka ubogą kawą. Jedyny stary gliniany garnek,

jedyna wspólna łyżka — to cała stołowa zastawa tych dwojga ludzi. Staruszką trzymając garnek w ręku, łyżkę przy ustach, jest również zapatrzona w ziemię, gdzie wzrok jej męża utkwiał, jakby nie mogła przełknąć strawy, którą ma na łyżce.

Za nimi na ścianie nad łóżkiem wisi pięć fotografii, — to podobizny ich pięciu synów. Ładni chłopcy! Jeden w okularach i czamarcie, drugi w oficerskim mundurze — a między innymi i ten, na którego mają dożywocie.

Obraz tych dwojga milezących, starych ludzi, powie nam więcej, niż całe foliały sądowej registratury.

Stary Robarzyk był w sądzie i poдал skargę na syna.

Jeżeli się dzieci uskarżają na rodziców, jest to smutny objaw, lecz jeżeli starzy rodzice skarżą dzieci przed sądem, jest to objaw w życiu ludzkim najsmutniejszy.

Skargę Robarzyk napisał sam. Było tego bardzo wiele, bo aż na trzech stronicach dużego arkusza. Spisał to sam, bo nie miał pieniędzy, aby kazać napisać, bo nie chciał się ludziom zwierzać ze wszystkiego, z całego bólu swego serca i ze wszystkich cierpień. Ludzie bowiem są rozmaici. Niektórzy pożałują, co jest ulgą w biedzie, ale inni powiedzą: „jak sobie kto pościele, tak się wyśpi“, a to znaczy, że nie ma czego narzekać, bo sam sobie winien.

Dopóki życie było choć trochę znośnem, skarżył się sam przed sobą na swój los, lecz później postanowił poskarżyć się na syna przed sądem. Więc napisał skargę sam; a spisywał ją kilka dni. Pismo już było ciężkie, ręka niezgrabna, do podobnego zajęcia nie przyzwyczajona, często musiał odpoczywać, dlatego, że pióro w zeszytniałych, hakowatych palcach drżało, albo lży zasłaniały oczy i pisma nie widział. Na tych trzech stronicach arkusza napisał aż tyle, choć parę wierszy by wystarczyło, aby jego syna nazwać łotrem.

Zaniósł skargę do miasta, do sądu; tam ją pociągnęli pod numer taki obojętny, jak ongiś, kiedy zapisał synowi całą gospodarkę — cały swój majątek. Wrócił do domu, a za kilka dni dostał wezwanie do sądu. — Dziś właśnie ma iść na sprawę.

Całą noc oka nie zmrużył. Na stole przed nim leżał nowy arkusz papieru; prawie cały zapisany, notował bowiem rzeczy w skardze zapomniane, które mu dopiero później przyszły na myśl. Leżał na łóżku, oczy wlepione w sufit ciemnej stancyjki: myśli go trapiły tak czarne, jak ta noc, otaczająca go dokoła. Podniósł się, zapalił lampkę, napisał — aby nie zapomnieć. Znowu zgasił światło i rozmyślał — potem znowu pisał. Tak to trwało do rana.

Rano wstał, ubrał się, papier starannie złożył i włożył do kieszeni surduta. Z tego arkusza będzie tam panom sędziom czytał. — Wyszedł przez podwórze i ogród rosą poranną zroszony i zmierzzył ku szosie, prowadzącej do oddalonego miasta. Złota kula słoneczna wyłoniła się z zamglonych lasów, w ciemnym balsamiczno-porannym powietrzu unosiła się pieśń skowronka, dziękował Stwórce — że mu dał lepsze dzieci w jego maleńkiem gniazdeczku w zbożu ukrytem, niż te, które ma ten wiekiem pochylony starzec, idący zakurzoną szosą daleko do miasta, zapożywać syna przed kratki sądowe.

Lecz Robarzyk pieśni tej nie rozumiał, nie nie słyszał, nie jego uwagi nie

zajmowało. Z kijem w rękę, głową pochyloną — wędrował w starych dziurawych i wykoślawionych butach, zajęty jedynie myślą, co będzie w sądzie mówił.

— Aha! o tem byłbym zapomniał mówić do siebie, to muszę też w sądzie powiedzieć — że już od kilku lat, jak jesteśmy na dożywocie, nie możemy w zimową porą w stancyjce napalić. Mam zastrzeżone, że mi syn musi wstawić piecyk. Piecyk postawił, ale komina niema, a nie pozwolił na przebicie sufitu dla przeprowadzenia blaszanej rury. — W zimie musimy sypiać w ubraniach, a jednak nie możemy rozgrzać skostniałych członków. Wszystko wiem. Powiem również, jaką nam dać strawę, pies by jej nie chciał. Mam przewidzianą strawę gospodarską, dam nam trochę mąki, rozcynionej ciepłą wodą! Mówią, że nam dowiodą — strawa jest dobra.

— Pięć funtów soli mamy dostać na rok, a ponieważ zapomniałem wymienić jakiej, dają nam tę, co dla owiec. I tego nie napisałem: co tydzień mają nam dać czyste koszule, ale ponieważ nie wymienilem, w jakiej wodzie mają być prane, służąca pierze je w tłustych pomyjach kuchennych.

To może nie powinienem mówić, że wczoraj się syn na mnie oburzył, dla czego go zapożywam, i uderzył mnie pięścią w piersi, ażem upadł, uderzając głową w drzwi. Bolała mnie głowa, ale dziś już nie boli — tylko to uderzenie w stare, schorzałe piersi... to boli!

Za tę rękę, która mnie uderzyła, powiedziałem kiedyś synka, gdy był dzieckiem, kiedy chodził do drugiej wsi do szkoły. Zimową porą chodziłem po niego, skostniałe ręce rozgrzewałem własnym oddechem, tak długo chuchałem, aż się rozgrzały. Niedawno w te ręce oddałem cały swój majątek, zroszony potem mojej tyloletniej ciężkiej pracy a jedna z tych rąk mnie uderzyła...

Jacyś ludzie szli naprzeciw Robarzyka, szli do roboty. Robarzyk zamilkł. Gdy przechodzili, pozdrowił ich

chrześcijańsku i poszedł dalej. Znów sobie opowiadał, co jeszcze musi w sądzie powiedzieć, i to i tamto jeszcze, o czym nie zapomni.

Gdy przyszedł do miasta, błądził ulicami, bez celu, a jak tylko nadeszła oznaczona w pozwie godzina, wszedł do marmurowego kamiennego gmachu sądowego.

Syn już był na kurytarzu. Pierwszy raz znalazł się stary Robarzyk w takim położeniu — oko w oko przeciw synowi. Nogi mu zadrżały, w głowie zakręciło i obejrzał się, gdzieby mógł pójść.

Drzwi kancelaryi otwarły się.

— Robarzyk ojciec i Robarzyk syn! — zawołano.

Milcząco weszli obaj do sali sądowej, jeden za drugim.

— Młody Robarzyk, oskarżony przez ojca — zawołał sędzia do młodzieńca, ale zaraz się odwrócił do starego zapytaniem: — Chcecie mówić staruśkowi przeciw własnemu dziecku?

— Ja tu mam jeszcze drugą skargę, którą spisałem — odpowiada stary. Rozpiął surduta i sięga do kieszeni.

— Powtarzam — mówi sędzia — sprawa się rozpoczyna — czy chcecie mówić przeciw synowi?

Stary Robarzyk głęboko się zamyślił, papier zostawił w kieszeni i rękę wyjął.

— O nie! — zawołał — syn byłby ukarany. Dla tej odrobiny życia, która mi jeszcze pozostała, to się nie oplaci; nie mówić nie będę, może z żoną to jakoś wytrzymamy. Zwrócić mi tę skargę, panie sędzio!

— Nie, to nie idzie!

— No, to ja sobie zostawcie, ja mam inną. Zawrócił stary i wyszedł.

— Wiedząc, że mu syn nie da do trumny żadnej poduszeczki pod głowę, przyszedłszy do domu, uszył ją, wypchał suchymi liśćmi i włożył w nią tę drugą skargę.

— Tę to wezmę z sobą do grobu...

TY ZE MNIE SYDZIS DZIEWUCHO.

Ty ze mnie sydzis, dziewucho,

Ty ze mnie sydzis,

Ty mnie tylko wtedy kochas,

Kiedy mnie widzis.

Hop, hop, hejze ha —

Kiedy mnie widzisz — oj dana,

Kiedy mnie widzisz!

Hop, hop, hejze ha —

Ciebie nie sydzę, chłopaku,

Ciebie nie sydzę,

A cię nawet wtedy kocham,

Kiej cie nie widzę.

Hop, hop, hejze ha —

Kiej cie nie widzę — oj dana,

Hop, hop, hejze ha —

Kiej cie nie widzę.

Przedam ciele na jarmarku

Za styry bite

I wyprawię weselisko

Bardzo obfite.

Hop, hop, hejze ha —

Bardzo obfite — oj dana,

Hop, hop, hejze ha —

Bardzo obfite!

Dam talara organiście,

By wyszed na chór

I zaśpiewał urocyście

„Veni creator!”

Hop, hop, hejze ha —

„Veni creator” — oj dana,

Hop, hop, hejze ha —

„Veni creator!”



Pożar w Borysławiu.

W lipcu 1908 roku zniszczył pożar ogromne zapasy ropy i liczne zabudowania szybów, robiąc szkodę na setki tysięcy koron. W roku 1908 był Borysław widowiskiem olbrzymich płomieni połączonych z chmurami ciemnego dymu, który cały okoliczny horyzont zasłaniał. Czwartego maja podczas burzy uderzył piorun w szyb „Singe“ a następnie inne pioruny w przeciągu godziny zapaliły sześć szybów „Galicja“, „Lampenmühlen“, „Dembowski“, „Banzaj“, „Rosa“ i „Trunkwalter“, które dziennie produkowały 150 cystern ropy, wartości 15.000 koron. Pożar trwał około 10 dni, gdyż gaszenie takiego pożaru jest żmudne i bardzo uciążliwe i da się tylko ugasić przez sypanie wałów i zasypywanie ognia ziemią. Do tego celu zorganizował się oddział żydów, którym pieniądz jest

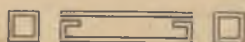
milszy jak wszystko inne, którzy z narażeniem życia i wyęzieniem sił gaszą ogień w następujący sposób: poobwijani mokrymi płachtami noszą w workach na plecach ziemię, podchodzą prędko do samego ognia, obracają się nagle i wysypują ziemię wprost w ogień. Gorąco jest tak wielkie, że nikt bliżej jak 50 kroków od ognia stanąć nie jest w stanie, bo by się ubranie na nim zapaliło. Za taką robotę każą sobie żydzi też dobrze zapłacić, 20—30.000 koron, co przypada na głowę i dzień 20—40 koron. Szkodę stąd powstałą obliczają około 350.000 koron. Z ludzi ofiar nie było żadnych, dzięki zachowaniu przepisów władz, które nakazywały w razie grzmotów z szybów wychodzić. — Załączona rycina daje obraz palących się szybów i ropy.



Ropa płonąca w Poddniestrzach na powierzchni rzeki.



Palący się szyb „Oil-City”, otoczony płomieniami i kłębam dymu.





KAZIMIERZ LASKOWSKI.

Surdutowiec.

POWIASTKA.

I.

Dniało.

Zanosiło się na przyparek. Słońce wstało zawczasu, rozpalone, czerwone, niby jarząca kula. Popłynęły złociste promienie ku ziemi, ku łanom przeróżnego zboża, przysiadły na ustawionych tu i owdzie półkopakach, zajrzały w dudki ściernisk, pijąc rosę poranną, co w świecących bańkach na żdźbłach zawisła.

A ze słońcem ocknęło się wszystko ze snu nocnego.

Obżarte wróble, ćwierkając nad kłosem dojrzałego jęczmienia, zabierały się do śniadania; wyfruwały z lasu, kracząc i łopocząc skrzydłami, krzykliwe wrony, aż ich się całe stadko szybujące ku ludzkiej siedzibom zebrało; wracał płochy zając z polnego żerowiska w gęstwinę, a i ze wsi dolatywał już pogwar głosów — znak, że gospodarze po wywieczasie ku robocie się mają.

Wieś zwała się Tokarnia.

Tokarscy gospodarze nie lubili się ociągać, jaki taki zerwał się z posłania o brzasku, przeżegnał Krzyżem Świętym i dalej do roboty. W żniwa każdemu pilno. Niejeden nie dośpi, bo nie pora na wylegiwanie, kiedy chlebuś żrały o posiedzy-sko w stodole prosi. Chybisz... przeczekasz... to albo ziarno leci, albo też, co gorzej, deszcz lunie, obrosi raz, drugi, trzeci, to na przyparku i porósł gotowe!

Od rana też uwijał się kto żyw, zwyczajnie jak w pszenne żniwa.

Jedni ładowali wozy w kopne drabiny, drudzy, przysiadłszy na przyźbie, klepali kosi, inni moczyli powrósła w stoku, żeby się na skwarze nie rwały. Gospodynie rozpałały na kominach, krzątając się zawczasu wedle śniadannej warzy.

Ruch i bieganina wszędy.

Żegotały skoble i wrzeciądze otwieranych drzwi i wrót, turkotały wozy, rozlegało się po wsi wesołe „oj ta dana!“. Parobcy i dziewczęta wychodzili z chałup, dążąc miedziami w pole. Ten z grabiami, ów z kosą lub sierpem, jak komu wypadło. Z każdej prawie chaty ktoś wybiegł, śpiesząc na zagon. Zostawały tylko leciwe kobiety a dzieci „kuli obrządku w izbie“. Zgotuje się warza, w dwójaki naladuje, to byle pędrak w pole zanieś, a z powrotem chwastu dla gadziny uzbiera.

Wioska wyludniać się zaczęła.

Tylko z domostwa Wincentego Grzędy nikt nie wychodził. W izbie cicho, jak by wszyscy jeszcze spali.

Widząc to, przechodzący Tokarzanie kiwali głowami. Dziwno im było. Grzęda, choć gospodarz w latach, do roboty przyłożyć się lubiał, tem bardziej, że z dziećmi wielkiej wyreki nie miał. Najstarszy syn, jednak, Szczepiek, powędrował gdzieś w świat między ludzi, bo mu się lekkiego chleba a „panowania“ zachciało; w chałupie zostały same dziewczęta, a wiadomo, że w chłopskim obejściu z kobiet wielkiej obrady niema. Jeszcze koło domu ujdzie, ale jak przyjdzie w polu zasiać czy zebrać, jeden chłop za trzy baby starczy.

Przystanęło kilkoro ludzi przed Grzędową chałupą i nuż nasłuchiwać.

— Albo zaraz po północy w pole ruszyli, bo mają jęczmień żrały, to go z rosą zerznąć chcieli, albo się co stało — odezwał się Walek Capiga.

— W pole? Chyba nie, bo kołowrót na ścieżaj otwarty, to musi ktoś być w stodole. Wincenty-by tak chudoby bez zamknięcia nie ostawili — zauważył Jasiek Gajda.

— A może Szczepiek wrócił i po dawnemu browarye stroi? — zagadnęła nadchodząca Kurkowa. — Pokłócił się ze starym, bo to harde, i Wincenty mu znowu basarunek sprawił i za ogranic wymiotti. Najprędzej tak będzie — domyślała się babina, — bo nawet Herszla opowiadał, że Szczepka na jarmarku widział. W zimie to go tu nie upatrzy, ale latem z „nowego“ to zawdy ściągnie, by od matki parę groszy wycygnąć.

— Jakiego uchowała, takiego ma; to wszystko Grzędzina sprawka. Cackała, nieściła... Oczko w głowie Szczepuś, elefant!... Surdut na nim, kamizelka w pasy, zegarek przy łańcuszku... a harde!... nie przystępuj bez kija. I Wincenty winien, że na wszystko kobiecie pozwalał, a ojcowskiej powagi nie użył. Teraz za późno. Chłopisko wyrosło, zapachniała mu faryka, obcy świat, a o roli ani zbyli! Jak airzy trafunkiem, to się tylko z ojca prześmiewa. Wincenty cierpi, ale go już parę razy przełoł i wygnał. Bo i poco łarmozjada w chałupie trzymać, kiej się to roboty nie ima? — opowiadał Capiga.

— Sprawiedliwieście rzekli — potaknęła Kurkowa. — Ja sama przemawiałam parę razy z Grzędziną. Mówię: kumotny, nie bronie tego Szczepka przed wazym... niech mu czasem kole skóry zrob, a do roboty napędzi, bo zobaczyciel szkoda gęby. Parsknęła na mnie, z łęściami doskakiwała... I teraz pewnie nie było inaczej. Przywłókl się nocą, to jego zwyczaj... kanaczek... Posważyli się, i Wincenty, niewiele myślący, znowu przepędził, a matka za nim, za jęynakiem, więc i w chałupie pusto.

— Wszystko to prawda — rzekł, przerywając Kurkowej, Tomasz Wach, podsołtysi tokarski, — ale zobaczyć nie zawadzi. Szczepiek, nie Szczepiek, a coś się Wincentym przytrafić musiało. Może złodzieje gadzinę wyprowadzili? Jasiek! tyś młody, skocz-no ku stodole, a obacz! Może ci się choć która z dziewczuch napatuchnie, bo w chałupie widać niema żywej duszy.

Skoczył Jasiek, ale jeszcze nie dobiegł do uchylonego kołowrotu, kiedy nagle z obórki doleciał straszny krzyk Grzędziny:

— Rety! rety! Ludzie! chrześcijany! ratujcie!

— Ołoboga! — krzyknął Jasiek i popędził, a za nim wszyscy, przestraszeni wielce.

Na obórce, przed progiem stajni, leżał Wincenty Grzęda, nieruchomy, błądy, jakby bez życia. Ręce opuszczone bezwładnie, oczy w ślup, a siny jak święta ziemia. Nad nim klęczała, podtrzymując obwisłą w tył głowę męża, lamentująca w niebogłasy Grzędzina, opodał stały osłupiałe córki, nie wiedząc, co począć.

— Co się stało? — wrzasnął poprzedzający innych Gajda.

— Oj! rety! rety! ludzie! kumotry kochane! Ratujcie, kto w Boga wierzy! — zakrzyzczała znowu Grzędzina.

Nadbiegli Wach z Capigą, unieśli chorego w górę.

— Prędzej, wody! — huknął Wach.

Jedna z dziewczyn, oprzytomniawszy, pobiegła do studni. Przyniosła pełne wiaderko. Chlusnęli Grzędzie w twarz. Mruknął oczami, ale nie rzekł słowa. Usadowili go teraz w kucki, plecami o stałenną ścianę oparliszy. Wach rozpiął na nim koszulę, przyłożył ucho do piersi.

— Żyje! — rzekł — to już dobrze! Dalej, Jasiek, na szkapę i po księdza proboszcza. A wy, kumoska — zwrócił się do Kurkowej — polećcie po „babkę“ Marcychę, niech przychodzi, może co zaradzi. My z Capigą przeniesiemy Wincentego do izby. Dalej, śpiesz się, bo może i doktor będzie potrzebny...

Podrapał się w głowę Gajda, bo mu w

pole pilno było, ale żalością zdjęty nie rzekł słowa, tylko wprowadziwszy ze stajni Grzędową kobylę, galop pocwałował na plebanie.

Kurkowa, choć radaby z kobiecej ciekawości postać a posłuchać jeszcze chwilę, także podreptała na wieś, po starą Marcychę. Niechrześcijańska rzecz ludzi w nieszczęściu nie poratować

Wach z Capigą wzięli Grzędę we dwóch, jeden ujął pod ramiona, drugi za nogi, zanieśli do izby i na łóżku położyli.

Lamentujące dzieci z Grzędziną stanęły wiankiem koło łóżka. Już pierwsza żalność a strach przeszły, więc też Grzędzina, opamiętawszy się trochę, przemówiła:

— Oj! dolaż moja, dola! kumotrowie kochani. Cóż ja teraz nieboga z temi sierotami pocznę sama? Oj, Jezus najmilejszy, zmiłujże się nad tem robactwem, zmiłuj, i nie zabieraj im ojca! — zaczęła zawodzić, a córki znowu w bek.

Żal się zrobiło kobiety Capidze, więc choć wiedział, że Grzędzina nieraz się ze swoim przez Szczepka poswarzyli, nie chciał już teraz małżeńskiej kłótni wspominać, jeno pocieszał:

— Pan Bóg miłosierny, nie dopuści nieszczęścia. Wincenty chłop zdrów, to choć go z nóg zważyło, skrzepi się przy łasce Bożej, a was samych na tym świecie nie zostawi. Ale powiedzcie przecie, kumosi, co się takiego przytrafiło, bo my z Wachem nadarmosa sobie głowę susze-
wa. Potłukli się Wincenty, czy co? A może urok?

— Baj baj! — burknął Wach. — Urok! Głupota ludzka! babskie gawędy. Prędzej zły wiatr obleciał, albo się krew zakrzepła. Rzeknijcie słowo, kumosi!

— A czy ja wiem... czy ja wiem! — zaczęła znowu z płaczem. — Wicuś, mężu jedyny, przemówże, co ci? Ja się pytam... ja, twoja Agnieszka... ślubna żona. Przemówże, Wicuś, a spojrzij na te sieroty!...

— Gadajcież, tatulu!... — prosiły płaczące dziewczęta.

Chory, jakby rozumiał, że go pytają, zaczął wargami ruszać, z piersi wybiegł mu jęk cichy, ale przemówić nie mógł.

Poczerwieniał tylko na twarzy z wysiłku i leżał dalej nieruchomy, jak kłoda drzewa.

Więc Wach, który Grzędę w owej chwili za głowę ujął, a wodą poił, ułożwszy go znowu ostrożnie na poduszki, zwrócił się jeszcze raz do Grzędziny z pytaniem, przedstawiając:

— Płaczem nie nie ulżycie, Wincenta. Stało się. Ręce łamać, a w miejscu stać nic po tem. Lepiej ano rozpalcie ogień, może choremu potrza będzie co ciepłego zgotować. A ty, Marynka — mówi, zwracając się do najstarszej Grzędzianki, zawiń się po izbie, zamieć... Dobrodziele z Panem Bogiem ino patrzeć. Dalej stało się, wola Boża, a ratunek ludzki... Cicho, dzieci! idźta do gadziny, bo ano słyszeć bydlę jeszcze w oborze... porykuje głodne

Zakrzętała się tedy koło komina Wincenta, Maryśka poczęła sprzątać izbę, a dwie młodsze dziewczuchy, wedle rozkazu nia Wachowego, poszły wygnąć bydłęta z pole.

Uciszyło się teraz w izbie, chory przy mknął oczy, zasnął.

Wach z Capigą przysiedli pod oknem na ławie, rozmyślając nad niezwykłym zdarzeniem. Nie pytali już o nic Grzędziny, widząc, jak babinę rozebrało. Zresztą w Wachowej głowie zrodziło się podejrzenie, że się Grzędom musiało coś takiego wydarzyć, czego Wincentowa przy świadkach opowiedzieć nie chce.

Zwierzył się z tem Capidze.

— Trza kobietę do sieni wyciągnąć, wziąć na spytki — rzekł. — Wy, kumotrze, ostańcie w izbie przy chorym.

Tak też zrobił. Wywołał Grzędzinę izby, obejrzał się dookoła, czy kogo nie ma, i upewniwszy się, że są sami, zaczął

— Moja Wincenta, somsiad wasz jest stem i kumoter, a ze starym rówieśnikiem krzywdy ludzkiej na sobie nie mam, a nie jednemu wygodziło się, nie wymawiają. A z wami także krewieństwo jest prze matkę, toć chyba z życzliwości, a nie z złego serca was pytam, co się stało. Mówcie prawdę, kumosi, nie tając niczego, bo tylko przy prawdzie a świadomości rada znaleźć się może. Kiej się to sta

ło? z nocy, czy w świtanie? A może jakiś człowiek naszedł? — dopytywał.

Rozpłakała się babina na te słowa, westchnęła ciężko. Objęła Wach za nogi, uściśnęła i tak opowiadała:

— Sumiennie wam rzeknę, kumotrze, że pomyślenia nijakiego na nikogój nie mam. Choć mi w duszy coś gada, że to nie bez kozery. Świadomo wam, stary sygniał w stodole. Rano wstałam ja, wstała Marynka, dziecko... Wicka nie widać. Pchnęłam Zośkę do stodoły... wraca, pęda, że ojca niema. Może poszedł w pole... myślę. Czekam, czekam... nie widać... Tknęło mnie coś... biegnę sama... wypadłam na obórkę, patrzę... aż mnie zimno obleciało... Stary siedzi nachylony nad przyciesią.

— Hm! hm! — mruknął Wach.

— Jakby czego szukał. Podeszłam bliżej... patrzę... a tu kawałek przyciesi oderwany, jakby kto siekierą podważył.

— Mówiłem... złodzieje...

— Ja do starego... chce patać, a on bledziusiutki jak ściana! Wołam: Wicuś! co ci? A on nic. Zerwał się jeno, spojrzał na mnie tak jakoś dziwnie... rozkrzyżował ręce, uleciał parę kroków ku obórcę; ja za nim w te pędy, wołając. Dopadł do stajni, ale go widać już siły opuściły, bo padł jak długi... ani ręką, ani nogą!

— Dziwne... — rzekł Wach, kiwając głową.

— Chciałam się zadrzeć na dzieci, ale mi zrazu w piersiach zaparło — opowiadała dalej Grzędzina. — Może z papieru upłynęło, zanim się zbaczyłam. Zaczęłam starego trząść, a potem dzieci nadleciały...

— Więc przycies podważyło? — spytał Wach. — Rzeknijcie rzetelnie. Wincenty nie byli przez grosza... Pewnikiem...

— Ja też sama tak myślę, co stary dla Marynki na wiano chował. Ale świadomo wam, kumotrze, skryty był... i ja, chociaż ona, nie miałam żadnego dostępu. Ale mi wiadomo, że przez pieniądze nie był...

— I ja myślę tak samo. Po głowie mi się snuje, że kto wie, czy to nie ono śrebrło było pod przyciesią zachowane, i...

— Przyszedł zły człowiek, podpatrzył

i zabrał — dokończyła Grzędzina i znowu w płacz uderzyła.

— Cichoście, kumoska! Cudza krzywda zawsze bokiem wychodzi, a kradzione nie pasie. Powoli wyjdzie szydło z worka — pocieszał. — Teraz najpilniej staremu pomóż, bo się chłopisko ze zmartwienia a straty zapamiętało. Słuchajcie, Wincenta — dodał po chwilo-
wym namyśle, — matka jesteście, to was może zboleć, ale niechta! Powiedzcie, tak prawdę: nie macie pomyślenia na Szczepka, że to on spenetrował, gdzie stary grosze chowa, podszedł nocą i wybrał?

Grzędzina załkała głośniej.

— Wy wszyscy na tego Szczepka! — zaczęła po chwili. — Nie bronię ja go. Robota w chałupie go parzyła, poszedł między ludzi, na swoje, to prawda. Czasem, bywało, że starym powojował... to także prawda; ale co do tego... to nie! Już go ze dwa miesiące we wsi niema, a zresztą skądby mógł wiedzieć o skrytce? Ja sama, sumiennie mówię, kumotrze, nie wiedziałam: ma stary grosze, czy nie ma. Widzi mi się, że musiał mieć, ale pewno-
ści żadnej niema.

— A przycies? hm? — wtrącił Wach.

— A czy ja wiem, moi drodzy! może na ten przykład złodzieje chcieli się dobrać do gadziny! Czy to koniecznie za pieniądze przyjąć mieli?

Wach potrząsł głową, bo widział, że kobicina coś kreci, ale już nie pytał o więcej, gdyż właśnie nadchodziła Kurkowa ze starą Marcychą.

Weszli wszyscy czworo do izby, którą Marynka zdążyła już uprzątnąć.

— Śpi... — rzekł cicho siedzący przy łóżku Grzędy Capiga.

— To i lepiej — odrzekła Marcycha: — na śpiący jeszcze lepiej urok odczynić.

— Głupiście wy, z przeproszeniem! — burknął Wach. — Urok! gusła! niechrześcijańska rzecz! Wincenty miał ano jakieś zmartwienie... żółć się w człeku rozlała... Krew zakrzepła i na mowę padło... Trza okowity z tłustem przesmażyć, a nogi rozetrzeć, to mu ulży... ale nie odczynienie... A jak będzie trza, to się po doktora pośle!

Więc Marcycha, która się już do od-

czyniania uroku zabierała, skrzywiła się na taką mowę Wacha i byłaby na pewne na swoim postawić chciała, ale na podwórku zatętniało i za niedługo wszedł do izby zdyszany Gajda, mówiąc:

— Dobrodziej jadą!

Zerwali się wszyscy na nogi i do drzwi, aby księdza powitać.

Niebawem przed chałupą Grzędy zaturkotał wózek, wiozący tokarskiego plebana i organistę. Pokłękli wszyscy — i proboszcz, siwy jak gołąbek, wszedł do izby, aby coperędzej chorego na duchu pokrzepić.

Ocknął się Grzęda, zbudzony głośnym lamentem żony, która się dobrodziejowi do nóg rzuciwszy, po swojemu zawodzić zaczęła.

Zmógł się chory po przespaniu o tyle, że głowę nad poduszkę uniósł i na łokciach wsparty na posłaniu przysiadł.

Ksiądz proboszcz, któremu już Gajda na plebanii potrosze o wypadku opowiedział, przeżegnawszy, chorego Krzyżem Świętym, gdyż o głośnej spowiedzi nie mogło być mowy, udzielił Grzędzie Olejów Świętych, odmówił modlitewkę, którą wszyscy na klęczkach powtarzali, i tak ubezpieczywszy duszę chorego, jął się wypytwać o całe zdarzenie.

Żeby chorego, który znowu z sił opadł, a oczy przymknął, nie niepokoić, skinął na Grzędzinę, Wacha i Capigę, aby wyszli z izby, i przysiadłszy na przyźbie domu, z troskliwością dopytywał o wszystko.

Więc Wach, chłop mowny a otwarty, opowiedział wszystko, niczego nie pomijając, jako Grzędę na obórcę bez życia leżącego znaleźli; jak mu zmartwienie mowę odebrało, bo się ktoś do stajni dobierał, a przycieś podważył; że pewnikiem Grzęda pod przyciesią pieniądze chował; tylko o Szczepku nie wspomniał, bo nie chciał na dziecko kalumnii rzucać, posadzając je o zabranie ojcowskiej krwawicy.

I proboszcza zadziwił cały ten wypadek. Grzęda był chłop ściśliwy, ale znowu się tak w pieniądzach nie kochał, żeby aż po ich stracie zaniemódz; powstało więc w plebana głowie podeirzenie, że na

dnie tej sprawy jakieś inne zmartwienie ukrywać się musi. Nie wydał się jednak z tem, tylko zaleciwszy posłać po doktora, zadysonował, aby głowę chorego przewiązać mokrą chustą, a w nogi flaszkę z wrzącą wodą włożyć, obiecał także winą z plebanii przysłać.

Więc Grzędzina poczęła dziękować, dzieci także czepiały się rąk proboszcza całując.

— Niema za co! niema za co! Obowiązek kapłański! — bronił się staruszek, bierając się do odjazdu.

Na wyjeździe jednak, jakby sobie przypomniał, zwrócił się do Wacha:

— Pamiętajcież posłać po doktora. Przy ratunku choremu nic nie będzie. Ile się na tem poznałem, atak apoplektyczny nie był silny. Pochoruje czas jakiś przyjdzie do siebie. Najgorzej tylko z gospodarstwem... Żniwa... Kobiety same dadzą sobie rady...

— Pewno, pewno, ojcie duchowny — potaknął Wach. — Żniwa... a i Ś-ty Bałtowiec niedaleko... siewy za pasem... się choróbsko przewlecze...

— To też mam nadzieję, że, jako są siedzi i chrześcijanie, nie opuścicie biedne Wincentowej. Powinniśmy się wszyscy wspierać wzajemnie.

— Ja ta już o tem myślałem, z prośbieniem księdza dobrodzieja. Bośmy Wincentym przecie krewniacy — rzekł Wach. — Ale zawdy bez gospodarza w takim czasie będzie bieda.

— I ja się nie wymawiam — wtrącił Capiga. — Mają Grzędowie jęczmień na pniu, to się go przed wieczorkiem skosi, ale bez chłopą w chałupie się nie obejdzie.

— Zapewne, moi drodzy. Pomoc każna dużo znaczy, i ciesz się mnie, że wam tak ochotnych do dobrego uczynku znajduję. Ten to, ten owo, i na razie jakoś będzie. Jakby zaś Grzędzie lepiej nie było, to trzeba jakiś sposób obmyślić. Przecie Grzędowie mają syna...

— A mają-ć, mają-ć!... ale latawie gdzieś między ludzi poszedł, bo mu przy gospodarstwie cniło — rzekł na Wach.

— To źle, to bardzo źle — mówił proboszcz. — Przypominam sobie... Szczepan mu na imię. Urwis był dzieckiem; pamiętam, natarłem nieraz matce uszu za niego.

— Oj, święte słowa Dobrodzieja; bo też, prawdę mówiąc, to Grzędzina winna, choć to moja kumoska — rzekł Capiga.

— Chłopaczysko rozpuszczone było od młoda, jeno za ptakami a muzyką, a Wincenta wszystko łagodziła i ukrywała przed starym, to też i wyrósł na ladaco, co go w chałupie utrzymać nie było można — dopowiedział Wach.

Zamyślił się proboszcz i rzekł po chwili:

— Wszystko to prawda, moi drodzy, ale źle naprawić zawsze pora. Zawiniła Grzędzina, nie trzymając syna w karności... Niech to będzie nauką dla innych, ale swoją drogą Szczepana sprowadzić trzeba. Przecież to syn i jednak do tego. Niechże teraz chorego ojca pielęgnuje, a matce i rodzinie będzie pomocą. Niech wraca, jak ów syn marnotrawny! Nie trzeba, moi kochani, nigdy wątpić o poprawie!... Ludzka rzecz błądzić... Pan Bóg miłosierny a wszechwiedzący. Może to z woli Bożej spadło to nieszczęście, aby zbłąkaną owieczkę na dobrą drogę naprowadzić — przedstawiał proboszcz.

Sklonił się Wach do kolan, a tak mu słowa kapłańskie do serca trafiły, że choć Szczepka nie lubił i w poprawę jego nie bardzo wierzył; choć mu po głowie chodziło, że jeśli Grzędów okradli, to mógł i Szczepka w tem rękę umaczać, zamknął w sobie podejrzenie i wątpliwość.

— Jak Dobrodziej każe, tak się robi. Zresztą będę miał oko na wszystko... Czy aby będzie chciał wrócić, bo mu ta gospodarka nie pachnie?

— A gdzie on jest teraz? — spytał pleban.

— Pono w Dąbrowie w fabrykach — obiaśnił Capiga.

— To ja sam do zarządu lub do znajomego mi miejscowego księdza proboszcza napiszę z zawiadomieniem. Jeszcze dziś to zrobię. List dojdzie za dwa dni. A teraz bywajcie zdrowi. Pamiętajcie posłać po doktora zaraz, a jakby, nie daj Boże,

było gorzej, dać znać na plebanię. Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków, Amen! — odpowiadzieli Tokarzanie i wózek z księdzem proboszczem potoczył się ku plebanii.

Wieść o wypadku u Grzędów rozeszła się szybko po wsi. Kurkowa, idąc po Marcychę, opowiedziała kilku kobietom; Gajda, jadąc na plebanię, także; a i przyjazd księdza proboszcza zauważyli ludzie, więc jaki taki skoczył z pola przez ciekawość i z dobrem słowem a pocieszeniem, bo stary Grzęda miał mir i poszanowanie u ludzi. Wkrótce też przed chałupą Grzędów zebrała się gromadka Tokarzan, i nuż radzić i debatować. Jak to nieraz bywa, bo o słowa nie trudno, jak zaczęto rozmyślać a dopowiadać jeden drugiemu, tak zaraz urosło, że Grzędę złodzieje musieli napaść, pobić, że się ledwie do chałupy zawlókł. Nawet Józek Zabiegała, co konie pasł na smugu, opowiadał, że widział trzech ludzi z siekierami, jak co tchu biegli na przełaj ku lasowi.

Potwierdził słowa Zabiegały Herszla Łucik, co się także, zwyczajnie jak żyd ciekawy, między ludzi wkręcił.

— Prawdę mówi Józek — upewniał. — Pod chejrym i ja widziałem. Było ich trzech... chłopcy jak dęby... Pewnie oni Wincentego sprawili...

— A kiej-ż to było? — spytał Wach, który z niedowierzaniem słuchał tych rozmów.

— Kiej? Czy ja to w nocy na zegarek patrze? Wyszedłem przed dom, księżyc świecił i widziałem... Była może druga po północy, może więcej...

— Kiedy Zabiegała mówił, że już światało...

— To co z tego? Mogli się gdzie zatrzymać. Zresztą nie będę się upierał przy swoim — odburknął żyd.

— Już to tu prawdę się nie dowiecie, chyba jak Grzęda przemówią — zauważyła Kurkowa.

— Żeby Bóg dał! — odezwano się w gromadzie.

— To ciężka słabość. Trudno z takim bólu wyjść — zagadał znowu Herszla.

— Nie strasz-no ludzi, Herszla! —

skarcił Capiga. — Da Pan Bóg, przyjdą Wincenty do siebie i wszystko się wykryje. Ksiądz proboszcz mówił, że, byle ratunek dać, to się nic złego nie stanie.

— Nie stanie? A czy ksiądz doktor?

— Stul gębę, żydzie! Nie wrażaj się, kiej cię nie pytają! — huknął zniecierpliwiony Wach.

Zakreślił się Herszla, i odszedłszy parę kroków, znowu z innymi wdał się w rozmowę. Żle mu patrzyło z oczu; chodził od jednego do drugiego, dopytywał się, jakby się chciał dowiedzieć, co też ludzie o całym zdarzeniu sądzą.

Ku południowi Jędrak Matusiak, co się koło Marynki Grzędzianki kręcił, a ludzie mówili, że mu ją już Wincenty przyobiecał, wrócił z miasta z doktorem.

Postawili choremu pijawki za uszami, synapizma na plecach i piersiach. Ulżyło się Grzędzie i siność z twarzy zesła. Doktor zapisał lekarstwo, i zapewniwszy, że chory wkrótce wróci do sił, ostrzegł tylko, że do roboty, zwłaszcza ciężkiej, to już zdatny nie będzie, bo mu paraliż krzyża nadwreżył.

— Mowa mu wróci, chodzić będzie, ale pracować, jak przedtem, to bardzo wątpię, czy będzie mógł. A pamiętajcie mieć codzień dla chorego rosół — pouczał doktor strapioną Grzędzinę. — W takiej chorobie trzeba troskliwie pielęgnować, nie martwić chorego, nie gniewać...

Po odejździe doktora, Herszla, który się ciągle około chałupy uwił, spytał wychodzącej z domu Marynki:

— Jakże? Cóż doktor powiedział?

Opowiedziała mu wszystko. Zerknął zyzem, poprawił na rudej głowie czapki, i wysunawszy się ukradkiem, puścił się ścieżką ku lasowi.

Obejrzał się raz i drugi, czy go kto nie podpatruje, wreszcie znikł z oczu.

II.

Był poza wsią, na pół drogi od miasteczka, las duży, nie tknięty jeszcze pod te czas siekierą — świerki, sosny, jodły jak świece, i podszywka z leszczyny, gąszcz straszny. Bywało, zagżone bydlę wpadnie do lasu, to je dni parę szukać

trzeba, odnaleźć trudno, a i człowiek idący o zmierzchu zablakać się może.

Ludzie z okolicy mówili, że w „czarnym borze“, bo tak ów las nazywano, czasem i zły człowiek się trafi, i taki, co to na cudze dobro dybie, schronisko znajduje. Znajdowano też nieraz w onym borze skradzioną gadzinę, czasem tylko ślad, że tu złodzieje bywali, — przygasały ogniska, szalasy choinowe i inne oznaki, świadczące o kryjówkach. Nawet strażnicy robili często gęsto obławę w gąszczu i nie rzadko chwyłali takich ptaszków, co się to dnia białego, słonka jaśniejszego boją, a cieniowi i ciemności radzi.

To też niejedną, gdy mu wieczorkiem droga przez las wypadła, poganiał szkapięta, oglądał się na wszystkie strony, żeby się corychle w szczere pole wydostać.

Herszla, dobiegłszy do lasu, nie bał się jednak. Jakiś czas szedł gościńcem, a potem skreślił ścieżyną w największy gąszcz. Uszedłszy ze dwieście kroków, przystanął i jał nasłuchiwać. Cicho było, tylko las gwarzył, szumiąc jednostajnie. Herszla zaczął się rozglądać, jakby upatrując jakiegoś śladu, wreszcie dojrzał na jednym drzewie naciętą korę, podszedł bliżej, zdjął sakwę z pleców, wydobyl z niej flaszkę wódki, bochenek chleba i serek, a potem przyłożywszy kułak do ust, huknął, nie przymierzając jak lis, kiedy się ma na odwilż: „hau, haupa!“

Na hukanie odpowiedziało echem hukanie. Żyd parę razy powtórzył sygnał, i za chwilę zatrzeszczały rozsuwane gałazki leszczyny i z gąszczu wyszedł parobczak smagły, tęgi, niby dębczak. Miał na sobie palto granatowe z wytartym aksamitnym kołnierzem, spodnie kraty i czarny kapelusz z połamanym rondem, w rękę kij sękaty, którym krzaki rozchylał.

Był to Szczepan Grzęda.

— No i cóż ta, Herszla? — zaczął, podchodząc do żyda i przecierając zaspane oczy, któremi niespokojnie wodził dookoła.

— A co ma być? Wszystko dobrze, spokojnie.

— Nie spostrzegli się? nie szukają?

— Kto będzie szukał? W chałupie taki gwałt, że strach.

— O! trza było przycieś przysypać, ale nie było czasu, bo stary ocknął... Więc pedacie, że dostrzegli?...

— Dostrzedz nie dostrzegli, ale się czegoś domyślają. W chałupie u was cała gromada. Radzą a radzą, a najbardziej przewodzi Wach. I po księdza posyłali — opowiadał Herszla.

— A pocóż księdza? — spytał, przysiadając pod krzakiem, Szczeppek.

— Nie wiesz? Toś ty już uciekł na ten czas? Toć starego tknęło i leży jak kłoda. Zerwał się Szczeppek na równe nogi.

— Nie żartuj, żydzie! — krzyknął. — Ja nie wiem nic. Wziąłem śreble i w nogi, ale ojca nie tykałem!

— A kto ci, głupi, mówi, żeś tykał? Siadajno, napij się wódki... pogadamy... Taki się z ciebie gorączka zrobił...

— Bo poco mi ojca zadajecie?

— Kto zadaje? Rzekłem tylko, że chory. Przecie widziałem na własne oczy — mówił Herszla, przypijając do Grzędziaka.

Szczeppek wypił także, przekąsił, splunął przez zęby i znowu pytał:

— Opowiedzcież wszystko dokumentnie, bo na mnie aż skóra cierpnie — prosił.

Więc Herszla zaczął wszystko szczegółowo opowiadać: że starego Grzędę w świtanie leżącego pod stodołą znaleźli; że mu mowę odebrało; że proboszcz do chorego zjeżdżał. Następnie także, że cała wieś rozmyśla nad tem, skąd na Grzędów nagle takie nieszczęście spadło; że matka strasznie sturbowana, bo w żniwa bez chłopskiej głowy ani weź; że uradzili po Szczepka napisać, aby do chałupy wracał, a gospodarką się zajął.

— Nie głupim! — mruknął na to Grzędziak. — Jeszczeby mnie palcami wytykali... Albo mi ta w fabryce źle, żebym miał w chałupie harować...

— Nie zawróć ty głowy fabryką, Szczeppek! — odparł żyd. — Ja ci radzę, żebyś do chałupy wrócił. Stary pewnie już nie wstanie, tobie się przecie gospodarstwo patrzy, boś jednak. Czy ci to źle, że będziesz miał wszystko w garści?

— Przecie... Ale jak ojciec pozdrowie-

je, to znowu będzie huruburu na mnie. A prawdę rzeknąć... jakby się z tem śreblem wydało...

— Nie wyda się. Ja w tem... A dużo go jest? — spytał teraz Herszla, łypnąwszy chciwie oczami.

— Nie rachowałem, ale widzi mi się sporo bez mała kwartowy garnek.

— Śreble teraz tanie — mruknął żyd.

— Już ja go tam w fabryce spuszcze.

— Szczeppek! Ej, Szczeppek! A pamiętasz, coś obiecywał? — przypomniał Herszla i znowu przypił do parobczaka.

— Obiecywałem... Niechby i tak było — odparł Szczeppek, przełknąwszy haust wódki, — ale z was, Herszla, oszukaniec... Siłaż dacie?

— Niechże wprzód ujrze, trzeba porachować. Któż to kota w worku kupuje? — tłumaczył Herszla.

Sunął Szczeppek w krzaki i za chwilę wrócił, niosąc gliniany garnek w rękę.

Zaczęli liczyć.

— Stary musiał te ruble dawno zgarniać, bo aż pośniedziały — zagadnął żyd.

— Takie pieniądze to nawet teraz kursu nie mają. Trzeba przetopić.

— Śreble zawdy śreble — odparł Grzędziak.

— Tak się to gada, ale spróbuj-no taką starzyznę między ludzi puścić! Zaraz będą pytać: a skąd? a gdzie?... i poszlaka gotowa. Jabym ci, Szczeppek, nawet nie radził próbować... — straszył Herszla.

Podrapał się Szczeppek po czuprynie. Słowa żyda utkwily mu w głowie.

— Juścić ja wiem — rzekł po chwili, — że z taką rzeczą trza ostrożnie. Dlatego też zrobiłem przedtem z wami umowę... inaczej nie brałbym się za robotę. Siłaż dacie?

— Słuchaj-no, jedno słowo... dam... całe... dwadzieścia... pięć... papierków...

— Oszalałeś, żydzie, czy co? Za garnuszek śrebla? A toż samych rubli jest ze czterdzieści, a dwuzłotówek, a innego drobiazgu! — wybuchnął Grzędziak.

— To spróbuj gdzieindziej. Chodź od jednych do drugich... Może więcej dadzą... A tymczasem Wach, bo on strasznie na ciebie zacięty, przewacha i będzie ładny

interes... Wtedy to już nie masz po co wracać do gospodarki! Kto wie, czybyś nawet swoją chałupę kiedy ujrzał. Za taką rzecz, Szczepek... pamiętaj to sobie... parę lat kryminału...

— Teraz straszycie, a kto mnie pierwszy namówił? he? — przerwał Szczepek. — Warto mi się było za byle co paskudzić!

— Nie wyrzekaj! nie wyrzekaj! bo ci się i tak rarytnie udało. Zresztą dam ci całe trzydzieści rubli... Tobie się widzi, że ja na tem majątek zrobię... Co to zresztą wszystko warte? Dajmy na to... sześćdziesiąt z wielkim kłopotem i strachem.

— Choćby...

— To co z tego? Jaka była umowa? Pół na pół? Tak to trzymasz słowo? Czy ja więcej chcę od ciebie, jak połowę, jak to, co mi się słuszenie należy? Słuchaj, Szczepek, moje ostatnie słowo... Dam trzydzieści pięć! Chcesz... bierz! nie, to bywaj zdrów! Ja już grosza nie dołożę.

Zamyślił się Grzędziak. Markotno mu było dać się okpić, bo choć dokumentnie nie wiedział, ile ukradziony ojcu pieniądz miał wartości, domyślał się, że go Herszla oszukuje. Nie było jednak rady. Bał się na swoją rękę taki grosz między ludzi puszczać, i wkońcu dobił z Herszłą targu.

Herszla wypłacił umówioną sumę, potrąciwszy sobie tylko rubla za wódkę i przekasę.

Przy potrąceniu Szczepek znowu wybuchnął i nawet pogroził Herszli, ale żyd, mając pieniądze w kieszeni, nie dbał już o to.

— Nie rób awantur, głupi! — mówił. — Nieraz jeszcze będziesz potrzebował mojej pomocy. Tobie się wydaje, żeś mało dostał? Dostałeś trzy razy tyle, ileby ci z prawa przypadło.

— Jakto? A cóż Herszla ma za prawo do ojcowskich pieniędzy?

— Kto mówi, że ja mam prawo? ale są inni, co mają prawo. Jest was przecie kilkoro w chałupie; jakby na ten przykład te pieniądze poszły do podziału między rodzeństwo, ileby na ciebie wypadło? Nie całe dziesięć rubli. A tobie jeszcze źle! Słuchaj, Szczepek, ja tobie dobrze życzę;

zamiast robić ze mną kłótnię o głupie parę rubli, co mi się tak po słuszości należy, wracaj lepiej do chałupy, bo z ojca już nic nie będzie. Obejmiesz gospodarke, to jej już z rąk nie popuścisz — pouczał żyd; — kto pierwszy, ten lepszy. Słuchaj mnie, bo Herszla dobrze radzi.

— Ja też myślę kole jutra...

— Ani się waź! — przerwał Szczepkowi żyd. — Co nagle, to po dyable! Ty potrzebujesz wrócić do fabryki, boby ludzie spenetrowali, żeś się gdzieś w pobliżu kręcił. Przesiedzisz w fabryce jaki tydzień, zaczem nadejdzie list z domu, bo, jak ci już mówiłem, mają pisać po ciebie, no i wtedy przyjedziesz niby na wezwanie. W ten sposób nikt na ciebie palca nie zakrzywi i żadnych domysłów nie będzie...

— Przecież nikt nie widział, a ojciec, skoro mu mowę odebrało, choćby nawet co wiedział, także... przerwał Grzędziak.

— Ale zawdy i pozorowi wystrzegać się należy. Ludzie pleść lubią, a ty, Szczepek, nie masz miru w gromadzie.

— Co mi tam! Jak obejmę gospodarke, wszystko się przeinaczy — mruknął parobczak, i schowawszy niedojedzony kawałek chleba w kieszeń paltota, zabierał się do drogi.

— A pamiętaj udawać, żeś o niczem nie słyszał — przypominał jeszcze na odchodnym Herszla.

— Nie bójcie się! Pary z gęby nie puszczyć! — upewniał Szczepek.

Słońce skręcało już ku zachodowi, kiedy się dwaj współnicy rozstali. Herszla, zawinawszy skradzione przez Szczepka srebrniki w worek, boczną ścieżką puścił się ku miasteczku.

— A szwarc-jur! — mruczał do siebie. — Własnego ojca okradł i chciał jeszcze, żeby mu co do grosza zapłacić... I tak dałem za dużo. Dla takiego łajdaka dość przecie paru złotych na wódkę...

III.

W tydzień po opisanych wypadkach żniwa miały się już ku końcowi, bo pogoda posłużyła i jaki-taki zakrzątnąwszy

się żwawo, pszenicę a jęczmień do stodoły ściągnął. Po ścierniskach pasło się już bydło, a niejeden za pług chwytał i rżyska za świeża pokładał, aby się rola pod jesienny zasiew odleżała.

W sobotni wieczór, po robocie, w tokarskiej karczynie zeszło się kilku gospodarzy i parobków, zajrzało parę dziewczek, a że się na podorędziu grajek trafił, więc któryś z młodszych a ochotniejszych pogadał ze skrzypkiem i tak ni stąd ni zowąd zrobiła się zabawa.

Zanuciły skrzypki, zawtórowały im basy, puszczone się w taniec, przyspięwując wesoło, boć każdemu po robocie miła jest rozrywka.

Kiedy się tak młodzi kręcą w oberku, a starzy gwarzą o gospodarskich sprawach, otwierają się drzwi do karczmy i wchodzi podróżny, na jakąś obcą modę przyodziany.

Buty lakierowane świecące, spodnie spuszczone na cholewy po same kostki, surdut z rogowymi guzikami, a kapelus, którego, wchodząc, nie zdjął z głowy, z szeroką taśmą i zatkniętem za nią piórem.

Podróżny, wszedłszy, nie pochwalił Pana Boga, jak to u dobrych ludzi we zwyczaju, jeno zaczął się ciekawie rozglądać po wszystkich.

W karczynie było trochę ciemno, bo się tylko jedna lampka za szynkfasem tliła, więc też w półmroku twarzy przybyła dokładnie rozpoznać nie było można. Dopiero po małej chwili Florek Wąsik, co najbliżej drzwi z Zośką Wachówną przystanął, przyjrawszy się dobrze, zawołał:

— A toć to Szczepiek Grzędziak!

— A juści ja! Cóż tak dziwnego, żeś głowę rozwalił jak wrota? Albo mi to do was zająć się wolno, czy co? — burknął hardo przybyły.

Na te słowa posunęli się i inni, poznawszy Grzędziaka, a Jasięk Gajda, przystąpiwszy do przybyłego, przemówił:

— Czegóż się ty, Szczepiek, zaraz na powitanie sierdzisz? Przecie ci nikt marnego słowa nie powiedział. Widać, bracie, zhardziałeś między obcymi!

— Nie shardziałem, jeno mnie gniew

ogarnął, bo zamiast czego, to taki Florek patrzy na mnie jak na wilka... Człowiek się naterał między ludźmi, wypracował, nie na to przecie, żeby nim byle kto pomiatał...

— No, no! — uspokajał Gajda. — Nikomu nawet w głowie nie powstało dotykać cię na honorze. Zwyczajnie, nie widzieli cię ludzie dawno, więc ich zrazu zdziwienie ogarnęło.

— No, no! — bąknął udobruchany Szczepiek, a udając z głupia frant, spytał:

— Cóż ta we wsi słychać?

— Alboś to ty o niczem nie słyszał? — zagadnął Wąsik.

— Pismo cię nie doszło? — dodał Gajda, patrząc Grzędziakowi w oczy.

Najgorszemu kłamstwo z trudnością przechodzi przez gardło, więc też i Szczepiek zmieszał się tem pytaniem, i wlepiwszy oczy w podłogę, chwilę milczał, jakby się namyślał, co mu odpowiedzieć wypada. Wreszcie przypomniawszy sobie o przestrodze Herszli, zaczął:

— Juści nie słyszałem o niczem, a list, choćby i był jaki, moich rąk nie doszedł, bo na ten czas w fabryce nie byłem. Chodziłem z majstrami na ciesielkę pod pruską granicę, ale mi się cniło do swoich, więc jak się parę groszy uzganiało, myślę sobie... teraz żniwa, trza ojców nawiedzić.

— I dobrześ zrobił — przerwała Zośka Wachówna, ale ją Gajda za rękaw pociągnął, więc ugryzła się w język i nie odpowiedziała zaczętego zdania.

Gajda nie chciał na razie martwić Szczepka, szukał też w głowie sposobu, żeby go delikatnie o nieszczęściu a chorobie starego Grzędy uwiadomić.

Tymczasem otoczyli Tokarzanie Szczepka wokół i nuż wypytować o to i owo. Przyglądali się też jego odzieży, bo prostym, nawiąkił do swego stroju ludziom dziwne było takie przebranie.

A Szczepiek opowiadał, lżąc co niemiara.

— Mądrymu — mówił — nigdzie źle nie będzie. Ja, na ten przykład, tu we wsi musiałbym od rana do wieczora, o serze i kawałku suchego chleba, pracować; a tam, moi ludzie, zarobki takie, że na naj-

lepsze jadlo starczy. Byle dziecko pół rubla sprofituje, a chłop rosły a zdatny... rubla i więcej. Mnie się trafiła robota na wydział, to czasami w tydzień dziesięć papierków kapnęło.

— Dziesięć papierków! — powtórzyli ze zdziwieniem słuchacze.

— Jak mnie tu widzicie — przysięgał się Grzędziak. — A w dodatku i robota nie ciężka i odpoczynek jest w porę.

— Toś musiał trochę grosza oszczędzić? — spytał jeden ze starszych.

— Ma się parę papierków...

— Ho, ho! patrzcie! — dziwili się Tokarzanie.

— To i dobrze — wtrącił na to Gajda, — bo się teraz w chałupie przyda.

— A cóż się takiego stało? Przecie z „nowego“ nie powinno grosza braknąć... — spytał, niby to niczego się nie domyślając, Grzędziak.

Byłby mu może już teraz Gajda całą prawdę wyjawiał, lecz mu przerwał Florek Wąsik i kilku innych, których dziewczęta do tańca namawiały.

— Gadata po próżnicy, a skrzypek siedzi z założonymi rękami. Dalej, chłopcy! i ty, Szczepiek, z nami!

Mówiąc to, ujął najbliższą dziewczynę i puścił się, przytupując i śpiewając:

Krakowiaczek jeden

Miał koników siedem —

Sześciu do dziewczyny,

A w stajence jeden.

Poszli za nim wszyscy, chciał i Szczepiek. Zbliżył się nawet do jednej z dziewczek, Tereski Jaglanki, i w pół ją objąwszy, już miał rozpocząć taniec, gdy go ktoś za poły chwycił i przytrzymał.

Obejrzał się Grzędziak — patrzy, a to Gajda, który przystanął pod ścianą, a na niego mruga i rękami przyzywa.

— Czego chcesz? — warknął i chciał już brzydkim słowem zapłacić, bo go złość brała, że Gajda śmiał mu przeszkadzać, ale się opamiętał, i puściwszy Tereskę, podszedł ku niemu. — Czego chcesz? — spytał powtórnie.

A na to Gajda:

— Nie bierz się do tańca, Szczepiek; lepiej umykaj do chałupy. Ojczyisko ci strasznie zaniemogli... już przez tydzień, albo więcej, ani ręką, ani nogą...

— Czemuś mi tego od razu nie powiedział? — przerwał Szczepiek; lecz zmiarkowawszy, że mu należy udać zmartwionego, dodał miększym głosem: — A cóż im się stało? Naderwali się może? Ja zawsze powiadam, że ta wasza chłopska robota to na nic. Zapracuje się człowiek, zdrowie straci, a w kieszeni dziury! Więc pedasz, że im nie nie lepiej?

— Trochę się to tam zbaczyle, ale niewiele. A co chodzić, to całkiem nie mogą. Doktor peda, że żyć będą, ale już do zdrowia nie przyjdą...

Wysłuchał tej mowy Szczepiek, głową pokręcił i, niby bardzo zafrasowany, rzekł:

— Niestarzy jeszcze, mogli sobie pożyć czas jakiś. Kiedy tak, to trza będzie iść, do chałupy zajrzeć, a matkę pocieszyć; teraz to znowu wszycko spadnie na moją głowę...

— Pewnie! bo któżby wedle gospodarstwa chodził? — potaknął Gajda.

— Nie bardzo mi się to uśmiecha; bo jedno, że odwykłem od grzebania w ziemi, a drugie, dla człowieka, co się zna na rzeczy, siedzenie na wsi do niczego; ale trudno... Przecieć swoich tak, bez nijakiej rady, nie ostawię...

— Twoja prawda, Szczepiek, a przytem wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej!

— Mnie ta wszędzie dobrze było — odparł na to Grzędziak, i rzekłszy: „bywajta zdrowi.“ poszedł ku chałupie.

U Grzędów świeciło się jeszcze. Szczepiek podszedł do okien i spojrzał do wnętrza. Wstrząsnął się cały, jakby go kto zimną wodą oblał.

— A to starego zważyło! Żal mu grosza — mruknął, przyglądając się przez szyby leżącemu na pościeli ojcu.

Stary Grzęda przez jeden tydzień choroby pożółkł jak воск, schudł strasznie, a oczy miał ciągle otwarte i słupem stojące.

Strach zdjął Szczepka, odezwało się w nim sumienie i zapukał do chałupy.

— Kto tam? — odezwała się Grzędzina.

— Swój! Ja! Szczepek!

— Chwała Ci, Boże! żeś, synaczku, przyszedł! — wybuchnęła kobieta, i wybiegłszy przez sieni, nuż jedynaczka ścisnąć i całować. Uściśnęła go raz, drugi, i lży jej stanęły w oczach.

Rozebrały lży matczyne Szczepka jeszcze bardziej. Wspomnił sobie dziecięce szczęsne lata, kiedy to na bałyku chodził; przyszły mu na pamięć dni owe, kiedy z matką raz pierwszy do kościoła poszedł; wspomnił sobie, że ta matka kochała go z wszystkich dzieci najbardziej; że nieraz, gdy ojciec chciał go za jakie zbærezeństwo ukarać, stawiała w jego obronie... Wspomnił sobie to wszystko i zaczęła mu jakas żalność po sercu chodzić, smutek ogarniać, że tej ręki matczynej, co go wypiełgnowała, z czystem sumieniem ucałować nie może.

Westchnął...

— Co ci to, synku? — spytała Grzędzina.

— Ojca mi żal — odpowiedział Szczepk półgłosem, jakby się wstydząc słów kłamiwych, bo mu troska o ojcowe zdrowie nawet w głowie nie powstała.

— Biedne my sieroty! — zaczęła znowu Grzędzina. — Ale chodź, synku, do izby. Późno już, pewnieś strudzony, a może i głodny? Zaraz ci mleka przewarzę...

— Nie chce mi się jeść — odpowiedział Szczepk.

— Do innegoś, synku, przywykł jać... Żebym się była spodziewała, że dziś przybędziesz, zabiłabym ci była kogutka — tłómaczyła się Grzędzina, z lekka popychając przed sobą Szczepka ku sieni.

Weszli. W izbie na kominku dogorywało kilka główienek. Młodsze dzieci już spały, tylko Marynka krzątała się jeszcze koło stołków.

— Szczepek przyszedł — rzekła Wincentowa.

— Szczepek! tyżeś-to? — spytała Marynka i rzuciła się bratu na szyję.

Nieswojo było Szczepkowi. Witali go wszyscy tak serdecznie, a on w sercu trzywdę ludzką, krzywdę przeciw wła-

snej rodzinie nosił. Radby był co prędzej usunąć się ludziom z oczu, musiał jednak powitać jeszcze ojca.

Podszedł do chorego, wziął go za bezwładną rękę i pocałował. Stary Grzęda z wysiłkiem skrzył głowę w stronę syna, wlepił oczy w twarz jedynaka, ruszył parę razy wargami, jakby chciał przemówić, ale wnet z sił opadł, przymknął powieki, tylko piersiami robił strasznie, aż mu w krtani charczało.

Na drugi dzień rano już wszyscy Tokarzanie wiedzieli, że Szczepk powrócił.

— To i dobrze — mówił Wach; — żeby się jeno ustatkował, będzie miał przynajmniej kto wedle roli chodzić. Przy słabych kobietach to zeszlaby gospodarka na psa. Zawdy co chłop, to chłop.

Przechodząc, wstąpił Wach do Grzędów, a spostrzegłszy Szczepka na obórce, jął mu przedstawiać, że teraz na nim opieka ciąży nad rodziną całą.

— Powinieneś siostróm ojca zastąpić i matce być podporą. Ojczyisko się pewnie nie wygrzebie; jest szmatek ziemi, trza o niego zadbać.

A widząc, że się młody Grzęda nachmurzył, dodał:

— Nie gniewaj się, Szczepk, na starego; z dobrego serca to mówię. Co było, to była, trzeba zapomnieć o lekkim chlebie, a wziąć się za cep, do pługa, jak ojciec i praojcie czynili. A i to ci jeszcze powiem, że do naszej roboty to taka odzież, jak twoja, na nic. Niema, jak sukmana, bracie!

Słuchał tych słów Szczepk — bo cóż miał robić; ale w duszy myślał inaczej.

— Pleć sobie, stary, pleć! — mruknął, gdy Wach, wypowiedziawszy co miał na sercu, poszedł do swej roboty.

Wieczorkiem Herszla niby przypadkiem zajrzał do chałupy Grzędów. Spotkali się z Szczepkiem przed bramą. Żyd szwargnął kilka słów.

W nocy Szczepk nasypawszy worek pszenicy, podźwigał go ku chałupie Herszlika.

Tak się rozpoczęła gospodarka Szczepkowa.

IV.

Do póki żył stary Grzęda, było jeszcze pół biedy. Szczeppek w robocie się zaniedbywał, ale przynajmniej breweryi z matką i rodzeństwem nie stroił.

Bo i do chałupy nie lubił zaglądać. Wpadał do izby jak po ogień, zjadał przygotowany posiłek i wynosił się zaraz. Do ojca też nie zbliżał się nigdy, nie zagadał, bo choć staremu mowy nie wróciło, skoro tylko Szczepka widział w izbie, ruszał się niecierpliwie na łóżku, przewracał, pischzał, a patrzył tak surowo na syna, że Szczeppek spuszczał oczy w ziemię, kłął pod nosem i uciekał z izby jak oparzony.

Widziała to Wincentowa, ale myślała sobie: „Ojciec nigdy Szczepusia nie lubił, a teraz w chorobie to i o złość łatwiej.”

I przykro było babinie, bo syna kochała bardzo, ale nie chciała się sprzeciwiać choremu, więc sama często-gęsto prosiła:

— Idź, synku, idź! Ojciec niekontent, że przy gospodarstwie niema nikogo.

— To niech sami wstaną i idą! — rzucił Szczeppek gniewnie, zbierał nogi za pas i wychodził, trzaskając drzwiami, aż się futryna chwiała.

Tak było do twardej jesieni. Stary Grzęda chorzał coraz bardziej, żółkł, wysychł i tylko ostatnich siewów pozwolił mu Pan Bóg doczekać. Zmarł.

Teraz Szczeppek pokazał, co umie. Zaraz po pogrzebie zawołał Herszlę i przyodziewek po ojcu, nowiuteńki kożuch, kapotę, dwie kamizele wcale dobre z lniatego płótna, butów gospodarskich dwie pary — za psie pieniądze sprzedał. Matki pod ten czas w chałupie nie było. Może i lepiej się stało, bo oto broniącą łachów Maryskę, choć siostrę rodzoną — poprał, a gdy się matką zaślaniała, poskarżyć się obiecując, to zaklął tak siarczyście, że się zapłakana dziewczyna ze strachu aż w komorze przywarła. Tyle tylko wskórała, że jej się udało białą sukmanę, co ją nieboszczyk ojciec od święta przywdziewał, porwać i zachować.

Na drugi dzień znowu wrzało w chałupie. Wincentowa z Maryską lamentowały, bo oto Szczeppek gotowego ziarna dwa korce wziął, wóz wyładował, szka-

py zaprzągnął. Do miasta się wybierał. Zabięła mu drogę matka, prosiła, zaklinała:

— Szczepuś! a dyć w komorze pustki, trzaby do młyna! Więcej ziarna młócone-go niema! Trza do młyna...

— Omłóćcie kijonką, a w chałupie przecie żarna są — burknął i pojechał.

Całe dwa dni go nie było. Wrócił wreszcie, szkapy zgonił, wygłodził, że aż się podściółu żreć chwytały, ale zato na sobie miał nowy paletot z futrzanym kolnierzem, kaszkiet z lakierowanym daszkiem na głowie, futrzane rękawice na rękach.

Musiał wypić, bo ledwie konie wyprzagliwszy, wszedł do izby buńczuczno, ujął się pod boki, i stanawszy przed matką, zaczął z przechwałką:

— A co, matka! Widzicie, jak teraz chodzą gospodarskie dzieci? —

Wykręcił się na pięcie dokoła, a potem krzyknął groźnie:

— Jeść!

Matczysko przeleknione, nie wiedząc, jak sobie poczynąć, nalała pośpiesznie przewarzonego mleka w miskę, dobyła z półek chleba...

Szczeppek popatrzył, splunął.

— Ja tego jeść nie będę!... Smażyć jajecznicę! tylko okrasy nie żałować!

Siedzącą w kącie Maryskę złość zdjęła.

— A cóżeś ty lepszego od nas, że mlekiem gardzisz? — odezwała się. — Widzicie go! delikatny!

Skoczył do niej Szczeppek. Dziewczyna schowała się za stół. Mniejsze dzieci zaczęły krzyczeć przeraźliwie. Podbiegła Wincentowa godzić. Schwyciła Szczepka za rękaw. Nuż prosić:

— Synku, daj pokój! Cichoj, Maryśko! Zdrożony, to i lepszego jadła potrzebuje... Mój Szczepuś, zaraz ci jajeczniczki sporządę!

Jakoś się uspokoił, ale odtąd co dnia prawie kłótnie bywały w chałupie Grzędów.

Matka, jak matka, zносиła wszystko cierpliwie, czasem w kąciku rzewnie zapłakała. Nie żaliła się jednak przed nikim,

bo ją i wstyd było; myślała sobie przytem, że się Szczeppek przecie ustatkuje.

Ale Maryśce dopieklł nieraz tak do żywego, że dziewczyna, nie znajdując innego sposobu, często-gęsto między ludzi jakie słowo puściła z żalami na brata.

Zaczęli też ludzie przy okazji Szczepkowi docinać, że matki nie szanuje, roździeństwo krzywdzi, a gospodarki nie pilnuje. tylko się po jarmarkach włóczy.

Niewiele sobie z tego robił, bo zresztą ze swoimi zadawać się nie lubił, tylko sobie kompanów z miasta sprowadzał, lub sam do nich jeździł.

I tak przeszła zima. Nadeszła wiosna. Kto żyw, wyległ w pole rzucić garstkę ziarna w świętą ziemię. Wozili gospodarze na gwałt nawóz pod kartofle, bronowali przeschniętą rolę, przyorywali wiosenny zasiew. Błysnęły w wiosennem słońcu lemiesz pługów, zażegotały brony; wszyscy uwijali się na poletkach i półtankach od ranka do wieczora.

Tylko na działkach po nieboszczyku Grzędzie nikt nie postał.

Już u niektórych marcowy groch do brze okrył ziemię, jęczmiona drugich piór dostawały, a ozimina w górę ku słońcu skoczyła, kiedy nareszcie na Grzędowe stajonko wyjechał Szczeppek z pługiem.

Czarno przyodziany: w sukiennym kapeluszu, w butach, jakby się ziemi gołą stopą dotknąć wstydził, co przejechał parę razy pługiem, to przystanął. Skiby brał szerokie, raz z głębia, to znowu płytko, caliznę co parę kroków zostawiał. A kłął i szkapy biczyskiem okładał, aż się rozlegało.

Przechodził w pobliżu Florek Wąsik. Widząc taką robotę, rzecze:

— Szczeppek, coś ci z pługiem nie-
sporo?

— Albo co?

— Znać, żeś od oraczki odwykł.

— Albo co? — powtórzył Szczeppek chmurno.

— Role-ś spyskał, po takiej orce jeno oset a kostrzewa się zrodzi.

— Niech się zrodzi, co chce! Robię jak mi się podoba, bo moje.

— Nie koniecznie twoje, boś nie jedy-

nak w chałupie — odpowiedział na to Florek.

Na te słowa Szczeppek chwycił za styk i dalej do Floraka.

Nim się Wąsik spostrzegł, już go ściągnął przez plecy i drugi raz się zamierzył, krzycząc:

— A będziesz się do mnie wtykał, łapciuchu!? Będziesz zęby w chałupie liczył!

Florek aż się przegiął z bólu; ale że parobek był silny, uchwycił napastnika w pól, aż zachrząsało.

Szczepkowi także siły nie brakło, więc choć styk z ręki puścił, uwiesił się Florakowi u karku i do czupryny dobrał. Wąsik również pięści nie pożałował.

I tak szamotali się czas jakiś z zajądłością, aż obadwaj, jak stali, padli na ziemię.

Wąsik żwawszy, wyrwał się na wierzch, przyniósł Szczepka kolanami, że się ten wydobyć nie mógł, tylko głowę w świeżą rolę zarywszy, leżał, klnąc strasznie i odgrażając się.

— Puść, psiakrew! — wołał, wyrwy-
ając się.

A Florek:

— Leż, psiawiaro! kiedy za dobre słowo kijem płacisz. Myślałeś, że, tak jak w chałupie, będziesz ludziom oczy wybijał! Poczujże za to chłopskie kolana!

I przycisnął jeszcze silniej, ale nie bił już, bo chciał tylko pokazać, że z sobą zadzierać nie radzi.

Szczeppek rzucał się i krzyczał na całe gardło:

— Puść, psiakrew!

Usłyszeli wreszcie krzyk ludzie i nadbiegli. Przyleciał Gajda, na poblizkiem poletku ziemniaki okopujący, i kilku pastuchów od bydła.

Wąsik puścił Szczepka i opowiedział, co zaszło. Szczeppek nic nie rzekł, tylko zęby zaciąwszy, włożył pług na włókę, skoczył na szkapy, i nie kończąc orki, odjechał.

Dopiero kiedy się o kilka staj oddalił, podniósł pięść do góry, pogroził w stronę Floraka i krzyknął:

— Popamiętasz mnie ty, chamska duszo! Popamiętasz! Tymczasem wszystko na twej cacanej Maryśce odbiję!

Tak groził, wiedząc, że Florkowi dogryzie.

Jakoż Florek usłyszawszy, chciał gościć, ale go już Gajda nie puścił.

— Daj pokój! Co się odwlecze, to nie uciecze! Pies szczeka, wiatr niesie — uspokajaj wzburzonego Florka.

Jakoż Wąsik dał pokój, ale wróciwszy do wsi, przestrzegł najpierw Maryśkę, aby się miała na baczności, a potem obeszł poważniejszych gospodarzy i całą historię kłótni z Grzędziakiem opowiedział, bo miał wielką ochotę podać go jeszcze do sądu za napaść i obelgi.

Odradzili mu, ale że wszystkim markotno było, żeby taki włóczykij ludźmi od „chamskich dusz“ poniewierał i własną rodzinę krzywdził, więc, rada w radę, zgodzili się na jedno, że tak dłużej być nie może.

Wieczorem tegoż dnia prawie wszyscy tokarscy gospodarze zeszli się do chałupy Wacha. Tu naradzano się w dalszym ciągu, jakby złym uczynkom Szczepka koniec położyć, a reszty sierot po Grzędzie gnębić nie dać.

— Żleby już było, żeby gromada jakiego sposobu nie znalazła — przedstawiał Gajda. — Skoro z tej gromady pochodzi, to niech jej słucha; nie, to niech idzie precz.

— Inaczej cała gromada zmarnieje — wtrącił były sołtys Sikora. — Słychane rzeczy! Święty Stanisław za pasem, a ten dopiero o oracze wspomniał.

— I jak orze! Niczem świnia ryjem na rżysku — odgadnął Wąsik.

— Grzędzina już od miesiąca kupnym chlebem żyje, bo w stodole pono jednego ziarna niema — dodała Wachowa. — Przedwczoraj pożyczyła u mnie miarę jęczmienia na pęczak.

— To tam pono i na siew nie ostało — zauważył Sikora.

— Bogać tam ostało. Już ano Herszla krowinę oglądał. Chcą sprzedać na zasiew. Mówiła mi Maryśka — objaśnił Wąsik.

— Ot, doczekała się Grzędzina pociechy! — westchnęła Wachowa.

— To też innej rady niema! — odezwał

się, zwracając do Wacha, Sikora, — tylko wy, boście sierotom przydanym opiekunem przecie, musicie jakiś ład wprowadzić. Szkoda zagrody.

Wach na to tylko czekał. Chciał on już dawno gromadę zwołać i za wiedzą wszystkich Szczepka od rządów odsunąć, ale zwlekał jeszcze — raz, wiedząc, że Grzędzina syna miłuje nad wszystko, — powtóre, aby złe języki nie gadały, że dlatego dziecko od rodziny odpędził, żeby sam się przy sierocym chlebie pożywił. Myślał też, że Szczepiek, wyszumiawszy, w końcu się za robotę uczciwie weźmie.

Ale teraz, kiedy go sami ludzie zachęcali, przestał się wahać i w odpowiedzi Sikorze tak mówił:

— Mój kumotrze! Chciałem to już od dawna zrobić, boć przecie ślepy nie jestem; ale mi trochę o Wincentową chodziło. U babiny Szczepiek oczko w głowie. Od małości chuchała na synka i wychuchała sobie rozboja! Nieraz, bywało, nieboszczyk Wincenty do pasa się bierze, bo to psikusne było aż strach, to matka zaraz w bek, w krzyk! Od razu mówiłem, że z tego pociechy nie będzie. Potem poszedł w świat, niby za robotą, a tylko złem między ludźmi nasiąknął. Przebrał się na surdutowca. Nieboszczyk Wincenty chciał go duchem do siebie ściągnąć i gospodarkę powierzyć. Ale gdzie tam! Tygodnia nie usiedział w domu. A i teraz, jak wrócił, mało się to nagadałem, na ostrzegałem: Ej! Wincentowa, pilnujcie syna, bo wam gospodarkę zmarnuje!...

Machnął ręką i mówił dalej:

— Psu na budę się nie zdało. Juścić Bogiem a prawdą, z takim Szczepkiem nie byle kto poradzi, a cóż dopiero sama kobieta. To też widzicie, do czego doszło. Mnie nawet markotno, że się wprzód do niego nie wziąłem. Ale i ja myślałem sobie, że mu może Pan Bóg a Matka Przenajświętsza opamiętanie zesła...

Westchnął.

— Ale kiedy tak... to, moi ludzie — kończył, — trzeba jak można złe naprawić i sierockie mienie podratować! Będzie się krzywić Grzędzina! niech tam! Choć

myśle, że i jej się już dobrze w uszy na-
lało...

— Ba! bo to raz płakała po kątach? —
wtrącił Florek. — Mówiła mi Maryśka,
że Szczepkowi i matce nie przepuści...

— Najpierwsza rzecz — przedstawiał
Wach: — trzeba się koło roli zawinąć
i ziarna dostarczyć. Mam jęczmienia parę
korcy. Zasięję sierotom jedno staję. Koni
swoich dam.

— I ja nie od tego — wtrącił Sikora. —
Skoro wy, Wachu, jęczmień, to ja im
wrzucę z korczyk grochu.

— U nas zboża niewiele; ale ojca po-
proszę, to choć z pługiem na dni parę wy-
jadę; będzie sporzej — napomknął Wąsik.
Inni także ofiarowali się dopomódz.

Więc Wach zaczął najpierw w imieniu
sierot dziękować, a potem rzekł:

— Teraz jeszcze poproszę was o jedno.
Jutro z rana pójde do Grzędziny i całą
sprawę przedłożę. Chcę, żebyście świad-
kami byli — zwrócił się do Sikory i sta-
rego Wąsika, który był przed chwilą nad-
szedł. — bo ten zbój gotów się jeszcze na
mnie porwać.

Jakoż na drugi dzień o świcie poszli
do chałupy Grzędów. Wincentowa krzą-
tała się po izbie, małe dzieci spały je-
szcze, a Maryśka zadawała gadzinie.

Szczepkowi chrapał w stajni, bo dopiero,
jak objaśniała matka, nad ranem do domu
wrócił.

Wach, nic nie mówiąc naprzód, po co
przyszli, kazał Maryśce brata rozbudzić.

Niebawem nadszedł zaspany Szczepkowi,
a spostrzegłszy stojących gospodarzy,
zapytał hardo:

— A czego?

Więc Wach, niewiele myśląc, zaraz z
pytaniem na niego:

— Toś ty powinien gnić do tej pory?

A potem prosto z mostu: jako matkę i
podzinę poniewiera, gospodarkę zapuszcza,
matki niszczy, gadzinę tyrze...

Zgłupiał Szczepkowi i języka w gębie
zapomniał, tylko jak wilk na Wachu z pod
oka spoglądał.

Ten zaś prawil:

— Tak dalej nie będzie. Gromada nie

dozwoli zmarnieć sierotom przez jednego
próżniaka. Od dziś inne już będą rządy.

— Tak... dość już tego! — potwierdzili
Sikora z Wąsikiem. — Wach, jako opie-
kun, za wiedzą gromady, będzie miał na
wszystko oko.

— To ja się do niczego nie tknę! —
wrzasnął teraz Szczepkowi.

— A to nie tykaj. I bez ciebie się zro-
bi... Dużoś narobił!... Idź, zobacz w polu;
kto tam orze? kto sieje? Wałkoniu!

Wincentowa teraz dopiero zrozumiała,
o co idzie. Matczynemu sercu żal się zro-
biło dziecka. Więc zaczęła się wstawiać
za Szczepkiem, łagodzić, prosić, przysię-
gać za niego, że się poprawi.

Szczepkowi milczał. Wach stał twardo
przy swoim.

— Poprawi się, będzie chciał robić —
odrzekł. — to mu przecie nikt tego nie
broni. Owszem, wszyscy mu będą radzi,
że przecie przejrzał na oczy. Ale teraz,
moja Wincenta, nie brońcie, bo ma, na co
zasłużył; jeno podziękujcie ludziom, że
wam z pomocną ręką przychodzą. Macie
więcej dzieci — dokończył.

Chciała jeszcze babina molestować,
ale sam Szczepkowi przeszkodził:

— Co tam będziecie po próżności baj-
durzyć! W ojcowskiej chałupie jestem i
ostanę! — wrzasnął. — A jak mi kto bę-
dzie w drogę wchodził, to...

— To co? — spytał Wach.

Zmiarkował się Szczepkowi, że z tej
beczki nie można, bo trzem nie da rady,
więc nie dokończywszy pogróżki, zgrzyt-
nął tylko:

— Zobaczymy, za kim będzie prawo!

— A zobaczymy! Tymczasem, żebyś
sobie wiedział, że jakbyś się poważyl co
ze statków albo gadziny przehandlować,
to ci na sucho nie ujdzie. Jest spis wszyst-
kiego po nieboszczyku, a za roztrwoni-
nie koza — przestrzegł Wąsik; widząc
zaś, że niema tu co więcej robić, kiwnął
na obu towarzyszy i poszli.

Wybiegła za nimi Grzędzina, a że jej
już niejako było po tem wszystkim pro-
sić za Szczepkiem, więc tylko zaklinała,
żeby mu despektu nie robili i do sądu o

spawdzenie spisanego po nieboszczyku majątku nie chodzili.

Przyrzekł to rozżalanej matce Wach, ale swoją drogą, za poradą proboszcza, wniósł podanie, jako opiekun, w którym prosił o odsunięcie Szczepka od zarządu majątkiem nieletnich. Na podaniu musiała się nawet podpisać Grzędzina. Wymógł to na niej ksiądz proboszcz, przedstawiając, że dla dobra dzieci, a nawet samego Szczepka, tak postąpić powinna.

W tydzień potem było już wszystko czarno na białem.

V.

Rzucał się z początku Szczeppek, odgrażał, że się z chałupy wyprowadzi i w świat, gdzie go oczy poniosą, pójdzie, ale jakoś siedział, z matką i siostrą się ujadając.

Tyle na swoim postawił, że, jak zapowiedział, do niczego się nie tknął. Przyjęty przez Wacharobek robił wszystko.

Tylko o jadło się Szczeppek dopominał po dawnemu. Matczyisko podtykało co mogło, dla świętego spokoju. Czasem nawet grosz jakiś, ze sprzedaży jaj uzbierany, dała synowi ukradkiem, bo co do zboża, to Wach dobrze pilnował i nic z chałupy Grzędów bez jego wiedzy nie wyszło.

Sprzyskrzyło się też wkrótce Szczepkowi w chałupie, zwłaszcza odkąd Florek Wąsik, po odbytych z Maryską zmównach, u Grzędów przesiadywać zaczął.

Jakoż pewnego dnia znikł Szczeppek z chałupy. Wrócił jednak za kilka dni i matce opowiadał, że na robotę do fabryki chodził.

I odtąd często wymykał się z domu na dni parę i zjawiał się znowu, a choć go o to nikt nie pytał, przy każdej sposobności szeroko o swych zarobkach po fabrykach głosił.

Dziwili się ludzie takiej przerywanej robocie, a jeszcze więcej tym zarobkom, o których opowiadał, zwłaszcza, że Szczeppek teraz bez pieniędzy nie był, w karczmie codziennie parę złotych zostawił, a Tereska Jagłanka na własne oczy widziała,

jak u Herszlika różowy papierek na drobne zmieniał.

Miał też i przyodziewek na sobie prosty z igły, nowiuteńki, garniturów dwa lub trzy, bo się od święta inaczej, a na codzień inaczej nosił; sprawił też sobie harmonię z klawiszami, która, jak mówił organista, co się na takich rzeczach znał, niemało kosztowała.

Raz nawet się pokazał i matce gościńca, wełnianą zapaskę, przyniósł.

Kręcili ludzie głowami, skąd na to wszystko pieniędzy brał, a Szczeppek na harmonijce grał i z niejednego pokpiwał sobie jeszcze, albo dojadał:

— Myśleliście, że sobie rady nie dam? Więcej mam teraz na tydzień, niż wy na kwartał! Niegłupim w ziemi, jak kura, grzebać!

Upływał tydzień za tygodniem, przeszły żniwa. Wincentowa, że się już żałoba po ojcu skończyła, zaczęła się gotować do Marysinego wesela. Szczeppek coraz częściej znikał ze wsi.

Aliści zaczęły chodzić słuchy, że w okolicy ludziom konie, krowy, a nawet i narzędzia gospodarcze giną.

W Dąbrowicy ktoś Tomaszowi Bałowi uprowadził kobyłę z pastwiska; w Górach samemu sołtysowi ukradziono krowę z obory, podwójne zamknięcie wymawszy. A i w innych wioskach ginęły, jak kamień w wodę, to krowy, to konie, to wozy, a niejedno to się i w komorze wszystkiego nie dorachowało.

Głośno było o tem na jarmarkach, bo ludzie wyrzekali, ostrzegając jedni drugich, że się z pewnością banda złodziejska sformowała. Były nawet różne poszlaki, bo w tokarskim lesie pastuchy znaleźli rogi i racice z zabitego bydła; strażnicy robili rewizye u różnych podejrzanych osób, i Herszlikowi się dostało, ale nic nie znaleźli.

Udawało się złodziejom bezkarnie, na krzywdę ludzką, ale odtąd po kilku stróżów w każdej wiosce nocami wartowało.

I w Tokarni, choć ją do tej pory jakoś złodzieje omijali, podwojono straż.

Jakoś przed samem prawie weseleniem

z Maryską Grzędzianką wypadło stróżowanie na Florka Wąsika.

Przespał się trochę z wieczora, póki światła w chałupach nie pogasły, żeby mu się później oczy nie kleiły, wziął świstawkę, tęgiego dębczaka i wyszedł. Wiedział, że u przyszłej teściowej w komorze pełno, bo wieprzka na wesele zabili, a że kobiety były same w domu, bo Szczepek według zwyczaju wędrował, więc skierował się ku zagrodzie Grzędów i tam w pobliżu zabudowań przystanął.

Noc była ciemna, zwyczajnie jak po nowiu, przyczem po północy zaczął mżyć deszcz gęsty. Florek owinał się w burochę, wtulił się pod okap stodoły i nasłuchiwał.

We wsi i na polach było cicho, tylko wróble ćwierknęły czasem w strzechach.

Nagle zdało się Florkowi, że ktoś jedzie. Nadstawił uszu. Wyraźnie na półłankach ku lasowi rozlegał się tętent kopyt końskich.

— Może pastuchy na pastwisko — pomyślał, chociaż dziwno mu było, że tak wcześniej, a w dodatku jechali jakoś cwałem, i jak po ciemku wymiarkował, na przełaj przez pola.

— To nie pastuchy!

Przykucnął, przyłożył obie dłonie do oczów, uchem dotknął ziemi... Tętent słychać było ciągle...

Wtem w samej wsi rozległ się nagle krzyk:

— Łapaj! trzymaj! złodzieje!

Porwał się Florek na równe nogi, poznał głos Wacha. Świsnął i co tchu wybiegł na drogę.

Odezwały się świstawki innych stróżów; psy zaczęły ujadać, we wsi powstał wielki rejwach; pozrywali się ze snu gospodarze i wszyscy biegli ku chałupie Wacha, a Florek z nimi.

Przed chałupą stał Wach. Rwał włosy i krzyczał wniebogłoso:

— Złodzieje! złodzieje! Moje kasztany! Łapaj! trzymaj! kto żyw!

A zobaczywszy nadbiegających, ruszył ku nim naprzeciw z rozłożonymi rękami.

— Sądzi, ratujcie! Szkapy wzięli!

— Słyszałem, że coś cwałowało ku lasowi — odezwał się pierwszy Florek.

— Dawno? — spytał Sikora.

— Będzie z pacierz.

— I myśmy słyszeli — potwierdzili będący na straży Gajda z Szymczakiem.

— Sądzi, ratujcie! — jęczał Wach.

— Gonić złodzieja! — zabrzmiało chórem.

Kilku młodszych rzuciło się do stajen i dalej konie wyprowadzać.

Florek skoczył również, i za chwilę przycwałowawszy na swoim siwku, jął jeszcze Wacha pocieszać:

— Już ja go dopadnę! Przede mną nie ujdzie a wiem, w którą biedz stronę, bom dobrze słuchał. Za mną, chłopcy! — zakomenderował na innych, i niebawem kilku parobków i gospodarzy puściło się w pogoń.

Prowadził Florek. W pośrodku ścigających jechał Wach na pożyczonym od Sikory koniu.

Przecwałowali przez wieś, ale jak wyjechali w pole, sfolgowali.

Florek zsunał się z konia szukać śladów. A Wach, już trochę nadzieją pokrzepiony, opowiadał:

— Zaraz po północy poszedłem zasypać obrok sam, bo syn potrawu pilnuje. Stajnia była zawarta jak się patrzy... Kłódki i sztanga... Zasypałem, zwołałem Burka do stajni, spróbowałem kłódki i ległem w stodole na grochowinach... Ale niedługo, jakby mię coś tknęło, ocknąłem się. Myślę sobie: trzeba szkapom garstkę siana rzucić, bo to dziś właśnie miałem na jarmark jechać... Idę z sianem... zda mi się spojrzeć... a tu Burek leży już pod stodołą wyciągnięty... Ja do psa... zdechły!

— Dali psu pigułkę — wtrącił Gajda.

— Strach mnie zdjął! Skoczyłem żywo do stajni. Patrę... kłódka rozbita, wrzeczadze skręcone, szkap niema, uździeń niema! Obręczne żelazo potrafił łotr skrócić!

— Jakiś próbant! — zauważył młody Sikorzak.

— Pewnie, że próbant — zaczął znów Wach. Ale idący chyłkiem nad ziemią Florek przerwał:

— O, tędy psiawiary jechali!

I ukazał na świeże ślady kopyt końskich, wyciśniętych w rozmiękłym gruncie.

Pozeskakiwali wszyscy z koni. Wach przypadł ku ziemi, bo choć już od wschodu niebo bieleło, ale na stojący trudno było starym oczom co rozpoznać — i zaraz wrzasnął:

— One! one same! kasztany! Patrzcie! — pokazywał — moje szkapki kochane! Kobyła bez podków, a wałaszek na przodek świeżo kuty. One same!

— Prędzej, chłopcy — krzyknął Gajda. — Kiedy tak, to niema co marudzić, tylko do lasu!

— Dalej! już ja w tem, że nam nie ujdzie — wtrącił Florek i ruszył przodem, nachylając się niekiedy, aby śladów nie stracić. Pod lasem, na murawie ślad zginął, ale jak tylko w bór wjechali, zaraz na bocznej ścieżynie natrafili na świeże odciski kopyt końskich. Jeden koń był kuty, drugi bez podków.

Jechali teraz gęsiego, bo ścieżka była wązka. Florek ciągle przodował. Nagle przystanął. Ślad zginął. Zaczęto szukać na piechotę.

Przez ciemną zieleń sosen i świerków przeglądało już porankowe słońce. Różowy brzask wciskał się w cień leśny.

— Niech-no się na dobre rozwidni — odezwał się Sikorzak, — łatwiej nam pójdzie.

Wtem konie zaczęły parskać, a Florowski bułanek zarżał... Rozległo się echo po lesie, a za chwilę gdzieś z gąszcze znowu doleciało końskie rżenie.

— Są! są! — krzyknęli wszyscy razem, ruszając w tę stronę pędem.

— Cicho! — przypomniał Gajda. — Nie płoszymy złodzieja. Lepiej się parami rozdzielić. Konie zostawić.

Tak zrobili. Wach, jak każdy o swoje niecierpliwy, dał się na przód w gąszcze, a za nim Florek. Natrafili na gałęzie połamane.

— Tędy jechali — szepnął Florek.

Nagle, może o dwie staje od nich, rozległ się donośny głos Gajdy:

— Hop! hop! prędzej! hop! hop!

Wach skoczył jak oparzony, że Florek, choć przecież młody, nadażyć nie mógł.

Za chwilę ujrzeni Gajdę, a obok niego zaplątane w leszczynowym krzaku kasztany.

Dobiegli. Wach do koni — i nuż ścisnąć, całować, jakby nie przymierzając rodzone dzieci. Aż płakał, tak go radość rozebrała.

Nadeszli drudzy. Zaczęto się rozglądać.

— Kiedy konie są, to i złodziej niedaleko — odezwał się Gajda.

Ale Florek potrząsł głową.

— Albo jest, albo niema — zaczął. — Bo patrzcie-no!

I pokazał na konie.

Szkapy miały na biodrach i łopatkach skórę do krwi pozdzieraną, nogi od łańcuchów poderżnięte.

Oglądał to wszystko Florek i mówił:

— Mnie się widzi, że kasztany po prostu poniosły złodzieja. Na uździenicach utrzymać ich nie mógł i pewnie się gdzie nogami nakrył. Bo i związane nie były. Gnały same, utknęły w krzaku, zaplątały się w gałęziach i przystały.

Było w tem, co mówił, dużo prawdy, więc i inni zaczęli potakiwać:

— A nie inaczej było. Szkapy wyzernione! To i lepiej, że złodziejowi sztuka się nie udała. I za to dziękować Bogu, że się i gadzina odnalazła.

— Oj, pewno, pewno! — westchnął Wach, który się końmi nacieszyć nie mógł.

Postali jeszcze chwilę, pogawędzili, i już zabierali się do odwrotu, kiedy Wąsikowi wydało się, że coś jęko.

Niewiele myśląc, sunął w krzaki:

Za chwilę rozległ się przeraźliwy krzyk Floraka:

— O rety! rety!

Skoczyli żywo ku niemu w gąszcze.

Straszny widok uderzył ich oczy.

Pod olbrzymią sosną leżał człowiek czarno odziany z rozbitą głową. Struga krwi skrzepłej zakryła mu twarz całą. Oczy miał zamknięte, ręce zaciśnięte.

Nad ciałem stał Florek z załamanymi rękoma, jak skamieniały.

Podbiegli co tchu i aż się cofnęli z przerażenia.

Poznali...

Był to Szczepiek Grzędziak.

Żył jeszcze, bo mu w piersiach charczało, ale już sztywniał.

Litość zdjęła gospodarzy. Wach zerwał szmatę z szyi i obwiązał mu głowę. Gajda przyniósł z kałuży wody i prysnął w twarz rannego.

Otworzył oczy, ale mu zaraz powieki zwisły.

Ułożyli go na Florkowej sukmanie, pod sosną, i teraz dopiero spostrzegli, że Szczepiek trzymał w zaciśniętej pięści garść kasztanowego włosia.

Więc dla wszystkich stało się jasnem, co się wydarzyło.

Zaczęli patrzeć po drzewach, po ziemi... Na drzewach były ślady krwi, na ziemi ślady kopyt końskich.

— Dobrześ mówił — odezwał się do Florka Gajda. — Kasztany poniosły i zabiły złodzieja.

— Taki to był z niego ptaszek! — dodał któryś. — Nie dziwota, że w palitotach chodził! Z cudzej krzywdy to łatwo! Surdutowiec!

— Ktoby się to był spodział! — wtrącił inny. — Po fabrykach na zarobek chodził. Ładne fabryki!

I każdy coś powiedział, tylko Wach i Florek milczeli. Wreszcie odezwał się pierwszy:

— Ha! Jakie życie, taka śmierć. Nie wiele mu się już należy. Ale chrześcijanami jesteśmy: trzeba bliźniego, choć i złego człowieka, ratować. Ja mu pierwszy, choć mnie chciał skrzywdzić, odpuszczam. Dalej, chłopcy! Zrobimy nosze, może jeszcze żywego doniesiemy. Niechby się wyspowiadał.

Skoczył pierwszy Florek, bo, choć zawzięty był na Szczepka za Maryskę, ale mu się niedoszłego szwagra żał zrobiło, tylko się z tem odezwać nie śmiał — naciął kozikiem gałęzi.

Związali z Gajdą nosze, włożyli chorożego i ostrożnie nieść ku wsi zaczęli.

W drodze prosił Florek:

— Nie mówcie ta pani matce (bo tak Grzędzinę nazywał) całej prawdy.

Tymczasem w Tokarni cała już wieś wiedziała o okradzeniu Wach. Wachowa kobieta latała od chałupy do chałupy z lamentem.

Wszyscy byli bardzo ciekawi, czy po-goń dojdzie złodzieja, czy nie. Medytowali strasznie, ktoby to mógł zrobić, oczekując niecierpliwie jakiej wiadomości.

Aliści nadjechał, prowadząc Wachowe kasztany, Sikorzak, i opowiedział, co się stało, a choć utaił, że Szczepiek miał w garści włosie z kasztanków, domyślili się ludzie potrosze, kto był złodziejem.

Ale do Grzędziny nikt nie śmiał iść z tą wiadomością. To też babina najspokojniej przyrządzała obiad, kiedy do izby wpadła Maryska z płaczem i krzykiem:

— Matusiu! Szczepka przynieśli! Oj, rety! rety! Nieżywego przynieśli, nieżywego!

Ale Szczepiek żył jeszcze. Bo kiedy Grzędzina z rykiem przed sień wybiegła i na kolana przy noszach padła, otworzył oczy i jęknął.

Położono go ostrożnie na pościeli, chustami w zimnej wodzie maczanymi obwiązano głowę. Pajęczyną z Bożem-drzewkiem i chlebem ugniecioną zatamowano krew, ciekącą z rany.

Użyło mu widać, bo już nie jęczał, tylko wargami zaczął poruszać, jakby coś przemówić pragnął.

Wreszcie skrzywił twarz z bólu, po rozbitej czaszce spłynęła kropla krwi i szepnął z wysiłkiem:

— Księdza...

Stojący obok Wach kiwnął głową na znak, że o tem pomyślał, a Wincetowa przypadła do łóżka z płaczem i zaczęła żałośliwie zawodzić:

— Synku! synusiu! Szczepu!

Aż się serce krajało słuchać. Wszyscy też mieli łzy w oczach, bo wiedzieli, że już niezadługo jedna więcej dusza ludzka przed sądem Najwyższego stanie.

W sieni odezwał się dzwonek. Ksiądz przybywał z Panem Bogiem.

Obecni przyklękli.

Szczeppek chciał się podnieść, ale nie mógł.

Zapalono gromnicę. I cichość wielka zaległa w izbie.

Po chwili ręka kapłana kreśliła nad umierającym znak Krzyża Świętego, znak Łaski i Przebaczenia.

W izbie łkające głosy szeptały modlitwę za konających.

Szczepkowi po zsiniałej twarzy biegły łzy ciurkiem.

Szlochał.

Nagle wstrząsnął się cały i zacharczał.

— Co ci to, synku? Szczepuś? — spytała przez łzy matka.

— Strach... strach!... — szepnął.

— Czego, synku?... czego?... Ja tu przy tobie... twoja matka...

— Ojciec... tam... talarki... oj, Boże!... bądź miłościwi!...

Nikt tych słów nie rozumiał, a Szcze-

pek powtarzał kilkakrotnie, coraz to słabszym głosem:

— Ojciec... strach!... talarki... srebrne...

Wreszcie twarz mu się skurczyła, zaczął dygotać całym ciałem, jak w zimnicy.

Spostrzegła to Maryśka. Skoczyła pędem do komory. Na tyczce wisiała sukmanka po nieboszczyku ojcu. Chwyciła ją coperdziej i nakryła brata.

I oto po twarzy konającego przemknął uśmiech, i jakby go w ostatniej chwili wszelka boleść odeszła, spojrzał pogodnie w twarz siostry, potem sztywniejące palce rozprostował, ujął rąbek sukmany i do ust przycisnął. A potem jeszcze raz rozwarł szeroko oczy, po raz ostatni całą izbę objął wzrokiem — i już nie patrzył nigdy więcej na świat Boży.

Na trzeci dzień chowano surdutowca w białej po ojcach sukmanie.

A tak mu było ładnie po śmierci, jak nigdy za życia!



TRZY LELUJE GÓRALSKIE.

Takie sobie pogwarki ku śmiechu.

I. Co je to energija?

To było, wiecie przódziej, kie jesce zeleźnica nie jeżdżowała do Zakopanego i paniska musiały sie trząść bez dwa dni na wozie z Krakowa, a przez nocnika sie nie obesło na połowice ceste w Lubniu albo w Zabornie.

No juści, dobrze nie bardzo, przyjechały dwie panicki. Jedna nie bars młoda, a ta wtóra córka, młodsza. I najęny se izbe kajsi u Wójciaków, — wiecie, ba jesce żywie stara Wójciacka, co była w Amaryce kielo razy!

Ano malučko, na trzeci dzień, srobiela sie pogoda, kieby oko.

Panicki z miasta sie otawiły i fciały na wyciecke. Pytajom pieknie gazde:

„Mozebyście, gospodarzu, powieźli nas do Kościelisk?“

— „Coby nie?!“ — rzece gazda.

Jakosi po dziewiętej wyjachali. Sytko było dobrze. Kie zjeżdżali dołu z pode Hrubego Regła, zacząn duć wiatier halny, dość naremnie. Ano przewyrtnań budke ku przykopie. I gazda tyz leżał pod wozie.

Wygramuloł sie jakosi po kwili i opatrzuje sie do okola. Juści obie panicki lezom, a spódnice sie im spoobwijały kole głowe.

Gazda wzięan sie napierwej ku starzej. Wyciągnął jom s pode wozu, przewiód poza przykope na trawe i usadził. „Siedźciez ino pani, ino po leku, — wezmem sie ku panience.“

I hipną ku córce, co leżała przez duka, kieby umarta.

Kie ino sie ku niej nablizuł, juści wartko sie zerwała, spódnice se pięknie spuszciała.

Gazda sie przejął i prowadzi jom ku macierze. I gworzy tako: „Panicko! możecie sie ta kany potłukli, moze wam co si hybia?”

Ona zasie odrzeze: „Ale nie, gospodarzu, cy nie widzieliście energie, s jakom wstała?”

Gazda sie poskrobał po głowie i odrzeze tako: „Ja ta, wiecie, nieucony i gwary miejskiej nie znam... Moze sie ta to i energija nazywa, niekze ta — bo u nas po staroświecku to sie, przecie, inacej woła.”

Tako to przódziej jeźdzowało sie do Kościelisk!!! Haj!...

II. Co je to edukacyja?

Juści zawcora wydarzyło mi sie tako. Stałek, wiecie, przy kasynie i cekalek na gości. Wysło cosi ze styry godziny i nic. Kobyła markotna, strząsa sie co kwile i cosi jej bulkoce pode brzukem. I mnie sie łce legać.

Malučko, a wysył jakisi pan i skrzyknął: „Jest ta ftóry wolny?”

— „Ja! — wołam — wolny!”

I cicho, jakoby makie posiał. Panowie, wiecie, pošli sie jesce zabawić w karty.

Po kwili wyhodzi cosi styrok panów na ganek i gwarzom tako do siebie: „Bójcie sie Boga, późna godzina, a to nam zieny głowe smyjom!”

Juści wysył sam ten pan, co mnie smówiwał, siednął i jachaliśmy.

Zawiózek go ku Bezerze, to sie woła po pańsku wila Bezerówka, wysiad haw ten panisko.

Co sie ta pote działo, nie wiem, jesce sie ta w oknak bez kwile świeciło, bok, wiecie, kobyłe pojił, tok widział.

Cy ino mu ta pani ziena głowe myła? cy nie?

To juści u nas, kie se fces, hłopie, głowe smyć, to se sam mył, a u państwa, to ziena mężowi głowe myje.

To je, wiecie, edukacyja!

III. Co je to senatoryja?

Wracaliśmy z wycieczki długiej. Dzie sięć dni dał Pan Bóg bez deszczu. Sypiając przeważnie pod gołym niebem, a noce były zimne, jak zwykle na jesieni, za tęskniłem wkońcu za łóżkiem. Atawizm dzikiego człowieka-nomady pokonał przecież instynkt cywilizacyi.

Schodziliśmy wieczorem z Karczmiska ku Jaworzynce. Usposobieni wesoło, żartowaliśmy na przetarg. Kto wymyśli lepszy żart. A górale są w tych rzeczach mistrze, nazywają się przecież sami: „my sytką górale-wyśmiewace!”

Spuszczamy się po stoku trawiastym, byle prędzej, prosto w dół, omijając perć w zakosy.

Dosyć ciemno, idziemy czuciem w podszwach. Nad Zakopanem ćma, gdzie-niegdzie widać latarnie po ulicach. Klimatyka świeci, ale płono. Jarzy się jeno sanatorium w Kościeliskach. Światło elektryczne przenika przez otwory okien i czyni z budynku coś na kształt klatki.

— Widzicie — gwarzy mój przewodca — to susarnia, sama taka, jako przy papierni w Kuźnicak.

— Ano juści widzę. Ale dlaczego suszarnia?

— Bez cóż? Juści to jest je susarnia, bo haw, wiecie, te dochtory susom a susom one suhotniki z całego Polska. Jak ik dobrze wysusom, to ik posyłam na Pensków Brzyzek, abo kany we świat. To ik, wiecie, tak dowutnie susom, co ik wędzom bez cały dzień na powietrzu, jako śledzie nad morzem.

I to sie, wiecie, nazywa u panów senatoryja. Coby, wiecie, kielo telo nie obrazić onyk biedaków, to ik krzcom niby senatorami polskimi. A to kolwicek i prawde w tem jest je, bo dość duzo panów hrubych, co ik przodkowie na krzasłak senatorskik siadywali, wykopyrło sie na drugi świat ino bez suhoty!

I cóżem miał na to odpowiedzieć?

Tak, tak, to jest właśnie „senatoryja”.

W Zakopanem, 28. sierpnia 1909.

Uzdajał St. Ogończyk.



Postęp techniki górniczej.

W starożytności i w wiekach średnich przed wynalezieniem prochu i innych materiałów wybuchowych główną i najcięższą pracą górnika było wyciosanie w skałę chodnika, a zwłaszcza ciężką to pracą było w twardym kamieniu lub w rudzie metalowej. Praca ta polegała na tem, że górnik dłutem i młotem robił w kamieniu wręby poziome i pionowe naokoło przodku a potem pozostałą w środku kostkę klinami rozbijał. W starych kopalniach rudy lub soli widzieć można dziś jeszcze chodniki w ten sposób pędzone, na których znać jeszcze dokładnie ślady dłuta. Praca taka wymagała oczywiście i dużo wysiłku fizycznego i czasu.

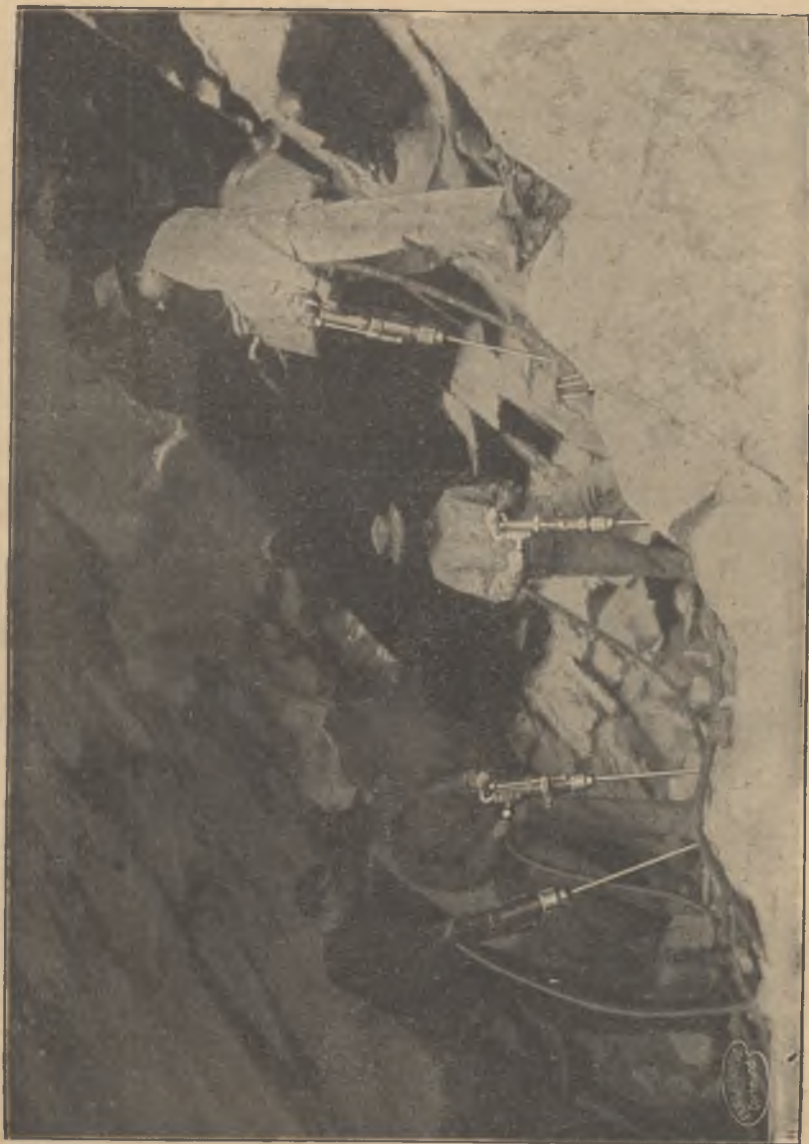
Ważnym krokiem naprzód było zaprowadzenie i zastosowanie w robotach górniczych roboty strzelniczej najpierw prochem, później dynamitem i innymi ulepszonymi materiałami wybuchowymi. Ręczna praca robotnika zredukowała się do wiercenia dziur w kamieniu, w które potem ładuje się materiał wybuchowy. Dziury takie przez długie lata i wieki całe wiercono oczywiście ręcznie a robiono to zapomocą długiego dłuta, tak zwanego świdra i młota. Górnik w lewej ręce trzymał świder a prawą uderzał regularnie młotem w świder, którym po każdym uderzeniu musiał obracać. Była to praca lżejsza wprawdzie niż poprzednia, ale zawsze jeszcze dość ciężka a przytem wymagała ona pewnej sprawności robotnika i dużo czasu.

Dopiero w ostatniem ćwierćleciu zaczęto i tę pracę ludzką zastępować maszynami. Zaprowadzono więc do pędzenia przekopów maszyny udarowe, pędzone zgęszczonem powietrzem, w pojedyn-

czych zaś przodkach, w przybierkach spągu i w węglu samym używano do ostatnich jeszcze czasów wiertarki ręczne systemu Elliott, Korfmann lub Ratschett, których świder nie uderzał, lecz obracał się w otworze, jak prawdziwy świder w drzewie, lecz oczywiście odpowiednio wolno. Na wywiercenie otworu 2 metry głębokiego w twardym kamieniu potrzebował nieraz górnik i całej szychty.

Dopiero w ostatnich trzech latach ukazały się pneumatyczne wiertarki Flottmanna, które śmiało rzec można zrobiły w pracy górniczej przewrót i stanowią niejako nową epokę.

Nowa wiertarka Flottmanna, której rycinę obok widzimy — jest właściwie naśladownictwem dawnej pracy dłuta i młota — świder bowiem nie robi całego skoku, jak przy maszynach udarowych, lecz obraca się tylko ciągle w otworze a równocześnie tłok maszynki uderza na niego z olbrzymią chyżością, dochodzącą do tysiąc uderzeń na minutę. Ta właśnie chyżość uderzeń powoduje nadzwyczajnie szybki postęp pracy; wywiercenie otworu o średnicy 30 mm na 1 metr głębokości potrzebuje w węglu 3—5 minut, w kamieniu od 10—15 minut, a więc zaledwie jedną dziesiątą część dawniej potrzebnego czasu! Prócz tego maszynka ta jest tak lekka, że z łatwością może nią jeden człowiek manipulować, nie potrzebując ustawiać żadnych słupów lub podpór, da się więc wszędzie w najniższem i w najciańszem miejscu użyć. Może żaden wynalazek ostatnich czasów nie znalazł tak szybkiego rozpowszechnienia i uznania, jak właśnie ta wiertarka Flottmanna, co najlepiej świadczy o jej zaletach.



Wiertarki pneumatyczne systemu Flotimanna.

HENRYK SIENKIEWICZ.

SIELANKA.

(Obrazek leśny.)

W lesie, w głębokim lesie, na obszernej polance, stała chata gajowego Szczepana. Chata była słomą kryta, a budowana z krąglaków, mchem utykanych w spojeniach; obok chaty stały dwa budynki gospodarskie, przed nią zaś kawał zagrodzonego pola i studnia zórawiana, krzywa, zapadła, z wodą pokrytą zieloną rzęsą.

Przed oknami rosły słoneczniki i dzikie malwy, wysokie, smukłe, a pokryte kwieciami, jakby rojem motylów; między słonecznikami patrzyły się czerwone główki maku, około malw okręcał się groch o kwieciu różanem i lila, w dole rósł barwinek, żółty krokosz, złote nagietki i astry blade, bo przygłuszone i siwymi liśćmi słoneczników i malw od słońca zakryte.

W ogrodzeniu, po obu stronach drogi do chaty, posiane były warzywa: marchew, buraki i kapusta; dalej, w osobnych opłotkach, za każdym powiewem wiatru kołysały się falą błękitne kwiatki lnu; dalej ciemniała zieleń kartoflanej naci, a na reszcie obszernej polanki ruń zbóż mieniła się to jaśniej, to ciemniej, aż do brzegów jeziora, oblewającego z jednej strony polankę.

Drzew niewiele było przy chacie. Kilka czereśni z ciemnym, błyszczącym liściem i brzoza jedna, o długich cienkich prątkach, stojąca tak blisko chaty, że lada wietrzyk rzucał jej zielone warkocze na zapadły, mchem porośły dach słomiany; a kiedy wiatr silniejszy przygiął brzozę ku ścianie i wszystkie prątki i całą falę listków zwał na dach, wówczas mogło

się zdawać, że brzoza miłuje chatę i bierze ją w ramiona.

W tej brzozie pełno było wróbli, a szelst liści i szmer prątków mieszał się ze świegotem i radosną wrzawą ptactwa; na podstrzeszu zaś chaty niosły się gołębie, więc i tam pełno było ich rozhoweru i gruchań i wabienia się i niby próśb i rozpraw, jak to zwyczajnie między gołębiami, narodem dziwnie gwarnym i gadliwym.

Bywało, że czasem spłoszył je jakiś nieznany strach; wówczas koło chaty zerwał się szum skrzydeł, powietrze zaroilo się wirem skrzydlatym i mnogością białego ptactwa; słyszałeś zamęt i szum i warkotanie sterówek. Cały rój wylatywał nagle i w kołach a w kółkach krążył i zbliżał się i oddalał; to się rozplýwał w błękicie, to błysnął pod słońce białymi piórami, to zawisnął nad chatą, zawahał się, zakołysał w powietrzu i wreszcie padał, niby tuman śniegowych płatków, na szary, słomiany dach chaty.

A jeśli to było o rannej lub wieczornej zorzy, to wówczas, w blaskach powietrza, gołębie one zdawały się już nie białe, ale różowe, i niby płomyki lub rozsypane listki róży, padały na strzechę i brzozę.

Wieczorem, gdy słońce zachodziło za bory, cichł zwolna rozhower pod strzechą i świegot na brzozie. Wróble i gołębie strząsały rosę ze skrzydeł i zabierały się do snu; czasem zagruchał lub zaczyrykał jeszcze który, ale coraz rzadziej, ciszej, sennie, a wreszcie cichło wszystko — mrok padał z nieba na ziemię; cha-

a, czereśnie i brzozy zacierały się w kształtach, mieszały razem, topiły i przylaniały mgłą, podnosząc się z jeziora.

Około polanki bowiem, jak okiem dojął, ciągnął się mur ciemnych sosen i gęstwi leśnej. Mur ten przerywał się w jednym miejscu i, idąc wdal naksztalt korytarza, rozszerzał się coraz bardziej. W korytarzu i rozszerzeniu bełkotały fale jeziora i opłókiwały brzeg polanki. Jezioro było rozległe, bo drugi kraniec jego prawie że ginał w oddaleniu, i chyba jak przez mgłę można było dojrzeć czerwony dach, wieżyczkę stojącego po drugiej stronie kościółka i czarną opaskę lasu, zamykającą niedaleko za kościółkiem horyzont.

Sosny przeglądały się z wysokich, płaszczyznych brzegów w jeziorze, niby w zwierciadle, więc, zdało się, drugi las jest w toni; a kiedy kołysał się las na ziemi, kołysał się i w jeziorze; kiedy szumiał na ziemi, zdawał się szumieć i w wodzie; wtedy zaś wśród ciszy powietrznej tkwił nieruchomie, wówczas i w gładkiej, nieomarszczonej toni, każda igielka sosny rysowała się wyraźnie, a pnie szły prosto, niby szeregi kolumn, idące gdzieś daleko, daleko — w nieskończoność. Środek jeziora fala w dzień odbijała słońce, rano i wieczorem zorze, nocą księżyc i gwiazdy, a wydawała się tak głęboka, tak wysoko nad nami jest sklepienie niebieskie, za słońcem, zorzą, księżycem i gwiazdami.

W chacie mieszkał borowy, imieniem Szczepan, i córka jego, lat szesnastu dziewczyna, na imię Kasia. Była Kasia w tej chacie, czem zorza na niebie. Chowała się w niewinności wielkiej i w bojaźni Bożej. Nieboszyk stryko, który czasu swego z różnych pieców chleb jadał, a na starość był organistą w sąsiednim kościółku, nauczył ją czytać na pobożnej książce, a czego stryko nie doczył, tego doczyła ustron leśna. Więc siostry nauczyły ją pracować, gołębie: jak być czystą, szare wróble: jak świeżość staremu ojcu wesoło, spokojna fala wyuczyła ją spokoju, pogoda niebieska — ziemskiej pogody, pobożny ranny dzwo-

nek na kościółku — pobożności, a dobroć boża — dobroci ludzkiej.

I ojciec więc i Kasia wiedli żywot cichy i byli szczęśliwi, jak tylko w ciszy i ustroni leśnej można być szczęśliwym na świecie.

Raz, w wilię Zielonych Świątek, stary Szczepan przyszedł na południe do domu. Obszedł był kawał lasu, więc przybywał zmęczony, bo wracał z bajorów i kęp wilgotnych. Kasia zastawiła mu obiad, a po obiedzie, dawszy jeść psu i pomywszy misy i garnki, rzekła:

— Tatulu?

— A no?

— Pójdę do boru.

— Idź, idź. Niech cię spotka wilk, albo jaka inna gadzina.

— Pójdę po ziele. Jutro Zielone Świątki, trzeba będzie ziele do kościoła.

— A no!

Kasia naodziała się chustką na głowę, żółtą chustką malowaną w niebieskie kwiatki, i szukając jakiego koszyczka do ziele, poczęła śpiewać:

„Oj przyleciał sokoliczek, przyleciał siweńki!”

Stary jął marudzić dobrotliwie:

— Żeby ci się tak chciało robić, jak śpiewać!

Kasia, która wspierała się na palce, by zajrzeć na półkę, odwróciła do ojca głowę, roześmiała się wesoło i, ukazując białe ząbki, śpiewała dalej, jakby się drażniąc:

„Huka w boru, szuka w boru, miłej kukawki!”

— Radabyś i ty sobie sokolika wykukała — mówił dalej stary. — Może tak sokolika od smolarni? Ale to głupstwa są. Śpiewaniem na kawałek chleba nie zarobisz.

A Kasia na to:

„Oj nie hukaj, sokoliku, nie szukaj, niebożę!”

Jużci twoja kukawka na denku w jeziorze.”

— A niech tu tatulo zrobi obrządki — mówiła dalej. — Pod wieczór wróć, to

jeszcze krowy wydoje. Ale trzeba je przynąć z dąbrowy.

Znalazła koszyk, pocałowała ojca w rękę i wyszła. Tymczasem stary Szczepan poszukał zaczętego wiewiórki i, wyszedłszy przed chatę, usiadł na przyźbie. Tu pobierał sznurki, wziął iglicę, przytrzymał jedno oko i próbował ją nawlec. Chybił na prawo, chybił na lewo, splunął, wreszcie, wycelowawszy dobrze, trafił, nawłókł i począł nizać sieć.

Ale od czasu do czasu spoglądał jeszcze na Kasię. Kasia szła lewym brzegiem jeziora i na wysokim zrębie brzegu widna była, jak na obrazku. Biała jej koszula, czerwona w paski spódniczka i żółta chustka migały zdała pstro, niby kwiatek. Skwar był, choć wiosna, nieznośny.

Uszedłszy z pół wiorsty od chaty, skręciła w bok i weszła w bór. Godzina była popołudniowa, gorąco na świecie, ale w lesie chłodno. Kasia szła ciągle przed siebie, nagle zatrzymała się, uśmiechnęła i zarumieniła się, jak wiśnia.

Przed nią, na ścieżce, która niknęła w głębi lasu, stał młody, może ośmnastoletni chłopak.

Młody ten chłopak był to smolarz, ze skraju boru, idący właśnie do Szczepanowej chaty.

— Niech będzie pochwalony! — rzekł smolarz.

— Na wieki wieków.

Kasia zamilkła, tylko oczy tarła ze wstydu, a potem, podniósłszy fartuszek, przysłoniła nim twarz, spoglądając z pod rąbka z uśmiechem w twarz smolarza.

— Kasiu?...

— Co, Jasiu?

— A jest tatulo doma?

— Jest.

Smolarz, nieboże, może i nie o tatula chciał spytać, ale się jakoś załakł i mimo-woli spytał o tatula. Zamilknął więc znowu, czekając: czy Kasia nie ozwie się pierwsza do niego, a Kasia stała tylko i kręciła końce fartuszka, zasromana okrutnie.

Aż wreszcie przemówiła:

— Jasiu...

— Co, Kasiu?

— A to smolarnia dziś nie dymi?

I ona chciała spytać o co innego.

— Co nie ma dymić? Smolarnia nigdy nie staje. Zostawiłem przy niej kulawego Franka, ale ty, Kasiu, wykręcasz coś, jak lis, na smolarnię.

— E! bo ja idę po ziele.

— Pójdę z tobą, a jeśli z powrotem nie odpędzisz, to i do chaty.

— Miałabym zaś odpędzać!...

— Jeśli nawidzisz, to nie odpędzisz, a jeśli nienawidzisz, to odpędzisz. Rzeknij, Kasienko, słówko: czy mnie nawidzisz?...

— Dolo moja! dolo! — i Kasia przysłoniła twarz rękoma. — Co ja mam rzec! Nawidzę cię, Jasiu; srodze cię nawidzę — wyszeptwała po cichu.

A potem, nim smolarz zdołał jej odpowiedzieć, zawołała, odsłoniwszy zarumienioną twarz i oczy:

— Pójdźmy po ziele, pójdźmy co ducha!

Poszli więc, smolarz i Kasia. Miłość z nich była promienista, ale te dzieci boże nie śmiały mówić już o niej. Czuli ją tylko, choć same nie wiedziały, co czują. Kłopotliwie im było jakoś, ale błogo. I nigdy im tak cudnie nie śpiewał szumem las nad głowami, nigdy oddech wiatru nie zdał się tak słodki i pieściwy, ani im kiedykolwiek szum boru, szmer wietrzyka, głosy ptaków i owe gwary leśne nie zdały się taką kapelą anielską, słodką, choć ogromną, jako właśnie w tej chwili, tak kłopotliwej, a pełnej nieświadomego szczęścia.

O święta siło miłości, jakimże ty jesteś dobrym aniołem życia, jakąż różaną zorzą w pomroce, jakąż tęczą na zapłakanych chmurach niedoli!

A tymczasem w boru rozległo się dźwięcznym echem od sosny do sosny szczekanie psa, i po chwili przybiegł Burek, który, wymknąwszy się z chaty, gonił tropem za Kasią. Przybiegł zziębnięty, z radością wielką skoczył ogromnymi łapami na Kasię i na smolarza, a potem spojrzał na jedno i drugie swymi mądrymi i łagodnymi oczyma, jakby chciał rzec:

— Widzę, że się kochacie! To dobrze!

I począł kiwać radośnie ogonem, potem puścił się wielkim pędem, zataczając większe i mniejsze koła, wreszcie zatrzymał się, szczechnął raz jeszcze radośnie i ruszył w las, oglądając się od czasu do czasu na chłopaka i dziewczynę.

Kasia przyłożyła rękę do czoła i, spojrzawszy w górę, między liście, na jasne słońce, rzekła:

— O dla Boga! A toż już słońce ze dwie godziny po południu, a ziela niema ani kruszyny. Idź ty, Jasiu, w lewo, a ja pójdę w prawo, i zbierajmy. Trzeba nam się śpieszyć, na miły Bóg.

Rozłączyli się i poszli w las, ale szli niedaleko od siebie i równolegle, tak, że jedno drugiemu nie schodziło z oczu. Na paproci, jakby na zielonej fali, między sosnami, migąła pstra spódniczka i żółta chustka Kasi. Smukła dziewczyna zdawała się płynąć wśród jagodzisk, mchów i paproci, rzekłbyś: jaka jaka, albo rusalka leśna; co chwila schylała się i prostowała znowu, i tak dalej i dalej, mijając sosny, zła w bór coraz gęstszy, niby jakie zjawisko leśne.

Czasem, przysлонiona krzakiem leszczyny lub choiną, znikąca smolarzowi z oczu; wtedy ten stawał, przykładając ręce do twarzy i nawoływał wielkim głosem:

— Hoop, hoooop!

Kasia, dosłyszawszy, stawała z uśmiechem, i udając, że niby nie widzi smolarza, a szuka, odpowiadała cienkim, srebrzystym głosikiem:

— Jasiu!!

A echo na to:

— Jaaaasiu!

Tymczasem Burek zwietrzył na drzewie wiewiórkę, więc stanął przed pniem, podniósł oczy i paszczę w górę i począł czekać. Wiewiórka, siadłszy na gałęzi, zakryła się figlarnie ogonkiem, podniosła łapki do pyszczka, i trąc nosek, zdawała się grać palcami na nim i żartować sobie gniewu Burka. Kasia, ujrawszy to, roześmiała się dźwięcznym, srebrzystym śmiechem, smolarz za nią, i tak też pełno było w lesie gwaru i nawoływań ludzkich i echa — i śmiechu — i radosnego we-

Czasem, chwilami, zapadała cisza, tylko zagadał szumem bór, wietrzyk zabrzęczał w listki paproci, zaskrzypiały stare konary sosny — i cisza!

Wówczas to słyhać było wyraźnie miarowe uderzenia dziecięcia: „Kuj-kuj-kuj, ko-wa-lu!“ Zdawało się, że niby ktoś stukła do jakichś drzwi, i za chwilę tajemniczy głos leśny zapyta:

— Kto tam?

To znów zaświstała słodkim głosem wiewilga; dudek najeżył złotą koronę na głowie i roztworzywszy, długi jak igła, dzióbek, krzyknął: „hu! hu! hu! hup, hup!“ W leszczynach klaskały makolągwy, zielone sikorki wiły się między zielonymi liśćmi; czasem na wierzchołku sosny zalopotała w czarne skrzydła, kryjąca się przed upałem do boru, wrona.

Godzina była popołudniowa, pogoda przejrzysta, bez chmurki, a nad zieloną kopułą liści rozciągała się błękitna kopuła niebios — ogromna, bezbrzeżna, siwa na krańcach, najbłękitniejsza w środku. Na niebie stało wielkie złote słońce, przestworze było zalane światłem, a powietrze tak jasne i przezroczyste, że najodleglejsze przedmioty występowały z siwiejącej dali, wyraźne oku i zwarte w kształtach, a nie mgliste. Z wysokości nieba dobrotliwy Stwórca ogarniał okiem całą krainę: na polach kłaniało mu się zboże złocistą falą, szeleścił ciężki kłos pszeniczny, cienkie źdźbła owsa drżały, niby dzwonki i dzwoneczki. W powietrzu, przesyconem blaskiem słonecznym i błękitem, płynęła tu i owdzie wiosenna nitka pajęczyny, błękitna od błękitu, a złota od słońca, prawdziwe przedziwo z kądzieli Bogarodzicy.

Pomiędzy łanami zbóż, we wklęsłych dolinach, zieleniły się ciemną runią łąki; tu i owdzie, gdzie w murawie dyszało źródło, tam i zieloność była jaśniejsza, a cała łąka, pokryta żółtymi kwiatami kaczeńca, biła o ludzkie oczy nadmiarem złotego blasku. Na mokradłach ciemniały olchy, od których wiało chłodem i wilgocią.

W lesie jednak, między sosnami, gorąco już było i cichość wielka. Zdawało się,

że całą krainę ogarnęła jakaś senność i omdlenie. Po chwili ustał powiew wietrzyka, a wówczas i lasy i zboża i trawy stanęły nieruchome. Liść zwieszał się na drzewach, niby ukołysany do snu; ucichł gwar ptaków i nastąpiła chwila spoczynku. Ale był to spoczynek jakby z nadmiaru słodczy, niby rozmarzenie się natury. Tylko wielka kopuła niebieska zdawała się uśmiechać, a gdzieś wysoko, wysoko, w niepojętych głębinach błękitu, Bóg wielki radował się dobrotliwie radością pól, lasów, łąk i wód.

Tymczasem w lesie smolarz i Kasia błądzili nieustannie, zbierając zioła, śmiejąc się lub gwarząc wesoło. Człowiek prosty, jak ptak: śpiewa, kiedy może, bo to jego natura. Smolarz zaczął śpiewać prostą a tęskną piosenkę.

Ostatnie słowo piosenki ciągnie się, wedle jej melodyi, długo, żałośnie, i tak też długo i żałośnie ciągnęli je smolarz i Kasia, a do wtóru im śpiewało echo w ciemnych głębiach borowych; sosna podawała odgłosy sośnie — i piosenka, poczęta słowami, przebiegłszy szeregi pni drzewnych, kończyła się w dali leśnej westchnieniem, coraz niewyraźniejszym, lżejszem, słabszem, a w końcu ciszą.

Potem znowu Kasia zaśpiewała wesołą piosenkę, poczynając się od słów: „Zostanę ja się złotym pierścieńcem!” Dzielną to piosenka! Młoda, oporna dziewczyna kłóci się w niej ze swym kochankiem i opowiada sposoby, przez jakie się mu wymknąć zamierza. Ale niemasz na niego rady! Gdy ona zapowiada, że zostanie złotym pierścieńcem i będzie się toczyć szarym gościeńcem — on grozi, że swemi bystreimi oczyma dojrzy pierścień na szarym gościńcu; gdy ona chce zostać złotą rybką w fali — on jej śpiewa o siatce z jedwabiu; gdy ona dzikim kaczorem na jeziorze — on staje przed nią strzelcem. Aż wreszcie biedna dziewczyna, widząc, że nie skryje się przed nim na ziemi, śpiewa:

„Zostanę ja się gwiazdką na niebie,
Będę świeciła ludziom w potrzebie —
Twoją miłą nie chcę być,
Twojej woli uczynić.“

Ale niezrażony niczem chłopak odpowiedział:

„Pokłonię ja się w kościele ładnie,
Dam na mszę świętą, to gwiazdka spadnie. —

Moją miłą musisz być;
Moją wolę uczynić.“

Dziewczyna widzi, że niema dla niej ratunku ani na ziemi, ani na niebie, więc godzi się z wolą Opatrzności i śpiewa:

„Widzę, ja widzę, że boże sądy,
Kędy się skryję, znajdziesz mnie wszędzie —

Twoją miłą muszę być,
Twoją wolę uczynić.“

— A widzisz, Kasiu? — rzekł smolarz.
— Co, Jasiu?

On począł śpiewać:
On „Moją miłą musisz być,
Moją wolę uczynić.“

Kasia zawstydzila się znowu, ale roześmiała się i, chcąc zagadać, odrzekła:

— Nazbierałam już moc ziele: rożchodniku, maszerdonu, macierzanki i rosicy. Jenoby trzeba w wodę zanurzyć, bo do wieczora, na upale, zwiedną...

Istotnie, upał był wielki, a wiatr ustał zupełnie. W lesie, choć w cieniu, powietrze drgało parnem gorącym, sosny ronili silną woń żywiczną. Delikatna, złotawego odblasku, twarz Kasi była wilgotna, a morderce jej oczy świeciły zmęczeniem. Zdjęła z głowy chusteczkę i poczęła się chłodzić; smolarz tymczasem odebrał z rąk jej koszyk z zielelem i rzekł:

— Słuchaj, Kasienko. Olchy stąd i dwie staje, a między olchami krynica. Pójdź, Kasienko, napijemy się wody.

Poszli oboje. Jakoż istotnie, po niejakiem czasie, grunt leśny zaczął się pochylać; między drzewami, zamiast borówek paproci i suchych mchów, zazieleniała wilgotna murawa, zjawiała się jedna olcha i druga, za niemi całe szeregi. Weszli w ciemny, wilgotny gaj, gdzie promień słoneczny, przechodząc przez liście, sam nabiera ich barwy i maluje bładem zielonem światłem twarze ludzkie. Jaś i Kasia zstę-

powali coraz niżej w cień i wilgoć. Owionął ich surowy chłód, miły po leśnym upale — i po chwili, między szeregami olch, ujrzeli w czarnym, torfiastym gruncie wijącą się, głęboką strugę wody, gdzieś gdzie zarosła tatarakiem, trzcina, lub pokryta wielkimi krągłymi liśćmi lilii wodnych, które my „nenufarami“, ludzie zaś proszą „bieluszkami“ nazywają.

Śliczne to było miejsce, ciche, ustronne, cieniste, nawet potrochu ciemne.

Przezrocza struga wodna wiała się między drzewami. Nenufary, kołysane lekkim ruchem wody, chwiały łagodnie białem kwieciem; pochylając się ku sobie, zdawały się całować; nad szerokimi ich liśćmi, leżącymi niby tarcze na powierzchni wody, wiły się w powietrzu ciemno-szafirowe koniki, o skrzydłach szerokich i szeleszczących, a tak delikatne i wątle, że słusznie je wodnymi panienkami nazywają; czarne motyle z białą, żałobną obwódką, siadały na ostrzach tataraku. Na rudawem tle torfu kwitły błękitne niezapominajki; tu i owdzie szumiała kępka wysmukłej trzciny, na której powiew wiatru wygrywa zwykle piosenki. Po brzegach rosły posępne krzaki kaliny, a pod krzakami pstrzyły się główki konwalii, przyłasczek i dzwonków wodnych; biedrzyca zwieszała białe główki ponad przezroczystą wodą; srebrne niteczki ostrożek, wyciągnięte z biegiem strumienia, płatały się niby w cienkie a długie warkocze; zresztą — samotność — ot! ustroji dzika, zapomniana przez ludzi, spokojna a zaludniona tylko przez światy ptaków, kwiatów i owadów.

W takiej to ciszy mieszkają zwykle nimfy, rusałki i inne złe lub dobre bóstwa leśne. To też, kiedy idąca przodem Kasia stanęła pierwsza na brzegu i spojrzała na wodę, w której odbiła się jej wdzięczna, wysmukła postać, to istotnie mogła się wydać takim ślicznym objawieniem leśnym, jakie czasem widują gajowi w borach, albo flisacy, płynący wśród lasów z wiciną. Była bez chustki na głowie, wiatr rozwiał trochę jej warkocze i poruszał promieniami włosów na czole. Opalo-

na była a jasnowłosa, i tylko oczy miała śmiejące się a modre, jak chaber i takie śmiejące się usta. Przytem wysoka i smukła, zupełnie rusałczana dziewczyna! Niktby nie przypuszczał, że spłoszona okiem, nie skoczy do wody, nie rozwieje się we mgłę, w tęczę lub promienie, nie zmieni się nagle w lilie lub kalinę, która, gdy chcesz zerwać jej kwiaty, mówi ludzka, choć do szmeru drzewnego podobną mową:

— Nie rusz mnie!

Kasia pochyliła się z murawy nad wodą, aż jej warkocze spadły na ramiona, potem zwróciła się do smolarza i rzekła:

— A jakże pić będziemy?

— Jak ptaki — odpowiedział smolarz i pokazał jej palcem kilka pliszek i ślicznych jak tęcze zimorodków, które piły opodał, zadzierając dzióbki do nieba.

Ale smolarz umiał sobie poradzić lepiej niż ptaki, bo urwał ogromny liść bieluszka, skreślił go w różek, i nabrawszy wody, podał Kasi.

Napiła się Kasia, napił się i smolarz, potem ona rwała jeszcze niezapominajki, on zaś wydobyl nożyk, naciął pręt wierzbiny i poczał wykręcać fujarkę.

Wkrótce fujarka była gotowa. Smolarz przyłożył ją do ust i zagrał taką prostą piosenkę, jakie pastuchy grywają wieczorami po łąkach. Łagodny głos rozpłynął się z niewymowną słodyczą w ustroniu. Po chwili smolarz odjął od ust fujarkę i poczał jakby słuchać, jakby chwycić uchem echo, grające w olchach, a zdawało się, że razem z nim słucha tego głosu i przejasna struga — i ciemne olszyny — i ptaki, ukryte po trzinach. Ucichło wszystko, ale po chwili, niby odpowiedź, niby wyzwanie, ozwało się lekkie gwizdnięcie, za niem drugie i trzecie. Stało się jeszcze ciszej. To słowik chciał śpiewać, słowik wyzywał fujarkę.

Wnet też i poczał śpiewać. Słuchało wszystko tego śpiewaka bożego. Bieluszki podniosły głowy nad wodę, niezapominajki przytuliły się do siebie, przestały szemrać trzciny, nie śmiał się ozwać żaden ptak, tylko niemądra a roztrzępana

kukułka przyleciała z nad wody cichem skrzydłem, siadła na sęku, podniosła główkę, roztworzyła szeroko dzióbek i ozwała się lekkomyślnie:

— Ku-ku! ku-ku!

Ale potem snadź sama zawstydziła się, że się tak głupio wyrwała, bo nagle zamilkła.

Napróżno Kasia, stojąc na brzegu strumienia, z niezapominajkami w ręku, odwróciła się w stronę, skąd dolatywał głos kukawki, i pytała:

— Kukawieńko, siwa kukawieńko, długo ja żyć będę?

Kukawka na to nic.

— Kukawieńko, będę ja bogata?

Kukułka nic.

Więc smolarz:

— Kukawieńko, szara kukawieńko, prędko będzie moje wesele?

Kukawka nic.

— Nie chce nam odpowiadać — rzecze smolarz. — Wróćmy do boru.

Wróciwszy, odszukali wielki kamień, przy którym zostawili koszyk i suche zioła. Kasia siadła pod nim, na mchu, i poczęła wiać wianki, a smolarz jej pomagał. Burek położył się koło nich, wyciągnął przed się kosmate łapy, wywiesił język i począł oddychać ze zmęczenia, rozglądając się uważnie wokoło, czy nie dojrzy jakiegoż żywego stworzenia, na które mógłby się rzucić i narobić hałasu. Ale w lesie naokół było spokojnie. Słońce kłoniło się już ku zachodowi, a poprzez liście i igły sosen wchodziły coraz czerwiesze jego promienie, pokrywając grunt leśny wielkimi, złotymi plamami. Powietrze było suche, na zachodzie rozlewała się już wielka zorza wieczorna, niby morze roztopionego złota i bursztynu. Cichy, ciepły wieczór wiosenny płonął na niebie. W lesie ustawała powoli dzienna praca. Ucichło pukanie dziecięta, czarne i rude mrówki wracały szeregami do czerwonych od zorzy i promieni słonecznych mrowisk. Jedne z nich niosły w pyszczkach sosnowe igielki, inne gąsienice. Między ziołami kręciła się tu i ówdzie mała czarna pszczołka leśna, i śpiewając ra-

dośnie zwykle: „dana, oj dana!“ dopełniała ostatniego ładunku miodowego pyłku. Ze szpar w popękanej korze drzewnej poczęły wychodzić na świat posępne i ślepeśmy nocne; w potokach złotego światła kłębiły się roje mszyc, ledwie widzialnych dla oka; komary poczęły żalosalną piosenkę. Na drzewach ptaki wybierały miejsca na nocleg. Czasem zaświstał jeszcze żółtodziób kos, lub załopotał skrzydłami wrony, które, obsiadłszy jedno drzewo, poczęły się kłócić o najwygodniejsze gałęzie. Ale owe głosy coraz rzadsze były i coraz cichsze. Powoli ustawało wszystko, a cichość przerywały tylko szmery drzewne. Leszczyna podnosiła siwe listki do góry; król dąb pomruknął zcicha, lub zaszemrała warkoczami brzoza. Cisza.

Ale oto zorza stała się jeszcze czerwieszą, a na wschodzie pociemniał głęboki błękit niebieski — więc już i wszystkie szmery leśne zły się w poważne i ciche, choć ogromne, chóry — to bór, nim zaśnie, przed nocą, modli się i odmawia pacierze; drzewa opowiadają drzewom chwałę bożą i rzekłbyś: ludzką rozmawiają mową.

Ach! tylko bardzo niewinne dusze rozumieją tę wielką i błogosławioną mowę! Ach! tylko bardzo niewinne serca słyszą i rozumieją, gdy pierwszy chór ojców dębów tak rzecz zaczyna prowadzić:

— Siostry sosny, radujcie się: oto Pan dał nam dzień cichy i ciepły, a teraz noc gwiazdzistą po ziemi czyni. Wielki Pan, a mocny, a mocniejszy od nas, a dobrothwy, więc chwała Mu na wysokościach, na wodach, na łądach i na powietrzu!

A sosny przez chwilę rozważają dębowe słowa, a potem ozwą się zgodnie chórem:

— A oto, Panie, na chwałę Twoją, niby kadzielnice ofiarne, ronimy balsam wonny i mocną a mocną woń żywiczną. Oczekuj nas, któryś jest w niebie, święć się imię Twoje!

A potem brzozy:

— Zorze wieczorne płoną na niebie, o Panie, a w blaskach ich listeczki nasze

złote są i pałające. Więc listkami naszymi złotymi pieśń Ci czynimy, o Panie, a cienie gałązki nasze grają, jak harfy, o dobry Ojczy nasz!

I znowu smętne świerki:

— Na umęczone upałem, posępne czoła nasze pada rosa wieczorna. Chwała Panu! Bracia i siostry radujcie się, bo pada rosa wieczorna!

I wśród tych chórów jedna tylko osiadczyzna drży lekliwie, bo dała drzewa na krzyż Zbawiciela świata, i czasem tylko zajęczy cicho:

— Panie, zlituj się nade mną!

A czasem znowu, gdy dęby i sosny zmiłkną na chwilę, od stóp ich podnosi się cichutki, lekliwy głosik, cichy, jak brzęczenie komara, cichy jak cichość sama. Głosik ten śpiewa:

— Jagódkam jest, o Panie! maleńka i w mchu utulona. Ale Ty mnie usłyszysz, odróżnisz i ukochasz, bo chociażem maleńka, pobożnam jest i śpiewam Tobie na chwałę!

Tak modli się co wieczór las, i taka kapela podnosi się co wieczór od ziemi ku niebu i leci wysoko, wysoko, aż tam, gdzie niema już żadnego stworzenia, gdzie niema nic, tylko pył srebrny gwiazd i mleczne szlaki i gwiazdy, a nad gwiazdami — Bóg!

O takiej chwili słońce zanurza promienną głowę w dalekie morza; rolnik przewraca pług ostrzem do góry i śpieszy do chaty. Powraca z pola ryczące bydło i w kołatki kołace; owce wzniecają tuman złotego kurzu. Potem mrok pada: w dalekiej wsi skrzypią żórawie od studni, potem błyskają okienka, i z daleka, z daleka, dochodzi szczekanie psów.

Ale gdy Kasia siadła pleść wianki pod mszystym kamieniem, słońce nie zagasło jeszcze nad lasem. Owszem promienie jego rzucały na twarz jej blaski, łamane cieniem liści i gałązek. Robota nie szła śpiesznie, bo Kasia zmęczona była upałem i bieganiem po lesie. Opalone jej ręce coraz wolniej kręciły sploty ziół. Ciepły wiatr całował jej skronie i twarz, a szum drzew kołysał ją, jak do snu. Duże jej o-

czy stawały się błyszczącymi sennie; powieki poczęły się zlekka przymykać; oparła głowę o kamień, jeszcze raz otworzyła szeroko oczy, jak dziecię, poglądające ze zdziwieniem na świat boży; potem szum drzew, szeregi pni, iglasty grunt leśny i niebo, widne przez gałęzie, pomąciły się przed nią, pociemniały, poczęły zlewać się i majaczyć — uśmiechnęła się i usnęła.

Głowa jej pogrążona była teraz w łagodnym cieniu; zato koszulka na piersiach, obłana światłem zorzy, świeciła całą różana i purpurowa. Lekki oddech kołysał jej piersi, a tak była cudna w tem uśpieniu i w tych blaskach wieczornych, że smolarz patrzył się w nią tak, jak patrzył tylko na obrazy w kościele, całe od złota błyszczące i jak tęcza barwiste.

Ręce Kasi trzymały jeszcze niedokończony splot ziela. Spała widać snem lekkim i miłym, bo uśmiechała się przez sen, jak dziecko, co rozmawia z aniołami. Może też i rozmawiała z aniołami, bo czysta była, jak dziecko, i Bogu dziś służyła dzień cały, wijąc wianki na jutro do kościoła.

Smolarz siedział koło niej, ale nie spał. Rozpierało uczucie jego pierś prostaczą, czuł jakby dusza dostawała mu skrzydeł i gotowała się ulecieć w przestworze niebieskie. A hej! hej! sam nie wiedział, co się z nim dzieje, więc oczy tylko utkwiał w niebie i rzekłbyś: skamieniał z kochania.

I długo jeszcze spała Kasia, i długo siedzieli tak oboje. Tymczasem zmroczyło się. Resztki purpurowego światła walczyły z cieniem. Wnętrze lasu pociemniało, głuchło. Ze trzciny jeziora, od strony chaty i polanki, doszło nocne hukanie bąka.

Nagle, za jeziorem, w kościółku, zadzwoniono na Anioł Pański. Głos leciał nad spokojną tonią jeziora, leciał na skrzydłach wieczornego powiewu, czysty, dźwięczny i donośny. Sygnaturka wzywała wiernych do modlitwy, a zarazem zwiastowała spoczynek: „Dość trudów i znoju, — mówił dzwonek — owinicie się do snu skrzydłem bożem. Pójdźcie, pójdźcie, zmęczeni, do Boga: w nim radość! Tu

cisza, tu wesele, tu sen! Tu sen! tu sen!
tu sen!”

Smolarz zdjął kapelusz na odgłos dzwonka, Kasia otrząsnęła sen z oczu i rzekła:

— Dzwonią?

— Na Anioł Pański...

Klękli oboje przy omszałym kamieniu, jakby przy ołtarzu. Kasia poczęła mówić łagodnym, smutnym głosem:

— Anioł Pański zwiastował Najświętszej Pannie Maryi...

— I poczęła z Ducha Świętego — odpowiedział smolarz.

— Oto ja służebnica Pana mego...

I tak klęcząc, modliły się te boże dzieci. Cicha, letnia błyskawica przeleciała między wschodem a zachodem, i po świetle jej zsunął się z nieba rój aniołów skrzydlatych i zawisnął nad głowami tych dwojga. A potem pomieszczeni się z aniołami i sami byli prawie jak anieli, bo nad te dwie dusze nie było jaśniejszych, czystszych i bardziej niewinnych na ziemi.



KAZIMIERZ KRÓLIŃSKI.

Co mówiły drzewa.

Filik był gazdą bardzo honorowym. Uczęszczał do kościoła co niedzieli, a przynajmniej raz w dwa miesiące do spowiedzi, pracował na swoich trzech morgach jak nie przymierzając wół w jarzmie, żony nie bił, w karczmie nie pił, dzieci po bożemu wychowywał, nikomu nic nie ukradł, nikogo nie wybił, nie obmówił, nie oczernił, słowem Filik był w całym znaczeniu tego słowa człekiem uczciwym i ogólnie honorowym, a nawet niejednokrotnie posłyszał tu i ówdzie, że skoro nadejdą nowe wybory do rady gminnej, to go wójtem obiorą.

Był tedy Filik całkowicie szczęśliwy i nieraz zdawało mu się, że gdyby umarł, to poszedłby prosto do nieba...

A miał Filik brata starszego wiekiem, z którym dawniej żył pod jednym dachem, w dwójkę z nim młócił w stodole, z jednej misy ziemniaki zjadał i nawet dzielił z nim bieliznę i odzież. Tak było, gdy nieboszczyk ojciec żył jeszcze. Lecz gdy umarł, stosunki się zmieniły.

Przysłowie: „kochajmy się jak bracia, drzyjmy się jak żydzi” zastosowali obydwaj do siebie bardzo dobrze.

Podzielili się tedy gruntem bardzo szczerze i rzetelnie, jak w „dekrecie spadkowym” stało napisane — po pół. Nawet pług, bronę, wóz, chałupę, stodołę — wszystko podzielono na pół. Rozumie się grunt przedewszystkiem.

Mimo wielkiej skrupulatności w podziale, grunt nie dał się podzielić tak, aby żadnemu ani o włos krzywdy nie było. Bo grunt bywa rozmaity. Część zwrócona do słońca, część mokra, część osłonięta drzewami...

Najpiękniejszy kawałek tuż za osiedlem przypierał od wschodniej strony do sadu, w którym rosły bujne czereśnie rzędem, jedna obok drugiej i w czerwcu wydawały prześliczne jagody, czerwone jak korale, słodkie jak miód.

Gałęzie swoje dźwigały one ku górze jakby do nieba wydrapać się chciały, a mimo to w każde rano rzucały długi cień na pole. Z podziału musiało tak wynikać, że czereśnie brata starszego rzucały cień na pole brata młodszego Filika.

I oto raz, gdy była burza i brzydko na dworze, Filik wziął siekiere, wyłaził na jedną czereśnię i obił jej pień obuchem z

całej siły. Z kolei zrobił to samo ze wszystkimi, których było około dwanaście.

Dokonawszy tego dzieła, poszedł uradowany do domu, albowiem był pewny, że wszystkie czereśnie poschną i nie będą już rzucały cienia na jego pole.

I tak się stało. Czereśniom istotnie posusychały czuby a tylko dolne części zazieleniły się z wiosną i w lecie wydały zaledwie nikłe i marne jagódki.

Raz, a było to z początkiem żniw, wyszedł Filik wieczorem na swoje pole, czatować, czy jaki złodziej nie zechce nabrać dopiero wysuszonej, wonnej koniczyny, ustawionej w kopice. Wieczór był miły, ciepły, wonny. Na firmamencie błyszczały miliony gwiazd. Ciepła rosa padała na trawę jak balsam. Filik położył się pod kopką i wkrótce usnął.

Aż oto usłyszał straszny jęk.

— Jakże mnie okropnie bołą te razy — jęczało coś w pobliżu.

— I mnie tak samo — odpowiadał drugi głos, jakby lecący z lekkim wietrzykiem w powietrzu.

— Ja cierpię najwięcej — skarżył się głos trzeci. — Otwartą na sobie mam ranę, a do niej cisną się całemi stadami mrówki i ssą ze mnie żywcem krew...

— To okropne! Jak długo będziemy się tak męczyć...

— Całe lata...

— Żebyż to zlitował się gospodarz nad nami i ukrócił te nasze męki...

— On dobry, może to i zrobi. Nie zaważałaś, przyjaciółko, jak on ciężko wzdycha, kiedy koło nas przechodzi? Raz nawet łza potoczyła się po jego śniadem zmarszczonem obliczu...

— A ten łotr, co nam tyle boleści zadał, ani na nas nie spojrzy. Ze spokojnem sumieniem raduje się, że my jego polu szkodzić nie będziemy. Łotr!

— Morderca!...

— Okrutnik...

— Pan Bóg mu taką samą karę zgoutuje. Nie słyszałyście, co mówił wietrzyk w samą wielką noc tego roku?

— Słyszałyśmy. I jemu Bóg odejmie ręce, potem nogi... Będzie się czołgał, jak pies...

— A na tamtym świecie powie do niego: Obludniku, wargami tylko mnie chwaliłeś, a drwa moje męczyłeś okrutnie. Nie ma dla takiego miłosierdzia!

Filik zerwał się na równe nogi. Drżał cały, jak w febrze. Podbiegł ku biednym drzewom. Nie słyszał już nic. Tylko wietrzyk szemrał cichutko o zeschłe gałęzie...

Na drugi dzień pobiegł Filik do spowiedzi, ale mimo to spokoju nie uzyskał. Z początku stronił od tych okropnych drzew, uciekał od nich, a raz nawet zakradł się wieczorem i obejmując je rękoma, płakał, jak dziecko i o przebaczenie błagał.

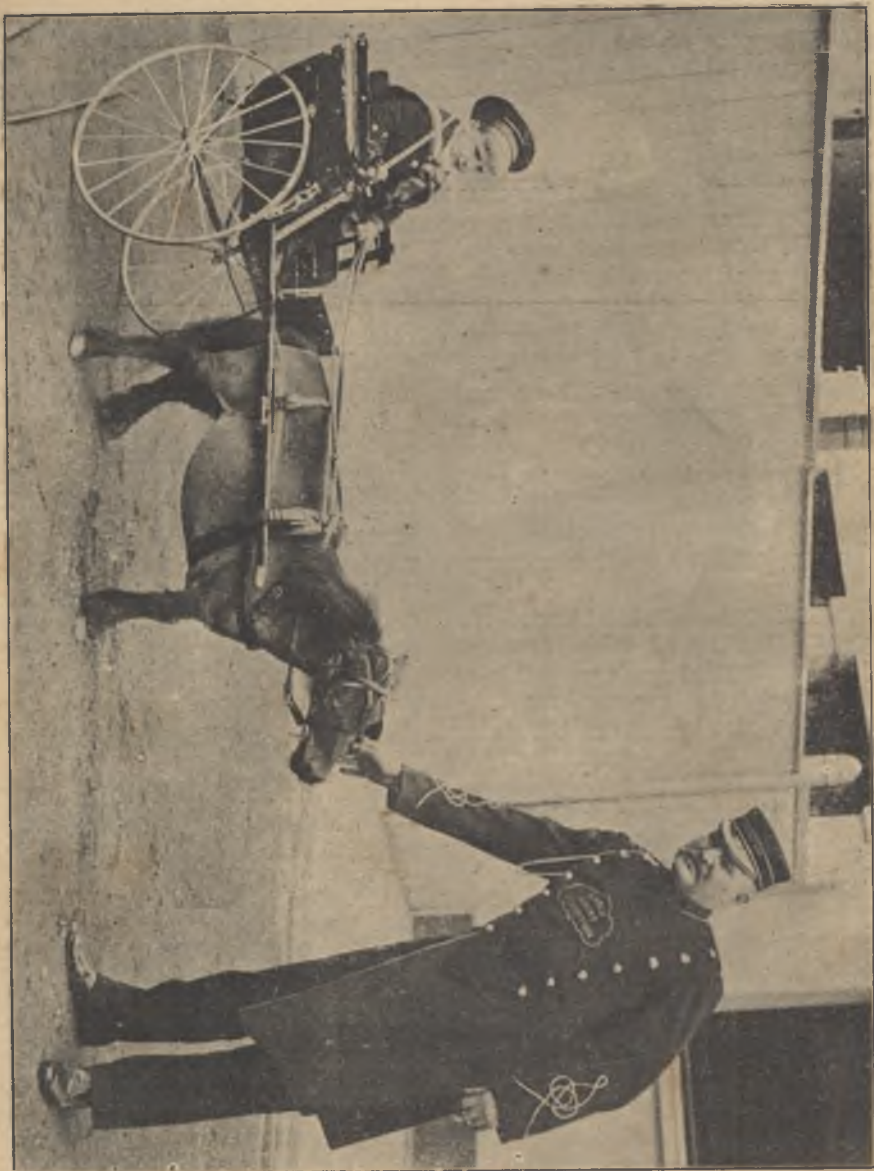
Lecz drzewa okaleczały, cierpiące, nie odpierały się, nie odrzekły nic na jego smutek i jego boleść.



Wybryk natury.

Poza granicami, do jakich sięga zwykle największy i najmniejszy wzrost zwie-

kle 180 centymetrów wzrostu, licząc od podstawy kopyta do wierzchu kłębu, naj-



rząt, zdarzają się czasami wyjątki, wprowadzające nas w zdumienie. I tak wiadomo powszechnie, że rasy koni, odznaczające się wzrostem, nie przekraczają zwy-

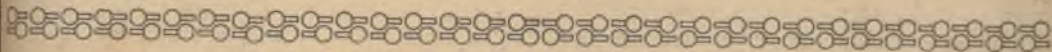
mniesze zaś konie, t. j. kuce szkockie lub z wysp szetlandzkich, miewają od 110 do 120 centymetrów wysokości. •

Zdarzają się jednak prawdziwe wy-

bryki natury, jak to pokazuje załączona rycina, na której oglądamy kucyka, mającego w kłębie mało co więcej nad 60 centymetrów wysokości i zasługującego tem samem na miano najmniejszego na świecie konia.

Kucykiem tym produkuje się jeden z

cyrków w Nowym Jorku, sprawiwszy dlań miniaturowy ekwipaż, którym powozi ku wielkiej radości „milusińskich“, cyrk odwiedzających, kilkuletni chłopczyk. Kucyk ten, jak widzimy na rycinie, zbudowany zupełnie normalnie, jest należycie rozwinięty i liczy obecnie 3½ lat wieku.



Czego nam się od pszczoły nauczyć potrzeba?

Ze wszystkich owadów, pszczoła ze względu na ogromny pożytek człowiekowi przynoszący, zasługuje na nasze podziwienie i szczególną troskliwość. Mamy też pełno w piśmie św. starego zakonu wzmianek o miodzie. Pszczoły podziwienie budziły w starożytnym świecie, że przypisywali jej rozum i wierzyli po swojemu, jakoby cząstka jakiejś duszy wszechświata w jej ciele mieszkała. Pszczoła daje nam wzór cnót obywatelskich. Słusznie też sławią pracę mrówek i wskazują próżniakowi mrówkę za wzór pracowitości, ale stokroć cenniejszą jest pilność pszczół, porządek, zgoda i podziwienia godna mistrzowska praca. Żyje ona z drugimi, tworząc społeczność, która zowie się rojem. Czem jest rój pszczół? Oto pracą zapobiegliwą a bezustanną, w której pełno ładu, porządku, zgodności i miłości prawdziwej. Życie pszczoły jest ciągłą pracą od kolebki aż do grobu. Jak kula wpada w oczko jedna, druga i dzieśiąta, cisnąć się jedna przez drugą, a każda obładowana obfitym plonem z pola. Tą pracą znoszenia z pola miodu, pyłku kwiatowego i wody, pszczoły przez cały dzień są zajęte bez wytchnienia, a co najwięcej podziwienia godne, że pszczoły tę wszystką pracę dzielą pomiędzy siebie zgodnie, bez rozkazu, bez przymówki, słowem w ulu wszystko żyje pracą. Nie tylko pracę u pszczół podziwiać nam się godzi, lecz i oszczędność, że szanują swój dorobek. Rozlej choć odrobinę miodu, a zaraz nań rzuci się cała gromada i zliże tak, że ani śladu rozlania nie pozostaje.

Także zaniepokojone rzucają się na komórki miodu, z obawy, że im się zabierze ich zapasy.

Przedewszystkiem matka w roju doznaje szczególnych względów. Nie tylko, że ją żywią obficie pokarmem najwyborniejszym, kiedy w ulu dostatek, lecz i w czasie głodu, n. p. w zimie, gdy z głodu cały rój umiera, ostatni kawałek miodu jest jeszcze dla matki, i ona z garstką pszczół żywa się jeszcze znajduje. Pszczoły mają przedziwną miłość ku sobie samym i niemasz między niemi samowoli, pychy, zarozumiałości, chęci wynaszania się, zdrady i obłudy, jak n. p. pomiędzy ludźmi. Niechaj pszczoła, która będąc w niebezpieczeństwie, zawoła o pomoc, to jak grad posypią się drugie, ścigając i odpędzając napastnika. Nic nie może iść w porównanie z tą zaciekłością, z jaką pszczoły się bronią wzajemnie i ścigają wroga. Nawet pismo św. używa porównania: „I gonił nas Amorejczyk, jak zwykły gonić pszczoły“, a u Psalmisty: „Obstąpili mnie nieprzyjaciele jako pszczoły“. Pszczoła w obronie każdej swej towarzyski, w obronie całości, spokoju i bezpieczeństwa roju całego bez namysłu oddaje swe życie, gdy z żądłem utraconem prawie zawsze wysnują się z niej wnętrzości, co powoduje śmierć. Zguba jednej nie odstraszy i nie odstręczy drugich, z powodu ukłucia rozlany jad jednej pszczoły rozwścieka drugie, tak, że wszystkie w to samo miejsce ostrym godzą kolcem, ginąc w obronie domu i narodu swego. Naród ludzki to też jakoby rozrojony pień, co po-

czątek swój wiedzie gdzieś z daleka, bo aż z raju. Rozroił się w rozliczne narody i pokolenia, w niezliczone rody i rodziny, w gminy, wsie i miasta, w przeróżne społeczeństwa, wielkie i małe. I te przeróżne roje ludzkiego plemienia stoją temi samymi zaletami, co każdy rój pszczeli. I ludzkiemu społeczeństwu, czy ono zowie się narodem, czy pojedynczą rodziną, potrzebne są te same cnoty społeczne: pracowitość, oszczędność, zgoda i miłość. Bez nich i najpotężniejsze państwa runą, narody się rozproszą, bez nich i najmniejsze rodziny zmarnieją. W wieluż to wypadkach pszczoły zawstydzają ludzi!

Hodowla pszczół jest potężną dźwignią do uszlachetnienia ludu, do wykształcenia serca, duszy i umysłu człowieka. O moralnym wpływie hodowli pszczół powiada niemiecki pszczelarz bar. Berlepsch bardzo trafnie: „Jest to faktem udowodnionym i przez nikogo niezaprzeczonym, że pszczelarze, z nader rzadkimi wyjątkami, są ludźmi dobrymi i uczciwymi. Jasną to rzeczą — bo hodowla pszczół przedstawia coś tak czystego, tak wzniosłego i szlachetnego, że dusze brudne nie chcą się jej wcale imać. Ale hodowla pszczół uszla-

chetnia i kształci pilnych i spokojnych obywateli. Znam wielu, którzy zanim zajmowali się pszczelnictwem, każdą wolną godzinę obracali na to, aby przesiadywać w karczmie, pić, w karty grać, albo też popisywać się nierozsądnymi, politycznemi rozumowaniami. Odkąd atoli poświęcili się pszczelnictwu, są ludźmi porządnymi przebywają chętnie w domu wśród swych rodzin, pokochali dom i pracę.“

W jednym tylko wypadku rój pszczoł zapomina o wrodzonej sobie pracowitości, nie znosi pożytku z pola, nie ciągnie woskiem, nie czyści komorek, zapomina o wrodzonej oszczędności, zjada wszystkie zapasy i pozwala je obcej wynosić pszczołom; zapomina o wzajemnej miłości, nie staje w obronie własnego domu, nie stawia oporu rabusiom, a to wtedy, kiedy stracił matkę i nie ma sposobu wychować sobie innej, a więc gdy już zwątpił o swoim własnym bycie.

Nie bądźmy jak zrozpaczony rój w rozsypance, lecz krzepmy swą własną rodzinę i naród przez wierne wykonywanie cnot społecznych: pracowitości, oszczędności, zgody i miłości.

P. C.



Pielęgnowanie dzieci.

Do zakresu pielęgnowania należy: staranie o dostarczenie dziecku świeżego i odpowiednio ciepłego powietrza; dbałość o czyste utrzymywanie ciała i troskliwość o dostarczenie odpowiedniej czystej odzieży i pościeli.

Świeże powietrze jest niezbędnym warunkiem do prawidłowego i zdrowego rozwijania się dziecięcia. Potrzebie tej wśród lata łatwo zadość uczynić można, gdyż podczas dni pogodnych i ciepłych mogą dzieci od pierwszych tygodni życia po kilka godzin przebywać w otwartych miejscach na świeżem powietrzu. Należy tylko zwracać uwagę, aby

dzieci nie narażać na zbytne działanie słońca lub na przeciągi. W chłodnej i wilgotnej porze jesiennej i wśród mroźnej zimy dzieci przeważnie przebywać muszą w miejscach zamkniętych, odpowiednio jednak ogrzanych i przewietrzanych. U dzieci zdrowych z każdego dnia pogodnego korzystać należy, ażeby choć chwilę kilka w godzinach południowych przebywały na świeżem powietrzu. Nawet na mrozie kilkostopniowym pobyt dla dziecięcia zdrowego, dobrze okrytego, nie byłby szkodliwy, i owszem tchnienie świeżego powietrza na ustrój jego wpływałoby nadzwyczaj ożywczo. Zważywszy je

dnak, że w jesieni i wśród zimy mało jest dni pogodnych, że dziecię skazane jest na przebywanie w miejscu zamkniętem, przeto starać się należy, aby pokój, w którym ono stale pozostaje, był suchy, widny i aby w nim jak najmniej osób przebywało, a tem samem, aby powietrze w owym pokoju było wyłącznie dla dziecka. Codziennie, nie zważając na porę, sypialnia powinna być przewietrzoną a na ten czas dziecię przenoszone do innego pokoju. Niestety nie wszystkie matki znajdują się w możności uczynienia zadość tym wymaganiom, a tysiące dzieci wśród zimy bywa pozbawionych świeżego powietrza, owego najważniejszego czynnika do prawidłowego rozwijania się. W ciasnych i małych pomieszkaniach, w izbach ciemnych, wilgotnych, pozbawionych słońca, gdzie przemieszkuje równocześnie wiele osób, gdzie gotują i piorą bieliznę, gdzie ze względu oszczędności opału przez całą zimę drzwi i okien nie otwierają, wątle niemowlę, przebywając stale wśród zimy, zdrowo wychować się nie może. Na twarzy jego wkrótce występuje bladeść, sen bywa przerywany i niespokojny, a bardzo często dostrzedz można przedwczesne oznaki choroby angielskiej lub skrofulów. Aby choć w części złemu zaradzić, powinny ubogie matki dokładać starania, aby stancya była przewietrzana a w dni pogodne powinny dzieci wynosić na świeże powietrze.

W mieszkaniu przez dziecię zajmowanem musi być jednostajne umiarkowane ciepło (według ciepłomierza Reaumura około 15 stopni).

Nagle zmiany w cieple, powietrze mroźne wśród zimy a skwarne upały wśród lata szkodliwy wpływ wywierają na zdrowie dzieci, które też w jesieni i w zimie przy obniżonej ciepłocie łatwo dostają chorób gardlanych i płucnych, a wśród lata wystawiane na wpływ upału słonecznego często podpadają ciężkim chorobom kiszgowym lub groźnym cierpieniom mózgowym.

Czyste utrzymywanie powłok ciała jest niezbędnym warunkiem do zdrowia, gdyż wydzielający się

pot, oddawany mocz i stolec, drażniąc delikatną skórę dziecięcia, wywołują na niej z początku zaczerwienienie, później zatarcia, pryszcze lub owrzodzenia. Dziecię nie dbale i nieczysto utrzymywane nie tylko cierpi, i wskutek tego bywa niespokojne, ale rozpościerając woń nieprzyjemną, staje się wstrętne dla otoczenia. Porządna i dbała matka starać się musi, aby dziecię po każdym zanieczyszczeniu było natychmiast obmyte, wytarte i w świeże owinięte pieluchy. Do zupełnej czystości potrzebne są kąpiele, przyrządzone w następujący sposób:

1. Wyłącznie dla dziecięcia w każdym domu powinna być osobna drewniana lub blaszana wanienska.

2. Najlepszą do kąpiei jest woda deszczowa lub rzeczna; mniej odpowiednią jest woda źródłana i studzienna, gdyż bywa twardą. Wodę twardą można jednak złagodzić przez dłuższe gotowanie, dodając następnie nieco sody (około $\frac{1}{2}$ łyżki stołowej na konewkę wody) lub otrąb pszennych (około kwaterki na konewkę).

3. Kąpiel musi być letnia (według ciepłomierza Reaumura 27 do 28 stopni). Zbyt ciepłe kąpiele szkodzą: drażniąc niepotrzebnie skórę, wydelikacają dzieci, sprządzają skłonność do chorób płucnych, a wreszcie wywołują silniejszy napływ krwi do mózgu. Wogóle kąpiel letnia na 27—28 stopni jest odpowiednią w ciągu całego pierwszego roku życia. U dzieci zdrowych, dobrze rozwijających się, a zwłaszcza w porze letniej, poczynając już od drugiego miesiąca życia, można dawać kąpiele chłodniejsze na 27, 26 a nawet 25 stopni. Obmywania chłodne, zdaniem naszym, można zaczynać u dzieci dopiero po pierwszym roku życia. W celach leczniczych można niekiedy stosować je wcześniej, zawsze jednakże za poprzednią poradą lekarską.

4. Do kąpiei wkłada się dziecię zupełnie obnażone lub owinięte kawałkiem czystego niekrochmalnego płótna, podkładając pod główkę w kłębek zwinięty ręcznik lub gąbkę. Dziecię ułożone wznak, powinno być tak zanurzonem w wodzie, aby ponad nią znajdowała się górna część piersi

i twarz cała, przyczem baczyć należy, aby woda nie dostawała się do ust, nosa lub oczu.

5. W kąpeli nie należy dziecka zostawiać spokojnie, ale bez przerwy trzeba je nacierać ręką lub polewać wodą, czerpiąc ją z wanienki garnuszkiem lub złożoną ręką.

6. Kąpiel ma trwać 5 do 8 minut, po-czem dziecię wyjęte i wytarte należy owinać w suche, miękkie i nieco ogrzane prześcieradełko, a otuliwszy kołderką, zostawić w spokoju przez 5 do 10 minut.

7. W pierwszych dwóch tygodniach dobrze jest kąpać dzieci dwa razy dziennie, następnie do trzeciego lub czwartego miesiąca codziennie, później zaś u wielu dzieci wystarczy stosowanie kąpeli co drugi dzień.

8. Pojawi się u dziecięcia gorączka, silniejszy katar, kaszel, podejrzana jaka wysypka, to wstrzymać należy kąpiele i ograniczyć się tylko do przelotnych zmywań tych miejsc, które najczęściej ulegają zanieczyszczeniu. Zaburzenia żołądkowe, jak bóleści i rozwolnienie, nie przeszkadzają w kąpaniu, owszem w porze letniej, przy silniejszych nawet biegunkach, kąpiele chłodne korzystnie wpływają na przebieg choroby.

9. Po każdej kąpeli przed ubraniem dziecięcia trzeba u niego dokładnie zbadać wszystkie fałdy i zagłębienia skóry, w których gromadzący się pot i inne nieczystości łatwo wywołują zatarcia i odparzenia. Fałdy takie u dzieci pulchnych i zażywnych znajdują się na szyi, pod pachami, w pachwinkach, w kroku i na pośladkach. Zagłębienia zaś, na które zwracać należy uwagę, są: otwór stolcowy i dołek pępkowy.

Wszystkie miejsca powyżej podane należy starannie obejrzeć, jeszcze raz wytrzeć miękkim kawałkiem płótna i zasypać. Do zasypywania posługiwać się należy czystą mąką ryżową lub proszkiem widłakowym (lycopodium). Dla kogo zasypki te są za drogie, z tym samym skutkiem może się posługiwać mąką żytnią lub owsianą, chociaż ostatnie z tego

względu są mniej dobre, że zmieszane z potem, zarabiają się łatwo w lepkie ciasto.

Jeżeli pomimo przestrzegania czystości i starannego oczyszczania i zasypywania fałdów skórnych powstają w tychże zaczerwienienia i odparzenia, wtenczas zalecamy do zasypywania mąkę ryżową, zmieszaną na pół z federweisem t. j. tym delikatnym proszkiem, który bywa używanym do rękawiczek i trzewików, aby je łatwiej naciągać można. Jeżeli i ta zasypka okaże się nieskuteczną, świadczy to o wielkiej drażliwości skóry dziecięcia i zasięgnąć należy porady lekar-skiej.

Na okolicę pępkową szczególniejszą uwagę zwracać należy w pierwszych trzech tygodniach życia. Zaraz po urodzeniu uciepioną jest przy brzuszku podwiazana część sznurka pępkowego, która stopniowo więdnąc i usychając, odpada między piątym a siódmym dniem życia. Wtenczas tak wśród kąpeli jak i przy wycieraniu dziecka uważać należy, aby pępowiny nie naciągać i przedwcześnie nie oderwać. Więdący sznureczek trzeba troskliwie owijać miękkim płatkami czystego płótna, albo jeszcze lepiej pokrywać cienką warstwą czystej waty, kupionej w aptece. Gdy pępowina odpadnie, uważać należy, aby do dołeczka pępkowego nie dostawała się urynka, kał, lub inne drażniące nieczystości. Pamiętać bowiem należy, że na dnie tego dołka jest zawsze mała rana, która zabliźnia się dopiero po upływie 8 do 10 dni. Jeżeli w tym czasie z dołka pępkowego zacznie się sączyć krew, wydzielina kleista, śluzowa, albo co gorsza gęsta cuchnąca ropa, jeżeli obok tego okaże się zaczerwienienie lub napuchnienie, należy zawczasu poradzić się lekarza, aby ochronić dziecię od ciężkiej, niekiedy bardzo niebezpiecznej choroby pępkowej.

Wreszcie mówiąc o czystości, zalecamy jeszcze codzienne zmywanie letnią mydlaną wodą skóry na głowie pokrytej włosami. Wiele nawet dbałych matek u nas nie czyni tego częścią z przesądu, częścią z obawy, aby

nie ugniatać miękkiego ciemienia i dziecieniu nie wyrządzić szkody. Tymczasem skóra na głowie wydziela nie tylko pot, ale i tłuszcz w znacznej ilości, które nieusunięte, mieszając się z pyłem i z innymi nieczystościami, tworzą na powierzchni głowy grube, ciemno zabarwione powłoki. Strupki takie są szkodliwe. Pod nimi zwykle świeżo wydobywający się pot, drażniąc skórę, wywołuje pryszcze, owrzodzenia, przez co rozwój włosów bywa znacznie upośledzony. Radzimy zatem strupów takich na główce dziecka nie zostawiać, wytworzone już rozmiękczyć czystą oliwą lub świeżym tłuszczem a następnie starannie zmywać główkę wodą z mydłem, jak to wyżej wspomniano.

O d z i e ż. Rozpowszechnionym jest chwalebny zwyczaj, że jeszcze w czasie ciąży same matki lub bliscy członkowie rodziny przygotowują dla mającego przyjść na świat dziecięcia potrzebną odzież, czyli tak zwaną wyprawkę. Bywa ona w miarę zamożności u jednych obfita i wykwintna, u drugich skromna i niedostateczna. Często niedoświadczone, choć zamożne matki, błędzą, przygotowując dla dziecięcia odzież albo z niestosownego materiału, albo w takim niestosunku, iż niektórych części ubrania bywa za dużo, innych za mało (jak n. p. spostrzegać można, iż przysposobiono kilkanaście różnogatunkowych czepekczków obok kilku załedwie pieluszek). Wreszcie ubrania przygotowane bywają takich rozmiarów, że po przyjściu na świat dziecięcia okażą się bądź za ciasne, bądź za przestronne.

Trudną jest rzeczą przedłożyć tutaj wyczerpujące wskazówki; ograniczymy się zatem do kilku ważniejszych uwag, do których stosując się, młode matki, zwłaszcza przy pomocy starszych, doświadczonych kobiet uniknąć mogą przykrości i niemiłego zawodu wśród przysposabiania odzieży. Ubranie dziecięcia winno być zastosowane do jego wielkości, — potrzebną zatem dla matki jest wiadomość, że długość ciała dziecięcia nowonarodzonego, donoszonego i dobrze rozwiniętego wynosi 50 centymetrów, główka jego ma w obwodzie 36 cm., a obwód piersi pod

paszkami także 36 cm. Dziecię po narodzeniu rośnie prędko tak, że w szóstym miesiącu życia długość jego wynosi 70 cm., obwód główki 43 cm., a piersi pod paszkami 45 cm.

Podane wymiary wystarczą dla zręcznej i przemyślnej matki, aby stosując się do nich, przysposobiła ubranie odpowiedniej wielkości. Komu stosunki pozwalają, powinien dla dziecięcia przygotować następujące części ubrania:

1. **P o w i j a k i** z płótna grubego, szerokości 8 cm., długości 1 metra, potrzebne do zawijania pępownicy zaraz po urodzeniu a po odpadnięciu jej do osłaniania i chronienia od zanieczyszczenia dołka pępkowego. Później potrzebne są jeszcze do stałego ugniatań okolicy pępkowej, aby przy krzyku dzieci zabezpieczyć od powstawania przepuklin pępkowych.

2. **C z e p e c z k i** z płótna cienkiego lub robione szydełkiem. Czepce ciepłe, flanelowe lub z innego ciężkiego materiału podbijane watą nawet w porze zimowej, nie są potrzebne a nawet szkodliwe. Po dużych miastach rzadko już one bywają używane, ale można spotkać się z nimi dość często po wsiach i małych miasteczkach.

3. **K o s z u l k i** z płótna cienkiego, najlepiej starego, sięgające od szyi do kolanek, z tyłu rozcinane a wiązane na taśmiemki.

4. **K a f t a n i c z k i** w lecie z płótna grubszego a na zimę z cienkiego białego barchanu lub flanelki, tego samego kroju i wielkości jak koszulki.

5. Dalej potrzebne są **pieluchy** płócienne i płaty czworoboczne na 60 centymetrów, z płótna grubego na lato, a z białego barchanu lub flaneli na zimę, służące do owinięcia dziecka od pach aż do dołu. Następnie **podkłady** nieprzemakalne z ceraty lub płótna gumowego, czworoboczne na 25 do 30 cm. w celu zapobiegania przesiąkaniu wydzielającego się moczu i stolca.

6. Wreszcie dla ustalenia dziecięcia przy noszeniu a równocześnie dla ciepła potrzebną jest w zimie odpowiedniej wielkości **pierzana poduszka**, w le-

cie kołderka pikowana z watą lub kołderka materacowa, wysłana włósiem.

W ubieraniu dziecka każda matka przy pomocy doświadczonej osoby musi nabrać wprawy, aby dziecko własną odzieżą ani nie było krępowane, ani aby ubranie nie leżało wolno.

Bielizna dziecięcia musi być zmieniać na po każdym zanieczyszczeniu, w praniu niekrochmaloną, aby nie drażniła delikatnej skóry. Poduszka lub kołderka musi być na świeżem powietrzu często przewietrzana a w porze zimowej przed użyciem ogrzana.

Pościeli łoże. Poduszka lub kołderka powyżej opisane stanowią po części ubranie a po części pościel dziecka, w których dla spoczynku lub snu układa się dzieci w odpowiednim łożu.

Przedewszystkiem przestrzegamy, że nigdy nie powinny matki układać dzieci do snu w łóżku obok siebie, gdyż znane są okropne przypadki, że matki w głębokim śnie pogrążone bezwiednie własnym ciałem dzieci przygniatały i dusiły!

Najwięcej rozpowszechnionem i od niepamiętnych czasów używanem łożem dla dzieci jest kołyska, której ruchy jednostajne i łagodne przyczyniają się do uspakajania i usypiania dzieci. Ale własności tej wiele matek nadużywa i przyłada sposobności, gdy dziecię się obudzi lub zakwili, natychmiast puszcza ją w ruch bieguny kołyski, nie przekonawszy się wprzód, czy dziecię z innych powodów jest niespokojne. Wszak mogą mu dolegać źle ułożone fałdy ubrania, może być mokre i zanieczyszczone, mogą dokuczać mu owady i t. p. Na to częstokroć nie zwraca się uwagi, a kołysanie bywa jedynym środkiem do uspokojenia. Postępując w ten sposób, w krótkim czasie dzieci nałogowo przyzwyczajają się do kołysania, i nie tylko bez niego nie usypiają, ale budzą się w tej chwili, gdy staną bieguny kołyski. W tych razach matki same przypisują sobie winę, że stają się niewolnicami dzieci i dla spokoju muszą je kołysać po całych dniach i nocach. Co więcej, dziecko przyzwyczajone do kołysania, nie łatwo

od niego odwyknie i znane są przypadki, że dziecię, nawet kilkuletnie, bez kołyski zasnąć nie może. Nie występując w zasadzie przeciw kołysce, nadmienić jednak musimy, że i bez niej dziecko wychować się może, że nie należy ona do niezbędnych sprzętów w zaraniu życia ludzkiego. Kołyski koszykowe, plecione z sitowia, jako przewiewne, są odpowiedniejszej, niż robione z desek. Po wsiach w miejsce kołyski bywają używane niecki w miękkim żłobione drzewie i w zupełności zastąpić ją mogą. Wyścielanie kołyski pierzynkami lub materacykami jest niepotrzebne a nawet nieodpowiednie z tej przyczyny, iż bywają łatwo przez dzieci zanieczyszczone. Najlepszym podścieliskiem w kołysce jest świeże suche siano jako materiał tani, łatwy do nabycia, a wskutek tego może być często zmieniany.

Zamiast kołyski może być dziecię od pierwszych dni życia do snu układane we własnym łóżeczku, zaopatrzonem balaskami lub kratką ze szpagatu, które może mu służyć przez lat kilka.

Dobrem, choć kosztownem i zbytko-wnem łożem dla dziecięcia jest wózek, w którym w porze letniej nie tylko do snu układać, ale i na świeże powietrze dzieci wywozić można.

Wreszcie bardzo dobrym sprzętem do spoczynku jest hamak, który na drążkach lub drzewach zawieszony nie tylko wygodne stanowi łoże, ale dziecię w nim złożone wystawionem jest ze wszystkich stron na ożywcze działanie świeżego powietrza. Hamaki zanadto mało rozpowszechnione są w naszym kraju, chociaż po wsiach mają one zastosowanie w tej postaci, że niewiasty pracując w polu, zawiązują swe dzieci w płachtę, zawieszając ją następnie na dwóch lub trzech drążkach, wbitych do ziemi. Jest to z pewnością zwyczaj odwieczny, a bardzo dobry, gdyż dziecię zostawione czas dłuższy w tem położeniu, kąpie się w świeżem powietrzu, co niesłychanie przyczynia się do rozwoju sił i zdrowia.

Dlatego życzymy i doradzamy, aby podobnie jak po wsiach niewiasty zawieszają w płachtach niemowlęta na świeżem

powietrzu, i po miastach między klasą za-
możniejszą weszły w użycie lekkie i prze-
wiewne hamaki, mogące wśród lata z
wielką korzyścią zastępować kołyski i
wózki kosztowne.

Odpowiednie zachowanie się niewiasty w okresie karmienia

wywiera niepośledni wpływ na rozwój i
zdrowie dziecięcia, a w tym kierunku za-
leca się, co następuje:

1. Czystość w utrzymywaniu ciała,
biorąc przynajmniej raz w tygodniu ką-
piel letnią. Kobiety zdrowe, do katarów
nieskłonne, mogą nawet wśród lata uży-
wać codziennie kąpieli rzecznej. Zaniedbywanie kąpieli, a wskutek tego bru-
dne utrzymywanie ciała, utrudnia wydzie-
lanie potu i wpływa szkodliwie na wy-
dzielanie pokarmu.

2. Bielizna musi być zawsze czystą,
odzież wygodna, zastosowana do pory ro-
ku. W lecie ma być ona lekka i chłodna,
aby nie sprowadzać nadmiernych potów,
w zimie odpowiednio ciepła, aby chroniła
od przeziębienia i katarów. Noszona odzież
powinna być wygodna, nie zbyt obcisła;
szczególniej karmiąca niewiasta nie po-
winna nosić ciasnych gorsetów i sznurów-
wek, gdyż do piersi uciśniętych pokarm
trudniej dopływa, a uciśnięte gruczoły
mleczne ulegz mogą zapaleniu, chorobie
nie tylko bardzo dolegliwej, ale sprowa-
dzającej utratę pokarmu w dotkniętej
piersi.

3. Umiarkowany ruch i praca są bar-
dzo pożądane, a leniwa bezczynność lub
nadmierna, siły wyczerpująca robota
wpływa niekorzystnie na wydzielanie po-
karmu.

4. Karmiąca starać się powinna o trwa-
ły spokój moralny i swobodę umysłu.
Unikać zatem musi wszelkich okazji, po-
budzających ją do gniewu lub kłótni. Ko-
bieta zajmująca się gospodarstwem lub
interesami, winna panować nad sobą, aby
małe niepowodzenia lub szkody nie wpro-
wadzały ją w stan rozdrażnienia; a jeśli
tego nie może, musi się usunąć od zajęć,
albo zaniechać karmienia. Wreszcie wy-
kształcone panie, karmiące dzieci, nie po-

winny dużo czasu poświęcać czytaniu
książek, zwłaszcza zawierających opisy
przygód niezwykłych i smutnych, działa-
jących pobudzająco na wyobraźnię i pod-
niecających nerwy. Krótko mówiąc, każda
czynność, która wprowadzić może kobie-
tę karmiącą w nienaturalny stan rozdraż-
nienia, powinna być troskliwie unikana,
gdyż działa niesłychanie szkodliwie naj-
przód na wydzielanie pokarmu, a potem
na dziecko.

5. Sumienna żywicielka troskliwie uni-
kać powinna wczesnego podniecania i za-
spakajania popędu płciowego. Mażeń-
stwa, o ile się da, jak najdłużej winny żyć
w odosobnieniu, a godnem polecenia jest,
aby odosobnienie to trwało przez cały o-
kres karmienia. Wczesne obcowanie z mę-
żem łatwo sprowadzić może ponowne za-
stąpienie niewiasty, a natenczas nie tylko
pokarm zmienia się i ubywa, przez co sta-
je się szkodliwym i niedostatecznym dla
dziecięcia, ale co więcej sama matka ni-
szczeje, gdyż soki jej żywotne wyczerpu-
ją się z jednej strony na wytwarzanie po-
karmu, z drugiej strony na rozwijanie no-
wego płodu. Wogóle zastąpienie niewiasty
wśród karmienia potrójną przynosi szko-
dę: dla niej samej, dla żyjącego już i dla
tworzącego się dziecięcia. Dlatego w ra-
zie zastąpienia lepiej jest, aby matka kar-
mić przestała.

6. U niewiast zdrowych pierwsze czy-
szczenia miesięczne występują zwykle
wśród karmienia w piątym lub szóstym
miesiącu po porodzie, a jeśli nie są zbyt
obfite, nie wpływają na wydzielanie po-
karmu i dzieci tego nie odczuwają. Ina-
czej rzecz się ma, jeżeli regularność wy-
stąpi wcześniej lub bywa obfita. Wte-
czas pokarmu ubywa, staje się on gęst-
szym, przyczem dzieci bywają niespokoj-
ne i częstokroć dostają przypadłości żo-
ładkowych. Wśród nieprawidłowego wy-
stąpienia regularności u karmiącej, pożą-
daną jest rzeczą jak najwcześniej zasię-
gnąć porady lekarskiej.

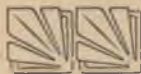
7. Pożywienie karmiącej niewiasty
składać się powinno z pokarmów zdro-
wych, świeżych i łatwo strawnych, a do
tych należą w pierwszym rzędzie mleko

i pokarmy przyrządzane z mięsa i jaj. Obok tego dodatkowo zalecają się pokarmy, w których skład wchodzi mąka, cukier, świeże tłuszcze, owoce i jarzyny. Rozsądna i dobra gospodyni z produktów powyżej podanych przyrządzi sobie tak pożywienie, że będzie ono wystarczającym do utrzymania sił i wyrabiania dobrego pokarmu. Szkodliwymi i nieodpowiednimi wśród karmienia są pożywienia kwaśne, przyrządzane na occie lub innych fermentach, mięsiwa tłuste i długo przechowywane, jako wędliny i marynaty, pokarmy silnie zaprawione korzeniami i różnymi ostreми przyprawami, jarzyny rozdymające i niedojrzałe owoce. Wogóle pamiętać należy, że pokarmy niestosowne i niezdrowe nie tylko spowodują niestrawność u karmiącej, ale także niektóre dostają się do pokarmu i trują dziecko.

8. Obok stosownego pożywienia potrzebne są i napoje, bez których pokarm wprowadzić może być pożywnym, ale będzie gęsty i ciężki. Najlepszym naturalnym napojem jest czysta woda źródłana, ale niestety nie wszędzie jest dobrą i nie każda kobieta ją znosi. W zastępstwie tejże zalecić możemy w pierwszych tygodniach po porodzie napoje łagodne, jak napary ze ślazu, lipowego kwiatu, badyjanku, które według własnego smaku wybierać można, popijając czyste lub nieco osłodzone cukrem. Napoje powyższe mogą być zastąpione pokarmami płynnymi, jak wodzianeczką, zacierką na wodzie, lekką kawą lub herbatą. Po kilku tygodniach może już kobieta używać za napój wodę z winem lub dobre, lecz niezbyt silne i gorzkie piwo. Ostatnie przyczynia się nawet bardzo do wyrabiania pokarmu i zaleca się do używania tym niewiastom, które do picia piwa były już poprzednio przyzwyczajone, u których pokarm wydziela się ską-

po i które uważają, że karmienie siły ich wyczerpuje. Natomiast piwa pić nie powinny kobiety silne, do trunku tego nie przyzwyczajone, i które uważają, że trunek ten zaudadno je rozgrzewa i rozpała.

Używanie trunków spirytusowych, jak mocnego wina, korzennego miodu, likierów i wódek wszelkiego gatunku dla karmiącej nie tylko jest niepotrzebnem, ale dla dziecka wręcz szkodliwem, gdyż wypity spirytus niezmieniony dostaje się do pokarmu i dziecko upaja. Ale niestety pod tym względem liczne dzieją się nadużycia z wielką krzywdą dla dziecka. Zdarzają się liczne okazy, jak chrzciny, uroczyste święta, imieniny i t. p., wśród których niewstrzeźliwe matki raczą się większymi ilościami gorących trunków. Naten czas nadużycia takie szkodę przynoszą dziecku. Wywołują zawsze silniejszy napływ krwi do mózgu, a dosyć często groźniejsze następstwa, jako to konwulsye lub zapalenia mózgu. Najgorszą sprawą jest, jeżeli kobieta przyzwyczajona do picia wódki nie może się powstrzymać od tego nałogu podczas karmienia. Smutny los gotuje ona dziecięciu swemu, gdyż żywiąc go pokarmem nasyconym wódką, wprowadza go w stan upojenia, który albo doraźnie spowoduje powyżej nadmienione choroby mózgowie, albo w późniejszym wieku fatalne wywołuje następstwa. Znaną powszechnie jest rzeczą, że dzieci, których matki wśród karmienia upijały się, w późniejszym wieku bywają ludźmi drażliwymi, popędliwymi, bardzo często ulegają chorobom umysłowym. Niechajże te słowa będą przestrogą dla tych matek, w których sercu nie wygasło jeszcze uczucie macierzyńskie! Jeżeli nałóg pijaństwa wogóle jest wstrętnym i obrzydliwym, to upijanie się karmiącej kobiety jest zbrodnią, i to **zbrodnią największą**, bo dokonywaną na **swojem dziecku**.





APTEKA DOMOWA.

Kochany czytelniku! Nieraz wydajesz wielkie sumy na różne lekarstwa, i czasem bez skutku. Zbieraj ziółka a sam możesz przyrządzić sobie lekarstwa bez aptekarza, a będziesz przekonany, że masz prawdziwe, niesfałszowane lekarstwo.

Agawa amerykańska. (*Agave amer. L.*) Liść ugotowany w wodzie daje herbatę doskonale czyszczącą kiszkę i żołądek. Gdy się na podniebieniu porobiły pęcherze, odwar z liści z łyżeczką miodu zażyty w małych ilościach działa bardzo dobrze, również gasi wewnętrzną gorączkę. Kto się zranił lub ma wrzód, niechaj przykładają liście.

Aloes. (*Aloe vulgaris L.*) Proszku 1—2 razy na koniec noża, zagotowanego z łyżeczką miodu, przeczyszcza doskonale i bez bólu żołądek. Kto ma oczy bolejące, mętne, czerwone, krwią zachodzące, z których materyja i nieczystości cieką, ten niech sporządzi sobie z aloesu wodę do oczu. Do faszki sypie się aloesu na koniec łyżeczki; nalewa gorącą wodę, dobrze zmieszać. Sporządzoną wodą omywa się oczy 3 razy dziennie; również zastarzałe rany goją się prędko od tej wody.

Anyż. (*Pimpinella anisum.*) Olejek z anyżu kupuje się najlepiej w aptece. Używa się go przeciw wiatrom, biorąc 5—8 kropli na cukier 2 razy dziennie.

Borówka czarna. (*Vaccinium myrtillus.*) Kto cierpi na lekkie rozwolnienie, niech 5 razy przez dzień pogryzie i połknie kilka suchych surowych borówek. Na silne, przewlekłe rozwolnienie, połączone z boleściami, bierze się $\frac{1}{8}$ litra ciepłej wody, rozpuszcza się łyżkę suchych borówek i używa 2 lub 3 razy co 6 godzin.

Dziwanna. (*Verbascum Schraderi Meyer.*) Herbata z tej rośliny bardzo skutkuje w dolegliwościach gardła, katarach, zapłęgnięciu piersi, braku oddechu.

Dziurawiec pospolity. (*Hypericum per-*

foratum.) To ziele wywiera wielki wpływ na wątrobę; herbata z dziurawca jest dobrem dla niej lekarstwem. Mała domieszka aloesu wzmacnia jego działanie. Bole głowy, pochodzące z wodnistych cieczy, lub gnieceń w żołądku, zapłęgnięciu płuc leczy herbata z dziurawca prędko.

Jałowiec. (*Juniperus communis.*) Zwyczaj a niewinny ten środek ma wielkie zalety, dzięki którym niejeden przedwczesnej śmierci uszedł. Używa się go do „wykadenia“, gdzie leżał chory na zaraźliwą chorobę lub umarli lub w czasie zaraźliwych epidemij, oczyści powietrze przez silne wykadzenie. On truje wszelkie grzybki, bakterie, unoszące się w powietrzu. Również jałowiec można używać wewnątrz. Kto w usługiwaniu ciężko chorych wystawiony jest na niebezpieczeństwo zarażenia się, ten niech żuje zawsze ziarenka jałowcu kilka razy dziennie. Niszczy przytem szkodliwe bakcyle, wyziewy i t. d.

Słabowici na żołądek niechaj poddają się radom ks. Kneippa, który zaleca: Pierwszego dnia żuć 4 ziarenka, drugiego dnia 5 ziarenek; trzeciego 6; czwartego 7; i tak codzień o jedno ziarenko więcej brać należy, aż dojdzie się w 12-tym dniu do 15 ziarenek. Potem opuszcza się codzień jedno ziarenko, aż po 10 dniach spadnie na 5 ziarenek.

Jemiola. (*Viscum album.*) Herbata z jemioli wstrzymuje silne krwotoki (miesięczne peryody) i przy innych zaburzeniach krwi.

Kamfora. Kupuje się w aptece i rozpuszcza w spirytusie. Używa się go ze-

wnętrze do nacierania przy zgnieci-
niach, wywichnięciach, reumatycznych i
kurczowych cierpieniach.

Lipowy kwiat. Herbata sporządzona z
lipowego kwiatu lub białego bzu jest do-
brym środkiem na poty. Bardzo znakomite
usługi oddaje przeciw starym kaszlom,
przy zaflegmieniach piersi i oskrzeli i ne-
rek. Można także domieszać bzu i dziu-
rawca.

Piołun (*Artemisia absinthium*) zmieszany z **szatwą** (*Salvia officinalis*). Sporząd-
zona z tychże herbata działa znakomicie
u dzieci i starszych na żołądek, kiszkę i
wątrobę. Przy katarze kiszek, niestrawno-
ściach pije się herbatę 3—4 razy dziennie
po małej filiżance.

Podbiał. (*Tussilago farfara*.) Bardzo
dobre jest pić herbatę z podbiału dla o-
czyszczenia płuc i piersi. Dychawiczość
i kaszel usuwa się łatwo tą rośliną, zwa-
szcza przy początkach suchot.

Pokrzywa wielka. (*Urtica dioica*.)
Świeża pokrzywa, ususzona i zaparzona
na herbatę, rozpuszcza flegmę w pier-
siach i płucach, oczyszcza żołądek z za-
legających substancji i wyprowadza je
wraz z moczem.

Pomornik górski. (*Arnica montana*.)
Bierze się kwiat, można i z korzeniami.
moczy się w spirytusie i ma się po 3
dniach gotowy nastój. W zranieniach uży-
wa się: rany wymywa się wodą zmieszana
z trocha nastojem, wystarczy łyżka na
szklanek wody; ranę się ścisza tak, aby
brzegi schodziły się ze sobą i zawiązuje
się lnianą szmatką; na wierzch daje się
watę zmieszana w tynkturze i znowu się
przewiązuje szmatką. Ból ustaje zaraz i
nie wraca więcej; gojenie następuje szybko.
Gdy tworzy się materya, trzeba ją
wymyć i opatrunek świeżo zrobić. Na zbi-
cia, zgniecenia, zmiażdżenia, obrzmienia
spowodowane ukłóciem osy, pszczoły, bole
krzyżów, naciera się nastojem 3 do 4
razy dziennie lub robi się okłady ciepłe z
odwaru ziół arniki.

Środek na rozwolnienie.

Recepta:

2 łyżki stołowe mielonego włoskiego
kopru;

3 łyżki stoł. rozgniecionego jałowcu;
1 łyżka stołowa foenum graecum;
3 łyżki stołowe proszku z korzenia
bzu niskiego;

1 łyżka stołowa aloesu.

Herbata z tych dań sporządzona dzia-
ła dobrze na stolec, działa skutecznie na
nerki i pęcherz; chore pierwiastki wype-
dza ona z moczem. Kto cierpi na dolegli-
wości podbrzusza (w okolicy pęcherza)
lub ma trudności w oddawaniu moczu, pę-
czenia w pęcherzu i nerkach, początki wo-
dnej puchliny, ten niech spokojnie używa
tego środka. Używa się filiżankę tej herba-
ty wieczór przed snaniem. Do filiżanki
wystarczy 1 łyżeczka od kawy tej mie-
szaniny, którą się gotuje $\frac{1}{4}$ godziny, od-
cedza i pije na zimno lub ciepło. Środek
ten działa dopiero po 16—28 godzinach,
nie sprawiając żadnych boleści.

Siano. Przy kurczach, przypadło-
ściach brzucha, w reumatyzmach, gośćcu,
oddaje siano zaparzone znakomite usługi.
Zlewa się siano gorącą wodą, po kilku mi-
nutach kładzie się na złożone płótno i o-
kłada miejsce, gdzie się czuje ból i nakry-
wa szczelnie pierzyną.

Ser. Kwaśne mleko stawia się obok
ognia. Dzieli się ono wtenczas na część
stałą i płynną. Płynną jest serwatka, sta-
łą — ser. Ser świeży ubija się (kłóci) z
serwatką na miękką masę, nakłada się ją
grubo na 2 palce na płótno, i plaster taki
przykłada na miejsce, gdzie kłóci e pali.
skąd zapalenie szerzyć się usiłuje. Używa
się go przy zapaleniach płuc, opłucnej, o-
sierzdia, podbrzusza. Niemasz środka, któ-
ry byłby w stanie bardziej ochłodzić i
wciągnąć w siebie więcej gorączki. Przy-
kłada się go 3—5 razy na dzień, stosownie
do stopnia gorączki; dlatego w okolicy,
gdzie po lekarzu daleko jechać trzeba, do-
brze jest uciec się do tego środka, nim le-
karz nadejdzie.

Kasze: owsiana, jęczmienna, ryż, a na-
wet hreczana, tak zwana tatarka. Kleisty
odwar kaszy owsianej, jęczmiennej i ryżu
ma wielorakie zastosowanie, i tak: w bie-
gunce, kaszlu, wymiotach z kurczu żołąd-
ka pochodzących, przy kolce, przy bole-
snem wypróżnianiu moczu, w dysenterji.

czarwonce, a nawet w przygotowaniu lewatyw. Biegunki wstrzymuje także u dzieci orszada migdałowa, nie potrzeba jej przygotowywać w domu, bo się ją w każdej aptece dostanie, lub czekolada, kakao, odwar z suszonych gruszek, suszonych ja-

gód poziomkowych lub suszonych borówek. Dla osób starszych polecenia godnem jest wino z borówek, wino z ostrejżyn, a w braku tego lekko zgotowana kasha hreczana, tylko nie w nadmiernej ilości.

Przemysł, handel i górnictwo.

Przemysł, z którego Śląsk słynie dzisiaj, był w średnich wiekach zaledwie w zawiązku. Rzemieślnicy wytwarzali przezwaznie na zamówienia lub na sprzedaż na jarmarkach śląskich, dla odbiorców miejscowych. Organizacya cechowa utrudniała rozwój przemysłu, wprowadzie bowiem starszyzna cechowa czuwała nad dobrocią wyrobów, ale równocześnie starała się przeszkodzić konkurencyi i powstrzymywała rozwój rzemiosła ze względu na innych członków. Na większą skalę rozwinęło się dosyć wczesnie sukiennictwo, któremu początek dali prawdopodobnie wallońscy koloniści, chociaż sukno śląskie nie należało do lepszych. Lepsze gatunki sprowadzano z Anglii i Niderlandów. Przemysł lniany zaczął się rozwijać dopiero z końcem wieków średnich, skoro rozpowszechniło się używanie bieleznych lnianej, ale zato w nowszych czasach płótno śląskie i wyroby płócienne zajęły pierwsze miejsce wśród wytworów przemysłowych, tak że, jak powiada rada wrocławska (1678 r.), z niego „das ganze bergichte und das halbe land Schlesien einig und allein lebet“. Rozchodziły się daleko poza Śląsk, do Hiszpanii, Moskwy, a nawet do Afryki i Indyi, dokąd je zawozić kupcy obcy, nie ślascy. Drugie miejsce po wyrobach lnianych, nie tylko w nowszych, ale także w średnich wiekach, zajmowało piwowarstwo. To kwitnęło szczególnie w Świdnicy i piwo stamtąd pochodzące miało największą sławę i wysyłało je także w znacznej ilości poza Śląsk, na wschód; po niem piwo wrocławskie i cieszyńskie.

Inne wyroby przemysłu były jednak tylko przedmiotem handlu w obrębie kraju. Głównym punktem ich sprzedaży był Wrocław, który miał wyjątkowe przywileje, nadające mu charakter miasta wybitnie handlowego. Tam skupiał się cały handel nie tylko produktami miejscowymi, ale także zagranicznymi, których przywóz i wywóz stanowił istotę i główną podstawę handlu. Wrocław bowiem miał od r. 1274 t. zw. prawo składowe. Na mocy tego prawa wszystkie towary, pochodzące z poza Śląska, przywiezione przez kupców obcych i śląskich, ale nie wrocławskich, bo tych ono nie dotyczyło, musiały przechodzić przez to miasto i tam jakiś czas, kilka dni, być wystawione na sprzedaż. Kupcy wrocławscy skupywali je od nich i rozwozili w dalsze strony, stając się przez to prawie wyłącznymi pośrednikami między Śląskiem a innymi krajami, gdyż inni kupcy ślascy nie mogli ich nabywać. To była główna korzyść, jaka wynikała dla Wrocławian z tego prawa. Ale były także inne. Napływ kupców obcych do miasta, tak z towarami, jak po nie, i pobyt ich kilkudniowy przynosił dochody miejscowym kramarzom i rzemieślnikom. Miasto pobierało od nich opłatę, zwaną składowem i cło. Wreszcie musieli kupcy obcy opłacać eskortę, dodawaną im dla bezpieczeństwa, która się składać mogła tylko z Wrocławian.

Wykonywanie prawa składowego było możliwem tylko przy ówczesnym stanie dróg handlowych. Drogi te były ściśle oznaczone i nie wolno ich było omijać, pod grozą utraty towarów. Zarządzenie

to miało przede wszystkim cel fiskalny. Książęta na drogach tych poustanawiali cła, a omijanie ich było z ich szkodą.

Prawo składowe, od którego wyięte były tylko niektóre t. zw. krajowe towary, wełna, zboże, żelazo, piwo, wino, kamienie, przynosiło Wrocławowi ogromne korzyści. Handel śląski stawał się przez nie handlem Wrocławia, dlatego też miasto starało się usilnie podtrzymywać je i wykonywać w całej pełni. Przychodziło to z trudnością. Bardzo niechętnie patrzyły na nie inne miasta śląskie, szczególnie większe, które miały ochotę rywalizować z Wrocławiem, a były przez to usunięte od udziału w ruchu handlowym zewnętrznym, to jest tym, który stanowił największe źródło dochodu. Protestowali przeciw niemu także energicznie kupcy obcy, którzy poza Wrocław nie mogli iść i tam musieli pozbywać swe towary, zmuszeni przyjąć cenę, którą im Wrocławianie ofiarowali.

Krajem, z którym i w którym Wrocławianie w średnich wiekach prowadzili najżywszy i najbardziej zyskowny handel, była Polska. Stąd przychodzi od dawna w wielkiej ilości sól. Śląsk własnej soli nie posiada. Robiono wprawdzie poszukiwania za nią, zwłaszcza tam, gdzie drobne jej ślady w postaci źródeł słonych się pokazywały, jak w Orłowej, w Solcy i gdzieindziej, ale nadaremnie. Trochę otrzymywano z wody morskiej, którą w formie t. zw. Boysalz sprowadzano Odrą i w Neusalz i we Wrocławiu przerabiano na zdatną do użytku. Przeważnie jednak pokrywano zapotrzebowanie w Halle, a więcej jeszcze w Galicyi, tak że droga z Wrocławia, wiodąca przez Psiepole, Kruczborg do Krakowa, nazywała się drogą solną.

Drugim ważnym towarem, w który się Śląsk zaopatrywał w Polsce, były woły, skupywane głównie w okolicach Jarosławia lub Rzeszowa lub sprowadzane z Mołdawii. Te szły przez Śląsk daleko w głąb Niemiec. Palatyn nadreński w XVI w. wysyłał corocznie kupców po 600 wołów.

Oprócz soli i wołów ważnymi przedmiotami wywozu były ołów z Olkusza,

futra, skóry i воск, który brano przeważnie z Rusi. Kupcy wrocławscy natomiast sprowadzali przez Polskę ze wschodu t. zw. towary wschodnie, jedwab; wyroby jedwabne i korzenie (pieprz, imbir). Brano je od Genuńczyków z nad morza Czarnego. Później, przy końcu wieków średnich, zaczęli te Wrocławianie sprowadzać z Wenecyi, w wiekach nowszych zaś z Niderlandów.

Natomiast Śląsk dostarczał Polsce wyrobów przemysłowych, najwięcej sukna, tak swego wyrobu, jak pochodzącego z Anglii i Flandryi, piwa, trochę owoców południowych i śledzi.

Aż po XIV. wiek mniej więcej handel polski był w rękach prawie wyłącznie Wrocławian. Oni sami ciągnęli z niego ogromne zyski. Ale skoro się w Polsce rozwinęło mieszczaństwo i nastał spokój po podziałach, kupcy krakowscy wystąpili do konkurencyi z Wrocławianami. Niemiecki Kraków rozpoczął walkę z niemieckim Wrocławiem o handel w Polsce. Kraków także posiadał w XIV. wieku prawo składowe. Kupcy wrocławscy mieli dochodzić tylko do Krakowa, ale nie dalej, bo dalej mieli iść krakowscy. Oni mieli być pośrednikami w dostarczaniu zachodowi towarów wschodnich, polskich, ruskich i węgierskich, zwiezionych przez nich do Krakowa.

Początek walki sięga panowania Kazimierza W., który, zdobywszy Ruś przy pomocy „swoich“, chciał także swoim zapewnić korzyści z tego i handel z Rusią i przez Ruś oddać w ręce swoich poddanych, choć niemieckich. On to postanowił, że kupiec obcy nie może w Polsce wchodzić z obcym w stosunki handlowe. Od następnych królów również doznawał Kraków poparcia w swoich usiłowaniach. Prawo składowe przyznano także Poznaniowi i Kaliszowi, miastom leżącym w pobliżu Śląska, aby kupców wrocławskich tylko dotąd dopuścić, zakazano kupcom polskim udawać się do Wrocławia i szukano innych dróg na Śląsk, takich, które by omijały Wrocław. Kupcy wrocławscy robią wszystko, aby uchylić te zarządzenia, które podkopywały całkiem ich han-

dlowe stanowisko. Udają się z prośbą o uchylenie ich do królów polskich, powołują się na dawną praktykę, na to, że przedtem mogli swobodnie chodzić przez całą Polskę, szukają poparcia u swoich władców, chwytają się innych dróg, mniej bezpiecznych, aby tylko ominąć Kraków. To jednak nie pomaga. Owszem kupcy polscy nie tylko usuwają wrocławskich od handlu w Polsce, nie tylko sami starają się rozwinąć swój handel na Śląsku, wyzyskując przeciw Wrocławowi niechęć innych miast śląskich, ale nadto zawiązują bezpośrednie stosunki z miastami południowo-niemieckimi, chcąc od nich dostać te towary, które przedtem przywozili Wrocławianie. W południowych Niemczech tworzą się wtedy potężne spółki kupieckie, które starają się ująć w swe ręce pośrednictwo w dostarczaniu Europie towarów wschodnich, gdy po opanowaniu morza Czarnego przez Turków dowóz ich tą drogą był utrudniony, a także niderlandzkich i angielskich sukien, rozporządzając zaś wielkimi kapitałami, stają się bardzo niebezpiecznym dla Wrocławia współzawodnikiem.

Stratę z tej strony postanowili Wrocławianie powetować sobie w inny sposób. Wiedząc, że sami nie będą w stanie utrzymać w całej ścisłości swego prawa składowego, weszli (r. 1512) w porozumienie z brandenburskim Frankfurtem nad Odrą. Obydwa miasta miały mieć prawo składowe i tylko do nich mogli przybywać obcy z towarami i śląscy kupcy po towary. Elektor brandenburski obiecał pomoc w utrzymaniu tego prawa, a Wrocławianie za to obowiązali się zamiast dotychczasową drogą przez Łużyce jeździć na zachód przez Brandenburgię. Kupiec przydybany gdzieindziej, lub kupiec śląski, lecz nie wrocławski, schwytany przy przewożeniu towarów, tracił je; połowa z nich miała przyspaść temu, który przyłapał, połowa królowi czeskiemu, którego chciano w ten sposób zjednać dla traktatu monopolu wrocławskiego.

Przeciw temu układowi jednak podniósł protest najpierw Głogów, który sam chciał wykonywać prawo składowe, dalej

miasta łużyckie i saskie, które się czuły pokrzywdzone zamierzoną zmianą dróg. Najsilniejszy jednak, a skuteczny opór napotkał on w Polsce. Kupcy polscy nie chcieli się poddać tym ograniczeniom, zmuszającym ich do trzymania się w stosunkach z zachodem wyłącznie Wrocławia, a gdy wskutek zarządzeń Zygmunta I. groziło Wrocławowi odebranie im handlu z Polską, który był dla nich niezbędny, Wrocławianie nie dopuścili do tego, zaniechali swego prawa wobec kupców polskich, a nawet przyrzekli, że go nigdy nie będą próbowali odnowić i że nigdy kupcy polscy nie będą doznawali żadnych przeszkód w handlu śląskim. Odtąd kupcy polscy mogli swobodnie przywozić towary do któregośkolwiek miasta śląskiego i sprzedawać je po całym Śląsku. Prawo składowe wrocławskie ich nie obowiązywało.

Utrzymali je natomiast Wrocławianie w stosunku do innych miast śląskich i kupców innych krajów i przestrzegali gorliwie. W tym celu odnowili nawet w połowie XVII. wieku układ z Frankfurtem. Według niego mogli kupcy wrocławscy przywozić swe towary do Frankfurtu, tam je sprzedawać przez 3 dni, ale nie obcym kupcom. Tym wolno było tylko na jarmarkach. Co nie sprzedali lub kupili we Frankfurcie, mogli wieźć dalej. Te same prawa mieli kupcy frankfurtyscy we Wrocławiu.

Układ ten różnił się znacznie od układu z r. 1512, ponieważ dotyczył także żeglugi na Odrze i postanawiał, że tylko osiadłym obywatelom wrocławskim i frankfurckim wolno spławiać Odrą towary.

Wtedy już bowiem dokonała się ważna zmiana dróg handlowych. Handel z Polską zmniejszył się. Podczas wojny 30-letniej dużo sukienników, tkaczy, farbiarzy i innych rzemieślników przeniosło się do Polski i wprowadzili tam nowe rzemiosła, wskutek czego Polacy mogli łatwiej obchodzić się bez wyrobów śląskich. Nadto Kraków, Toruń i Gdańsk odebrały Wrocławowi handel z krajami polskimi i pruskimi, który się odbywał teraz więcej

Wisłą, niż wozami. Także na Śląsku najważniejszą drogą handlową od XVI. wieku stała się Odra. Przedtem była tak zastawiona jazami, że nie można było się nią posługiwać. Statki po niej szły dopiero w Brandenburgii. Teraz przeszkody usunięto, koryto rzeki rozszerzono tak, że miało szerokości przeszło 16 łokci i odtąd ruch na niej ożywia się coraz bardziej.

Przez to zaś zmieniły się także inne drogi, łączące Śląsk z sąsiednimi krajami. Odtąd towary szły Odrą na północ ku morzu Bałtyckiemu, gdy dotychczas szły przez Toruń. Okręty wrocławskie nie mogły jednak z początku dochodzić aż do morza, tylko we Frankfurcie towary musiały być przeładowane na okręty frankfurckie. Ta okoliczność, a także wysokie cła na Sundzie stanowiły ważną przeszkodę w komunikacji z morzem Bałtyckiem. Nie tędy też skierował się główny ruch handlowy, lecz ku zachodowi, ku Niderlandom. Z krajem tym łączyły Śląsk od dawna bardzo żywe stosunki handlowe. Dawniej sprowadzano stamtąd sukna w zamian za płody surowe, skupione w Polsce i Węgrzech, teraz, gdy przywóz towarów wschodnich przez Polskę i Wenecję został zamknięty, i te przychodziły również przez Niderlandy. Ruch w tę stronę wzmógł się silnie, zwłaszcza po połączeniu Odry ze Sprewą i Łabą (r. 1668), koncentrował się zaś w Hamburgu, dokąd okręty śląskie zawoziły towary, a Hiszpanie i Anglicy rozwozili dalej, do Afryki i Indyi.

Przez uszlusowanie Odry na Śląsku, na której żegluga zaczynała się w Raciborzu, zmieniła się także droga łącząca Śląsk z Węgrami. Dotąd sprowadzono stamtąd towary przez Polskę i pośrednictwo w sprowadzaniu ich było drugim ważnym punktem spornym między kupcami wrocławskimi a krakowskimi, którzy chcieli, aby one przechodziły przez Kraków i żeby ich oni dostarczali wrocławskim. Mało uczęszczana była droga przez przełęcz jabłonkowską i Cieszyn. Teraz zaczyna on nabierać znaczenia, tędy wozami dostają się towary do Raciborza, skąd już Odrą idą dalej.

Głównymi towarami, które przychodziły z Węgier, były kruszce szlachetne, najwięcej miedzi, i wino. Trochę kruszców wydobywano także na Śląsku. Od końca XIII. w. wydobywano w Reichenstein złoto i srebro, ale chociaż właściciele kopalni, książęta Münsterbergu, starali się podtrzymać górnictwo, nie mogli się pochwalić większym rezultatem. Wydobytego złota starczyło zaledwie na podarki. W 1511 r. kupiła tę kopalnię sławna bankierska rodzina Fuggerów. Ci już przedtem wspólnie z rodziną Thurzów, eksploatawali kruszce w północnych Węgrzech, które przesyłali na północ przy pomocy swej faktoryi we Wrocławiu. Dla ułatwienia przewozu zawarli nawet z księciem cieszyńskim Kazimierzem układ (r. 1495), w którym książę pozwolił im używać drogi przez Jabłonków pod warunkiem, że ją będą utrzymywać w dobrym stanie, do czego wolno im brać drzewo z lasów książęcych. Ułożono się także co do ceł. Od każdego wozu miano płacić w Cieszynie 6 gr., we Frysztacie 4 gr.

Z Węgier było co wywozić; w r. 1519 przywieziono stamtąd z Neusohl do Wrocławia 8628 cetnarów miedzi, ale w r. 1536 aż 117.832 cetnarów. Natomiast kopalnie na Śląsku nie szły. Były wprawdzie lata, które przynosiły dochód, ale więcej było takich, które kończyły się stratą. W roku 1564, gdy wydobyto złota za 161 grzywien, zysk wynosił przeszło 27 fl., w 1561 nawet 579 fl. 21 hal., ale w r. 1566 dopłacili Fuggerowie 1140 fl., w poprzednim zaś aż 2179 fl. 24 h. Próbowali również kopać we Freiwaldau, ale także z małym skutkiem. W r. 1581 pozbyli się obu miejscowości i przestali kopać. Prócz złota wydobywano tam trochę srebra i więcej ołowiu. Jeszcze dawniejszą miała być kopalnia złota w Zuckmantel, ale i tu z niewielkim rezultatem. Biskup wrocławski, Baltazar Promnitz, który otrzymał od panującego prawo eksploatacyi, bo to było t. zw. regale, starał się ją podtrzymać i różnemi zarządzeniami przyciągał górników. W pierwszych latach mieli oni być wolni od wszelkich danin, dopiero kiedy praca zaczęłaby im przynosić zysk, mieli

oddawać dwunastą część wydobytego złota lub srebra. Biskup pozwalał im brać ze swoich lasów drzewo potrzebne do roboty. Mogli się oprócz tego zajmować jakimikolwiek rzemiosłami, nie płacąc od nich czynszu. Kiedy górnicy skarżyli się na wyzysk ze strony kupców, biskup pozwolił na otwarcie wolnego targu na mięso, chleb, sól i inne środki żywności. Mimo to wszystko wydobywanie złota nie szło. Produkcya nie opłacała się. W latach od 1653—1686 przyniosła kopalnia: złota wartości 50.183 tal. 10 gr. 1½ h., srebra za 495 tal. 24 gr. 4½ h., wityriolu i siarki za 11.687 tal. 32 gr. 4½ h., razem tedy za sumę przeszło 62.000 tal. To wszystko poszło na koszt i jeszcze musiano dodać 43.032 tal. I tę kopalnię zatem później zarzuciono.

Utrzymały się dłużej kopalnie innych kruszców, jak srebra w Tarnowicach i Gottesberg, miedzi w Kupferberg, żelaza w Schmiedeberg, chociaż i w tych miejscach wynik był niewielki. W r. 1768 miał rząd pruski ze wszystkich swoich kopalń na Śląsku zaledwie 574 tal. czystego dochodu, choć wtedy wydobywano już także węgiel.

Drugim towarem, którego sporo sprowadzano na Śląsk, było wino węgierskie. Taka n. p. księżna lignicka, Barbara, prowadząca, jako wdowa, dość skromny twór, sprowadziła w 1589 r. 100 beczek po 60 litrów, a już po dwóch latach, gdy ynowie chcą od niej pożyczyć pieniędzy, domaczy się, że nie może, choć brała od ich procent, bo musi sprowadzić wina. Śląsk posiadał jednak wtedy także wino własnej hodowli. Nie odznaczało się przecież dobrocią. Pewien mnich, zapytany przez Fryderyka II., który polecał klasztorom uprawiać wino, czy go używa, odpowiedział, że tak, ale w wielkim tygodniu, dla umartwienia. Pito je dlatego przyprawione cukrem i korzeniami.

Handel w dawnych czasach napotykał różne przeszkody. Jedną z nich były cła. Wtedy istniały one nie tylko na granicy państwa i każdego kraju z osobna, które pobierał panujący, ale także na gra-

nicy każdej części kraju, bo każdy książę chciał ciągnąć z handlu dochody, tak samo każde miasto żądało opłat przy wstępie. Kto, przypuścimy, chciał przejechać Odrą przez cały Śląsk z towarem pochodzącym z Węgier, ten go musiał opłacić na granicy węgierskiej i dwukrotnie w Cieszyńskim, następnie płacił cło w Raciborzu (24 gr. od okretu), w Koźlu — ½ talara od okretu, i 1 grajcar od ćwierci zboża, na budowę tamy, której nie stawiano przez długi czas, ale cło pobierano — w Opolu (6 fenigów od beczki), Brzegu, Olawie (10½ groszy od okretu), Stonawie (4 gr.), Głogowie (2 hal. od 1 talara), Bytomiu i Saborsch Hammer (po 1 gr.), w Nährschütz-Laskau, Lübchen i jeszcze innych miejscach. To były cła w obrębie Śląska. Gdy towar szedł dalej przez Brandenburgię, tam trzeba było znowu zapłacić cło w 12 miejscach. I tak wszędzie. Jako najważniejszy argument za otwarciem żeglugi na Odrze służyło to, że wtedy dochody z ceł podniosą się, ponieważ okrętem więcej przewiezie się towarów, niż wozem.

Gdybyż te cła były przynajmniej stałe; wtedy kupiec wiedziałby z góry, co go czeka. Tymczasem one się zmieniały bardzo często, nie zniżano ich oczywiście, tylko podwyższano. Powstawały coraz nowe stacye cłowe. Kupcy protestowali, ale gdy nie chcieli zapłacić, zatrzymywano ich, choćby towar ich miał zmarnieć. W 1691 r. burgrabia głogowski z pomocą ławników i chłopów zatrzymał 18 okrętów wrocławskich, wiozących ryby, chociaż zapłacono cło, ponieważ z jednego okrętu dano mu tylko 10 ryb, a on chciał więcej. W Laskau celnik bił tych, którzy nie chcieli płacić cła świeżo ustanowionego.

Cła te były upozorowane kosztami utrzymania dróg w dobrym stanie. Naprawdę jednak dbano o nie bardzo mało. W Stonawie, gdzie dochody księcia z drogi wodnej wynosiły 1604 r. 1725 tal. 19 gr. 6 fen., jest koryto rzeczne ciągle w złym stanie i kupcy wrocławscy nieustannie skarżą się na to. Wreszcie zbudowano no-

wą tamę, ale zaraz też podwyższono cło. To samo było z drogami lądowymi. I o nie dbano bardzo mało, nawet na najbardziej uczęszczanych trudno było czasami przejechać.

Drogi były nie tylko złe, ale także nie bardzo bezpieczne. Towary lub pieniądze wiezione przez kupców stanowiły zbyt wielką przynętę, żeby je puszczać swobodnie. Na drogach czyhały często bandy, przeciw którym należało się bronić. Co gorsza, na czele tych band stali nieraz książęta lub rycerze, którzy potrzebowali więcej pieniędzy, niż ich mogli wycisnąć ze swych poddanych, więc rzucali się do rozboju, chcąc w łatwy sposób przyjść do ich posiadania.

Na taki rozbój nie było właściwie żadnego środka. W r. 1444, za małoletności Władysława Pogrobowca, gdy brakło władzy i anarchia doszła do szczytu, zawarł książę lignicki z miastami księstw wrocławskiego, świdnickiego i jaworskiego związek dla ochrony publicznego bezpieczeństwa. Związek ten, do którego mógł każdy przystąpić, zorganizował z kontyngensów, dostarczanych przez członków siłę zbrojną i ustanowił władzę, która miała sądzić rabusiów i karać ich. Związkowym nie wolno było prowadzić wojny między sobą. Organizacya ta samoobrony nie osiągnęła jednak pożądanego skutku. Do związku należeli ludzie znani z łupiestw i wojen prywatnych, a nawet jeden z nich został za to skazany na śmierć i ścięty. Związek ten, w tej formie nawet, utrzymał się tylko parę lat. Kto miał siłę, miał zbyt wielką pokusę, aby jej nie użyć na korzyść swoją, na szkodę słabszych. Kupcy musieli sobie przeto radzić sami. Towary przewozili pod eskortą i w tym celu utrzymywali siłę zbrojną. Aby im łatwiej przyszło ponosić koszty, łączyli się w kompanie i związki. Wrocław zaś, ze względu na swoje stosunki handlowe zagraniczne, należał do najpotężniejszego w średnich wiekach związku Hanzy i dostarczał kilkunastu ludzi dla floty, która towarzyszyła okrętom wiozącym towary.

Innem bardzo ważnem utrudnieniem handlu były nieszczęśliwe stosunki mone-

tarne. Prawo bicia monety przysługiwało pierwotnie panującemu, t. j. na Śląsku królowi polskiemu, a potem czeskiemu. Jednakże już w chwili oddzielenia Śląska od Polski, w XIII. wieku, książęta posiadali to prawo i wybijali monetę ze swoim znakiem. Bicie jej i odrazu wymiana odbywały się podczas jarmarków. W interesie ludności nie leżało często przebijanie monety. Książęta przyrzekli nie korzystać często z niego, lecz kazali sobie za to zapłacić. Tak powstała opłata zwana mennicze. Opłata ta pozostała odtąd stała, ale książęta wykonywali swe prawo tak, jakby ona wcale nie istniała. Od XIV. wieku poczęły także miasta bić monetę, uzyskawszy to prawo od książąt jako specjalny przywilej, najczęściej za pieniądze.

Tak miał swoją monetę Wrocław, Lignica, Löwenberg, Świdnica, Lüben, Opawa, Góra, Głogów, Namysłów, Jaworz, Żagan, Brzeg, Goldberg, Strzygów i przez krótki czas Cieszyn, który je kupił w r. 1438 od księcia Wacława za 650 grzywien. Wskutek tego na Śląsku krążyły różnorodne monety, wybijane przez książąt i miasta, o tej samej wartości nominalnej i tej samej nazwie, ale różnej wartości wewnętrznej.

Różnica w wartości poszczególnych monet musiała wynikać już z samej niedokładności ówczesnego sposobu bicia, kiedy trudno było sztukę kruszcu podzielić na pewną ilość zupełnie równych części. Dlatego rozporządzenia, zajmujące się monetą, poddawały także zazwyczaj, do jakiej wysokości może dochodzić różnica w wadze. Zwykle mogło dochodzić do $\frac{1}{8}$. O tyle mógł być jeden pieniądz drobny lżejszy od drugiego.

Ale była jeszcze druga, ważniejsza przyczyna różnic pomiędzy monetami tej samej wartości nominalnej. Książęta, a także miasta, uważały prawo bicia pieniędzy za środek do ciągnięcia zysków. Ciągnęli je przez przebijanie monety na gorszą, czyli z pewnej ilości przetopionych robili większą ilość, dodawszy do kruszcu jakiejś przymieszki, a osiągnięty z tego dochód chowali do swojej kieszeni.

Ponieważ działo się to dosyć często, pieniądze śląskie traciły na wartości. Próby zaradzenia złemu przez nadanie im kursu przymusowego, nie zdały się na nic, rozporządzenia odnośnie zostały na papierze. Lepsze pieniądze, które jeszcze były, wychodziły z kraju lub wykupywano je, przebijano na gorsze, mennice były ciągle czynne, myncarze, którzy najczęściej wydzierżawiali mennice, rozmyślnie fałszowali monetę, chcąc zwiększyć swój dochód. Kara śmierci za fałszowanie ustanowiona nie skutkowała, bo winnych było za dużo i byli za potężni. Stopa pieniężna obniżała się coraz bardziej, ilość lichej monety mnożyła się i tworzył się formalny chaos w stosunkach monetarnych, powiększany jeszcze tem, że oprócz pieniędzy wybijanych w kraju krążyły także obce, czeskie, polskie, węgierskie, brandenburskie, pruskie, prawdziwe lub podrabiane.

Tkwiło w tem wielkie niebezpieczeństwo dla handlu śląskiego. Za granicą nie chciano przyjmować pieniędzy śląskich. Nie chciano ich przyjmować przede wszystkim w Polsce, gdzie miano lepszą monetę, a obawiano się zalania kraju mniej wartościową śląską. Już w r. 1437 zakazano tam z tego powodu wywozić towary na Śląsk, z wyjątkiem soli, miedzi, ołowiu i żelaza, to jest tych, których mogły i także inne kraje dostarczać. Zygmunt I. zaś zakazał wogóle wszelkiego handlu ze Śląskiem, wybierając mniejsze zło, jakim było zerwanie stosunków handlowych, aby zapobiedz większemu, zepsuciu monety polskiej i narażeniu na szwank całego gospodarstwa społecznego Polski.

Zarządzenia te przyniosły nieoczekiwany skutek. Skoro w Polsce nie chciano przyjmować pieniędzy śląskich, więc zaczęto na Śląsku wybijać na wzór polskich, całkiem podobne do polskich, nawet ze znakiem króla polskiego, jak to robił książę lignicki, ale gorsze od polskich. Wielka ilość tych pieniędzy wychodziła w Świdnicy, nazywano je nawet „Polkami“. Ale prawdziwą kuźnią pieniędzy robionych na wzór polski, mało wartościowych, było

Cieszyńskie. Tu, w mennicach cieszyńskiej i skoczowskiej, wybijano drobne pieniądze, „którymi żydzi zalewali Polskę i Ukrainę“, dzieląc się zyskiem z myncarzami, wywołując ciągle skargi na to Polaków. Musiał to być znakomity interes dla książąt ta mennica, skoro dzierżawcy zapłacili (1621 r.) za cieszyńską 34.000 talarów rocznego czynszu, a za skoczowską 38.000 talarów.

W ślad za psuciem się pieniądza szło podrożenie cen wszystkich przedmiotów, najwięcej zaś cierpiała na tem uboga ludność, której szczupłe środki pieniężne, niezbędne do zaspokojenia głodu, topniały prawie w rękach wskutek tych ciągłych zmian. Wreszcie stosunki stały się tak nieznośne, że powszechnie odczuwano potrzebę reformy. Próbowano jej już kilkakrotnie przy końcu wieków średnich. Same stany zabrały się do radzenia złemu, ale nie usunęły go, bo do zarządzeń przez nie wydanych znowu nie stosowali się nawet ci, którzy je uchwalali. Nie żegnał go także Maciej Korwin w czasie panowania swego nad Śląskiem, choć tego próbował. Zabrał się do reformy energicznie Ferdynand I. Prosiły go o to stany, nie chcąc dopuścić do zerwania stosunków z Polską, „welches denn zue eigentlichem endlichem Verderben dieses Landes (Śląska) gereichen würde“. Skoro jednak przystąpiono do wykonania, wnet pokazały się znaczne różnice w dążeniach króla i stanów. Król chciał prawo bicia monety zatrzymać dla siebie wyłącznie, pozbawiając go stanów, książęta zaś nie mieli bynajmniej ochoty zrzekać się go tak ze względu na swe stanowisko polityczne jak i korzyści z niego płynące. Przez całe wieki nowsze ścierają się te dążenia; gdy władza królewska jest silna, wtedy książęta zarzucają bicie monety własnej, a wybija ją sam cesarz, gdy ona słabnie, zaraz mennice książęce i miejskie zaczynają być w ruchu i wypuszczają lichą monetę.

Trudność w przeprowadzeniu reformy powiększali sami panujący. I oni bowiem nie umieli się ustrzedz tego, co chcieli usunąć zapomocą reformy, i oni obniżali

świadomie i rozmyślnie, stopę pieniężną. Moneta królewska, którą od r. 1546 wybijał żyd Mayer we Wrocławiu, wywołała wszędzie ogromne niezadowolenie. W Czechach, Polsce, Austrii nie chciano jej przyjmować, twierdząc, że jest gorsza od lignickiej i polskiej, której cesarz zakazał, dlatego stany prosiły go, aby kazał wybijać pieniądze na wzór polskich „auf das polnische Schrot und Korn“. We Wrocławiu omal nie przyszło do otwartego buntu z tego powodu. Na mennicy cesarskiej znalazł się napis: „Kunig Ferdinand ein trewloser man, der guete munnze vortryben wil und nit kan“. Za to zapłacić musieli potem Wrocławianie królowi 80.000 talarów, ale reforma pieniężna za Ferdynanda I. nie doszła właściwie do skutku, pomimo prób i później jeszcze przedsięwziętych. Tem mniej zaś można było o niej mówić w XIII. wieku, kiedy cesarze, potrzebując pieniędzy na wojnę 30-letnią, wypuszczali w obieg mnóstwo lichych monet. Za ich przykładem szli książęta, czasami owe nazywają się w historii waluty, czasem obrzynania i przetapiania pieniędzy, „Kipper und Wipperzeit“. Jednoś monetarna nastała na Śląsku dopiero w XVIII. wieku, to znaczy, że dopiero wtedy książęta i miasta zaniechali bicia monety własnej, a wybijali ją władcy, austriacki i pruski. Z tą chwilą jednak nie nastąpiły jeszcze poprawne stosunki. Wiadomo, jakim fałszerzem pieniędzy był Fryderyk II. Jeszcze się Śląsk nie otrząsnął ze skutków wojny o własną skórę, już musiał przechodzić ciężkie przesilenie finansowe, gdy masa monety przez niego wydanej odrazu straciła kurs lub też znaczną część swej wartości.

Pierwszymi pieniędzmi, używanymi na Śląsku, były brakteaty, cienkie blaszki srebrne, ze znakiem najczęściej po jednej stronie i to najpierw, do r. 1210 małe polskie, odtąd zaś po r. 1280 duże czeskie brakteaty. Na początku XIV. wieku zaczęto, za przykładem Czechów, wybijać grubsze pieniądze, grossi, stąd grosze, zwane nawet praskimi, czeskimi lub szekrokimi. Oprócz nich wybijano równocze-

śnie drobniejsze pieniądze, których 12 szło na 1 grosz, choć liczba ta nie utrzymała się stale. Zwano je halerzami (od miasta Hall), obolami, z czasem zaś zrównały się wartością z denarami lub fenigami. W XVI. wieku przybyły do tych rodzajów monet krajcary i talary. Krajcary, mające pierwotnie wartość $\frac{1}{2}$ grosza, wybijał król w swych mennicach, ze znakiem austriackim. Nazwa ich pochodziła od sposobu wybijania ich w Tyrolu, zapomocą 2 w formie gwiazdy lub krzyża ułożonych na sobie stempli.

Talary bito na Śląsku po raz pierwszy w r. 1540. Były to większe monety srebrne, bo na 1 talar miało iść 30 groszy czyli 60 krajcarów. Rozróżniano talary śląskie, bite przez książąt i miasta i cesarskie (Reichsthaler), pochodzące z mennicy rządowej, które w zasadzie miały być równe, lecz z czasem śląskie straciły swą wartość do tego stopnia, że ich trzeba było dać kilkanaście, nawet 20, za talar cesarski. Wybiano także orty, równe ćwierci talara i półorty, grosze podwójne i piątki, trzygroszki i półgroszki, 24-krajcarówki i inne. W r. 1619 zaczęto wybijać pieniądze miedziane, po 1, 2, 3 i 5 hal.

W XIV. wieku pojawiła się złota moneta. Były to floreny, zwane inaczej złotymi reńskimi, jeżeli były naśladowaniem florenów wybijanych w Palatynacie reńskim, złotymi węgierskimi (czerwonymi złotymi w Polsce) lub dukatami, jeżeli były wzorowane na węgierskich. Na złoty reński szło $\frac{3}{4}$ tego, co na węgierski, ale później różnica się między nimi zatarła. To były pieniądze. Liczono zaś na kopy i grzywny. Jeśli to była grzywna polska lub wrocławska, bo obydwie znaczyły to samo, to miała 48 gr., jeśli czeska, to 64 gr. Grzywna miała 4 wiardunki lub szelągi i 24 skojców. Kopy polska i praska miały po 60, miśnieńska zaś 30.

Na zakończenie o monecie zestawienie cen niektórych przedmiotów. W r. 1622 płacono za cielę 9 talarów, krowę 100 tal., wołu 150 tal., świnię 20 tal., kurę 1 tal. Wtedy ceny były wysokie. W r. 1626 za wołu 7 tal. ces., barana 30 gr., cielę 1 tal.

12 gr., kurę 3 gr. W 1627 r. kosztował funt mięsa wołowego 2 gr., wieprzowego 2 gr. 6 h. W r. 1577 ćwierć pszenicy 24 gr., żyta 15, owsa 9; w 1617 r. pszenicy 1 tal. 18 gr., żyta 1 tal. 12 gr., owsa 24 gr.; zaś w r. 1694 nawet ćwierć pszenicy 3 tal. 12 gr., żyta 3 tal. 9 gr., owsa 2 tal. W r. 1589 beczka wina węgierskiego 60-litrowa $3\frac{1}{2}$ tal., w r. 1642 ósemka piwa 3 fl. W r. 1762 bochenek chleba, ważący 4 funty, kosztował w Cieszynie 2 gr., funt mięsa z polskich wołów 4 gr. 3 h, z krajowych 4 gr.

O ciągłym obniżaniu stopy pieniężnej można się przekonać z ceny, jaką musiano płacić za dukata, który jako pieniądz złoty stosunkowo mniej podlegał fluktuacyom. I tak w r. 1585 miał dukat 54 gr., w 1619 na początku roku 79, na końcu 90 gr. czyli $2\frac{1}{2}$ tal., w 1622 r. na początku 9 tal., na końcu 22 tal. W następnym roku doszedł do ceny $33\frac{1}{2}$ tal. czyli 1206 gr. Kto zatem pożyczył drugiemu dawniej 1000 talarów, otrzymał napowrót kwotę mającą wartość tylko 67 talarów.

Tego rodzaju stosunki pieniężne musiały się odbijać w wysokim stopniu szkodliwie na handlu śląskim. Także kredyt był nadzwyczaj utrudnionym. Był on wtedy wogóle mało rozwiniętym. Weksle były tu wprawdzie znane, ale mało rozpowszechnione. Transakcje wszelkie odbywały się zapomocą gotówki. Kto jej nie mógł odrazu uścić, odpowiadał za nią swoją osobą, a właściwie osobistą wolnością swoją lub ręcycieli, których musiał postawić. Jeżeli kupiec miał dłużnika w kraju obcym, a nie mógł od niego odebrać pieniędzy, radził sobie w ten sposób, że kazał aresztować pierwszego lepszego kupca, pochodzącego z tej samej miejscowości, co dłużnik, i wymuszał na nim swą należność, a ten później dochodził sobie pretensyi na dłużniku. Był to zwyczaj prawny, który teraz się wydawać może dziwnym, ale wtedy był usprawiedliwionym trudnością w poszukiwaniu pretensyi w inny sposób. Procent od pożyczonych pieniędzy wynosił przeciętnie 10 do 12, niekiedy schodził do 5, częściej przechodził

poza tę normę i dochodził niekiedy całkiem legalnie do dwudziestu kilku. Był zatem wysoki, ale ta wysokość była uzasadniona brakiem należytej gwarancyi oddania. Pożyczali najczęściej mieszczanie lub miasta, które wogóle najwięcej rozporządzały gotówką, najczęstszymi, ale zarazem najmniej pewnymi dłużnikami bywali panujący. Dla charakterystyki tych stosunków przytoczę jeden epizod z dziejów Wrocławia.

Razem z kilkoma panami czeskimi, z miastem Pragą i z kilku śląskimi miastami poręczyli Wrocławianie za króla Wacława kwotę 8000 grzywien, którą był winien książętom opolskim Bolkowi i Bernardowi. Ręczący zobowiązali się, według ówczesnych zwyczajów, w razie, gdyby Wacław nie zapłacił tej kwoty w oznaczonym czasie, dostawić 2 rycerzy, ewentualnie 2 radców miejskich ze służbą do miasta Brzegu lub Nysy, gdzie ci mieli być zatrzymani aż do czasu zapłacenia długu. Wacław nie zapłacił i 2 radcy zostali rzeczywiście zatrzymani w Nysie. Należało ich wykupić. Wrocławianie byli gotowi uczynić to, czego nie mogli uniknąć i zapłacili tę część dłużnej kwoty, która na nich przypadła. (1428 grzywien 29 gr.) Ale książęta opolscy zażądali nadto procentów i gdy się Wrocławianie temu opierali, napadali na posiadłości miejskie, wyrządzając im szkody. Aby się od tych przykrości uwolnić, ugodzili się z księciem Bolkiem i ten za 300 grzywien obiecał im dać spokój. Ufni w to zapewnienie, wysłali Wrocławianie swoich kupców z towarami do Krakowa na jarmark. Dowiedział się o tem Bolko i nie chcąc puścić tak dobrej sposobności do obłowienia się, zatrzymał kupców pod pozorem, że droga nie jest bezpieczna, odesłał owe 300 grzywien do Wrocławia i uwolniwszy się przez to od danego słowa, obrabował kupców doszczętnie, zabierając im towar wartości 4000 grzywien. Gdy im zaś jeszcze inne szkody wyrządzał, Wrocławianie wzięli się do oręża, ale Bolko pokonał ich żołnierzy i wziął do niewoli, a Wrocławianie musieli ich wykupić. Wreszcie

obie strony zgodziły się na sąd rozjemczy książąt Przemysława cieszyńskiego i Ruprechta lignickiego. Gdyby zaś Przemysław w tym czasie umarł, wtedy książęta opolscy mieli sobie wybrać na sędziego „innego polskiego księcia” — tak brzmi współczesne tłumaczenie niemieckie wyrażenia: „alium ducem Slesie”. Ten sąd spelzł na niczem, a książęta opolscy dalej rabowali kupców, niszczyli posiadłości Wrocławian. Straty przez nich z tego powodu poniesione doszły już do kwoty 13 tysięcy grzywien.

Na ich prośby, za zezwoleniem Wacława, sprawę tę oddano do rozstrzygnięcia królowi polskiemu Władysławowi Jagielle. Ten wydał wyrok, według którego książęta opolscy mieli się zrzec procentów, a Wrocławianie wynagrodzenia za szkody poniesione. Spokój jednak jeszcze nie nastał. Dług nie był jeszcze zapłacony, Wacław kazał wprawdzie zapłacić jedną ratę, ale kasyer jego schował pieniądze do swojej kieszeni. Ponieważ książęta opolscy dalej niepokoiili Wrocławian, przeto Wacław nakazał im, aby natychmiast uwięzili tego z książąt opolskich, który się pojawi we Wrocławiu. Mieszczanie tak zrobili i skoro zjawił się najstarszy z braci Jan, biskup kujawski, zwany Kropidłem, kazali go uwięzić. Za to pochwalili ich wprawdzie Wacław, ale za uwięzienym ujął się biskup wrocławski i rzucił klątwę na miasto i na całą dyecezyę śląską, a książęta oburzeni, że tacy mieszcza nie śmieli uwięzić księcia, nałożyli na miasto karę i nakazali przeprosić biskupa. Cała rada miejska miała iść do katedry wrocławskiej i błagać biskupa o przebaczenie. Ponieważ jednak biskup Jan nie śpieszył się ze zjawieniem się w katedrze i ci go nie mogli przeprosić, przeto książęta opolscy dalej napadali na ich posiadłości, aż sprawa zesłała nareszcie z porządku dziennego w czasie wojen husyckich.

Szkodę ogromną przynosiły także handlowi i przemysłowi śląskiemu wojny, tak te, które się toczyły w sąsiedztwie, a jeszcze bardziej te, których widownią był sam Śląsk. Szczególnie ucierpiał kraj podczas wojny 30-letniej, w której odgrywał

ważną rolę i to więcej może od swoich, niż od obcych wojsk. Co chwila wkraczały oddziały, utrzymywały się kosztem kraju, ściągaly kontrybucyę, rabowały, a ledwie jeden się oddalił, przychodził drugi i znowu gospodarował po swojemu. W ślad za nimi szła nędza, głód i choroby zaraźliwe. Taka Świdnica n. p. musiała w r. 1623 utrzymywać przez pewien czas oddział dragonów, złożony z 1000 ludzi. Oficerowie dostawali po 6 potraw, 3 garnce wina i piwa według potrzeby, rachmistrz 3 potrawy mięsne i garniec wina dziennie, zwykły żołnierz codziennie kwartę piwa oprócz jedzenia. W r. 1626 nakazano księstwu świdnickim wystawić oddział wojska. Świdnica dostarczyła 80 ludzi; uzbrojenie ich u utrzymanie kosztowało 10.826 fl. W tym samym roku przechodził przez Świdnicę Wallenstein z 30.000 armią. Pobyt jego dwudniowy opłaciło miasto 7.241 florenami; z tego 2.540 fl. wydano na wino, a przeszła 2.000 tal. na piwo.

Zimę tegoż roku przepędził Wallenstein na Śląsku. W księstwach świdnickiem i jaworskiem obozowało 34 kompanii. Świdnica utrzymywała 2 kompanie jazdy i 5 piechoty; tym dostarczano tygodniowo 8.400 funtów mięsa i chleba, tyleż miar piwa, 200 ćwierci owsa, 1.400 wiązek siana, 400 słomy. Żołnierze zjadali w dwóch, trzech dniach wszystko, co dostali na tydzień i żyli potem na koszt gospodarzy, u których stali. A byli bardzo wybredni. Żądali mięsa, ryb, wina, ciast, korzeni i innych rzeczy, a piwa mieli tyle, że poili niem konie, na koszt swoich gospodarzy urządzali uczty, gdy im czegoś odmawiano, zabierali przemocą. Tragicznie też brzmi wiersz, ułożony wtedy przez jakiegoś Meklemburczyka:

Vorhin ging Mann und Frau und ihre
liebe Kinder

Ganz frühlich hin zu tisch; der Knecht
beschickt die Rinder.

Das Pferd stund in den Stal gantz si-
cher unnd in ruh,

Die schaffe kahnen ein, die Maget
melckt die Kuh!

Itzt aber sitzt zu tisch Ein Landsknecht
ungebeten,
Der Man, die Fraw, das Kind mus wol
zurück treten,
Der nimbt hinweg das Rind, das Pferd,
die schaff, die Kuh
Ia wen ers tragen kündt, Er nehmt das
Haus dazu.

Księstwa płaciły nadto Wallensteinowi 20.000 fl. tygodniowo i utrzymywały swoje wojsko.

Wreszcie było już stanom tego za dużo i wysłały posłów do cesarza ze skargą na postępowanie Wallensteina i prośbą o usunięcie wojska. Posłowie, zjednawszy sobie podarunkami radców cesarskich, uzyskali posłuchanie i cesarz obiecał zbadać sprawę. Stało na tem, że księstwa miały płacić miesięcznie po 80.000 fl. i na uzbrojenie jednorazowo złożyć 10.000 fl., Wallenstein miał otrzymywać tygodniowo 1.200 fl., jego adjutanci po 500 fl., żołnierze zaś mieli dostawać tylko drzewo, sól i światło, a o wikt mogli się układać z gospodarzami. Przez 20 tygodni kosztowało księstwa utrzymanie tego wojska 240.000 flor. W maju 1627 jednak musiały księstwa znowu zapłacić przeszło 120.000 na utrzymanie przez dalsze 6 tygodni. Wyrusząc zaś wreszcie w czerwcu, nakazał sobie Wallenstein zapłacić jeszcze 130.000 fl., z czego sama Świdnica zapłaciła 4225 fl. Ponieważ gotówki na tyle nie było, mieszkańcy znosili naczynia srebrne i złote i kosztowności. W tym roku tedy każdy obywatel świdnicy musiał od każdego 1000 tal. majątku zapłacić 450 tal.

Nie był to jednak koniec utrapień Świdniczan. W r. 1629 pojawili się tu osławieni dragoni Lichtensteina, a na utrzymanie ich wydało miasto 33.803 tal. Ci wyszli, przyszło wojsko saskie i brandenburskie i znowu trzeba było wydać 58.000 tal., po nich znowu inne oddziały. Od r. 1620 do 1641 wydały księstwa na wojnę blisko 16 milionów złotych, sama Świdnica od roku 1629—1654 373.159 tal. Stan miasta po tej wojnie był opłakany. W r. 1633 wybuchła straszna zaraza, która pochłonęła w krótkim czasie 14.000 ludzi, mieszczan

i chłopów, którzy uciekli do Świdnicy, trupy masami leżały po ulicach. Co oszczędziła zaraza, to ginęło z głodu. Miasto opustoszało, z 1000 domów przed wojną stało tylko jeszcze 118 walących się chat, ale i te nie miały mieszkańców.

Podobnie było i w innych miastach. W Głogowie z 2500 mieszkańców pozostało 200, w Löwenberg z 1700 tylko 40 zubożałych, a z 700 sukienników tylko 14, w Świdnicy z 60 piekarzy 7.

Ogólny zastój w przemyśle i handlu był dalszym skutkiem tej strasznej wojny i długiego czasu trzeba było, aby te rany zagoić, aby stosunki wróciły do dawnego stanu.

Rząd Karola VI. starał się je podźwignąć, założył izbę handlową we Wrocławiu (1716 r.), ale środki przezeń dobrane nie zawsze były szczęśliwe. Podpierając jedną gałąź gospodarstwa, szkodziły drugiej. Próba skierowania handlu do Tryestu nie udała się. Na wyraźne wezwanie rządu wzięli kupcy śląscy udział w ustanowionym tam jarmarku. Posłano towarów za 12.000 fl., sprzedano zaś tylko za 7.100, z tego gotówką wzięto zaledwie 3.663 fl. Urzędnicy podatkowi, nie licząc się z zamiarami rządu, szykanowali kupców jadących do Tryestu, tam na miejscu nie było odpowiednich magazynów na przechowanie towaru, ale zato były opłaty różnego rodzaju i to wysokie, cła po drodze dochodziły do 5 fl. od jednego konia, drogi złe, władze tryesteńskie nieprzychylnie usposobione dla obcych, tak że protestantom nie pozwalano na odbywanie praktyk religijnych; to wszystko chyba nie mogło zachęcać kupców do porzucania starych dróg, a szukania nowych. W r. 1719 skarżą się stany śląskie. „Handel i kredyt upadł, czemu winne są głównie niezręczne zarządzenia rządu, jak zakaz wywozu lnu, ograniczenie handlu wełną i przędzą — wydano je dla podniesienia przemysłu lnianego i wełnianego — monopol tytoniowy, utrudnianie dowozu soli polskiej, podczas gdy dowóz z Salzkammergut jest tak niedołążnie prowa-

dzony, że w bieżącym roku nawet w okolicy Wrocławia ani za duże pieniądze nie można dostać okruszka soli. Do tego nagle podwyższenie cel, jakie się nie zdarzają w innych krajach. Najgorszą jest akcja, która wysysa ludność; ściąganie jej wymaga 7000 urzędników, którzy ostatni grosz wyciskają z ludności". Takimi żalami odpowiadały stany śląskie na żądanie podatku.

Rząd pruski, zabrawszy w r. 1740 część Śląska, zatrzymał te zarządzenia i dodał jeszcze nowe. Sprawozdanie ministra pruskiego Hoyma z r. 1787 konstatuje, że przez zakaz wywozu przędzy z przed 6 laty stracił kraj 200.000 tal., rząd na cłach 28.000 tal., wielu kupców zarobek, przeszło 7000 fabrykantów, którzy się zajmowali bieleniem płótna, chleb.

W dodatku zakaz ten spowodował, zamiast spodziewanego potaniaenia przędzy, podrożenie jej i wywołał handel przemysłowy. Potem król zniósł go, ale tymczasem handel przeszedł już w inne ręce. Według tego sprawozdania w r. 1786 zajętych było przemysłem lnianym 111.089 ludzi (na 1.700.000 ludności Śląska), bawełnianym 6000, wełnianym 24.000. Przemysł sukienniczy kwitnął głównie w Grünberg, gdzie, z wełny polskiej przeważnie, wyrabiano rocznie 18.234 sztuk sukna, i w Goldberg.

Na nowe tory wszedł przemysł wskutek zastosowania maszyny parowej i przemiany z rękoźmiennego na fabryczny, handel zaś wskutek niesłychanego pomnożenia i udoskonalenia środków komunikacyjnych.

Jednym z nich, nadzwyczaj ważnym, była poczta. Poczty są urządzeniami nowszych czasów, początki ich sięgają jednak XVI. wieku. Już wtedy bowiem utrzymywała rada wrocławska 40 stałych posłań-

ców, których wysyłała do różnych miast, Preszburga, Regensburga, Norymbergi, Gdańska. Ci służyli jednak tylko do wyłącznego użytku Wrocławian. W r. 1578 zarząd dóbr kameralnych urządził pocztę do Wiednia, z której mogli korzystać także ludzie prywatni. Agent zbierał listy i rozwoził je. Koszta pokrywano z opłat, tylko raz w r. 1625 stany uchwały na ten cel 2000 zł. Zarządcy poczt byli obowiązani dawać posłańców konnych dla przewiezienia ważnych rozkazów cesarskich i jako oznakę swego urzędu otrzymywali tarczę srebrną lub złotą. W roku 1650 zaprowadzono stałe połączenie Wrocławia z Lipskiem, 2 lata później z Pragą, w 1662 z Berlinem. Posłaniec potrzebował na drogę do Lipska 5 do 6 dni, do Pragi 4 dni. W r. 1713 wychodziło już tygodniowo 10 wozów pocztowych z Wrocławia i tyleż przychodziło. Płacono od osoby 6 gr. za milę, od listu, ważącego $\frac{1}{2}$ łuta, 3 gr., cały łąt 6 gr., od pakunku, ważącego do 6 funtów, 12 gr., od 100 talarów 30 gr. Były to zatem opłaty wysokie, a jednak rząd, który zawiadywał pocztą przez swego urzędnika lub dzierżawcę, stosunkowo mało miał z tego dochodu. W ciągu lat 1727—1731 przeciętnie po 38.000 fl. Winą był brak kontroli i niesumienność pocztmistrzów, na których były skargi, że otwierali listy, zabierali pieniądze, skarbowe i prywatne, a także i to, że bardzo wiele osób czyto urzędników czy duchownych było uwolnionych od opłaty pocztowej, co dawało powód do nadużyć. Że jednak i pocztmistrze nie mieli wtedy błogich czasów, świadczy o tem rozporządzenie Ferdynanda III. z r. 1642, w którym pod surową karą zakazuje napastować ich, napadać na nich, lub zabierać im konie. I tu nie było zatem bezpieczeństwa, chociaż to była instytucja rządowa.





Jak się zachować po eksplozji i przy pożarze w kopalni lub w szybie.

Uwagi ogólne.

Eksplodzya gazów lub pyłu węglowego objawia się, zależnie od rozmiarów, w większej lub mniejszej odległości detonacją i silnem uderzeniem prądu powietrza, niekiedy z następującym szumem. Nagłe uderzenie prądu powietrza odczuwa się także po silnem ukłuciu w uszy.

Wielkie, rozległe eksplozje, szczególnie takie, gdzie i pył węglowy działa, pędzą płomienie, a przynajmniej piasek, pył a następnie dym po podziemnych kurytarzach zwykle aż do szybów służących do wpływu i wypływu powietrza, często bardzo następuje zupełny przewrót prądu tak, że przez krótki czas dym wydobywa się z szybu, służącego do wpływu powietrza; i to trwa jednakże najczęściej tylko kilka minut, poczem powietrze, jeśli wentylator nie został uszkodzony i jest w ruchu, znów przez szyb wciągowy i wyciągowy przechodzi; atoli we wielu wypadkach wskutek zniszczenia lub uszkodzenia urządzeń wentylacyjnych krótszą a nie normalną drogą, skutkiem czego części kopalni nie są przewietrzane i zapełniają się czadem, w którym często więcej ludzi ginie niż wskutek wybuchu lub jego płomieni.

Nieraz powstaje wskutek eksplozji pożar w kopalni, który się w regule przez coraz ciemniejszy dym, z komina wentylatora wychodzący, i przez osobliwszy swąd poznać daje, niekiedy zaś, gdy ogień w przestrzeniach niewentylowanych powstał, przez dłuższy czas pozostać może niedostrzeżony.

Pożary kopalniane są w kopalniach

zawierających gazy wybuchowe także dla ludzi ratujących zazwyczaj bardzo niebezpieczne, gdyż spowodowują często powtarzające się eksplozje, a rzadko kiedy wodą, najczęściej zaś zamknięciem przystępu powietrza przez zagroblenie, a tylko w pojedynczych wypadkach przez przykucie otworów wierzchnich zgaszone być mogą.

Zachowanie się ludzi w kopalni będących.

W przodkach, w których robotnicy spostrzegają oznaki eksplozji, zaszłej w kopalni, przypada najstarszemu z robotników obowiązek zebrania ludzi swej partyi i uciekania z nimi, jeżeli miejsca eksplozji nie znają, najkrótszą drogą ku szybowi służącemu do wpływu powietrza. Jeżeli mają kilka dróg do wyboru, powinni przede wszystkim wybrać drogę, przeciw świeżemu prądowi lub chodniki, wyłączone od przepływu obiegającego prądu.

Jeżeli zbliżają się ku nim gazy węglowe lub dym, co można poznać po mdłym paleniu się lamp i po zapachu, wtedy powinni jak najkrótszą drogą dostać się do innego prądu, jeżeli zaś tego nie można szybko osiągnąć, powinni się wrócić i przed tym prądem uciekać, póki nie osiągną innego prądu, co najłatwiej można osiągnąć w pobliżu szybu przewiewnego, gdzie wszystkie częściowe prądy się łączą.

Jeżeli zaś miejsce eksplozji jest znane, należy naturalnie unikać dróg, któremi płynie prąd powietrza z miejsca katastrofy.

Nadzorcy, znajdujący się w kopalni, winni przede wszystkim zająć się ratunkiem robotników. Następnym ich obowiązkiem jest zawiadomić zarząd kopalni o katastrofie.

Robotami ratunkowymi kieruje aż do przybycia urzędnika, najstarszy nadzorca.

Tenże przekonywuje się przede wszystkim o rozmiarach i wielkości katastrofy i jeżeli eksplozja nie jest małą i lokalną, stara się o to, by wszyscy robotnicy, znajdujący się w kopalni, byli o niej zawiadomieni i by się zgromadzili w podziębii lub w razie nagłego niebezpieczeństwa byli natychmiast wynani; dalej stara się o to, by uciekającym robotnikom dano na przewodników dozorców i starszych, poważnych, obeznanych z kopalnią robotników.

Gdy tylko robotnicy dowiedzą się o takim wypadku, muszą bezzwłocznie uciekać, nie troszcząc się o pozostawione ubranie i przedmioty.

Przez ten czas zarząd kopalni, zorientowawszy się o miejscu, rozmiarach i wielkości eksplozji, nakazuje natychmiastowy wyjazd pod szybem zgromadzonych robotników, jeżeli to jeszcze się nie stało, lub też, jeżeli katastrofa jest nieznaczna, objaśnia robotnikom stan rzeczy i odsyła ich na poprzednie stanowiska.

Jeżeli nakazano wyjazd robotników, odbywa się tenże spokojnie i w należyтым porządku; po wyjeździe zobowiązani są robotnicy poodnosić stosownie do przepisów swoje lampy do lampiarni, i muszą tak w sali zapisowej, jak i w nadszybiu ustawionemu tam dozorca podać swe imię i nazwisko, jak i numer przodku, w którym pracowali, by mózż szybko stwierdzić liczbę brakujących; następnie mają, jeśli do ratunku lub gaszenia pożaru nie są powołani, plac szybu opuścić.

Jeśli miejsce eksplozji albo pożaru w kopalni znane, a chodzi o to, by dotrzeć na małą odległość do miejsc, gdzie się ofiary katastrofy znajdują a których jak najszybsze wydobyć jest koniecznem, w takim razie mogą to skutecznie ludzie silni i odważni, ile możności pod kiero-

wnictwem urzędnika lub dozorca. Jeżeli jednak przy tych usiłowaniach lampa bezpieczeństwa zgaśnie, lub który z ratujących straci przytomność albo źle mu się zrobi, w takim razie należy tego sposobu dotarcia zaniechać, i na przybycie służby ratunkowej z aparatami do oddychania poczekać, a tymczasem postarać się o jak najszybszą wentylację tego miejsca.

Zachowanie się służby ratunkowej na wierzchu i w kopalni.

Gdy obsługujący maszynę wentylacyjną dostrzeżł eksplozję gazów wybuchowych, ma się natychmiast przekonać, czy nakrywa jest w swem miejscu nieprzesunięta i czy wentylator bez przeszkody funkcjonuje, czy powietrze wentylatorem wyciągane nie zawiera dymu, i ma o tem kierownika kopalni przez posła zawiadomić. Jeśli nakrywa w górę wyrzuconą została i w swe miejsce napowrót nie spadła, to winien maszynista przy pomocy robotników, jakich ma pod ręką (palacz, dowożący węgle i t. d.), tymczasowe zamknięcie urządzić albo przynajmniej przygotować, przyczem jednak obsługa wentylatora i kotła nie śmie być zaniedbana.

Dozorcy, którzy ze swymi ludźmi z kopalni wyjechali, mają się, jeśli nie mają innych zleceń, zgłosić do kierownika kopalni celem zdania sprawy i odebrania rozkazów.

Ludzie do pierwszej pomocy ratunkowej wykształceni mają się natychmiast udać do szybu i oddać się do dyspozycji kierownika kopalni lub jego zastępcy, który ich częściowo obecnym lekarzom, a częściowo służbie ratunkowej przydziela.

W używaniu aparatów oddechowych wyćwiczeni dozorca i robotnicy mają, skoro się tylko o eksplozji lub pożarze dowiedzą, natychmiast śpieszyć na stację ratunkową, gdzie od obecnego tamże, przez kierownika kopalni wyznaczonego dozorca aparaty oddechowe, lampy elektryczne i okulary dymne otrzymają. Z tymi przyborami mają się udać do szybu, gdzie dalsze zlecenia od przełożonego o-

trzymają. Bez zlecenia sami nie przedsiębrać nie śmia. Ludzie niewprawieni nie śmia w groźnych wypadkach używać aparatów oddechowych.

Ludziom do pierwszej czynności ratunkowej przystępującym ma dozorca stacyi ratunkowej wydać te aparaty oddechowe, które mu są jako najprzydatniejsze znane; przed wydaniem innych aparatów, ma następnie zbadać ciśnienie we flaszkach kwasorodowych, jeżeli tego na kilka dni wprzód nie uczyniono. Aparatów, których flaszki kwasorodowe przynajmniej 60 atmosfer ciśnienia nie zawierają, używać nie wolno, chyba w nagłym wypadku i tylko na czas krótki.

Służba ratunkowa ma włożyć na siebie aparaty oddechowe i mieć je w pogotowiu, ale nie używać ich pierwszej do oddychania, niż tego potrzeba. Każdy ratujący ma ile możliwości wziąć z sobą siekiere i pewną ilość gwoździ.

Kierownik kopalni stara się tymczasem z odebranych wiadomości i sprawozdań powziąć wyobrażenie o miejscu i rozmiarach eksplozyi, a następnie podejmuje przy pomocy przydzielonych mu urzędników i dozorców tudzież wyznaczonej przezeń ku temu służby ratunkowej akcyę ratunkową i naprawczą.

Takowa da się, jeśli pożar nie wybuchł, przy dostatecznej ostrożności bez większego niebezpieczeństwa przeprowadzić.

Przedni oddział ratujący pod kierownictwem urzędnika i dozorczy ma się składać przynajmniej z 5 ludzi z aparatami do oddychania, a gdy najbliższe otoczenie szybu wolne jest od czadu lub gazów pożarnych, z pewnej liczby ludzi bez aparatów. Ci ostatni mogą naturalnie tylko tak daleko posunąć się naprzód, jak daleko sięga świeże powietrze, lub dokąd ono doprowadzone być może. Za pierwszym oddziałem ratunkowym pójdą wkrótce następne oddziały.

Przybywszy do podszybia, biorą pierwsze oddziały ratunkowe nosze, płótno żaglowe lub smolone, deski, łaty, stemple, powrozy, gwoździe, glinę i t. p., ile

możności na kilka wózków i prócz lamp własnych większą liczbę lamp, a między niemi także lampy bezpieczeństwa.

Względem zachowania się służby ratunkowej nie mogą być dane przepisy ważne na wszystkie przypadki.

W ogólności zaleca się: drogę, którą służba ratunkowa od szybu do miejsca nieszczęścia przebywa, jak daleko świeże powietrze jest podostatkim, lampami w oddaleniach 15 do 20 m zawieszonemi oświetlać, aby służbie ratunkowej powrót ułatwić i następnym oddziałom ratunkowym obroną drogę wskazać, jeżeli nakładacz przy szybie nie pozostał, ze służbą sygnałową obznajomionego robotnika w podszybiu pozostawić, potem na miejscach rozstajnych ludzi do wskazywania drogi poustawiać.

Pierwszem staraniem służby ratunkowej jest wyratowanie zranionych lub odurzonych, których co prędzej z kopalni wydostać należy. Jeśli oni leżą w miejscach gazami duszącymi napełnionych, to wydostaniem ich zająć się mają ci, którzy mają aparaty oddechowe.

Należy przytem mieć na uwadze, że aparaty oddechowe w groźnym wypadku tylko znacznie krótszy czas używane być mogą, niż przy próbach. Przy pneumatoforach można więc, jeśli to nie są aparaty z podwójnemi flaszkami, tylko na $\frac{3}{4}$ godziny używania bezpiecznie liczyć i do tego ma się służba ratunkowa zastosować.

Z czadu wydobytych i w świeżem powietrzu znalezionych odbiera służba ratunkowa bez aparatów oddechowych do dalszego transportu.

Ta służba ratunkowa ma także przez naprawę zburzonych eksplozyą przewodów powietrznych, przez usunięcie i naprawę zawałów wentylacyę do porządku przyprowadzić i drogę do miejsca nieszczęścia uprzystępnąć.

Przywódcy oddziałów ratunkowych mają kierownikowi kopalni lub jego zastępcy po wyjeździe, a w ważnych wypadkach także przez posłów zdawać sprawę.

Zachowanie się przy pożarze szybu.

Jeżeli pożar wybuchł w szybie wentylacyjnym, to cała obsada kopalni ma szybem wciągowym wyjechać.

Jeżeli pożar powstał w szybie wciągającym powietrze, to nakładacze powinni tam, gdzie jest kilka szybów wciągowych, umieszczone w tym celu w pobliżu pod-szybi wciągowych horyzontów drzwi izolacyjne gorejącego szybu pozamykać, z będącymi pod ręką aparatami oddechowymi za drzwi się cofnąć i będących w kopalni dozorców i robotników o wydarzeniu zawiadomić. Tych ludzi wydobywa się potem z kopalni jednym z nietkniętych szybów wciągowych, lub, jeśli połączenie z jednym ze sąsiednich szybów istnieje, tymże szybem.

Jeżeli tylko szyb wciągowy, w którym pożar powstał, istnieje, to nadawacze winni aparaty oddechowe, jakie mają, nałożyć, wiadomość o pożarze podać na wierzch, aby wentylator zastanowiono, a równocześnie będących w kopalni dozorców i robotników o wydarzeniu zawiadomić. Jeśli niema połączenia z szybem sąsiednim, to musi się wyjazd ludzi szybem wentylacyjnym skutecznie, co bez niebezpieczeństwa nastąpić może, jeśli tenże szyb do wyciągania został przysposobiony. Tymczasem należy ludzi poumieszczać w chodnikach z przewodu powietrznego wyłączonych.

W żadnym razie nie wolno poczynać gaszenia wodą pożaru w szybie wciągowym, zanim wszyscy ludzie kopalni nie opuścili.



Dziesięć przykazań życia.

Jefferson, prezydent Stanów Zjednoczonych Ameryki, w liście do swego przyjaciela pisanym, podaje mu następujące prawidła życia, których sam, jak się wyraża, najściślej zawsze trzymać się usiłował:

1. Nie odkładaj na jutro, co możesz zrobić dzisiaj.

2. Nie proś o to drugich, co sam zrobić potrafisz.

3. Nie wydawaj pieniędzy pierwej, nim je mieć będziesz.

4. Nie kupuj nic, czego nie potrzebujesz, dlatego, że tanio.

5. Duma kosztuje nas więcej, niż głód, pragnienie i zimno.

6. Nikt nigdy nie żałował, że mało jadł i mało mówił.

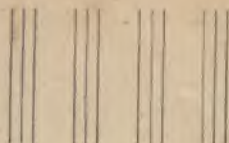
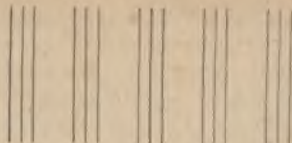
7. Nie nie jest przykre, co z chęcią czynimy.

8. Najwięcej cierpień naszych pochodzi z obawy nieszczęść, które się nigdy nie zdarzą.

9. Wszystkie rzeczy bierz z gładkiego końca, ludzi z dobrej strony.

10. Gdy się czujesz w gniewie, przelicz w myśli dziesięć wprzód, nim mało zacząć, w pasy przelicz sto.





Olbrzymie drzewa w Kalifornii.

Tysiącroczone drzewa Europy różnią się wiele od również starych drzew w Ameryce, ponieważ drzewa w Ameryce osiągnęły znacznie większą objętość. Po-
dziw wzbudzający wzrost amerykańskich

wne. Na takiej ziemi można się też innych plonów spodziewać. Amerykański owoc, zboże i t. p. jest wiele większy, soczystszy, jak produkta Europy. Znane są olbrzymie drzewa, które się w znacznych



Olbrzymie drzewa w Kalifornii.

roślin wyjaśnia stosunki gleby. Gleba Europy jest po większej części uprawiana. Przez tysiącroczone uprawianie i sprzątanie utraciła ziemia wielką ilość pożywku. Przeciwnie jest ze ziemią w Ameryce. Na niej ani nie siano ani sprzątano, przez co zawiera jeszcze wszystkie części poży-

liwościach w lasach w Ameryce spotyka. Płytę drzewa, która przedstawia średnicę i objętość jednego z olbrzymów, nabyło przed krótkim czasem muzeum amerykańskie dla historii naturalnej. Rycina przedstawia ową płytę. Drzewo, z którego płytę wycięto, wyrosło nad King'iem

w południowej Kalifornii. Było 90 metrów wysokie, a średnica wynosiła 30 metrów. Półtora stopy gruba płyta, którą powyższe muzeum nabyło, waży 50 ton. Średnica wynosi 10 m, a objętość 19 m. Płyta jest starannie politurowana. Prof. H. C.

Bumpus przedstawił na niej historię życia, przez przymocowanie czworokańcistych marek. Z tych marek wyjaśnia się, że drzewo zaczęło rósć 550-lat przed Chrystusem i że miało $4\frac{1}{2}$ metra średnicy, gdy Kolumbus w Ameryce wylądował.



Płyta pnia kalifornijskiego drzewa-olbrzyma.

NADEŚLANE.

Kto pragnie anonsować z powodzeniem, powinien się zwrócić do ekspedycji anonsoń Juliusza Leopolda w Budapeszcie, VII., rynek Elżbiety 41, ponieważ tam uskutecznią się inseracyę we wszystkich czasopismach i kalendarzach na świecie, ze szczególną umiejętnością, sumiennie, punktualnie i po solidnych cenach. Zastępstwo więcej jak 200 kalendarzy, biura centralne węgierskich pism prowincjonalnych, administracya kilku czasopism. — Wszystkich wyjaśnień udziela się P. T. Inserentom bezpłatnie.

Jak gdyby przez okno wyrzucony jest często pieniądz, który się wydawa za pierze lub gotową pościel, nie zwróciwszy się poprzednio do prawego źródła zakupna. Właśnie przy zakupnie pierza trzeba być szczególnie ostrożnym i zwracać się tylko do pierwszorzędного domu handlowego tejże gałęzi przemysłu; zalecamy więc ogólnie znaną i słynną firmę **S. Benisch w Deschenitz nr. 214** (Czechy), której staraniem jest, swą ściśle rzetelną obsługą i nader niskimi cenami każdego nabywcę bezwarunkowo zadowolić. (Patrz insert.)

HUMORESKI.

„ADWOKAT“.

Jerzy Makolągwa jest adwokatem i urzęduje w szynku pod „Złotą pszczołą“ na Żółkiewskim przed południem, a „pod Jeleniem“ po południu, gdzie albo on czeka na klientów, albo klienci na niego. Gdy się zejdą, mecenas Makolągwa każe podać piwo i coś do przygryzienia na rachunek klienta, poczem przystępuje do urzędowania. Znają go już wszyscy goście restauracji pod „Złotą pszczołą“, więc ma licznych klientów, pogrążonych w procesach, którymi kieruje umiejętnie z pod „Złotej pszczoły“ rano, albo z pod „Jelenia“ po południu p. mecenas Jerzy Makolągwa. Pamięta, kiedy kto ma swój termin, których świadków trzeba słuchać i z góry wie, co powiedzą w sądzie, choć sam do sądu nie chodzi. Bo p. mecenas Jerzy Makolągwa nie tylko powołuje świadków, ale im nawet radzi, jak i co mają zeznawać, aby nie zasypiać sprawy. A ma takich świadków, którzy, choć przy zająsci nie byli i o niczem nie wiedzą, gotowi na wszystko złożyć świętą przysięgę.

Robi w cywilnem prawie tak samo dobrze, jak i w karnem, choć specjalista jest w cywilnem. Zgłaszają się doń ciągle nowi klienci z prośbą, a adwokat Makolągwa jest niewyczerpany w udzielaniu rad, opartych nie tyle na ustawie, ile na zdrowym rozumie.

— Panie misyonarzu, — mówi klient — co robić, że dziś przegrałem ten proces z żydem, który mi pan zrobił.

— To niemożliwe — mówi Makolągwa — chyba, żeście może nie dali stempli, albo źle nalepili, bo ja wam zawsze gadam, że stemple trzeba do mnie przynieść, a ja już sam z nimi coś zrobię.

— Panie Makolągwa — mówi inny klient — źle z moją babą, bo pije dalej, a potem robi awantury...

— To ja ci dam separacyę od niej, tylko przynieść na stemple 15 koron i koronę dla mnie.

I tak każdemu trafnie radzi, ile ma przynieść na stemple i co ma robić, aby wygrać. A przegra klient, to pan Makolągwa nie wierzy.

— Musiałeś, człowiecze, — mówi do klienta — źle zrozumieć wyrok, albo sądzia jest głupi i nie zna ustawy. Powiedz mu to ode mnie, a ja ci napiszę rekurs i wygrasz, tylko złóż na stemple i na protokół i na inne wydatki 10 koron.

— Może to za dużo, panie Makolągwa.

— Aha, za dużo! — mówi adwokat — idź do takiego adwokata, co ma wielką kancelaryę i wydatki i pisarzów, to zobaczysz, co on ci zato zaśpiewa i dopiero przegrasz proces. A u mnie musisz wygrać, bo ja mam swój fortel i swoich świadków, a pisarza nie potrzebuję, bo sam umiem pisać, jak sam prezydent sądu, rozumiesz?

I bierze go odrazu do osobnego pokoiku, gdzie każe podać piwo i przekąskę, przyczem tłómaczy klientowi, że pije tylko w jego interesie, bo im więcej pije, tem lepszy ma koncept i tem pewniejsza wygrana.

Czasem — prawda, że rzadko — zdarza się, że p. Makolągwa nie ma zarobku, bo ludzie nie procesują się. W takich razach p. mecenas wytwarza proces. Wdaje się z kimś w rozmowę, a po kilku minutach wydobywa z niego, że mu się gdzieś coś należy i już obaj wsuwają się

do pokoiku, gdzie p. Makolągwa pisze pozew, oczywiście przy piwie z przekąską.

Najchętniej przyjmuje klientów chłopskich z prowincyi, którym tłumaczy, że dla taniości nie otwiera kancelaryi, choć już kiedyś miał osobne biuro. Chłopom prowadzi spory gruntowe i spadkowe. Z szczególną satysfakcją wydobywa spadki, mianowicie takie, które nigdy nie istniały. Honorarium przyjmuje w gotówce i w naturze, nie gardząc kurami, jajami, masłem, ziemniakami, które odsyła żonie albo sprzedaje na miejscu, w szynku.

— Co z moim spadkiem, panie mesyarzu? — pyta chłop.

— Właśnie w porządku. Byłem sam w sądzie aż trzy razy w waszej sprawie i

mówił mi sam prezydent, że już tymi dniami będzie, ino trzeba jeszcze wsunąć ze dwa podania do prokuratoryi, uważacie, i do dyrekcyi, a może nawet i do innych władz, ale musicie dać na stemple jeszcze 30 koron, a za moją fatygę wezmę co bądź, jakąś furkę drzewa, albo może gdzie jest u was wieprz mały, wszystko jedno, bo wiecie przecie, że ja się nie drożę.

I znoszą chłopci kury, jaja, masło, drzewo i czekają na spadki rok, dwa, trzy, aż p. mecenas Makolągwa znika z szynku pod „Złotą pszczołą“ i zjawia się na Stryjskiem pod „Białą rybą“, gdzie werbuje całkiem nowych klientów.

O CZEM MYŚLI MOTOROWY?

Nieraz jadąc tramwajem elektrycznym i stojąc na przednim pomoście obok motorowego, zastanawiałem się nad tem, o czym taki motorowy myśli. Człowiek, któremu przez tyle czasu podług przepisu nie wolno rozmawiać z nikim podczas jazdy, musi przecież chcąc nie chcąc o czymś myśleć. Aż oto dzięki roentgenografii przystosowanej do fotografowania zwojów mózgowych (wynalazek jeszcze nieopatentowany) udało mi się skopiować tok myśli motorowego podczas jednej jazdy.

Z chwilą, gdy na stacyi końcowej uderza dwa razy w dzwonek i rusza z miejsca, przestaje mówić i zaczyna myśleć, swoją drogą dość bezładnie:

„Za 20 minut będę koło kawiarni wiedeńskiej, a potem idę na kolację. Czego to tałatajstwo tu włązi na tor (dzwoni), aby mu wóz przez brzuch przejechał, a potem ciągnij się jeszcze z nimi po sądach i kryminałach. Swoją drogą, że w kryminale nieraz lepiej, niż tu przy tramwaju, gdzie tylko konduktor ma szczęście, bo on bierze napiwki za to, że ja dobrze prowadzę wóz. A ci, którzy mu dają napiwki, nie wiedzą o tem, że gdybym chciał, prze-

wróciłbym ich wszystkich razem z konduktorem i byłoby... (dzwoni). A to szelma, puszcza takiego bębna na ulicę, aby się dostał pod koła i potem będą w gazetach pisali, że motorowy był nieostrożny, a dyrekcyja powinna go pociągnąć do odpowiedzialności... O... o... (dzwoni) znowu bachory na torze... Ruszaj ty drabie jeden z drugim, bo cię zamaluję!... Swoją drogą to ładny chłopak, ten blondynek, całkiem podobny do Stasia od mojej siostry, co to już zaraz do szkoły pójdzie, a ojciec był przy tramwaju konnym furmanem i teraz będzie motorowym przy naszym. To będzie uciecha, jak taki z końskiego tramwaju będzie chciał bić konia batogiem, a tu nie będzie ani konia ani batoga. Jeszcze dobrze, że ich przyjęli, bo mogli przecie z głodu zdechnąć (dzwoni gwałtownie). Najgorsze, jak taki głuchy pan przyjdzie na tor, to można mu dzwonić nad samem uchem, a on nic. O... (zatrzymuje na chwilę wóz). I trzeba stawać przez niego, a tu już i tak jest małe spóźnienie. Nawet nie mu mówić nie wolno, bo to może jakiś radny, albo inny matador, toby jeszcze człowiekowi kark skreślił (rusza dalej). I zawsze ten sam! Ja sam już przez niego sta-

wał z wozem jakich dwadzieścia razy. Jemu zawsze wypada chodzić po torze, a jakby go tak trochę szturchnąć wozem, toby zaraz krzyczał gwałtu i cały proces gotowy. A oni myślą, że motorowym być to nic. Ja to mówię zawsze: mnie trzeba było iść na pocztę, albo do żandarmeryi. Taki listonosz stoi sobie, jak król. Każdy się do niego uśmiecha, każdy na niego czeka i chętnie go przyjmuje, a na Nowy Rok każdy mu daje ze dwie korony. Z pieniężnym to już nawet nikt zrównać się nie może. (Dzwoni.) Masz tobie znowu garkotłuki! (Dzwoni coraz silniej.) Jak się takie dwie kucharki zejda i postawią sobie na torze koszyki i zaczną gadać plotki, to ich nie rozpędzi żadne dzwonicie. Dzwoni na nią do jutra, a ona sama dzwoni. (Mówi.) Na bok, panienki, bo wam za-

raz zajadę w masło i mięso, to się zrobi gulasz... Co?... A jakże!... A kłaniaj się kapralowi (myśli dalej). Ta brunetka, to jakaś dość tęga dziewczyna... Gdzieś ją widziałem, ale nie pamiętam, gdzie... A może ja już z nią byłem zaręczony?... E, nie... Tamta miała brodawkę koło nosa... (dzwoni). O, jak się zerwała! Już nawet coś gębuje... taka starsza pani to bardzo nie lubi, żeby na nią nagle dzwonić, bo jest nerwowa, to się bardzo płoszy. A potem zaczyna kłąć i narzekać bez końca. Ja już z wozem jestem na drugiej ulicy, a ona jeszcze opowiada o mojem gwałtownem nadużyciu. Ona po prostu wolałaby, żeby zamiast dzwonić, ustąpił jej z toru i pojechał dalej po kamieniach. I gadaj z taką papryką. (Staje na przystanku.)

RODZINA.

(Podług znalezionej manuskryptu.)

Mały Józio oddał onegdaj w szkole następujące wypracowanie domowe „o rodzinie“:

„Rodzina składa się z ojca, matki, dzieci, zaręczonych par, dziadków, teściów, stryjów, wujów, ciotek, kuzynów i sług. i spotykamy ją w całym świecie. Głową rodziny jest ojciec, ponieważ zarabia dużo pieniędzy, albo ma pensję i ma prawo krzyknąć na wszystkich. Dlatego wstaje rano, guiewa się, że kołnierze nie są dobrze wyprane i wyprasowane, pije kawę i wychodzi z domu. Matka zostaje w domu, ponieważ musi irytować się ze sługami i przygotować obiad. Czasem wychodzi matka do miasta, gdzie gubi rozmaite rzeczy i pieniądze, które jej czasem wykradają złodzieje z kieszeni. Ojciec daje matce pieniądze, aby zakupiła jedzenie i wszystko. Ale daje jej zawsze za mało, bo resztę grubych pieniędzy chowa w żelaznej kasie, skąd nikt ich ruszać nie może i musi czekać, aż ojciec umrze. Są młodzi i starzy ojcowie. Ze starego ojca robi

się dziadek, który przynosi wnukom podarunki i łakocie, a potem umiera i zostawia wszystkim wielki spadek. Dlatego dziadka powinno się szanować. Gdy matka się postarzeje, staje się babką i kłóci się z dziadkiem.

Ojciec podczas spania bardzo głośno chrapie i wtedy nie wolno mu przeszkadzać. Matka jest w rodzinie zawsze żoną ojca. Ona jest bardzo mądra i rzadko bije dzieci i męża. Przyszywa bulkę z szynką do szkoły i pomaga im czasem przy wypracowaniach domowych. Matka jest wogóle bardzo dobra i zawsze jest rodzaju żeńskiego. Jeżeli matka ma także matkę, to jest to teściowa. Teściowa jest oprócz tego babką i przychodzi wtedy do matki, kiedy ojca niema w domu. Wtedy mówią o ojcu i pokazuje się, że ojciec ma dużo wad.

Najwięcej jest w rodzinie ciotek.

Ciotka może być młodą, albo starą, zamężną albo panną. Zamężne ciotki są

przyjemniejsze, bo jeżeli ciotka jest panną, to jej się nic nie podoba. Ciotki wiedzą o wszystkim, co się dzieje w świecie i opowiadają matce w sekrecie przed ojcem, a ojcu w sekrecie przed matką. Mąż ciotki jest wujem albo stryjem i gra z ojcem w wista albo labeta.

Wszystkie dzieci ciotek są kuzynami, z którymi można się bić. Kuzynki i młode ciotki mają przy sobie lusterka, i mówią o młodych mężczyznach. Nieraz zdarzają się także w rodzinie zaręczone pary, które siedzą zawsze w osobnym pokoju i ca-

łują się właśnie wtedy, kiedy się wchodzi do ich pokoju.

Sługi mieszkają w tem samem mieszkaniu, ale nie należą do rodziny, gdyż zostają zawsze krótko i zmieniają się raz na dwa miesiące, albo dwa razy na miesiąc. Służące mają zawsze bardzo dużo krewnych, którzy ciągle służą przy wojsku. Służąca jest w pierwszym tygodniu doskonała, w drugim jeszcze dobra, w trzecim psuje się całkiem, a w czwartym tygodniu wypędza się ją z domu i wtedy jest w domu wielka awantura.“

OGRÓD ZDROWIA.

Nie chcę, aby mię posadzano, że robię komuś reklamę, dlatego nie podaję bliższego adresu „Ogrodu zdrowia“. Jest zresztą we Lwowie więcej takich, a wszystkie do siebie podobne.

Jak już sam napis wskazuje, Ogród zdrowia tem się różni od innych ogrodów, że nie jest ogrodem, ale podwórzem, lwowskiem podwórzem ze wszystkim, co do niego należy i co go zdobi. No podwórzu rośnie sobie drzewo, jedno, albo nawet dwa drzewa, swoją drogą cudowne, skoro potrafią tu wegetować, a czasem nawet przez zapomnienie kwitnąć. W przyrodzie właśnie dzieją się cuda, czego zresztą dowodem jest sam Ogród zdrowia. Ażeby jednak przyroda nie wydawała się tu zbyt dziką, niby ciemny jar w lesie alpejskim, wniesiono coś niecoś z kultury i umieszczono kilka słupów z latarniami, oraz kilkanaście stolików. Nie wiadano tylko, co robić z kanałem, który rozsiadł się, jakby naumyślnie prawie w samym środku ogrodu i właśnie wieczorami, kiedy goście mieli się schodzić po zdrowie, psuł balsamiczną woń ogrodową jakimś niezdecydowanym zapachem. Dopiero genialny, jak zwykle, płatniczy, który przecież z zawodu umie w mig wypełniać próżne, a niewygodne miejsca, wpadł na pyszny koncept, ażeby na samej blasze kanałowej umieścić beczkę z ogór-

kami lub kwarglami, to żaden gość nie domyśli się, co właściwie tak silnie pachnie: kanał, czy kwargle. Gospodarz był jednak nieco innego zdania i w tem miejscu urządził cały bufet, aby goście go mieli pod ręką. Wszystko się robi u nas dla wygody gości, dla ich przyjemności, a przede wszystkim dla ich zdrowia, od czego nawet ogród wziął nazwę.

Ten sam cel ma umieszczona obok bufetu długa tablica ze spisem potraw podawanych w innych restauracyach, bo w tej, oprócz piwa, podśmietania i przekąsek, nic więcej dostać nie można, chyba w niedzielę, kiedy już i kuchnia funkcjonuje i różne zwierzęta z siebie wydaje w postaci gotowanej, smażonej lub przepalonej. Zwierzęta te muszą się bardzo wstydzić, skoro przeważnie występują pod pseudonimami: stary kogut wziął pseudonim młodego kurczęcia lub gęsi, kot występuje pod nazwą artystyczno-kulinarną zająca, a wół ma więcej przybranych nazw, niż najbardziej rutynowany włamywacz w fasonie pana Wasińskiego.

Goście są tu bardzo wybredni i grymaśni, a lada pęk włosów w pieczeni, lub kawałeczek grzebienia nawet starego w piwie wyprowadza ich odrazu z równowagi i o wszystko zaraz robią egipską awanturę kelnerowi pomimo, że ten nie ma ani włosów na głowie, ani nigdy nie

używa grzebień. Ale przyjętym, choć niesprawiedliwym zwyczajem kelner wobec gościa odpowiada tu za wszystko: za to, że chleb trąci naftą, co prawda, nieeksplodującą, że w podśmiewaniu były dwie muchy, chociażby już nieżywe, że przez sam środek Ogrodu zdrowia przeleciał szczur, co prawda rudy, jak kot, a więc trochę przyjemniejszy, że z galeryi trzepią kucharki ubrania, a kurz idzie gościom prosto do naczynia, skutkiem czego podśmiewanie gęstnieje, a chleb z masłem pokrywa się nieproszoną papryką, że szklanki od piwa płuczą się w bardzo brudnej wodzie, że jakiś pijany gość ce-

luje pełną „halbą“ w latarnię ogrodową, ale nie może trafić, więc trafia tymczasem w samą panią gospodynię i psuje jej na nie kosztowną fryzurę — za wszystko to odpowiada wobec gościa kelner, który przecież radby gościowi nieba przychylić za te trzy centy, a nie jest temu winien, że gospodarz włosy wyrwa personalowi i w roztargnieniu wrzuca je do piwa zamiast dolać wody sodowej.

Bo gość lwowski nie zna się na żartach i skoro wszedł do „Ogrodu zdrowia“, nie przyjmuje nawet tego wszystkiego, co mu podają w każdej innej restauracyi.

Zajmujące wiadomości.

DOBRY POMYSŁ

miał ostrożny czytelnik, który, chcąc być pewnym, zwrócił się do redakcyi z zapytaniem, który z wielu środków jest właściwie prawdziwy. Powodem pomysłu tego rozsądnego czytelnika była smutna rzeczywistość, że obecnie sprzedają mnóstwo naśladownictw, które bywają jeszcze opatrzone takimi nazwami, że publiczność w błąd wprowadzają, tak zachwalane są: Stellafluid, Universalfluid, Unikumfluid, Luisafluid, Goldelsefluid, Ankerfluid, Weltfluid, centyfoliowy balsam etc. Nic więc dziwnego, gdy często wyznać się nie można. Niejeden ukarany za naśladownictwo, stara się zbywać takowe pod innemi nazwami, n. p. esencya ziołowa etc. Przeto sumienna Redakcyja dobrze uczyniła, zwracając uwagę tego czytelnika, że wogóle tylko jeden jedyny faktycznie dobrze działający prawdziwy fluid się znajduje, a tym jest: fluid Feller'a z marką „Elsafluid“, którego pomocny skutek przy podagrycznych, reumatycznych bólach, darciu w członkach, kłóciu w boku, bólu stawów, postrzale, bólu pleców, krzyżów, głowy i zębów etc., bywa ogólnie wychwalany. Ten jedynie prawdziwy fluid Fellerowski wytwarza tylko aptekarz nadworny E. V. Feller w Stubicy nr. 663 (Kroacya), gdzie 12 małych lub 6 podwójnych, albo 2 specjalne flaszki za 5 K franko zamówić można. Gdy więc coś boli,

należy zaraz użyć prawdziwego fluidu Feller'a, a niepozwalać na podsuwanie sobie żadnych naśladownictw.

Tanie pierze do pościeli i gotową pościel najlepiej kupić można u najslawniejszej w tej dziedzinie firmy Benedykt Sachsel w Lobes nr. 532, poczta Pilzno (Czechy). — Każdy wychwala uprzejmość i rzetelność tej starej firmy, do której zwracać się można z najzupełnijszym zaufaniem.

Kto idzie pewnie, idzie najlepiej. Szczególną wartość posiada pewność, gdy się kupuje złoto i srebro, bowiem przy takich zakupach narażać się można na rozliczne omamienia. — Chcąc być pewnym, zażądać trzeba od sławnego w świecie domu wysyłkowego H. Suttner w Lublanie (Laibach) nr. 94 (Kraina) wielkiego, bogato ilustr., wspaniałego katalogu, jaki firma ta wysyła bez wszelkich kosztów franko. Co się w tym katalogu znajduje, można nabywać z zupełnem zaufaniem. Suttner jest fachowcem, prowadzącym tylko prawdziwe, dobre szwajcarskie zegarki, wypróbowane i opatrzone znakiem menniczym, artykuły złote i srebrne, który posiada wielotysieczne listy uznania, w jakich zamawiający składają mu podziękowania za rzetelną i sumienną obsługę.

Nie dla reklamy, lecz celem ulżenia Waszym sercom, nadsyłają wdzięczni klienci Fellerowskiego fluidu — pisma dziękczynne nie tylko wytwórcy do Stubicy, lecz także wprost



do redakcyi dzienników, i proszą o ogłoszenie tychże pism dziękczynnych dla dobra cierpiących. bliźnich. Oto przykład: Mamy przed sobą list, opatrzony stampilią pocztową z daty Sędziszów 9. czerwca 1907, adresowany do Szan.

Redakcyi i Administracyi „Gazety Niedzielnej“ we Lwowie, treści następującej: Wielce Szanowna Administracyo! Ja i moja matka upraszamy Szanowną Administracyę o wydrukowanie w swem cennem piśmie naszego najserdeczniejszego podziękowania wytwórcy Elsa-Fluidu, panu E. V. Fellerowi, aptekarzowi nadwornemu w Stubicy nr. 663 (Kroacya), za szczególnie gojąco działający środek domowy — fluid Feller, za pigułki Feller i za wszystkie inne preparaty, które nam i przyjaciołom naszym przywróciły zdrowie, wyleczyły gruntownie kaszel, ból piersi. żołądka, ócz. bole reumatyczne i reumatyczne, pleców i krzyżów, oraz wiele innych skutkiem zaziębnienia powstałych cierpień. — Polecamy przeto fluid Feller i pigułki Feller

wszystkim — chorym czy zdrowym, gdyż z pewnością każdy, tak jak my, zawsze będzie wdzięczny za te preparaty. — Michał Tottoń, gmina Zagorzyce, powiat Ropczyce. — Ażeby sobie i nasi Szan. Czytelnicy tego wyśmienitego środka domowego nabyć mogli, nadmieniamy, że 12 małych lub 6 podwójnych flaszek fluidu Feller za 5 K franko sprowadzić można od E. V. Feller w Stubicy nr. 663 (Kroacya).

Czytelnicy tego kalendarza są dość rozsądni, by się dali omamić jakimś fałszywym groźbom, ostrzeżeniom i wielosłowności; wiedzą oni już z doświadczenia, co jest dobre i prawdziwe. Nic więc dziwnego, że publiczność tak polubiła prawdziwe środki domowe aptekarza nadwornego E. V. Feller w Stubicy nr. 663 (Kroacya), dlatego też te dobre środki do leczenia różnych chorób rozpowszechnione są prawie w każdym domu i w całym świecie, a niezliczone zamówienia tych rzeczywiście prawdziwych preparatów umożliwiają obniżenie ceny, że n. p. 1 tuzin prawdziwego Balsamu kosztuje 2 K, a nie 5 K. Za 5 K otrzymuje się 2 tuziny franko, jeżeli się adresuje dokładnie: Aptekarz nadworny E. V. Feller w Stubicy nr. 663 (Kroacya).





Dział humorystyczny.

Tkliwy mąż.

Mąż: — Czy moja stara przetrzyma chorobę?

Doktor: — Zdaje mi się, że się wszystko ułoży jak najlepiej.

Mąż: — Więc kłapnie?

Opowiadanie myśliwego.

Idąc sobie raz, panie, lasem wedle Maćkowego dęba, patrzę — stoi sarna i mech skubie. Przyłożyłem flintę do oka, wygarnałem — sarna stoi. Wygarnałem drugi raz — ani drgnie. Oszałała głupia koza, czy co — myślę sobie. Przybiłem trzeci raz! buch! Nic. Znowu buch — i znowu nic. Wystrzeliłem panie piętnaście razy, a ta głupia ani się ruszyła. A czy wiecie, panowie dobrodzieje, dlaczego? Oto po prostu: głuche było bestyństwo, jak pień!

Ze szkoły.

— Cwancygier, ile jest połowa od 8?

— A jak pan nauczyciel potrzebuje, czy z góry połowę, czy z boku?

— Jakto?

— No, bo jak z góry, to jest połowa zero, a jak z boku, to trzy!

Środek na bezsenność.

Icyk Afterduft, kupiec solidny i honorowy, pewnej nocy nie mógł ani rusz zasnąć; przewracał się z boku na bok i co chwila łapał za głowę. Zaniepokoiło to jego pulchną połówicę, więc zapytała:

— Co tobie, Icyniu? Ty masz jaki słaboszcz? Ja każę zawołać doktora.

— Nic mi nie jest, tylko nie mogem spać.

— Czemu ty nie mogisz spacz?

— Ni mogim i już, na to żaden doktorze ni poradzi.

— Nu, ale ty mi powiedz, dlaczego ty ni mogisz spacz, to ja tobi poradzym.

— Pierszy raz mi sze trafi, co ja mam jutro płaczycz wekslu u Jonaszego, ind ech hab ka ranesz... Co ja będę zrobiał?

— Aj waj! — zawołała pomysłowa małżonka — jaki ty głupi! Co ty zadlatego nie poczebujesz spacz? Niech twoje wrogi nie spają! Ja ci co powim. Jeszcze nima 11-ej, ty idź zaraz do Jonaszego i powiedz jego, co ty jutro nie mogisz płaczycz wekslu. Jak ty jemu to powisz, to nie ty, ale wun będzie cały nocy spacz ni mogił, a ty ze spokojnym głowym będziesz mogił spacz do jutra, bo ty już nie będziesz poczebował jutro płaczycz wekslu.

Pan Afterduft pobiegł czempredzej do p. Jonasza, powiedział o co idzie, poczem zabrał się spokojnie z powrotem do domu i spał jak suseł. — P. Jonasz zaś był tak zirytowany, nie tyle samą wiadomością, ile nocną wizytą niewypłacalnego klienta, że zasnął dopiero o godzinie 5. nad ranem.

Nerwowy.

— Mąż pani podobno chory?

— Tak, niestety, ogromne rozdrażnienie nerwowe...

— Czemu się to objawia?

— Proszę pani, niech tylko na cokolwiek spojrzy... na karty, na przykład... na butelkę — to się mu zaraz ręce trzęsą, a oczy błyszczą jak u kota... Podobno biedaczek od wczesnej młodości był taki nerwowy...

W sali sądowej.

Prokurator (do ławy przysięgłych): — ...Bo proszę panów przysięgłych, chyba mi uwierzycie, że oskarżony jest największym łotrem między nami.

Wet za wet.

Dwaj złodzieje, z których jeden ukradł krowę, drugi złoty zegarek, siedzieli w więzieniu w jednej celi. Pierwszy, chcąc drugiego drażnić, pyta go się:

— No, kolego, która godzina na twoim zegarku?

— Mnie się zdaje — odpowiada zagadnięty — że już czas krowy doić.

Pytanie.

— Który mężczyzna może prosić o rękę kobiety, nie będąc obowiązany z nią się ożenić?

— Rękawicznik.

Odważny.

— Który człowiek jest najodważniejszy?

— Łysy.

— Dlaczego?

— Bo mu nigdy włosy nie staną ze strachu na głowie.

Nieszczęście.

— Czy to prawda, panie Salezy, że pan Wiktor się żeni?

— Nie dziwiłbym się ani trochę, gdyby tak było. Człowiek nie wie, co go czeka. dzisiaj jest szczęśliwy, a jutro może już być żonaty.

Głupi mądry.

Pewien głupiec natrząsał się z uczonego, że ma wielkie uszy.

— Prawda — rzecze uczoney — jak na człowieka wielkie mam uszy, ale ty, jak na osła, bardzo masz małe.

Na brzegu morza.

— Co, pan nabiera wody morskiej do butelki? Co pan będzie z tem robił?

— Widzi pan, zawiozę mojej żonie, bo ona biedaczka nigdy nie widziała morza. Niech ma o niem pojęcie.

Usprawiedliwił się.

Żona: — Mężu, na twoim surducie znalazłam dziś włos kobiecy.....

Mąż: — A, to pewnie z wczorajszej zupy, którąś mi przyrządziła.

Zamącona rozkosz

w trzech obrazkach.



Jak stara przyjdzie, ukryj się za moimi plecami.



Oho, już idzie!



Gwałtu! mój nagniotek!

Reszta

— Co ty mówisz zwykle żonie, gdy przyjdiesz późno w nocy do domu?

— Ja mówię „dobry wieczór“, a resztę to już ona potem mówi sama.

Skuteczne lekarstwo.

— Doktorze! Biedę mam z tym moim mężem! Nie mogę utrzymać w domu ani pokojówki, ani bony, ani guwernantki... Czy niema na to jakiego środka?

— Owszem, jest: cierpliwość. Niech pani poczeka — jak pani mężowi wybije ośmdziesiątka, to się wtedy na pewno uspokoi.

Dziecięca logika.

Mała dziewczynka, będąc z rodzicami po raz pierwszy w zakładzie swego wuja, doktora, zobaczyła szkielet człowieka

— Co to być może? — pyta zdziwiona.

— To są kości umarłego człowieka — brzmiała wyjaśniająca odpowiedź.

Po krótkim namyśle dziecko pyta z niedowierzaniem:

— A więc tylko mięso idzie do nieba?

Miedzy małżonkami.

Żona: — Czemu mi się tak przyglądasz?

Mąż: — Bo tak ślicznie wyglądasz, kiedy masz usta zamknięte...

Poeta.

Autor (po wysłaniu pocztą rękopisu do redakcyi): — Dzięki Bogu, że chociaż pocztą przyjęła mój dramat.

Na ulicy.

— Niedawno byłeś głuchoniemy, a teraz żebrzesz jako ślepy?

— Łaskawa pani, przecież i publiczności trzeba dać jakąś odmianę...

Praktyczna rada.

— Jaki też najlepszy sposób na plamy od wina czerwonego?

— Nie lać na obrus, ale do gardła.

Ofiara postępu.

Sędzia: — Dlaczego kradłeś drut ze słupów telegraficznych?

Złodziej: — Czytałem w gazetach, proszę prześwietnego sądu, że teraz telegrafują bez drutu, ano chciałem tedy ludziom umniejszyć roboty i usunąłem drut.

Złośliwy mąż.

Żona: — Poradź mi mężusiu, co ja mam zrobić?... Kupiłam sobie ten nowy modny kapelusz, ale mi w nim nie do twarzy. Zmieniłam już bluzkę — ale nic to nie pomogło, zmieniłam uczesanie — także nic!... Już nie wiem, co mam robić!...

Mąż: — Hm!... Spróbuj zmienić twarz.

Pojętny.

Nauczyciel: — Co jest początkiem mądrości?

Uczeń: — Pieniądze.

Nauczyciel: — Kto ci to powiedział?

Uczeń: — Ojciec zawsze mówi, że bez pieniędzy nic nie można rozpocząć.

Monolog pijanego.



A cóż u diabła! Niby pogoda, a leje jak z cebra . . . i do tego jeszcze parasola otworzyć nie można...!

Myśli i zdania.

Naigodniejszą żoną jest ta, która stosuje się do woli męża.

Gdzie kobiety są powabne, tam mężczyźni są wolni i cnotliwi.

*

Godną pogardy jest kobieta, która, mając dzieci, skarży się na nudy.

*

Przy bliższem poznaniu kobiety wogóle zyskują, mężczyźni wogóle tracą.

Przy zgodzie służącego.

— Jak się nazywasz?

— Albo ja wiem!

— Jakto nie wiesz, jakże na ciebie wołali w poprzedniej służbie?

— Jasny pan wołał durniu, jasna pani ośle, a jasny panicz, jak był w humorze, to wołał błaznie, a jak był bez humoru, to nic nie wołał, ino za łeb ciągnął.

Równy podział.

(Z powiastek ludowych.)

Piotr i Paweł, obadwaj wyrobnicy prości,
Żyli pod jednym dachem w zgodzie i jedności —

Wspólną pracą się żywili,
Złiem i dobrem się dzielili.

Słowem, co Bóg dał na obiedwie głowy —
Szło do połowy.

Z piłą na plecach, z siekierą u pasa,
Jednego razu zdążali do lasa,
Zgłodnieli srodze;

A wtem przy drodze
Spostrzegają poziomkę — czerwoną, dojrzłą,

Wprawdzie pociecha z niej mała,
Ale najgorsze zagadnienie główne,
Jak ją rozdzielić na dwie części równe?

Więc po krótkim namyśle,
By wykonać dział ściśle,

Piotr położył na pieńku poziomkę urocą,
Paweł obuchem z góry uderzył ochoczko,
I myśląc w duszy: „dobra psu i mucha“,
Piotr oblizał z pieńka, a Paweł z obucha.



Tajemnica urzędowa.



Sędzia do złodzieja: A czy nie moglibyście mi pokazać w jaki sposób potrafiliście otworzyć kasę, bez śladów włamania i zamknąć napowrót!

Złodziej: Nie, panie sędzio, to jest

moja urzędowa tajemnica, której zdradzić nie mogę. Zresztą nabytego doświadczenia nie myślę byle komu wyjawiać...! To wymaga wiele czasu i pracy!

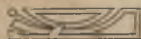
Pijany filozof.

Nie wierzyłem nigdy, że ziemia się obraca, ale teraz muszę wierzyć, bo widzę.

Ostateczność.

— Za kogo wolałabyś pójść za mąż: za blondyna czy za bruneta?

— Moja kochana w dzisiejszych czasach nie pogardziłabym nawet łysym.





Rozmaitości.

Potomstwo pijacki. Przed niedawnym czasem podjął się pewien uczony profesor zbadania szkód, jakie pijaństwo w jednej rodzinie wyrządziło. Przy pomocy więc urzędów zebrał następujące dane z pewnej rodziny pijackiej. Prababka najmłodszej żyjącej dziś jeszcze generacji, urodzona w roku 1740, a zmarła w początku 19. wieku, była pijaczka. Z potomstwa jej, a więc z pomiędzy jej dzieci, wnuków i prawnuków, których było wszystkich 834 osób, zdołał ów profesor dociec dzieje życia 709 osób. Z pomiędzy tych 709 potomków owej pijaczki było nieślubnie urodzonych 106, żebraków 142, pobierających wsparcie publiczne 64, nierządnic publicznych 181, skazanych przez sądy przestępców 76, a z tych 7 osób skazanych na śmierć za zabójstwo. W ostatnich 75 latach zapłaciło państwo według urzędowych obliczeń z powodu tej jednej rodziny jako wsparcia, kosztu kar więziennych, odszkodowania i t. p., około miliona dolarów.

Jubileusz zapalek. Trzy ćwierci stulecia mijają właśnie od chwili, gdy dokonano wynalazku zapalek siarkowych, pół wieku zaś od czasu, gdy wynalazca ich zmarł w nędzy. Był to Niemiec nazwiskiem Jan Fryderyk Kraemerer, z zawodu chemik. W ojczyźnie swej został on skazany na więzienie za mowę przeciw rządową. Karę odsiadywał w Hohenasperg i tu w listopadzie r. 1832 dokonał wynalazku zapalek.

Skoro jednak znalazł się na wolnej stopie i począł czynić starania około znalezienia przedsiębiorcy, któryby się zajął wyrobem zapalek, zakazano mu „tworze-

nia niebezpiecznego środka do wywołania ognia“ pod grozą ciężkich kar.

Mimo to nie zraził się Kaemerer i o-tworzył tajną fabrykę zapalek, sprzedając wyroby za granicą; wkrótce atoli rzecz stała się głośną, władze poleciły fabrykę zburzyć, a wynalazcę aresztowano. Równocześnie we wszystkich krajach niemieckich ogłoszono „zakaz sprzedawania i używania niezwykle niebezpiecznych zapalek wynalezionych i tworzonych przez chemika Kaemerera.“ Nieszczęśliwy wynalazca stracił w więzieniu zmysły, a w r. 1857 zmarł. — Francya i Anglia pochwyciły natychmiast ten doniosły wynalazek, a fabrykanci zapalek w ciągu krótkiego czasu dorobili się milionów. Niemcy natomiast przez długie jeszcze lata zadowalniały się pierwotnym sposobem krzesania ognia lub też sprowadzać musiały ten niezbędniejszy artykuł z zagranicy.

Wpływ matki na wzrost. Wzrost dziecka zależy od wielu przyczyn drugorzędnych, jak zdrowie w pierwszych latach, normalny rozwój i t. d., ale zasadniczo jest on określony dziedzicznie warunkami fizycznymi rodziców. Rzeczywistość poucza nas, że rodzice i dzieci pełnoletnie są przeciętnie jednakowo wysocy, Zdarza się jednakże, że wśród dzieci tych samych rodziców zachodzą znaczne różnice wzrostu, nieusprawiedliwione prawami dziedziczności lub innemi znanemi przyczynami. Badaniem tej kwestyi zajął się dr. Bela Revesz i po kilku latach ścisłej obserwacji ogłosił ciekawy swój wniosek.

Ważenie noworodków i mierzenie ich długości dowiodło, że miara i waga dziec-

ka przedstawia się tem korzystniej. im matka była starszą. Otóż przyjmując, że kobieta rosnać przestaje w 25. roku życia, jest zupełnie naturalnem, że organizm 20-letniej matki nie może dać owocowi żywota, tyle, co organizm trzydziestoletniej, gdyż pierwsza wchłania pewną ilość przyswojonego pokarmu dla potrzeb własnego wzrostu. Skutkiem tego młodziutkie matki wydają na świat jedynie wątle i drobne dzieci.

Następujące dziecko bywa już zazwyczaj większe i silniejsze, trzecie jeszcze bardziej i t. d. Dążąc konsekwentnie do ogólnego wniosku, uczony stwierdza dalej,

że jeżeli w danym narodzie ustali się zwyczaj wczesnego wychodzenia za mąż, dzieci młodych matek będą przeważnie drobne. Zdrobniałe te osobniki będą z natury rzeczy dawały życie dalszym pokoleniom niskich jednostek i ostatecznie w narodzie tym ustali się niski wzrost ludzi.

Jeżeli natomiast u innego narodu kobiety wychodzą za mąż dopiero po osiągnięciu pełnego cielesnego rozwoju, dzieci ich wogóle będą dobrego wzrostu. Następne pokolenia otrzymują okazały wzrost i w rezultacie lud taki cechować będzie wysoki wzrost.



Najnowsze okręty wojenne.





Obrazek przyszłości.

Piastunki będą wkrótce zupełnie niepotrzebne. Pewien inżynier wynalazł bowiem mechaniczną piastunkę, która za pomocą prądu elektrycznego biega po pokoju na szynach i dziecko zaraz usypia. Matka nie musi wcale wstawać z łóżka, tylko naciśnie guzik elektryczny a piastunka już w ruchu. Jak to będzie wygodnie z dziećmi, można sobie wyobrazić choćby na podstawie powyższej ryciny.

W szkole.

- Chciałbym być rybą.
- Dlaczego?
- Bo ryba niema uszów, żeby za nie ciągnął nauczyciel...



Być może.

— Dlaczego kobiety tracą nazwisko idąc za mąż?

— Bo zresztą nie mają nic innego do stracenia.

Fijakerski kawał.

Panienka: Fijakier! wolny?

— Na nieszczęście, panienko, od roku żonaty.

ZAKŁAD kotlarsko-miedziany i mechaniczny LUDWIK PIĄTKOWSKI

w Sosnowcu (stary Sosnowiec).
(Królestwo Polskie.)

WYKONYWA: *Rurki manometrowe, rury proste, kompensacyjne, aparaty destylacyjne i gorzelnicze najnowszych systemów, kotły miedziane, rury i blachy miedziane, ołowiane i mosiężne wszelkich wymiarów, spoju (szlag-lutu) itp. artykułów; formy do wielkich pieców najnowszych systemów, a także wanny i kompletne urządzenia kąpielowe; urządzenia wodociągów, komunikacje parowe i wodne itp. roboty. Na żądanie wysyłam kosztorysy.*

Fabryka szczotek i pędzli oraz zakład tokarski

H. Stefani, Sosnowiec
ulica Pańska 15.
(Król. Polski.).

Szczotki toaletowe, gospodarskie, fabryczne, rękodzielnicze i wszelkiego rodzaju do użytku techn. Grzebień w różnych gatunkach. Gąbki i skórki do powozów, trzepaczki do mebli, wycieraczki, pióra do okurzania. Zaprawy do podłóg i szuwaks.

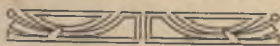
Maszyny poruszane zapomocą elektryczności.

Zbawienne rady

dla młodych i dorosłych

Zebrane przez starego
praktyka na rok 1910.

Przedruk wzbroniony.



Nadzieja jest zwodniczą, człowiek jednak oddaje się jej chętnie.

Wielkie cierpienia powoduje gościec, reumatyzm, darcie w członkach, kolki postrzał, zwichnięcia, influenza, paraliż i wszelkie inne bóle głowy, w krzyżach i plecach. Ze wszech stron zachwalają nam jako najlepszy środek leczniczy przeciw tym wszystkim dolegliwościom prawdziwy słynny fluid Fellera z esencji roślin z marką „Elsa-Fluid“, który jest do nabycia tylko u nadwornego aptekarza E. V. Fellera w Stubicy nr. 663 (Kroacya). 12 małych lub 6 podwójnych flaszek 5 K franko, 24 małych lub 12 podwójnych 8 K 60 h.

Kładź się wcześniej a wstawaj rano, doczekasz się długiego żywota. Wewnętrzne zadowolenie i zdrowa krew stanowi więcej niż największe bogactwa.

Często zapytują nas o jakiś dobry środek na kaszel, chrypkę, katar, zaflegmienie, ból gardła i piersi. Przeciw powyższym dolegliwościom zachwalanem jest ogólnie, tak zewnętrzne jak i wewnętrzne używanie wonnego fluidu Fellera z marką „Elsa-Fluid“, podług przepisu, znajdującego się przy każdej flaszce (12 małych lub 6 podwójnych flaszek 5 K franko, 36 małych lub 18 podwójnych 12 K 40 h franko). Dalej bardzo skutecznym jest Zagoryański syrop na piersi i kaszel. 2 flaszki 5 K franko — i herbata piersiowa, porczya 1 K. Prawdziwe do nabycia tylko u E. V. Fellera, Stubica nr. 663 (Kroacya).

Im więcej uprzyjemnia sobie człowiek życie w młodości, tem cięższem staje się ono dlań często na starość.

Żołądek niezdrowy obrzydził już niejednemu życie. Przeciw wszelkim dolegliwościom żołądka, jak: brak apetytu, niedokrewność, ciś-

nienie, kurcze, bóleści, niestrawność, wzdęcie, odbijanie się gazów skłonność do wymiotów, zgaga, twardzina żołądka, obstrukcja — polecane są przez wszystkich sławne Fellera rabarbarowe pigułki przeczyszczające z marką „Elsapillen“. 6 pudełek kosztuje 4 K, 12 pudełek 7 K 60 h franko, oraz wzmacniające szwedzkie krople, 3 duże flaszki 5 K franko, prawdziwe tylko u E. V. Fellera, aptekarza nadwornego w Stubicy nr. 663 (Kroacya).

Nie tylko promienie słońca i deszcz, lecz także radość i smutek są błogosławieństwem Bożem.

Błądzić jest nie po ludzku, gay się błądził na niekorzyść własnego zdrowia. — Smutnem jest, jak niektórzy ludzie obchodzą się z **z nagniotkami**. Biorą nóż, wycinają nagniotek, zacinają się przez nieostrożność i w mgnieniu oka zacięcie ~~to~~ doprowadzić może niebezpieczeństwo życia przez zakażenie krwi. — Czy nie o wiele rozsądniej użyć godnego zaufania, dobrego, pewnie skutkującego plasterka na nagniotki? My polecamy tylko **Fellera plaster na nagniotki**, gdyż on działa bezboleśnie, szybko i pewnie. — Kosztuje tylko 1 K, a tyle można pewnie poświęcić celem pozbycia się męki, jaką nagniotek powoduje. — Zamówcie sobie to zaraz u wytwórcy: E. V. Fellera, Stubica nr. 663 (Kroacya).

Nie wystarcza nie czynić nic złego — trzeba koniecznie także dobrze czynić.

Ciekawy list czytaliśmy właśnie w święta Bożego Narodzenia od Józefa Kozła z Lasowic. List ten brzmiał: „Byłem długi czas chory, aż raz pewnego czytam o fluidzie Fellera z marką „Elsa-Fluid“. Postanowiłem więc spróbować jeszcze tego środka i zamówiłem u p. Fellera 6 flaszek podwójnych, czego też ni-

żałuję, gdyż pomimo osłabnienia, znużenia, zawrotów i wszelkich febrycznych przypadłości wyzdrowiałem wkrótce. Duszność, bicie serca nerwowość ustąpiły zupełnie i więcej nie kaszle. — Zdziwieni tem moi znajomi, pytali mnie, gdzie znalazłem pomoc, na co im odrzekłem, że prawdziwy fluid Fellera z marką „Elsa-Fluid“, jaki tylko u E. V. Fellera w Stubicy nr. 663 (Kroacya) dostać można, uzdrowił mnie zupełnie. Sąsiad mój, Karol Pewny, wychwala znowu dezinfekcyjny, oczyszczający, gojący i ochładzający skutek fluidu Fellera z marką „Elsa-Fluid“ przy użyciu go na rany, zgniecenia, puchlinę, wrzody, wyrzuty skórne i gruczoly, zdumiewając się, jak szybko wyciąga ogień i goi. — Franciszek Peszteński, maszynista w Michałkowicach (Śląsk austr.), od wielu lat chorował na oczy, nerwy i mięśnie; syn zaś jego, Michał, narzekał ustawicznie na ból zębów. I oni zamówili tego Fellerowskiego fluidu z marką „Elsa-Fluid“ 48 małych flaszek za 16 K franko i w krótkim czasie wyleczyli się zupełnie. Możemy przeto fluid Fellera z marką „Elsa-Fluid“ każdemu już najgoręcej polecić, strzedz się tylko należy przed naśladownictwami i zamówienia adresować dokładnie: E. V. Feller, Stubica nr. 663 (Kroacya).

Staraj się stać na własnych nogach, widzieć własnymi oczyma, mieć swoje własne zdanie i wypowiadać je zawsze odważnie.

Przeciw szkarłotom, niedokrewności i wyrzutom skórnym poleca się prawdziwy dorszowy tran wątrobiany Fellera, 2 flaszki 5 K franko. Równocześnie używanie „esencji życia“, której 12 flaszek otrzymać można za 3 K, 24 flaszek za 5 K, jest szczególnie skuteczne.

Wybór dobrego środka domowego jest coraz trudniejszym, gdyż ze wszystkich stron pojawiają się ogłoszenia przeróżnych preparatów. Kto jednakże raz tylko spróbował „Fluidu“ i „pigulek“ Fellera, ten jeszcze tego nie żałował. Aby zaś preparaty te o ile możności jak najwięcej rozpowszechnione być mogły, wydano specjalne zarządzenie, na podstawie którego każdy zamawiający takowe wprost u aptekarza nadwornego E. V. Fellera w Stubicy nr. 663 (Kroacya), nie potrzebuje opłacać żadnego porta pocztowego.

Mamy nadzieję, że nasze życzliwe rady, mające na celu dobro i pożytek naszych kochanych czytelników spotkają się z zasłużonym uznaniem i znajdą swych zwolenników, — w następnych zaś roku znacznie rozszerzone zostaną.

A teraz najlepszego zdrowia i szczęśliwego roku 1910 życzę

Wierny doradca.

Czytelnicy tego Kalendarza są dość rozsądni.

by się dali omamić jakimś fałszywym groźbom, ostrzeżeniom i wielosłowności, wiedzą oni już z doświadczenia, co jest dobre i prawdziwe. Nic więc dziwnego, że publiczność tak polubiła prawdziwe środki domowe Aptekarza nadwornego E. V. Fellera w Stubicy Nr. 663 (Kroacya). Dlatego też te dobre środki do leczenia różnych chorób rozpowszechnione są prawie w każdym domu i w całym świecie a niezliczone zamówienia tych rzeczywiście prawdziwych preparatów umożliwiają obniżenie ceny,

n. p. 1 tuzin prawdziwego

BALSAMU

kosztuje 2 Kor. a nie 5 Kor. Za 5 Kor. otrzymuje się 2 tuziny franko, jeżeli się adresuje dokładnie: Aptekarz nadworny
E. V. FELLER w Stubicy, Nr. 663 (Kroacya).



Towarzystwo górniczo-przemysłowe

„SATURN“



Kapitał akcyjny 5,000.000 rb., obligacyjny 2,500.000 rb.
Kopalnie węgla, rudy żelaznej, galmanu, gospodarstwo
rolne i leśne w powiatach Będzińskim i Olkuskim. 

Zarząd: na kopalni Saturn.

Adres dla listów i depeš: SOSNOWICE — SATURN.

Skład przędzy bawełnianej
Edmund Moszkowski,
SOSNOWICE, ul. Policyjna nr. 4. — Telefon nr 191.

Poleca po cenach fabrycznych:

Przędzę bawełnianą pończoszniczą i kolorową.

Bawełnę nitkową do knotów dla kopalń i fabryk.

Odpadki bawełniane (Putzwolle) czysto-białe do czyszczenia maszyn.

„ „ „ kolorowe do czyszczenia maszyn.

Pierwszy hurtowy skład tektury finlandzkiej i papierów pakowych

Moszkowski i S-ka, Sosnowice,

ulica Policyjna nr. 4. (Król. Polskie.) — Telefon nr. 191.

Węgiel kamienny

Krystyna 6650 kaloryi



Artur 5800 kaloryi

dla celów przemysłowych i potrzeb domowych
polecają

Galicyjskie Akcyjne Zakłady górnicze

Dyrekcya w Sierszy

Pocztą, telegraf i stacya kolejowa Siersza-Wodna.

Kopalnia węgla kamiennego Artur w Sierszy

Stacya kolejowa Siersza-Wodna.

Roczna produkcya 4,500.000 cetn. metr.

Kopalnia węgla kamien. Krystyna w Tenczynku

: Stacya kolejowa Krzeszowice :

Roczna produkcya 500.000 cetn. metr.

Kopalnia rudy cynkowej Andrzej w Trzebionce

:: Stacya kolejowa Trzebinia. ::

- NOWY SZYB W GŁĘBIENIU. -

Huta cynku Artur w Krzu ad Myślachowiec

Stacya kolejowa Siersza-Wodna.

Roczna produkcya 25.000 cetnr. metr.

Ogólna ilość zatrudnionych robotników 2500.

== Księgarnia. ==

Materiały piśmienne i rysunkowe. Artykuły
szkolne i biurowe. Skład kart pocztowych ilu-
- - - strowanych wszelkich wydawnictw. - - -
Przybory malarskie. Obrazy, sztychy, oleodruki.

== Galanteria. ==

Specjalny skład obić papierowych i listew na ramy.

Oprawa wszelkiego rodzaju obrazów, sztychów,
portretów, fotografii i t. p. w pracowni własnej.
Wykończenie dokładne i na czas oznaczony.

Usługa sumienna.

Ceny przystępne.

J. Piotrowska, w **SOSNOWCU**. Główna 1. 4.
(Królestwo Polskie.)

Będzińska
Fabryka kłódek
i wyrobów metalowych
poleca swoje wyroby.

Specjalność:

kłódki, zamki i klucze
wszelkiego rodzaju.

Salomon Gutman

w Będzinie (Królestwo Polskie.)

Telefon Nr. 34.

Pracownia i magazyn
galanteryjno-rymarski

Feliksa Jansona

w Sosnowcu

ul. Warszawska 1. 12. (Król. Polskie)

poleca własnego wyrobu:

kufry, walizy, torby podróżne, torby
myśliwskie, futerały, siatki skórzane
i płóciennne, neseserki podróżne,
rance szkolne, teczki adwokackie,
portmonetki, portcygary, szelki, pasy
i paski damskie, rękawiczki do kon-
nej jazdy, i wszelkie wyroby w za-
kres rymarstwa wchodzące.

Ceny umiarkowane

Przyjm. obstalunki i reparacje.

Jeżeli kaszlecie,



jeżeli jesteście zachrypnięci,
jeżeli pocicie się w nocy,
jeżeli jesteście załegmieni,
jeżeli ciężko oddychacie,
jeżeli jesteście zakatarzeni,
jeżeli czujecie ból piersi,
jeżeli was trapią dolegliwości kataralne,

jest to dowodem, żeście się przeziębili, albo nabawili influency; jednakże kaszel, załegmienie, chrypka, ciężki charczący oddech, kataralne dolegliwości, ból piersi, brak apetytu, poty nocne itd. mogą także mieć bardzo poważne znaczenie, gdyż z takich przykrych objawów powstało już wiele ciężkich chorób, przeto poleca się jak najusilniej, aby nie pozwalać małemu niebezpieczeństwu na rozszerzanie się, przez usunięcie go na czasie. Do tego celu najodpowiedniejszym jest ogólnie wychwalany, odznaczony na wystawie angielskiej złotym medalem i dyplomem honorowym, przez wielu lekarzy zalecany **Orkény'a miodowo-lipowy** syrop. Mnóstwo listów dziękczynnych potwierdza dobry skutek tego doskonałego środka. Próbna flaszka **Örkény'a miodowo-lipowego** syropu kosztuje 3 korony, duża flaszka 5 koron, 3 flaszki otrzymuje się za 15 koron franko za zaliczką. — Jedyny główny skład dla Austro-Węgier:

Apteka „pod Apostołem“, Budapeszt, VIII., József-körut 64. Abt. 168.

Chory żołądek

zniewala człowieka do ciągłego staczania walki z całym szeregiem chorób. Największe dolegliwości wywoływane bywają przez nieregularne trawienie i obstrukcje. Ból głowy, kurcze, rozmaite cierpienia żołądkowe, brak apetytu, wzdęcia, hemoroidy (złota żyła), ciężkostrawność, napływ krwi, zawroty głowy, bóleści, odbijanie się kwasów, żółta cera twarzy, są zwykle wynikiem choroby żołądkowej. Jako doskonały, łagodzący i pewnie działający środek na te cierpienia polecane są

Örkény'a Cascaradin-t blety,

pudełko na próbę 60 h, pół pudełka K 1-20, całe pudełko K 2-20, dostarcza jedyny wytwórca:



Nie czekajcie

gdy Was dręczą cierpienia podagryczne i reumatyczne, darcie w rękach i nogach, klucie w boku, ból krzyżów i pleców, niedowład członków i inne dolegliwości, powstałe skutkiem przeziębienia, lecz użycie zaraz zaufania godnego środka, który w łatwy i prosty sposób da się zastosować. Takim środkiem jest odznaczona na wystawie

Maść Gaultheria

z apteki **Örkény'a „pod Apostołem“** w Budapeszcie. Jeden rulon K 1-60, a 3 rulony otrzymuje się bez ponoszenia jakichkolwiek kosztów za 5 koron za zaliczką.

Proszę pisać wprost pod adresem

Apteka „pod Apostołem“, Budapeszt, VIII., József-körut 64. Abt. 168.

Kto rzeczywiście dobrej, **Wódki francuskiej** używać sobie życzy, niech prawdziwej, wypróbowanej, tu zamówi 3 próbne flaszki prawdziwej „apostolskiej wódki francuskiej“ za 1 koronę 20 hal.

BIURO

Instalacyi Oświetleń i Artyk. Technicznych



Kazimierz Ciesielski

w SOSNOWCU

(Królestwo Polskie.)

ul. Niemiecka 12. Telefon Nr. 79.

Urządza instalacje oświetleń wszelkich systemów t.j. elektryczne, naftowo-żarowe, acetylenowe, kreogazowe (samowytwarzające gaz), do oświetlania sklepów, fabryk, teatrów i t. p. lokali. Instalacje dzwonków elektrycznych.



Posiadam stale na składzie w dużym wyborze:

Lampy naftowo-żarowe angielskie najnowszych systemów „Kitson“, „Washington“ i inne o sile światła od 250 do 1500 świec. — Lampy gazowe pokojowe

bez gazowni, bez rur i bez przewodników. — Lampy pokojowe naftowo-żarowe z koszulkami Auera wszystkich najnowszych systemów o sile światła do 180 świec.

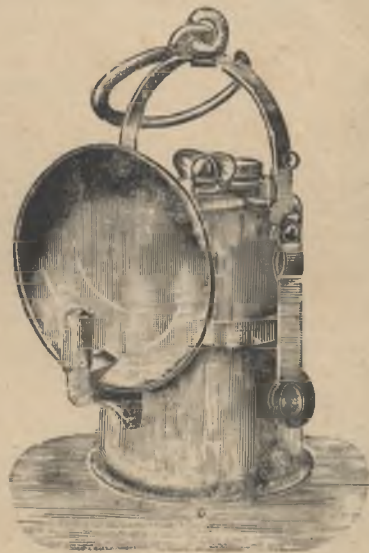
Lampki górnicze acetylenowe wszystkich egzystujących systemów i części zapasowe do tychże. Lampki górnicze bezpieczeństwa. — Lampy acetylenowe podwórzowe. — Lampy acetylenowe do rowerów. — Lampki elektryczne do rowerów. — Elementy suche do instalacji dzwonków elektrycznych i do latarek. — Kuchenki i maszynki do gotowania wszystkich systemów. — Piecyki i kominki do ogrzewania. — Części zapasowe do lamp naftowo-żarowych wszystkich systemów. — Koszulki, Karbid, i t. p. — Pompki do polewania ulic. Wszelkiego rodzaju rury miedziane.

Wanny, piecyki i całe komplety kąpielowe. — Szyldy emaljowane i małe składane mosiężne. — I wszelkie inne artykuły w zakres oświetlenia i techniki wchodzące.

Ceny niskie konkurencyjne

== Kosztorysy bezpłatnie. ==

Specjalni monterzy do instalacji i reparacji lamp.



Biuro techniczno-wiertnicze
P. B. D U D A i Spółka

Dąbrowa Górnicza, ulica Sławkowska (dom własny).
Królestwo Polskie.

WYKONYWA:

POSZUKIWANIA

węgla, rud, soli i nafty, sposobem maszynowym i ręcznym z gwarancją za całkowite wydobyte słupka przekrojowego przewierconych pokładów. — Badania gruntów dla różnych celów. — Pompy różnych typów.



BUDOWA STUDZIEN

artezyjskich, abisyńskich, pochłaniających, oraz wszelkich robót w zakres studniarstwa wchodzących.

Filtracya i sterylizacya wody.

Wodociągi pneumatyczne.

Centralne
ogrzewania i kanalizacya.

Rury żelazne i cynkowane, wiertnicze i do różnych celów własnej fabrykacyi — Wiertarki do otworów wybuchow. ręczne i działające zapomocą ściśniętego powietrza. — Narzędzia i aparaty wiertnicze różnych systemów — Projekty i kosztorysy udziela się bezpłatnie. — Długoletnia specjalność. — Gwarantuję za solidne wykonanie robót i obstalunków. — Ceny przystępne.

Cukiernia Warszawska
ST. BURCHARDA

w Dąbrowie Górniczej (Królestwo Polskie), ulica
Szosowa Nr. 22.

Poleca wszelkie wyroby w zakres sztuki cukierniczej wchodzące, wyrabiane zawsze z jak najlepszych i najświeższych artykułów. — Przyjmuje zamówienia na bale, wesela, święta. — Urządza bufety z wyrobami cukierniczymi na wszelkich zabawach letnich i majówkach. — Ceny umiarkowane.

Kto sobie życzy

nabyć najlepszych i najtańszych

WYROBÓW TKACKICH

jak: płótna czysto-lniane, ręczniki, dymy, dreliszki, zapaty, chustki do nosa, obrusy, barchany, oksfordy, płócienka i zefiry kolor. na bluzki i fartuszki damskie, szertyngi na wszelaką bieliznę, kapy, koce na łóżka, kołdry do przykrycia, chodniki jutowe, wata, bielizna gotowa męska, kłoty na podszewki, chustki włóczkowe, wełniane i jedwabne, ceraty na stoły, koszule trykotowe, ciepłe na zimę, sukna, iodeny, kamgarny, materji wełniane, szewioty (Zeigi) na ubrania damskie, dzieciinne i męskie, wiosenne, letnie, jesienne i zimowe w różnych kolorach i gatunkach, niech zażąda próbek i cennika ilustrowanego

które wysyła darmo i oplatnie

Filia magazynu wysyłkowego

JÓZEFA BAJGROWICZA

tkacza z Korezyny obok Krosna

:: w JAŚLE ul. 3-go maja. ::

Najlepsze czeskie

źródło zakupna!

Tanie pierze!

1 kg. szarego, dobrze dartego 2 K, lepszego 2 K 40, prima pół białego 2 K 80, białego 4 K, białego kwapowego 5 K 10, 1 kg. jak śnieg białego 6 K 40 i 8 K, 1 kg kwapu szarego 6 K i 7 K, białego 10 K, najlepszy kwap z piersi 12 K. — Przy odbiorze 5 kg franko.

Gotowa pościel

z gęstego czerwonego, niebieskiego, białego lub żółtego Nankingu. — 1 pierzyna, 180 cm. długa, 116 cm. szeroka, z 2 poduszkami, każda 80 cm. długa, 58 cm. szeroka, napełniona nowem, szarem, bardzo trwałem, kwapowem pierzem 16 K, pół kwapem 20 K, kwapem 24 K; same pierzyny 10 K, 12 K, 14 K, 16 K, poduszki 3 K, 3 K 50, 4 K. Wysyłka za pobraniem pocztowem od 12 K franko. — Wymiana lub zwrot dozwolony, jeżeli nie odpowiada, zwraca się pieniądze. Dokładny cennik darmo i oplatnie.

S. BENISCH w Deschenitz nr. 214, Böhmerwald.

Każdy kupiec

pragnący z powodzeniem anonsować, powinien się zwrócić do

Ekspedycyi anonsów:

JULIUSZ LEOPOLD

Budapeszt VII., Erzsébet-körút 41,

ponieważ tam skuteczniejszą się insercyę we wszystkich czasopismach i kalendarzach na świecie, ze szczególną umiejętnością, sumiennie, punktualnie i po niskich cenach. — Zastępstwo więcej jak 200 kalendarzy, biuro centralne węgierskich pism prowincjonalnych, administracya kilku czasopism. — Wszystkich wyjaśnień udziela się P. T. Inserentom bezpłatnie.

Tanie czeskie pierze!



5 kg. nowe, dobre, wolne od pyłu 12 K; 5 kg. białe, miękkie jak puch, darte 18 i 24 K; 5 kg. śnieżno-białe, miękkie jak puch, darte 30 i 36 K; 5 kg. półpuchu 12 K; 5 kg. K 14'4), 18 K; 5 kg. śnieżno-białe, miękkie

jak puch, niedarte 24 i 30 K; puch szary K 3'60; biały K 4'80; śnieżno-biały K 6'— i K 6'60 za pół kilo. Przesyłka franko za zaliczką. Zamiana i przyjęcie napowrót za wynagrodzeniem portoryum dozwolone. Przy zamówieniu uprasza się podać dokładny adres.

BENEDYKT SACHSEL,

LOBES 532, Post PILSEN (Böhmen).

5 KORON!



kosztuje mój prawdziwy szwajcarski patentowany zegarek **Anker-Remontoir**, sytemu **Roskopf**, o doskonałym, silnym, antymagnetycznym w rku ankrowym, z prawdziwą emaliowaną tarczą godzinną (nie z papieru), w eleganckiej niklowej oprawie z pokrywką zawiasową, nad warkiem opatrzony plombą ochronną, idący 36 godzin (nie 12 godzin), posiadający ozdobne, złożone wskazówki, doskonałe uregulowany, z 3-letnią pisemną gwarancją, za szlukę . . . K 5—

3 sztuki . . . K 15—
taki sam z wskazówką sekundową . . . K 18—
3 sztuki . . . K 54—

w prawdziwej srebrnej opr. bez wskazówki sekundowej
3 sztuki . . . K 18—
taki sam z wskazówką sekundową . . . K 24—
3 sztuki . . . K 72—

Najlepszy wybór wszystkich gatunków głównym katalogu — Rzyżka niema! — Złota lub zwrot pieniędzy. — Wysłaż za nadesłaniem należytości z

Pierwsza fabryka zegarków HANNS

c. k. dostawca nadworny w Bröx Nr. Katalog główny z 3000 ryc. na żądanie